

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM I.

87

WIZERUNKI POLITYCZNE
LITERATURY POLSKIEJ.

KURS PUBLICZNY

WYKŁADANY W PARYŻU

W OKRĘGU TOWARZYSTW UCZONYCH

(CERCLE DES SOCIÉTÉS SAVANTES)

PRZEZ

LEONA ZIENKOWICZA,

CZŁONKA TEGOŻ OKRĘGU.

TOM PIERWSZY.



LIPSK:

F. A. BROCKHAUS.

—
1867.



CZYTELNIĄ KSIĄŻEK

821.162.1 (031) "18": 821.162.1-5

SPIS RODZIAŁÓW TOMU PIERWSZEGO.

	Strona
Kurs pierwszy	1
» drugi	19
» trzeci	47
» czwarty	69
» piąty	85
» szósty	117
» siódmy	134
» ósmy	159
» dziewiąty	192
» dziesiąty	219
» jedenasty	253
» dwunasty	284

KURS PIERWSZY,

1860 r.

Szanowni spółziomkowie i spółziemianki!

Myśl, którą przed wami rozwinąć tu zamierzyłem, nie jest z czasów dzisiejszych. Powziąłem ją był po wypadkach 1848 r., bo już wtedy wiedziałem, że pielgrzymstwo polskie wówczas zbudowało już było Bibliotekę, na jaką inne narody w zwyczajnem ich położeniu, wieki składać się muszą; ta bibliotekę nie tylko wielością tomów, ale i ważnością ich treści wielce znakomitą.

Wypadki 1848 r. wstrzymały przedsięwzięcie. Dziś myśl dawna na nowe pole wchodzi. W tych ostatnich latach kraj nasz wprowadził literaturę narodową na stanowisko prawie mu dawniej nieznane; zasilił się literaturą pielgrzymstwa swojego. Z długo toczonych sporów za granicą, odbiło się i wyrobiło wiele myśli w pismach krajowych. To też, jeżeli w czem potomność pielgrzymstwu swemu odda w przyszłości sprawiedliwość, tedy niezawodnie w tem: że na polu tego zagranicznego piśmiennictwa rozprawiło się i rozstrzygnęło mnóstwo kwestji, wprawdzie z przykrością czasem dla stron spornych, ale które na ziemi ojczystej może inaczej, daleko przykrzej i boleśniej przeprowadzone być by musiały. Owoce prac tych rozlicznych i przeróżnaitych, dziś są dla wszystkich widoczne; dziś już, na polu literackiem, jest wyraźna i niezaprzeczona łączność kraju z jego pielgrzymstwem. W ostatnich zwłaszcza latach równie przeważnie kraj na

swoje pielgrzymstwo, jak ono na kraj wpłynęło. Trzebaż pomagać tej łączności. I oto powód, który mię skłonił do obecnego wykładu.

Obieram za przedmiot mego przeglądu literaturę pielgrzymów polskich; wszystko więc, co poprzedza ten okres, o tyle tylko dotknietem tu będzie, o ile pod względem literackim polskiej literatury politycznej może to być z okresami poprzedniami w łączności i stosunku. Ani zastanawiać się mogę tem mniej jeszcze, jaką była pierwiastkowa sławiańska i lechicka literatura, aczkolwiek wiem, że nie byłoby to bez wielkiego i pożytecznego światła, dla treści tak pojętego przeglądu. Nie tak jak chcemy, ale jak możemy. Szczęśliwym będę, jeżeli tę trochę ciężaru, który biorę na karki moje, udźwignąć zdołam. Przystępuję do rzeczy:

«Nie można już zwać marzeniem tegoczesnych badań o przeddziejowej cywilizacji sławiańskich plemion», pisał Jan Kanty Podolecki, jeden ze znakomitych historycznych pisarzy pielgrzymstwa polskiego, zbyt zawcześnie zmarły, ze szkodą literatury narodowej, a pisał to, odpierając rozmyślnie zaprzeczenia cudzoziemców staroczesnej cywilizacji sławiańskiej. Nie zostawiła ona wprawdzie piśmiennych zabytków, ani dzieł sztuki, może nawet nie miała ich wcale, ale zostawiła liczne ślady pierwotnych nastrojów, odróżniających nas od reszty świata, oraz język, ów wielki, żywy pomnik naszego starowiecznego istnienia. Kto przejrzy tę nieprzebraną, niecałkiem dotąd poznaną skarbnicę, ten przyzna, że na nią składały się długie wieki porządnego bytu społecznego. Mówimy to o wszystkich odnogach mowy naszej ustnej i pisanej, bo nasz piśmienny język jest tylko cząstką tego ogromu. Ślady w dziejach i we wszystkich urządzeniach późniejszych, a nadewszystko baczne wpatrzenie się w pokolejne zwyczaje i obyczaje narodu naszego, posłużyłyby zapewne do odszukania owych form i barw pierwotnych; uznanie zadziwiającego ładu tam, gdzie na pozór sam chaos i wykręcia pierwotnej idei naszego społeczeństwa, będącej na wieki niezbędnym dla nas społeczeńskim warunkiem. Nie zdołamy zapewne wszystkich tych twierdzeń poprzeć piśmienną dziejów powagą: byłyby to w części hipotezy i domysły; ależ nieraz zdybujem stare gruzi, mchem i murawą zielone, o których nie ma ani piśmiennego, ani ustnego podania, a przecież

z ciosanych głazów, sterczących tu i owdzie, wnioskujem o bytności gmachu; a rozważywszy miejscowość charakterystyczną i pozostałe szczęty, odgadujem poniekąd pierwotny kształt budowy.

Sławianami zwać będziemy pra ojców naszych, nie znając z pewnością dawniejszego ogółowego ich nazwiska. Sławianami, nie zaś Słowianami powiadam; nie dla tego, żebym to ich nazwisko miał wyprowadzać od wyrazu sława, jak niektórzy wyprowadzają je od wyrazu słowo, albo idąc po śladach poszukiwaczy niemieckich, od *Slave*; lecz, że we wszystkich narzeczach ludów, które zaległy olbrzymi przestwór ziemi od Elby w poprzek Wisły, po morze Czarne aż za Dniepr daleko, od Bałtyku w poprzek Dunaju aż po Adriatyk, w imionach nadawanych tak płci męskiej, jak żeńskiej, cór i synów, równie możliwych, jak biednych rodów, wszędzie znajdujemy literę *A*, nie zaś *O*. Dowodem imiona: Światosław, Bolesław, Przemysław, Czesław, Wiesław, Jarosław, Władysław, Miecysław, Zdzisław, Wojsław; oraz Świętosława, Dobrosława, Bronisława, Bogusława, i t. d; migdy zaś i w żadnym narzeczu sławiańskim nie mówi się: Śświatosław, Bolesław, Czesław, Przemysław, albo Bronisława, BBogusława, Dobrosława, i t. d.

Trudno twierdzić, z braku zabytków piśmiennych, jak było na początku świata sławiańskiego; ale to pewna, że nie tak było, jako się zdało wielu kronikarzom staroczesnym i nowoczesnym. A różnica w tem pojmowaniu dawniejszem a dzisiejszem tak jest wielka, że uczony Joachim Lelewel po odczytaniu wstępu do dziejów polskich Augusta Bielowskiego: «Jać wiedziałem, rzekł, że nie tak było na początku świata sławiańskiego, jak o tem pisali Nestorowie, Kadłubkowie, Długoszowie, a cóż dopiero Niemcowie; tak jak wiedziałem, że nie wszystko to prawda konieczna, co o początku świata, o Adamie i Ewie, popisali mnichowie; a że dziś prawda za staraniem młodszych braci stare bajki zastępować zaczyna, więc szczęść Boże młodszy w tej pracy.»

Poleźnie tylko wspomnieć mogę: że pierwiastkowe dzieje sławiańskie w ogólności, a nasze polskie w szczególności, do tego stopnia są dziś inaczej, niżeli były dawniej pojmowane, że te nasze świętych pamiątek kopce Krakusa i Wandy pod Krakowem, sypane były na cześć tego samego bohatera i tej

samej bohaterki, których pamięć czi także Sławiańszczyzna Nad-Adrjatycka. To też wspomniany J. K. Podolecki nie waha się twierdzić: że na całej tej niezmiernej przestrzeni od Elby aż za Dniepr daleko, od Baltyku aż po Adrjatyk, morze Czarne i Karpaty, była *ab origine*, niezmierna, jednoplemienna i jedno-języczna ludność. Przed tysiącem lat, na całej tej przestrzeni rozsiani byli bracia. Co było za nimi na wschód i północ, to zwali Czudami, czyli cudzemi, co na zachód niememi, czyli niemowami, albo Niemcami. Pas gór karpackich przerzywał środkiem tę ziemię; samo położenie jeograficzne wskazuje, że rdzeń plemienia osiadł Karpaty i z niego, jakoby ze źródła, rozlewał się na oba główne stoki ku północy i ku południowi. Dowodem tej gniazdowości karpackiej są nie tylko nazwy gór, rzek, miejsc powtarzające się często i wspólne całej Sławiańszczyźnie, ale i nazwy zbiorów rodowych, czyli późniejszych ludów i narodów jednakowe w odległych od siebie stronach. Tak jedni Polanie mieszkali nad Odrą i Wisłą, drudzy Polanie nad Dnieprem, jedni Serbowie w dzisiejszej Serbji, drudzy Serbowie nad Odrą i Salą; jedni Obotryci nad Baltykiem, drudzy za Dunajem; a może te oba plemiona, wyszedłszy od źródeł samych, zachowując pamiątkę w swej nazwie Karpackiego Otrytu, nazwały się od niego Otrytami i Obotrytami. Pograniczne, czyli skrajne ziemie, zwano Ukrainami, ztąd dwie Ukrainy: Zadnieprzańska i Zadunajska, a bez wątpienia były jeszcze i inne. Ukrainne rody, napierane obcą przemocą, nieraz cofały się ku Karpatom, jak do twierdzy, a za ustąpieniem zewnętrznego nacisku, spływały napowrót ku Ukrainom. Ztąd w narzeczeniach górali karpackich słyszy się wyrazy zabłąkane z rozmaitych ziem sławiańskich, a w ich pieśniach wspomnienia odległych miejsc w Ukrainach. Karpaty i przyległe im kraje dłużej zachować musiały pierwotne, rodzinne nastroje, niż Ukrainy, mające wcześniejsze stosunki z obcymi, a przeto narażone na wpływ cudzoziemski.

W tej rdzennej Sławiańszczyźnie, leśnej początkowo, mieszkali mogli Lesi, czyli Lesianie, tak jak do dzisiaj mieszkają po niej Podlasianie, Zalesianie i Polesianie. A już nie było nad to nic prostszego dla cudzoziemców, jak po swoich pismach i książkach, z którymi nas uprzedzili, nas, mieszkańców leśnych, więc Lasów lub Lesianów,

podstawiając z cudzoziemska w miejsce litery s litery ch, (które się w niektórych z nich nawet jak sza czyli sze wymawiają, przechrzcic nas na Lachów, tak jak dotąd naszych dzisiejszych Podlasianów i Polasianów, Francuzi *Podlachiens* albo *Podlaquiens* zowią. A że właśnie w tej rdzennej Sławiańszczyźnie, nieskalanej obcym wpływem, a przeto poważanej od innych plemion, nastroj rodowy rozwinął się najsilniej i zaszczerpił najgłębiej, reszta więc Sławiańszczyzny wszystkie inne plemiona, które się z tą jej częścią łączyły, nazywała Lechami, czyli rodami lechickimi.

W tej epoce stanowczej przodkowie nasi Polanie, mieszkający pół, już może wcześniej z rodów drobnych złani w wielki naród, zaczęli łączyć ze sobą pobratymcze lechickie rody i ludy.

Federacja ta Polanów i połączonych z nimi rodów i ludów, zwana później Polską, ocaliła wtedy Sławianizm, a przyjmując wiarę chrześcijańską, pojęła od razu wielkie, potrójne posłannictwo swoje. Najprzód: odparcie germanizmu, pochłaniającego sławianizm; powtóre: zasłonięcie zachodu węzłem wiary zbratanego z sobą, oraz cywilizacji i samego nawet germanizmu od pogańskiej dziczy; a po trzecie: zachowania rodzinnych instytucji i obyczajów, zacieraających się gdzieindziej i posuwania się ku ogólnemu celowi chrześcijańskiej, europejskiej cywilizacji, ale własną ścieżką i w rodzinnej, lechickiej barwie.

Polska dotąd, aż do naszych czasów, pełniła to potrójne posłannictwo, i teraz nawet, po upadku swym politycznym, spełnia je jeszcze, acz tylko moralnemi środkami, i spełniać je musi, póki jej moralnego tchu stanie. Ztąd poszły owe długoletnie wojny z Niemcami, Krzyżakami, a nawet z pobratymczymi Czechami, dla odrzucenia germanizmu; ztąd po drugiej stronie owe gonitwy krwawe z Waregami, Jadzwin-gami, Tatarami, Turkami i Moskwą, dla ocalenia zachodu i cywilizacji od pogańskiej dziczy; ztąd nakoniec odrzucenie wpływu instytucji nieswojskich, zapasy ze Szwedami, z protestantyzmem, oraz ta moralna dążność duchowa, odróżniająca nas od innych narodów.

Oprócz tego, chrystjanizm wprowadzając Polskę w grono europejskich ludów, to samo posłannictwo jej chwilowe przemieniał na trwałe. Włożył on na Polskę twarde obowiązki,

tem chwalebniej wypełniane, że często nie umiano ich oceniać; ale razem przyniósł jej niezaprzeczone korzyści. Przezeń zbratała się ona z cywilizacją starożytną, zachodnią, i stanęła na szacownym stanowisku, na którym żaden inny naród wyręczyć jej nie potrafi. Tysiąc lat przemknęło w życiu człowieczeństwa, a ta potrójna misja w niczem niezmienniona, tylko, że teraz daleko większa i ważniejsza.

Co do narodu polskiego, który już jako taki, niezawisłe i niepodległe na widowni sławiańskiej się pojawia, ta nie mogła być w sprzeczności z jego urządzeniami społeczeńskimi. Naród rodzimy, wszystko co sam przez się tworzy, tworzy z przyrodą swoją zgodnie. Rodzime zatem były polskie pierwotne instytucje polityczne, rodzimą religiją, moralność i oświata, i rodzimą też pewnie była pierwotna literatura, bez której, był li naród polski piśmienny albo nie, ostać się nie mógł; bo literatura nie w samym piśmie, jest także w duszy i sercu, w myśli i uczuciu, w opinii i cywilizacji narodu. Ale czasy one pierwotne, jako przekazane potomności podaniem tylko, nie stanowią literatury piśmiennej. Wszystko nią objęte, jest z onych już czasów, kiedy w życiu Polski grały wyraźnie dwa żywioły: szlachecki czyli panujący i chłopski czyli poddańczy. Sam rząd, woła szlachty stawiony i od niej we wszystkich prawach zawisły, nie tylko nie był nigdy panującym, ale nie mógł stanowić i też nigdy nie stanowił oddzielnego stanu w Polsce.

Z tej strony uważana Polska, w szlachcie tylko była narodem, tak, że szlachcie polski stał w środku pomiędzy dwoma poddanymi swoimi: rządem ze swego ramienia, a swoim niewolnikiem *de facto*; nad jednym z których panował szlachto-władnie, czyli z bracią szlachtą pospół; a zaś nad drugim samowładnie, czyli pojedynczo, na swojej wsi, na swą rękę, po pańsku.

Przy takim urządzeniu Polski, ani góra, ani dół, ani naczelnictwo czyli rząd, ani społeczeństwo czyli naród polski, nie mogły wpływać stanowczo na kierunek czegokolwiek bądź w kraju, a więc i literatury, a pod pewnym względem wchodzić nawet w jej zakres. To też powiedzieć można, że nie było w Polsce ani rzeczywistej literatury dworskiej, nie wyłączając z kądiną bardzo dworskich czasów Stanisława Augusta, ani narodowo-ludowej, mimo przelotnych w tym

rodzaju próbek. Szlachta, zagarnawszy wszystkie prawa jednej strony i drugiej, zatrzymała przy sobie wszystkie ich korzyści i wpływy. Były więc wsie i miasta, ziemie i wody, rządy i sądy, sejmy i sejmiki, zjazdy i zajazdy szlacheckie, i była też literatura szlachecka, lepsza lub gorsza, więcej albo mniej narodowa, podług tego, jak w czasie dawnym szlachta była lepsza lub gorsza, mniej albo więcej ożywiona narodowym tchnieniem.

Czasy nawet najświetniejsze literatury polskiej, wiekiem złotym zwane, właśnie tem nad innymi górują, że wybor nie ówczesny naród polski, to jest szlachtę polską, reprezentują. Ani Rej i Górnicki, ani Wujek i Orzechowski, ani Kochanowski i Szymonowicz, ani sam najznamienitszy kaznodzieja onego czasu, Skarga, nie zdołali wynieść się nad uprzedzenia wieku i zamiast czerpać w nieprzebranem, powszechnem, narodowym źródle, tuż pod ich boki bijącym, naginali się wszyscy do formy obcej, łacińskiej, albo greckiej. Ale co pisarzy wieku onego po nad pisarzy wszystkich innych czasów wynosi, to owo poczucie powinności pisarskiej, odpowiednie myśli, która podówczas ożywała narodowe jestestwo.

Z tej strony uważani pisarze polscy, nie tylko z czasów obu Zygmunatów Jagiellońskich, ale Batorego i Zygmunta Szwea nawet, stanowią niezaprzeczenie wiek złoty pisarstwa polskiego, i jeżeli pod względem czystości i składni języka złożyli się na pokład niewyczerpanej dlań kopalni, to pod względem uczucia narodowej potrzeby i powinności, pozostaną na zawsze wzorem do naśladowania. Żaden z nich za prawdę nie był wolnym od powszechnego grzechu ówczesnego. Szlachcie polski dla Reja był położonym nad całą ziemią, jestestwem najdoskonalszem, na jakie ludzkość zdobyć się mogła; co niżej, to już zdało mu się przez Boga na wieczne poniżenie i utrapienie skazanem. Skarga, umiający najsubtelniejsze dogmata wyklądać jak najpopularniej, miłujący ojczyznę jako ustanowienie boże, kochający Polskę jako nową Jerozolimę, na którą Bóg zlał wielkie obietnice; Skarga, upominający króle i pany, odstępujące ojczyznę, nie zdołał sięgnąć do prawdziwego źródła narodowej potęgi, ani zwrócić głosu swojego tam, kędyby już nie był głosem wołającego na puszczy. Najznakomitsi owego czasu poeci,

Kochanowski i Szymonowicz, nie stroili lutni swoich jeno dla ucha uprzywilejowanego. Ale każdy z nich, od pierwszego aż do ostatniego, z każdego wiersza swojego zdaje się wołać z psalmistą: «Jeśli cię zapomnę, ojczyzno miła moja i Jeruzalem moje, niech zapomnę prawicy ręki mojej; niech język mój przyschnie do podniebienia mego, jeśli pomnieć na cię nie będę, a jeśli cię na czele wszystkich moich spraw nie położę.» I to jest, powtarzam, czem przedewszystkiem pisarze onego czasu zarobili sobie na chwałę twórców wieku złotego. Oni to, stawiając na równi z polityczną potęgą i świetnością narodu literaturę krajową, jak z jednej strony żywym okazali przykładem, czem są one wzajem dla siebie, tak z drugiej po wszystkie wieki złożyli przestrzeżenie, jaką literatura być winna, ażeby odpowiadała politycznym warunkom narodu.

Jakoż w następnym wieku Polska, acz przedłuża zawód swój literacki, widać zaraz na nim piętno politycznego jej upadku. Panowanie kilku królów cudzoziemców, którzy nie umieli po polsku, słusznie jest uważanem powszechnie za najpierwszą i najważniejszą przyczynę zepsucia narodowej literatury. Stefan Batory nie tylko na sejmach, ale nawet w prywatnych posiedzeniach mówił po łacinie. Chcąc jednak przypodobać się narodowi, mięszał do swych rozmów wyrazy polskie o tyle, o ile je umiał i rozumiał. Zygmunt III. naśladował w tem Batorego z konieczności podobnej, a niedoskonałość takowego tłumaczenia się królów, przez pochlebstwo dworzan w sztukę zamienioną została. I chociaż następni królowie, aż do Jana Sobieskiego, w rodowitej tłumaczyli się mowie, nie to jednak nie przeszkodziło, żeby raz wprowadzona moda mieszania polszczyzny z łaciną, po całym rozszerzona kraju, nie utrzymywała się statecznie. Owszem, dalej postąpiono jeszcze. Zaczęto używać wyrazów łacińskich, kończąc je wedle prawideł polszczyzny, co było największą przyczyną jej zeszkaradzenia. Na dworze i na sejmach, w najwyższych trybunałach i najniższych sądach, w potocznych rozmowach i korespondencjach nawet z kobietami, taki tłumaczenia się utrzymywał sposób. Dwór zaraził nim ludzi wyższego znaczenia, ci zarazili szkoły, ze szkół poszła zaraza na cały naród. Pisarze w tak skażonej mowie wydawali swe dzieła, księga prawili nią z kazalnicy; kładziono

takież napisy na grobach i przysionkach. Pod Sasami nie mogło być lepiej, tylko łacina musiała ustąpić miejsca francuzczyźnie. Obaj elektorowie, August II. i III., nie umieli ani po polsku, ani po łacinie. Język francuzki i niemiecki były jedyne, któremi Polak podówczas mógł się rozmówić ze swoimi królami. Niemczyzna wszakże nie uchodziła za modną na dworze. Polacy nadto, za sprawą swych poprzedników królów, byli wprawieni od dawna do mowy francuskiej albo włoskiej. Mowa więc polska składała się odtąd z wyrazów francuzkich i włoskich. Brano to nawet za dowód znajomości wielu języków, i rozmowa była tem uciechęszą i doskonalszą, im więcej cudzych wyrazów do polszczyzny mieszano.

Tak wielki upadek mowy ojczystej i zupełna obojętność, którą mieli względem niej ludzie dostojeństwa, była w samej rzeczy dobra krajowego zabójstwem. Naród wolny, jako słusznie uważa Kołłątaj, nie mógł utrzymać się w dawnym stanie swego znaczenia i powagi, tylko przez doskonałe wzajem rozumienie siebie; a tymczasem mowa ojczysta, to najdzielniejsze narzędzie ku tak ważnemu celowi, jako wygnana ze dworów, z trybunałów, ze wszelkich narodowych urzędów, jako zaniedbana w szkołach, nie pełniła swego przeznaczenia. Miljony, mówiące po polsku, nie mogły nabyć należytego oświecenia w szkołach krajowych; nie mogły się tłumaczyć w swych potrzebach przed własnym królem i u jego ministrów; nie mogły rozumieć wyroków sądowych, bo w szkołach dawano nauki po łacinie, bo król i jego ministrowie nie rozumieli po polsku, bo sądy odpowiadały po łacinie stronom. Nie dosyć na tem, krocie obywateli uczyło się w szkołach łaciny, lecz wyszedłszy na świat, jeśli nie obrali zawodu prawników lub duchownych, wyszli na pośmiewisko z całą tą swoją łacińską edukacją, którą ludzie dworscy i uczeni, hołdując francuzczyźnie, już podówczas gardzili i kładli obok z polszczyzną, a reszta mieszkańców mało co, albo wcale nic nie rozumiała. Tak obywatele jednej ojczyzny, których oświecenie i zgoda powinna była sprawić szczęście powszechne, nie rozumieli się między sobą. Gardził magnat niemówiącym po francuzku Polakiem; oszukiwał i kłócił magnatów przebiegły w złej łacinie jurysta; był ofiarą pośmiewiska i oszukiwania ten, który ani po francuzku

nie umiał, ani jurystowskiej łaciny nie znał. W ogólności literatura powszechna europejska owej epoki ulegała wpływowi francuzkiemu, układała się na sposób dworu Ludwika XIV, a wpływ ten nigdzie może nie był większym, jak w Polsce. Co tylko stało u wierzchołka narodowego: król, królowa, dworzanie, magnaci, czytali i mówili po francuzku; uwielbiano z zapalem literaturę francuzką. W połowie wieku XVII. już był teatr w Warszawie, a na nim grano Cyda. Wkrótce wszystko, co stanowiło naród, miało sobie za zaszczyt wynarodowić się ze szczętem. Kto nie umiał po francuzku, bełkotał najbezpieczniejszą, kuchenną łaciną.

Za skażeniem ojczystej mowy przyszło zabicie myśli. Jezuici, już od dawna przerażeni kierunkiem rozumującego protestantyzmu, chcieli umorzyć wszelki postęp do rozpraw. Rozumowanie przerażało ich równie jak natchnienie. Przedsięwzięli więc ująć filozofję w karby scholastyczne. Tak ściśnięta literatura poczęła nędzić. Po zabiciu myśli, powiada charakterystycznie Mickiewicz, rozdymano tylko czeze formy. Naciągając okresy, starano się ukryć próżność sensu. Ztąd ten styl napuszony, te dziwolagi tytułów i wyrażen. Brak istotnego namaszczenia i szczerości wkrótce dał się widzieć i w polityce. To tłumaczy, zkąd się wziął ów tryb wyrażenia się dwuznaczny, owo krasomówstwo dwulicowe. Ludzie rozumni, utalentowani nawet, jak król Kazimierz i król Jan Sobieski, którzy w innych razach mówili i pisali bardzo jasno, kiedy im przychodziło zagajać sejmy, ulegali modzie swojej epoki, prawili oracje. Przez cały więc ciąg tego perjodu napróżno szukałby kto znakomitszych i zajmujących plodów pióra w dziełach większych. Znajdujemy je tylko w pamiętnikach i listach poufalitych. Jedyne też to dzisiaj źródła do dziejów polskich. To co było w publicznych archiwach, uleciało z dymem wojennej pożogi, a reszta zagrabiona przez wrogów i w największej części uwieziona do Petersburga.

Zdaje się, że z wypędzeniem mowy polskiej z ust polskich, wymykało się także z piersi serce polskie. Wszędzie pozorem chciano zastąpić brak wewnętrznej wartości. Pod wąsem student, na swój sposób, jako wyraża się Lelewel, z infimy, gdzie się był gramatyki na pamięć nauczył, szedł do retoryki, gdzie go tylko w napuszonych frazesach uczono,

a w filozofji w zręcznem udawaniu fałszu za prawdę wydoskonalono. Każdy wprzód wiedział, że był szlachcicem, aniżeli, że miał ojczyznę. Hipokryzja i nadętność zajęły miejsce szczerości i prostoty. To sprawiło, że nikt nie mógł wierzyć nikomu, że nie śmiał żądać nawet, aby mu wierzone. AA tymczasem kłeski po kłeskach waliły się na Rzeczpospolitą. I nie bez racji niektórzy historycy dzisiejsi w tem zepsuciu narodu upatrują główną przyczynę jego upadku. Szwedy, Kozaki, Brandeburg, Rakuzi i Moskwa, tutaj głównie czerpały żywioły ku swawoli i zuchwałstwu dotąd niesłychanemu. Zwycięstwa nawet Sobieskiego, jako więcej błyszczące, aniżeli krajowi pożyteczne, może słusznie są uważane za wpływające również na to zepsucie czystości narodowej.

Znowu najwierniejsze odbicie stanu politycznego kraju w sferze jego literatury. Rzeczpospolita w nieładzie, lub w letargu, i w rozstrojeniu albo śpi literatura. Przebudzi się czasem pamięć dawnej potęgi, zateśni serce synów do wielkości i chwały ojców, rzuci się umysł do reform, szukając wyłomu wyjścia z tego stanu rozpaczliwego; ale młodzież wywychowana u Jezuitów nie rozbierać, ani oceniać nie może. OGól polskiej ówczesnej młodzieży, mówi Goszczyński, przeschzedłszy przez takie ręce, zbutwiawszy w takich szkołach, jaak księga skazana przez czas długi na śniedź wilgotnego skkładu, wychodził na świat jak ta księga, której mądrości diucha wydarł; wychodził, nie mając innej zalety nad lata w szkołach spędzone i dopełniał plemienia nieuków. Nie dziwi, że w takim narodzie Jezuici do samowładnej przyszli potęgi. Potęga ta była martwej natury, ciężała też tem bardziej, trupiejsza. Zniszczyła nawet ona w duszach myśl opozycji, która by jakkolwiek poruszała życie. Rozlała uspienie, ciemnotę w pełnem tych wyrazów znaczeniu. Cały naród bez wspomnienia przeszłości, bez planu na przyszłość, beez uznania się w sobie, bez zwrotu na zewnątrz, w prawdziwym był letargu. Żeby otworzyć wstęp duchowi wieku, żeby wyrwać umysł z uspienia i nadać mu nowy kierunek, trzeba było rewolucji lub reformy. Pierwszej nie było jeszcze naajmniejszego pojęcia w narodzie; na czele drugiej stanął pijar Konarski.

Upadek Jezuitów przyspieszył przewagę nowych wyobrażeń.

Ale czy w duchu narodowym? Nie! I ze środkami reformy Konarskiego nie mogło być inaczej. Naród potrzebował zupełnego przerozrodzenia się, wyniszczenia złego z korzeniem. Konarski wchodził z niem tylko w układy. Powstając na zewnętrzne reformy, zostawiał złe wewnętrzne. Krótko mówiąc, Konarski nie wiedział jeszcze, że chcąc pozbyć się złego, nie prosić je, aby ustąpiło, albo złem być przestało, ale je pędzić należy. Konarski nie wiedział, że zakładając szkołę dostępną tylko samym synom bogaczy, zaprowadzał arystokrację bogactw i mienia według wyobrażeń zachodu, kiedy dotąd szlachta polska w pośród siebie przynajmniej używała równości. Pod wpływem takiej reformy nie innego narodzić się nie mogło, nad nowe naśladownictwo. Toż mężowie owego czasu, mówi Mochnacki, są to wielcy reformatorowie, wielcy nauczyciele, zaszczytowi nieznanych pojęć, dobrzy Polacy, gorliwi ludzie, ale każdy także to przyzna, że mężowie ci rzecz całą nową wprowadzili do kraju. Jako ogrodnicy w pień spróchniałego, starego drzewa z bujnej, gdzieindziej posadzonej krzewiny latorośl wszczepiają, tak samo oni stosując ku naglącej potrzebie czasu, obywatelskie, pocziwe chęci i starania swoje, z obcej ziemi, z pod obcego nieba rozszerzali w Polsce wyobrażenia i pojęcia na kształt postronnej monety, nieznanym stępem cechowanej. Ta moneta szybkim krążyła obiegiem. Z obcym rozumem, z obcymi wyobrażeniami wciskały się obce uczucia i zwyczaje. Nic prawie dawnego nie zostało się. Zmieniono stroje i szaty. Wszystko było postronne: kształt, postawa, ułożenie. Ten cały gmach oświecenia nie wspierał się przeszłymi wieki i nie był umocowany na historycznej posadzce. Literatura wyrażała ducha, który nie był duchem narodu. Zamykała myśl na jaśnie wyciągniętą, która myślą przeszłości nie była. Odbijała się czyjaś postać, ale omylna, ale nie nasza. Polak myślący przyszedł do uznania samego siebie, ale nie w swoim jestestwie. Naród nie miał wyciągniętych na widok swoich wyobrażeń. Krótko mówiąc: przyszlismy w tym względzie do cudzej refleksji; do refleksji francuzkiego narodu, który także podówczas nie miał własnej literatury oryginalnej, ale naśladowaną, nieumiejętnie naśladowaną, w nieumiejętnej kształconą szkole, oderwaną od historycznej przeszłości za wpływem niezliczonych przesądów i przywidzeń.

Cudzy dar z trzeciej przyjęliśmy ręki. Aż strach pomyśleć, coby dalej się stało, gdyby mąż na wieki narodowi pamiętny, Kazimierz Pułaski, nie dał był hasła i przykładu innego. Konfederacja Barska, zrywając pęta przeszłości, rozpoczynała epokę dźwignia się ducha narodowego; wylamując się z pod starych uprzedzeń i przesądów, kładła tamę wszelkim niemyślnym zabiegom. Co tylko było szlachetniejszego w narodzie, łączyło się w obozie Konfederatów. Łączył się tym sposobem nowy zastęp, który wszelkie odrzucał rachuby i na żadne nie zważał zawady, który nie miał jeszcze wyraźnej przyszłości, lecz stanowczo zrywał z przeszłością, i gdy tamten po dawnemu palił kadzidła wrogom, magnatom i niedołącznemu królowi, on z pola bojów odzywał się pieśnią niepodległości i zapału, nadziei i poświęcenia. Jedyna ta podówczas literatura narodowa, żyje dotąd w podaniach, albo w rękopismach prywatnych. Konfederaci drukować jej czasu nie mieli. Każdy zresztą konfederat umiał ją na pamięć, a dzieciom swoim przekazywał w pacierzu. Do zabytków tego rodzaju należą prorocтва Wernyhory i księdza Marka. Nie masz nigdzie podobno autentycznego tekstu pierwszych, ale wszystkie odpisy zgadzają się co do treści i głównej myśli. Ksiądz Marek słynie chwałą poety i kaznodziei. Patrjota, jakich mało, w rzeczach, obchodzących sprawę kościoła, gorliwy aż do fanatyzmu, wiary najwznioślejszej i najczystszej; w ciągu wszystkich prac i wypraw, gotowy zawsze do poniesienia korony męczeńskiej, pojawia się nam jak drugi Piotr Eremita, z tarczą na plecach i kosturem w rękę, zagrzewający do tej nowej krucjaty przeciw schizmatyckiej Moskwie. I poezje jego i kazania tchną duchem proroczym, i w jednych i w drugich Polska stoi przed nim jako ofiara grzechu szlacheckiego; ma skończyć, złożyć zwłoki swoje, lecz zmartwychwstanie:

Dotąd jest Polska, berło niekwitnące,
 Dotąd nie będzie wstępnie działające;
 Ale jak tylko na wstępnem zostanie,
 Drgną strachem Niemcy, Moskwa i Poganie.
 Pierwsi dwaj swojej krnąbrności przypłacą,
 A drudzy prawo wraz z państwem utracą.
 Kościół na skale stanie się wspaniały
 Dwu-główny, kolor zamieni w swój biały.

Natenczas pielgrzym wielkie swoje śluby
 Złoży przy grobie — Bogu trybut luby.
 Niewolnik wolny będzie bez okupu,
 Strzelec pozbędzie łakomego łupu,
 Róża natury chłód w ciepło zamieni;
 Kogut z chytrości jak wąż się wyleni,
 Tak nasze runo znowu w swoje wieki,
 Wieszcz opowiada, czas już niedaleki.
 Ale Ty, Polsko, po czasie niewiele,
 W smutnym się musisz wrpód pogrześć popiele.
 Chytrzy sąsiedzi Twój Ciebie zdradzą,
 I z wielkim Ciebie mocarzem powadzą,
 I strasznych wojen, będzie tortur wiele,
 Miecz krwi niewinnej obficie wyleje!
 Wielu niewinnie marnie zginie braci,
 Wstyd poświęcony Bogu panna straci;
 Kapłan z ołtarza przy ołtarzu leże;
 W toż lichu mnicha z zakonnikami sprzędzie.
 Cna góra, złotem otoczona kołem,
 Niech ufa w Bogu, nisko bije czołem.
 Bowiem najbliższą będzie strasznej burzy:
 Dym ją zarówno z innemi okurzy.
 Kościoły z ozdób odarte zostaną,
 Dnie zgola wszystkie płacziwe się staną.
 Lecz się Najwyższy tej krzywdy użali,
 Na nich się samych to nieszczęście zwali.
 Więc czyń twojemu wieczne dzięki Bogu,
 Bo On im przytrze wyrosłego rogu,
 A ty jak Feniks z popiołów powstaniesz,
 Całej Europy ozdobą się staniesz!...
Dabitur vox, fugiet nox, veniet lux!...

Czem literatura Konfederatów Barskich na ziemi ojczyściej, tem literatura Legionów była w czasach tułactwa narodowego po zupełnym rozbiórce kraju. Zwątpienie opanowało wszystkie umysły. Najgorsi, z królem, lub na swoją rękę jechali do Petersburga, Wiednia, lub Berlina. Ci, co zostali w domu, poczęli oswajać się z niewolą, łudząc się czasem nadzieją, że się utrzymują przy resztkach narodowości. Najlepsi poszli za granicę, czekać tam hasła do nowego poświęcenia się za ojczyznę, a tymczasem krwią i kośćmi polskimi w bojach nie za Polskę budzić współczucie obcych narodów. Tym sposobem legjony przedłużały życie Polski, pełne przytem ufności, że się to kiedyś na naród przeleje. To też sławna ich pieśń:

Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy!

otwiera się słowem takiej nadziei, jaka nie dozwoli żadnemu narodowi zginąć, dopóki tylko ożywiać go będzie. Jak konfederacja wszakże, tak i literatura legjonów, tworząca się przy huku armat, wśród bojów i marszów ciągłych, nie mogła być obfitą. Kilka pieśni wojennych, kilka pamiątek wojaskowych, otóż wszystko, co ją składało. W kraju żadnej prawie literatury nie było, chyba że od czasu do czasu jaki gorętszy patriota rzucił kilka bolesnych westchnień na papier, ostrożnie z ręki do ręki w odpisie udzielanych; lub że nowy jaki odstępcza zakrważył serce polskie nowym hymnem na cześć wrogów. Dopiero pod zwyciężkami orłami Napoleona wraz z legjonami wraca literatura na ziemię ojczyść. Ale samo ówczesne położenie Polski względem Francji i jej bohatera, wpędzało jeszcze pisarzy polskich na starodawny tor naśladownictwa. Jakoż nie tylko Koźmian i Wężyk, układający się gwałtem na wzór Lebruna i Russa, ale nawet wojskowi poeci: Godebski, Reklewski, Górecki i reszta, z wyjątkiem jednego Brodzińskiego, nie mogą się otrząsnąć z poetów szkołarstwa francuzkiego. Była jednak już znaczna między tymi a tamtymi różnica, zwłaszcza pod względem prawdziwości i prostoty wyrazów. Porzucają już oni peryfrazę; nazywają rzeczy prawdziwymi imionami: karabin nie nazywają już u nich ognionosnem żelazem, ani kapłan pułkowy Lewita. Był to już zarodek poezji popularnej. Żołnierze śpiewali ich wiersze, oficerowie je czytali i lud je lubił.

Cała ta wszakże literatura konfederatów i legjonistów przeleciała niepostrzeżenie po nad piśmiennictwem krajowem. Literaci z profesji nie zwracali na nią uwagi. Autorów jej nie raczyli nawet zaliczać w poczet pisarzy i poetów. Przerażający stan! woła Goszczyński, w całym tym ogromie tylko Krakowiacy i Górale Bogusławskiego. I znowu trzydzieści lat zboczenia. Trzydzieści lat między pierwszem a drugim pojawieniem się polskiej narodowej myśli, między operą Bogusławskiego a Wiesławem Brodzińskiego. Wprawdzie Krasicki w Podstolim i Doświadczynskim rzucił myśl do narodowych, historycznych powieści. Zabłocki w niektórych komedjach marzy o narodowych charakterach; Kniaźnin w Puławskich przedstawieniach śmie nie tylko samych królów na scenę wyprowadzać. Karpiński w swych

Palmirach i Korydonach przedstawia wyraźnie mieszkańców wiosek polskich — szlachtę drobną i zaściankową. Woronicz, ożywiony wzniosłem, biblijnym natchnieniem i pomimo ustawicznych zboczeń do greckiego Olimpu, niemający w całej mowie ówczesnej Europy podobnego sobie poety; Woronicz, godny wyobraziciel narodu we wszystkich jego kolejach, łączy duchownie nową erę, a przez duch i język pism swoich, wydając się mężem wielkiego powołania, jest już niejako piętrem, z którego rozum przenikliwy, łatwo poznaje budzące się życie w umysłach Polaków. Hymny Woronicza, powiada Mochacki, to westchnienie nasze dla Stworzyciela nieba i ziemi — to modlitwa Polski przed burzą! On wylizował dobrodziejstwa Opatrzności dla narodu polskiego wyświadczone. Koleją przechodził dzieje nasze od początku do końca; jedną, ale głęboką myślą rozerwanego przymierza z miłym jego ludem, wszystkie swoje farbując utwory — on ustawnie mową swoją podwodził ku temu słowem, u Jeremiasza zapisanem: «Klaskali w dłonie przechodzący drogą i trzęsali głową, mówiąc: Bram waszych postać okopconą; i toż to jest miasto, niegdyś od tyłu tysięcy oświeconych i użytecznych mieszkańców osiadłe?» To najstarszy poeta w kościele pamięci narodowej! Wziął był na to, zdaje się, poświęcenie, iżby przy ołtarzu przeszłych czasów służbę sprawował i czuwał, żeby płomień gorejący na nim nigdy nie wygasł. Dobrze pełnił powinność swoją. Dla niego przeszłość nie była ani skorupą garncarską, ani dymem gryzącym w oczy. Wówczas, kiedy inni szukając chluby z postronnego dowcipu, odstychnęli się od prawdziwej prostoty i piękności — on sam jeden rozmyślał o narodowym pieśnioksięgu, a wzniosłszy ducha wysoko, na sam wierzchołek Libanu, Dawidową przestrajał arfę, pisał Sybillę i Lechjadę. A obok niego, w równej mierze, stał drugi starzec, mąż wyniosły XVIII. wieku, wieszcz z urodzenia i z powołania, ze wszystkiego, co bądź kiedykolwiek mówił, pisał i czynił. To Julian Ursyn Niemcewicz. Ten w grobowce sławnych ziomek swoich wszczepiał gałązki cyprysowe, i żadnego nie było pogrzebowego obchodu, któregoby ten mąż wielki nie poświęcił swoją wymową. Reprezentant powszechnego wszystkich żalu, acz przy całej konwencjonalnej deklamacji i trubadurskim dum swoich duchu, napomynał, że Polacy mogą

mieć polskie śpiewy historyczne. Również i w prozie w ogólności: Albertrandy, Waga, Bohomolec, Naruszewicz, a potem Bandittkie, Niemcewicz i Lelewel na polu dziejów narodowych; Staszyc, Czacki, Surowiecki, a nade wszystko Potocki i Kołłątaj, pod względem politycznym; Kopczyński i Linde, a następnie Feliński i Królikowski, w uprawie języka; Żółski i Juszyński, a nareszcie Bentkowski, w poszukiwaniach historii literatury — oddają znakomite narodowi usługi. Ale i po nad tem wszystkim góruje zawsze naśladownictwo i Pollacy w gładkich, sentymentalnych wierszach i w cedzonych przez zęby frazesach i komplementach wkrótce samych przechodzą Francuzów. Feliński Barbarą Radziwiłłówną wprowadza w kontusz polskim spazmujących kochanków Rassyyna. Wężyk sam nie wie, co robi z pełną dramatycznością przygodą Głińskiego, aby tak obciętą i przekreconą, umieścić w potrójnych ramach obok swoich francuskich wzorów. Kropiński fałszuje historyczne zdarzenia, nawet na niekorzyść narodu, dla dogodzenia wyrwanemu z Lalharyna pojęciu teatralnego efektu. Osiński z nauczycielskiego trójnoga oburza cały piękny świat warszawski. Koźmian ziemiaństwem gotuje się okazać Polakom, o ile do niezrównanego Delila zbliżyć się można. Marcinkowski pisze poemat: Rzeki polskie, z niemniejszą troskliwością o przepisy konwencjonalne, jak inni jego bracia w Apollinie; Morawski buja odami, lub dowcipnemi bajeczkami po salonach szermując.

A wszakże oddać należy sprawiedliwość, pomimo tych usterek powszechnych, pojawiały się od czasu do czasu uczucia wzniosłe, język czysty, silny i narodowy. Krasicki, pisarz przedewszystkiem lekki, dowcipny, satyryczny, a przecież jak naiwnie do dzisiaj porusza serce nasze, gdy woła:

Święta miłości kochanej ojczyzny,
Czują cię tylko umysły pocziwe;
Dla ciebie zjadł smakują trucizny,
Dla ciebie pęta, więzy nie zelżywe!
Kształcisz kalectwo przez chwałobne blizny,
Gnieździsz w umyśle roskosze prawdziwe;
Byle cię tylko można w sprawach wspierać,
Nie żal żyć w niedzielnym i umierać.



A zaś, do jakiego głębokiego postrzeżenia się wyzywa umysł młodzieńczy, tą, tak w sobie krótką bajeczką:

Czemu płaczesz? — staremu mówił czyż młody.
Masz teraz lepsze w klatce, niż w polu wygody.
Tyś w niej zrodzon — rzekł stary — przeto ci wybaczę;
Jam był wolny, dziś w klatce — i dla tego płaczę.

Proza w ogólności nie mogła od rymotwórstwa się różnić, kiedy poczynając od Konarskiego, wszyscy za nim, jak Piramowicz, Golański, Dmochowski i Potocki Stanisław, aż do Osińskiego bez przerwy, nie mogli się otrząsnąć z najnieodłączniejszego naśladownictwa. Dziennikarstwo krajowe, przechodzące z ręki do ręki, zrywało się od czasu do czasu do wprowadzenia na narodowe stanowisko przynajmniej tak zwanej pięknej literatury; ale co się tyczy polityki i wyobrażeń społecznych, te od losu redaktorów Polaka konstytucyjnego i Dekady polskiej znikwały z pola na długo. Wszakże od jakiegoś czasu, o brzasku nowej myśli, miewał naród, według wyrażenia się Mochnackiego, jak Cezar sny swe prorocze; poczęły się niepokoić przeczucia starowierców i mary nowatorstwa coraz przykrzejsze robiły w nich wrażenie. Z całą siłą tragicznego gniewu zagrmiał Osiński przeciw Bajronowi. Inni już nieco dawniej zebrali się i uderzyli to w pisownię Felińskiego, to w tym podobne nowości. Aż oto i wystąpił człowiek głośniego w ścisłych umiejętnościach znaczenia, Jan Śniadecki. Rozległ się do koła okrzyk: *Romantyczność!* Ukazały się dwie strony. Powstał wrzask i zamieszanie boju. Wzmaga się zaciętość — towarzyszy jej zaślepienie, które często zasłania oczom walczących przedmiot ich walki. Sam widok zuchwalców, targających się na wielkie, nietknięte dotąd imiona, podnosi potęgę jednych, odbiera drugiemu moralną siłę. Klasycy słabną, klasycyzm upada. A z pobojuwiska powstaje Mickiewicz, zapowiada tryumf i rozpoczyna stanowczo nową epokę literatury w Polsce pod imieniem romantyczności — o czym mówić będą na przyszłym zgromadzeniu.

KURS DRUGI.

1860 r.

Oglądając się na przeszłym zgromadzeniu pobieżnie, w w przełocie, że tak wyrazić można, zawsze na pierwotne i i następne ich czasy, po koniec mniej więcej, panowania St Stanisława Augusta, powiedziałem, a powiedziałem nie z siebie, ale z *vox populi, vox Dei*, że łacina najprzód, a francuzczyzna potem, zaszkodziła czystości naszego pierwotnego słowa: naszej mowie sławiańskiej, naszemu w niej lechickiemu, polskiemu narzeczu. Tak jest, łacina najprzód, francuzczyzna potem, zaszkodziła naszej mowie, naszemu językowi; ale nie sercu, ale nie naszej myśli, ale nie duchowi, ale nie przrządzeniu i posłannictwu naszemu. Łacina zepsuła nam język trochę, francuzczyzna skrzywiła obyczaje trochę; ale serce, ale myśl, ale duch, ale pojęcie naszych przeznaczeń i o obowiązków, pozostały nietknięte. Snać to nawet było zapisane w wyrokach, niezawisłych od mądrości i układów ludzkich, że niekoniecznie od Greków i od Wschodu tylko, nam Polakom rozumu uczyć się należało. Snać, jako w swej rozprawie o poezji romantycznej przyznaje sam Mickiewicz, zapisanem było w księdze: niezawisłych od mądrości ludzkiej wyrytków, iż na ruinach państwa rzymskiego usadowione horordy północne i z ludem miejscowym zmieszane, miały kiedyś obudzić uśpioną długi czas imaginację i zdobyć się na w wcale nowy rodzaj przyszłości. Od Łacinników, to pewnie, nauczyliśmy się onych instytucji, które naród nasz przeze tak długie wieki w świetności i szacunku, innym sławiańskim narodowościom, utrzymywały. Od Łacinników to

pewnie, albo raczej od Rzymu łacińskiego, nauczyliśmy się tej miłości; acz co prawda, także przez obcych i z daleka mu przyniesionej, która nieszczęśliwych lub upośledzonych, jak to było w Grecji, nie ze skały strącać, ale się nad nimi litować, ale się z nimi miłosiernie obchodzić, ale się nimi opiekować, nakazywała. I od zachodu to także nauczyliśmy się pewnie tej jednej pożytecznej siewby, z której jeszcze wprawdzie nie zbieramy owoców, ale które jednak prędzej czy później zbierać pewnie będziemy; albowiem prawdą jest to, co w chwili śmierci jeden z najświętszych męczenników naszych, padając pod strzałami zbójców, zawołał: «Bóg nie sieje nic na próżno!»

Ciężkie zaprawdę i bolesne jest wyczekiwanie nasze. Tęskne, niespokojne i w nadziei zachwiane, jako się po tęsknem, niespokojnem i w nadziei zachwianem życiu, wyraża jedna z naszych wieszczek i westalek świętego, narodowego ognia, w Głosie Pańskim z więzienia, który jako mało znany i dotąd niedrukowany, w całości tu przywodzę:

Tęsknota, niespokojna, w nadziei zachwiana,
Z celi mojej więzienniej wołam ja do Pana:
Panie! jeżeli zeckcesz, daj cięższe więzienie!
Daj mi od ukochanych moich zapomnienie!
Daj potwarz na me imię, w me słowa niewiarę,
Daj jak młodość bez szczęścia, bez czci lata stare;
Daj, Panie! spełnić każdej boleści truciznę!
Tylko wróć mi ojczyznę! Panie! wróć ojczyznę.

A duch Pański rzekł: Jaką?

A jam znów wołała:

Taką jak była niegdyś Polska moja cała!
Polska przadziadów naszych, Chrobrych Polska dawna,
Silna, straszliwa wrogom, u sąsiadów sławna;
W wolności wszystkie inne przodkująca państwa,
Miecz na karki pohańców, tarcza chrześcijaństwa!
O! niech taka powstanie, niechaj ze swej stopy
Otrząśnie na wpół zgnię błota Europy;
Niech te, któremi dzisiaj karmiona jedynie,
Wzgardę, nienawiść, podłość w jednej zbierze ślinie,
I stopą niech nadepcze znowu dzicz tatarską,
A śliną niechaj splunie na koronę carską!
I chcę, niech każde serce w każdym polskim łonie,
Jak przed wieki, odwagę i szczęściem rozplonie;
Niechaj prysną kajdany z Sybiru ostoi,
Niechaj tu wrócą zaraz wszyscy bracia moi,

I siły, i swobody, i wolności wszędzie...
A będzie świętość Twoja i cześć Tobie będzie!
Ja takiej chcę ojczyzny, takiej Polski! Panie!

Ale Duch Pański milczał na moje wołanie.

A więc znowu wołałam: Ojcze! któryś w niebie!
Tej ojczyzny, tej Polski! nie chcę ja dla siebie;
Dla mnie w ciemności mojej, niech będzie przekleństwo!
Mam cierpliwość na piekło! nie mam na męczestwo
Miljonowego ludu, mych współziomków, braci!
O Panie! spojrzaj na nich: ci, niegdyś bogaci
Przed ludźmi i przed sobą, a od tej godziny
Stali się jako światła tego omiecinu!
Pragną, łakną, i nadzy, i policzkowani,
I w tulactwie, i w trwogach, i w pracy znękani!
Robią swemi rękami, by obcy używał;
Płaczą łzami gorzkiemi, aby wróg wyśmiewał;
Cierpią rozdartem sercem, by inni tem śmieiej,
Za ostopą ich piersi w bezprawiaich szaleli!
Modlą się, żadna modła nie dochodzi Boga,
Tylko szpieg ją podsłucha, albo ucho wroga;
Czekają, każde jutro ich nadziejom kłamie.
Broń chwytają, broń każda w ich ręku się łamie;
Coraz cięższe upadki, z coraz cięższym znosem,
I coraz grubsza ciemność nad królestwem Twojem!
Czy nie słyszysz, o Panie! jak między pogany
Groźno wołają na iud Twój ukrzyżowany:
«A gdzie wasz Bóg, Polacy! gdzie jest wiara wasza?
Gdzie ta, co zdejmie z krzyża rękę Eliasza?»
To więc, Panie! jeżeli bracia się zachwieją,
Jeśli zwątpią, z ostatnią roztaną nadzieją,
I zaczną swoich nieszczęść jak hańby się wstydić,
I zaczną przeciw Tobie bluźnić, nienawidzić...
O, Panie! ja dla tego we łzach dzisiaj stoje
I wołam: Wróć mi Polskę! wróć ojczyznę moję!

A duch Pański rzekł znowu:

W tej, którą wybrałem
Ziemi dziedzictwa mego, zrodzić ci się dałem,
Ziemi klęsk i ucisków, bo to jest ta sama,
Co duchownie przedemną zwie się Chalcedonia;
Wielki smętarz pielgrzymów, wielka smutna owa,
Za trzydzieści srebrników rola garnarczowa...
Targ zdrajców, kupców, książąt, a cena krwi wielu,
Najsprawiedliwszych moich w nowym Izraelu!
Tę rolę już świat przeklął, bo nie może zrodzić
Żadnego plonu, coby umiał mu dogodzić...
Nie kwiatów dla roskoszy, ni dla mistrzów, sztuki.
Bez przemysłu, bez handlu, bez dzieł, bez nauki;
Bom wszystko co niej wypiełnić, z korzeniem wyrwałem,
Tak ją czystą dla ziarna mej siewby mieć chciałem.

A ziarno mojej siewby, to nie ziarno świata!
 To nie wielkość — największą moje tchnienie zniata.
 To nie nauka! Nauk dzisiejsze nasienie
 W tej roli wyda tylko dumę lub zwątpienie;
 To nie są nawet owe arcy-twory cudne,
 Pieszczoty wyobraźni, pociechy ułudne.
 Nie! na tej krwawej roli mistrzostwo jest tylko
 Grzechem obojętności, zapomnienia chwilką...
 Nie! ziarnem mojej siewby nie są nawet owi
 Synowie Chrobrych, zawsze miecz chwycić gotowi
 Ja żelaza nie siałem, wszystkie już zabrali
 Ci, którzy z niego wasze kajdany skowali.
 Ja na tej ziemi smutnej, na tej świętej ziemi,
 Tylko miłość zasiałem rękami mojemu.
 I tylko miłość w cnotę wyrosnąć tu może.
 A biada temu, który im porzuca zboże!
 Choćby krwią swą polewał, nie przyjmie go rola;
 Tylko miłość się zrodzi — taka moja wola!
 Tylko cnota się zrodzi; na inne staranie
 Jak ja wiecznym, tak ona bezpłodną zostanie.
 O! nigdy jej nie oddam pod obcą uprawę,
 Pod wymysły człowieka! Na bydlęcą strawę
 Nie oddam jej... Patrz tylko! patrz w którą chcesz stronę
 Temu ludzkiemu światu jakie niezmierzone
 Zakreśliłem granice! Co ładu, co morza,
 Co rzek, gór, dolin, co pustyni, bezdroża!
 Ogrom w stosunku do was. Tak! A przecie
 Na tym całym ogromie, na tym ludzkim świecie,
 Dla miłości i cnoty, już tylko ta jedna
 Na dzielnicę została wasza Polska biedna.
 Ja też z mojej własności, ja z mojej prawicy,
 O! nie dam sobie wyrzec tej świętej dzielnicy!
 W innych krajach wojują, myślą, piszą, przędą,
 Lecz jeśli Polskę stracę, to gdzie kochać będą?
 W innych krajach dostatek ksiąg, bisiorów, złota,
 Ale dla innych krajów zgład się weźmie cnota?...
 O! ja Polski nie oddam! Musi mi jej niwa
 Do śpichlerza ludzkości wydać swoje żniwa.
 Już dziś zbieram powoli męczeństwa cierpienia,
 Spokojnie przecierpiane, i serc uderzenia
 Kiedy nie z samolubstwa, z poświęcenia biją,
 I wszystkie, co przed okiem światowem się kryją
 Drobne, dobre uczynki, szczerze, prawe chęci!
 Każda łza miłosierdzia przedemną się święci,
 Każda zemsta od krzywdy braterskiej odjęta,
 Każda myśl, co o szczęściu bliźniego pamięta,
 Wzrostko — o czym wy sami wiedzieć nie możecie,
 Wszystko ciche, spokojne, bez rozgłosu w świecie,
 Wszystko czyste i święte, czy boleść, czy pracę,
 Wszystko zbieram, u siebie: niczego nie tracę!
 Chcesz wiedzieć, jak te kiedyś datki tak ubogie
 Rozdzielię wśród ludzkości na narody mnogie?

Jak pokoleniom ludów na użytek w duchu,
 Kiedyś rozdam po chleba waszego okrucu?...
 Chcesz wiedzieć?... Czekaj jeszcze.... Nie długo się czeka,
 Kiedy miarą czekania, miara dni człowieka!
 Trwanie czasu tak krótkie, zrażać nie powinno,
 A jeśli ciebie zraża, wybijerz ziemię inną!
 Wybraną oddam tobie!...

• I umilkł głos Pana,

A ja słuchałam jeszcze, drżąc, pomięszana,
 Niby spokojna w duchu, bez smutku, w pokorze,
 I w końcu rzekłam tylko.

«Innej nie chcę, Boże!»

Nie bez pożytku zatem była dla nas nasza łączność z zachodem; a przynajmniej, jakiekolwiek mogłoby być czyje w tym względzie zdanie, przyznać musi, że ta łączność i nauka ta sprawiły, żeśmy Polakami zostali. Ale jako nie naa świecie nie jest przypadkowym, ani dowolnym; jako każda pojedyncza istota ma jakąś przyczynę bytu swojego, tak temn bardziej wszelkie społeczeństwo ludzkie. Nie może ono istnieć bez przyczyny; musi owszem wpływać niezawisłe od wiedzy lub niewiedzy swojej na ogólne dobro człowieczeństwa. Teren wpływ, ten cel, ta racja bytu, jest powołaniem i posłannictwem narodów, a razem koniecznym warunkiem ich żywotota. Narody nie umierają, aż dopiero kiedy nie mogą, albo nie umieją dopełnić powołania i posłannictwa swego. A i że konanie narodów trwać może wieki, nieraz przeto widzimy w historii ogromne na pozór państwa marniejące widocznie, bezsilnie zużyte, choć jeszcze nie uрониły z materjalnych zasobów dawnej swej potęgi i siły; a to ztąd pochodzi, że się zaparły powołania swego i już nie mają przed sobą celu swego istnienia. Takimi są w naszych czasach Turcja i Austria, podobne do wielkich grzybów, zdrowych na okoo, wewnątrz spróchniałych, które nim się rozsypią, długo na miejscu butwieć muszą; chyba, że je kto nogą kopnie i wwywróci: A rzecz dziwna, że te słowa ostatnie jakby z dducha proroczego zapisane zostały wtenczas, kiedy obecne poldożenie Austrii i Turcji ani się śniło politykom naszym. Zaisstę, było to proroctwo w rodzaju Mochnackiego, kiedy pisał o polityce Moskwy w kwestji wschodniej, któremu podobież nikt z obcych nie wierzył, a które się jednak w lat dwaadzieścia potem co do joty spełniło.

Wpatrując się w dzieje i obyczaje nasze, dziwne uderzają zjawiska. Oto: u wszystkich innych narodów, gdzie instytucja jaka zstarzeje się i zużyje, nowa powstaje na jej miejscu; długo osłania się nazwiskiem i formami swej poprzedniczki — przykłady tego są liczne w starych i nowych czasach. Tak greckie rzeczypospolite przez długi czas słodziły sobie macedońską i rzymską niewolę ulicznym po staremu krzykiem i nazwiskami spełzłych instytucji, niemających już znaczenia; tak August i Tyberjusz łudzili Rzym republikańskimi formami, sztygąc z nich w duszy, i sam nawet Neron o rzeczypospolitej rozprawiał; tak Kromwel zachował formy i tytuł arystokracji angielskiej, które po nim znowu wrócić miały do dawnego znaczenia; tak na koniec i Napoleon, zostawszy cesarzem, jeszcze przez niejaki czas bił pieniądze z popieraniem swoim, a z napisem republiki.

My zaś przeciwnie najprzód przyswajamy sobie obce dla nas i czcze wyrazy oraz formy, a potem do nich jak na przekór naturze, naginamy swojskie obyczaje i pojęcia. Tak przejęliśmy nazwy monarchów i królów, nie mając prawdziwej królewskości, a urojone dziedzictwo dóbr i tronu, gdy jeszcze nie było żadnej własności dziedzicznej. Tak przed wzrostem Oligarchji, przed jej istnieniem nawet, zaczęliśmy zwać niektórych urzędników komesami i baronami; tak później oswoiwszy się z literaturą łacińską, wszystkośmy u siebie przezwali po rzymsku, przerabiając wkrótce i instytucje nasze na krój rzymski; tak na koniec w przeszłym wieku małpowanie przedrewolucyjnej francuszczyzny, zepsuło u nas obyczaje, i teraz jeszcze to szpetne naśladownictwo broi u nas nie mało, mącąc wszelkie zdrowe pojęcia o rodzinnych dziejach i o przeszłości.

Zebym w tem był, jak powinienem i jak chcę być pojęty, muszę tu przywieść słowa, które gdzieindziej, ale z tegoż powodu wypowiedzieć miałem sposobność.

Jest to już prawdą zaprzeczeniu nieulegającą, że kto dzisiaj chce zdać sprawę z pisarstwa jakiegokolwiek narodu, nie może go oglądać ze stanowiska, jakie temu lub owemu pisarzowi podobało się zająć, ale jakie zająć był winien. Ani sądzić i oceniać pisarza po woli lub swawoli jego, ale według obowiązku, jaki on w obec społeczeństwa, którego jest członkiem, przyjął na siebie, obierając zawód pisarski.

Zmieniły się czasy i obyczaje. Dawniej można było chwycić za pióro dla dogodzenia byle widzimisię swemu, pisać dla swej, albo czyjej zabawki; ale dzisiaj wszelki pisarz publiczny, a jest takim każdy, który pisma swoje drukiem ogłasza — podlega publicznemu swego społeczeństwa sądowi i tak przed nim jest odpowiedzialny, jak wszelki inny członek jego, za wszelki swój czyn publiczny. Już dziś owo sławne Szymonowicza: «Sobie śpiewam, nie komu», żadnemu z drukujących za wymówkę nie służy. I nic nie ma nad to prostszego.

Pisarz, jak wszelki inny członek społeczeństwa, winien nieść pożytek, nie szkodę. Pisarzowi więc, jak wszelkiemu innemu członkowi społeczeństwa, nie wolno być ani rozbójnikiem serca, ani rozumu społeczeńskiego, ani mienia jego grabieżą, ani sprawy jego zabójcą. Pisarza zatem, jak wszelkiego innego członka swego, ma prawo sądzić społeczeństwo. Kto takiemu nie chce uleść sądowi, ten nie ma prawa druku. Kto dla swojej tylko pisać rozrywki, ten pism swoich drukować nie powinien. Raz z druku wyszłe i w świat puszczone dzieło, jako czyn społeczeństwa dotykający, społeczeństwu ulegać musi sądowi. I nie znowu nad sąd taki nieie ma sprawiedliwszego. Pojedynczy sędziowie mylić albo uwodzić się mogą. Społeczeństwo jako zbiorowość, jest połączeniem wszystkich zdań i przekonań. Krytycy są tu jako wykładacze prawa przed sądem. Strony tłómaczą się przed nim z wszelką wolnością, społeczeństwo wydaje wyrok.

Te kilka wyrazów o pisarskiej krytyce w ogólności, wypowiadają od razu jasno i stanowczo myśl moją pod względem zapatrywania się na ogół literatury polskiej. Nie tyle mi idzie o przedstawienie, jaką była i jest ta literatura, ale jaką być powinna. Nie tylko o sprawozdanie, co kto pisał i jaak pisał nawet, ale czy to i tak pisać, był winien z obowiązku swego. Zamiar zda się za śmiały, stanowisko za podniosłe i niewłaściwe: tak wszakże może nie jest. Byłby zamiar takkim, gdybym osobistym moim sądem chciał przesądzać sąd społeczeństwa polskiego. Byłoby stanowisko takim, gdybym do pojedynczego zdania chciał naginać narodowe zdanie. Ale ja wychodząc z potrzeby narodowej, z jej stanowiska właśnie chcę oglądać literaturę naszą, li tylko na tej skali: potrzeby narodowej; jej uczuciem i pojęciem samegoż społeczeństwa.

czeństwa polskiego, chcę oznaczyć karb zasługi pisarzy polskich; a więc nie moje, ale narodowe przedstawić wymagalności oraz życzenia, i nie moje, ale narodowe wypowiedzieć zdanie. I nie masz w tem żadnej przesady, ani żadnego uprzedzenia. Trzeba tylko z gruntu poznać myśl tak pojętą.

A najprzód: co rozumieć należy w literaturze przez jej narodową potrzebę? Odpowiadam: Wybicie się narodu na literacką jego niepodległość, czyli rozbudzenie w nim własnej literackiej samodzielności. Jak przyjść do tego? Oto jest zagadnienie, do rozwiązania którego winny być skierowane wszystkie usiłności. A niechaj nikt nie przywiązuje do wyrażenia tego znaczenia czecznych form zewnętrznych.

Życie narodu ma wznioślejszy zakres. Jest to, jak powiada autor prawd żywotnych, samodzielne wyrabianie się narodowych myśli przez ścieranie się wszystkich jej form i odcieni. Tym sposobem myśl narodowa wykształca się na odpowiednią istotnym potrzebom narodu i wszelkim wymagalnościom postępu. Do tego potrzeba otwartego pola, na któremby wszystkie żywioły myśli swoją wypowiadać i sobie odpowiadać mogły.

Otóż pielgrzymstwo polskie z położenia swego innymi środkami, aniżeli kraj, dążyć musi do wielkich celów tego narodowego zadania.

Jedyna cząstka narodu, głos wolniejszy wznosić mogąca, a od kraju odcięta, ma wyłącznie sobie wskazane powołanie, kształcenia narodowej, duchowej potęgi, za którą materialna idzie. Wszystkie nasze dotąd usiłowania chybione, nie nie zostawiły nam w dziedzictwie, prócz nauki i doświadczenia. Tę do przyszłości stosować, jest naturalnym obowiązkiem pielgrzymstwa. Powinność zaś swoją czyni każdy w niem, kto sumiennie swoje opinie bez żadnych osobistych widoków przeprowadza i broni ich, nie oddając się szkodliwemu zobojętnieniu. Jakiegokolwiek one są, mylne czy trafne, zawsze sprawa powszechna zyskuje na ich rozwinięciu; bo zwykłą rzeczy kolejną błąd upadną, a prawda zostanie. Dzięki takim rozprawom, dodaje tenże autor, myśl ojczyzna już nie stoi nieruchoma, ale idzie, ale postępuje i nie objawia się już nam w stanie letargu i stagnacji, ale rzeczywistego życia i postępu. Dzięki pracom tym, Polska zdobywa stanowczo

zasady swojego bytu, do którego ślepo nie będzie już dążyć, obłądne jak przedtem stawiając kroki; jest już w stanie przyszłość swoją głęboko przemyślić i jako rzecz gotową, mającą przejść w rzeczywistość, przed sobą postawić. Jednem słowem: odbywa duchowe przekształcenie, odpowiednie dzisiejszym potrzebom, i na drodze rozumnej przeprowadza wewnątrz siebie przerodzenie, które ją uczyni silną i potężną.

Ido tego li powołania więc, do tego posłannictwa, stosować będę wszystkie narodowe literackie prace; i dla tego chwilę jeszcze uwagę szanownego zgromadzenia zatrzymać nad tym przedmiotem muszę.

Przez długie czasy krytyka polska w bardzo zacieśnionych mieściła się szrankach. Dostyc jest przywieść do pamięci doktryny z czasów Jezuitów i akademji krakowskiej, oraz późniejsze Potockiego, Osńskiego i Dmochowskiego, aby sobie stworzyć obraz najgodniejszy politowania. Błąd pochodził z mylnego założenia: że każdemu biorącemu krytyczne pióro do ręki, wolno sądzić i wyrokować według jego osobistej woli, fantazji i upodobania — i to nie o treści, nie o duchu, nie o myśli wewnętrznej utworu, lecz o jego powłoce, sukni, czyli zewnętrznej, obojętnej formie. Pierwszy Mochrhacki podniósł wprost przeciwne tamtych zasady, w to usilność swą całą kładąc: jakby zbadać ducha i przeniknąć do istoty polskiego narodu w ojczyznej literaturze.

WV ostatnich czasach powołanie pisarzy i stanowisko krytyki lepiej wyjaśniły się jeszcze.

Gdziekolwiek jest życie narodu niepozorne, nie skupione we władzach, lub pewnej części ludności, mówi jeden z pisarzy, już inaczej w przyszłość wybiegających, ale robiące wszystkimi sercami jej ogółu; gdzie przeto jest życie, co się zowie publiczne, tam literatura, aby odpowiadała potrzebom i narodu, rozwijała go wiernie swem zwierciadłem, dopełniła sumiennie swojego powołania i dostąpiła zaszczytu narodowej literatury, musi żyć w sferze publicznej, czyli musi być w najważniejszej publicznej części potrzebom narodowym odpowiedniej. Ta cecha publiczności, ten kierunek, objawiają się bardzo wyraźnie w społecznej polskiej literaturze. Dzisiaj jak pisarzom, jak i czytelnikom, chodzi już nie o samą tylko sztukę, nie o świat oderwany od ziemskiego

żywota, nie o rozrywki czysto umysłowe, ale o życie rzeczywiste, o zasadę i pewność życia tego. Tak artyści, jak czytelnicy, są dzisiaj przedewszystkiem: Polakami. Ten stan literatury wytyka drogę polskiej krytyce i wywołuje zarazem konieczność jej kapłaństwa. Bo czyż sposób, aby ta masa czytających równie jak pojedynczy pisarze, jakkolwiek zaprzatnieni jedną wspólną myślą, nie wybiegli czasem, bądź jedni, bądź drudzy, z kolei narodowej, szli zawsze obok siebie w zupełnem rozumieniu się, w jednakowym widzeniu ogólnego celu, a niekiedy z równie czystymi dla ogółu chęćmi, ze wszelkiem wyrzeczeniem się osobistych swych widzeń, wyłącznych uprzedzeń indywidualnych nałogów. Niekiedy masa może być za niesforna, a pisarz za dumny. Innym razem masa popchnięta za nadto zapałem ku nowości, pomknie się dalej, niżby należało, tak jak pisarz rozmiłowany w starych cackach, więcej niż one warte, chciałby czasem dla nich cały ogół z drogi zwrócić. Czasem znowu wypredzi zuchwale swój naród, gdy ten przeciwnie, w płonem przywidzeniu jakiejś zawady, stanie w miejscu i ruszyć nie chce. Może nawet wystąpić pojedynczy umysł, z krótkiem co do ogólnego celu widzeniem, ale z dostatecznym zapasem zdolności, aby pochwycić masę w chwili jej roztargnienia i z bitej drogi sprowadzić ją na swoją ścieżkę.

Wszystko to może być w życiu narodów, może się także przytrafić i w naszym obecnym położeniu, a następnie mącić pojęcia i niweczyć usiłowania, przedłużać bolesne przesilenie. Potrzeba więc siły pośredniej między pisarzami a czytelnikami, która by zaradzała niedogodnościom, jakie z ich nieporozumień wynikać mogą. Taką siłą krytyka jest właśnie. Krytyka nie jest wyłącznie ani wyrazem ogółu czytających, ani stronnikiem pisarzy. Jej stanowisko całkiem bezstronne, niepodległe, wyższe niejako. Tem stanowiskiem jest duchowy pierwiastek narodu, główny pomysł rozwijający jego życie, stosownie do rozmaitych położen w czasie i po środku okoliczności. Z tego stanowiska duch krytyki winien obejmować całą drogę narodu, od jej poczęcia się w przeszłości, aż do ostatnich w przyszłość kończyn. Jej oko winno się rozpatrywać we wszystkich szczegółach społecznego wieku i okoliczności działających na naród. Jej głos na koniec winien prostować pojęcia tak czytelników jak pisarzy.

Czytelnikom odkrywać istotę pisarza, jego widoki i dążenia; pisarzom przedstawiać potrzeby narodu. Obie strony utrzymywać we wzajemnej znajomości, zbliżać ku sobie, kojarzyć głównym narodowym interesem, wskazywać najwłaściwszą drogę do wspólnego celu tak jednym, jak drugim; krótko mówiąc, krytyka winna być tem dla literatury, czem jest sumienie dla człowieka.

Takiemu powołaniu, aby odpowiedziała narodowa krytyka, musi wszystko oglądać i oceniać ze stanowiska narodowej potrzeby. A więc wszelki czyn, wszelki pojaw na polu literatury narodowej, mierzyć na skali płynących zeń dla narodu korzyści. Wszystko, co nie przystaje do karbów tak zaznakowanej skali, odpada od uwagi tak pojętej krytyki, jak odpadają w przewiewaniu plewy od zboża, którego pojedyncze znow ziarna dzielą się i układają na warstwy, według wewnętrznego ich wagomiaru. Jako zaś najwłaściwsze, czyli najodpowiedniejsze potrzeby narodowej pochwylenie myśli, jest jednym z najważniejszych pożytków utworu, tak znowu ujęcie jej w najstosowniejszą formę, czyli obleczenie najwłaściwszym jej kształtem jest miarą umysłowej potęgi Twórcy. To raz przyjęte w odniesieniu do całości literatury, daje przeciągającą się w nieskończoność drabinę, spodem zanurzoną w zamęcie, na szczybach której od zenitu do nadyru sadowią się według zasługi najpośledniejsze aż do najpotężniejszych pisarskich genjusze. Wszystko co na pierwszy od podnoża nie wdarło się stopień, przeznaczone na obojętność. Wszystko, co ku szczytowi na wyższy postąpiło szczebel, podniesieniem swem stosunkowem karbuje się na skałi pamięci i wiecznego błogosławieństwa pokoleń.

To pojęcie stopniowania, gdyby było w myśli pisarza przed puszczeniem w świat tworu jego, powszechność byłaby wyzwoloną od niepotrzebnych napaści, a pisarz od zawodu, nieraz drogo i mozolnie okupionego. Z zamiarem nawet rozmyślowym bawienia publiczności, nie ma się rzecz inaczey, chociaż nagroda trudu i zachodu sprowadza się tym razem do poklasku próżniaka, wypłacającego się tym sposobem pisarzowi jakoby za zabawkę. Cóż dopiero, kiedy społeczność, której Twórca jest członkiem i dla której swój twór przeznaczył, jest czynna i działająca, pełna nadziei i wwiary, zapалу i poświęcenia, czucia i wiedzy, woli i posta-

nowienia. Taka społeczność zaiste nie potrzebuje zabawek do rozrywania się w nudach swoich, bo najdolegliwszym dla niej nudem jest owo właśnie przeciąganie jej nieczynności; ale żąda pożytku, i każdego, kto się jej z swym utworem przedstawia, na tej skali odmierza. Dzisiejsze społeczeństwo polskie jest bez wszelkiego zaprzeczenia w takim zakresie wymagalności, i to tak ogólnie, że wyjątki, jakieby się nasunąć mogły, stanęłyby ku przyznaniu prawidła: *nihil sine exceptione*. «Wszystko, na co patrzmy, co nas z bliska lub z daleka, pośrednio lub bezpośrednio dotyczy, zbiega się ku świadectwu temu i nie tylko ze strony samej dzisiejszej społeczności, ale i przedsięwzięć, twory swoje pod rozwagę jej składających. To wzajemne poczucie się jednej strony i drugiej, jako niewątpliwe już zaręczenie zespolenie myśli w jednym ognisku i krążenia jej przezeń po całym nastroju społeczeństwa, jako jest krążenie krwi przez serce człowieka, zabezpiecza główne warunki narodowej żywotności; bo czem jest krew w organizmie człowieka, tem jest myśl w społeczeństwie.»

Obaczmy, jak to ważne spostrzeżenie rozważa w porównaniu Mochnacki:

«Zdaje się, mówi on, że natura w każdym człowieku wznawia i niejako powtarza proces powszechnej formacji wszystkich dzieł swoich, przebiegając przez stopnie i wschody pośrednie, tę samą drogę od początku ku końcowi. Tryb postępowania jednaki: toż w przyrodzeniu, toż w człowieku, toż w historii...

«Człowiek rodzi się, nie wiedząc tego. Przez długi czas żyje w niemowlęctwie — zamknięty, ograniczony jak monada, z której nie ani na zewnątrz wyjść, ani wewnątrz do niej przeniknąć nie może. Wszystkie władze, zdolności, rozumienia, idee, drzemia uspięne w zarodku. Ciche, biernie życie, najpodobniejsze wegetacji...

«Patrzmy się na dzieci, nie nie wiedzące o sobie, kiedy jeszcze żadna podnieta zatajonej iskry w nich nie roznieciła i żadna refleksja nie wniosła: rozerwania, niepokoju do ich niewinnego, błogiego jestestwa. Czyż wtenczas nie są na kształt roślin, albo drzew, których obraz w wodzie się maluje? Enigmatyczne, dziwne stworzenia! Przedmioty na okolo siebie w zamieszaniu, w wątpliwem postrzegają świetle.

Rozliczne, coraz nowe wrażenia płaczą się, wikłają w ich duszy. Bojaźń, nadzieja, prędko, silnie ich zajmą. Dla tego cichwieją się wśród mienionych coraz kształtów, postaci, obrazów. Ułuda, omamienie, pusta wesołość, strach i smutek, będą się, niecone lada fraszką i znowu wracają w tej porze ufności i szczęścia...

I to jest, coby nazwać można: przedświtem, chwilą ku uznaniu siebie w swoim jestestwie. Bezwiedne spólistnienie we wszech rzeczy i istnieniu. Harmonja światów Platona. Życie bezmyślne i bezwładne. Bez wiedzy i bez sądu. Bez pojęcia i bez uczucia. Stan roślinny, czątek, kielek na życie.

«Gdy dzieci zaczynają własnej mocy doświadczać, ciągnie dalej Mochnacki, wtenczas przechodzą drugą kolej bytu, a tej obdopodobnią moglibyśmy znaleźć w dziele zwierząt.

«Tu jeszcze rządzą się naśladowstwem, za przykładem starych, czyniąc, co starsi czynią. Niedługo potem dają słabe oznaki wyższego pojęcia, następnie coraz jawniejsze, dobitniejsze.

«Wreszcie duch zaczyna się wyrażać na ciele. Z dziecinnych wyrasta młodzieniec, swawolny, bujny — potętem nieukrócony, burzliwy, namiętny i tkliwy — pełen uniesień.»

To podług mnie pierwszy okres: rzeczywistego uznania się człowieka w swoim jestestwie, przez poczucie się w samym sobie. Czas tworzydeł i fantazji — wiary i uniesień — smutku i melancholji — uczuć i natchnień. Wysoka poezja człowieka! Mrok w blasku pośpym i łagodnym świetle księżycu. Sen zwierciadlany — prawdziwa romantyczność. Rzeczywista epoka życia serca, za którą wzdychając, Bohdan Zaleski woła:

Świeć się, świeć się! wieku młody!
Śnie na kwiatkach! śnie mój złoty!
Ideale wiary, cnoty!
I miłości i swobody!

«Ale oto młodzieniec mężnieje — i myśl się jego na zewnątrz wydiera z boleścią, jako się dziecięce zęby z boleścią wyrzynają... Cóż sprawuje tę zmianę? Oto obwarowana

dotąd, nierozdzierzgniona, nierozszczepiona monada rozwierać się zaczyna... Młodzieniec jest osobą, jest jej szczegółem, indywidualną istotą. Ja!... Jest sobą samym. Człowiekiem wiedzającym siebie, myśl swoją i wolę swoją. Postrzega, gdzie jest, po co? na co? i co go otacza? Pierwszy wszystkich nauk i doświadczenia początek. Teraz dopiero bada, rozumuje, dzieli, łączy, mierzy, waży, obserwuje, jest istotą dumającą, refleksyjną, rozumną.»

To drugi okres: rzeczywistego uznania człowieka w oddzielnym jego jestestwie pojęcia siebie w sobie. Czas widzenia i światła.

Wiek wewnątrz obróconej źrenicy, widzenia okiem ducha. Praca na plon. Lato żywota. Rzeczywista epoka pracy rozumu.

«Ta jest wielka jestestwa naszego tajemnica. Cóż go do tam zaszczyca po tylu wiekach obłędnej kolei? Co w nim najpiękniejszego? Oto chęć wyjścia tą samą promienną myślą z ciasnego koła, z okresu jednostki, egoizmu, samolubstwa, chęć rozszerzenia się, rozprzestrzenienia miłością płomienistą, wszystko obejmującą od końca do końca, we wszech społecznym jestestwie, w nierozdzielnej natury porządku — w tej harmonii, tej cudotwornej tonice jej całości...»

I to jest trzeci i ostatni okres życia rzeczywistego człowieka; uznania siebie w sobie przez życie we wszechżyciu. Wiek postanowienia i woli. Owoce kwiatów. Plon lata. Jesień żywota. Rzeczywista epoka czynu.

«Owoż początek, następstwo, treść, szyk i koniec dziejów rodu ludzkiego. Toż samo bowiem słowo w słowo ziściło się w historii wszystkich ludów, co się w każdym człowieku przez wznowienie tej samej przyrodzonej kolei codziennie przed naszymi oczyma. Atoli nie wszyscy ludzie kolej tej przechodzą. Niektórzy zastanowiwszy się na wpół kresu, trwają do ostatka w niemowlęctwie złe rozwiklanej myśli. To się i z całymi dzieje narodami...» «Jest rdza, jako się wyraża Mochnacki, która pożera wszystko — nawet blask dawniejszej wielkości i piękności... Są uroki, co niemoc zadają oczom naszym, że jak oczy swoje zwrócić przeciwko słońcu, nic nie widzą w przeszłości, oprócz tej wypłowiałej szaty, jaką dzisiaj nosimy. I toż jednak prawda, zapisana

jasneimi i bardzo czytelnymi literami w naszym sercu: że kiedyś inszyimi byliśmy.»

T Toż więc, żeby naród jaki, raz uległszy nieszczęściem upadłkowi, poczuł się w sile swojej wyjść z bezwładności, uznać się w swym jestestwie i żyć na nowo, trzeba uczucie jego rozbudzić, trzeba serce jego jak w człowieku poruszyć, trzeba mu przedewszystkiem mówić do serca.

O Obudzone i poruszone serce daje przystęp idei, którą następnie rozum ogląda, roztrząsa i ocenia. Lecz nim nowa idea i narodem jak człowiekiem zawładnie, musi sobie zrobić w nim miejsce, usunąć zeń dawne nałogi i przesady, znieść przeciwnie myśli i widzenia, których tem trudniej się pozbyć, im dłużej gościły; musi stoczyć walkę ze starą ideą i wyjść z niej zwyciężko. A gdy to zwycięstwo już nastąpiło, nie dosyć jeszcze prostej formuły, potrzeba jej sankcji i przyznania rozumu.

W Wtedy dopiero i na koniec to, co serce poczuło, a rozum za dobre i zbawienne osądził, siłą woli w czyn przeprowadzić.

O Owoż dla czego musiała nadejść chwila, w której ani największy dowcip Satyr i Bajek Krasickiego, ani najgładsze tłumaczenie Gesnerowych Sielanek Naruszewicza, ani nawet najsłodsza kliwość i najszczerze nabożeństwo lutni Karpińskiego, już nie wystarczały. Klasycyzm upadł samem prawem pochodzenia, to jest postępu, który się wtenczas pod imieniem «romantyczny» rozwijał.

Jest to zjawisko godne uważania, ta u nas zaciętość walki i klasycyzmu z romantycznością. Gdzieindziej odbyła się ona cicho, spokojnie, na polu literackim, między samymi uczonymi, czyli literatami tylko; w Polsce cała ludność czytająca a wystąpiła do boju, wzięła udział we walce. Rzeczy można, że naród polski przeczuwał, iż pod temi zwierzchniemi znakami i leżało w gruncie oburzenie, i to nie przeciwko samej obojętności literackiej, ale przeciw wszelkiemu wewnętrznemu zepsuciu i zewnętrznej przewadze, przeciw wszystkim błędom, złym i nałogom i uprzedzeniom, siłą ucisku wspartym, lub powagą wieków uprzywilejowanym; że pod godłem i imieniem romantyczności podejmował naród wyzwoleń się swoje.»

«Rzecz mała, obojętna, bagatela pisarska, powiada Mochnacki, wojna papierowa, na pióra, krwią kalamarzową, a jednak wszystkie zajęła umysły i całą Polskę od jednego do drugiego końca przebiegła. A jednak od czasów kłótni Orzechowskiego ze Stankarem i Modrzewskim, żaden rozterek piśmienny w Polsce nie był tak głośnym, żaden przedmiot tyle piór nie zaprzął, żadna waśń takiej wrzawy nie wywołała.»

Tą wojną papierową, tą kampanją klasyczno-romantyczną wykupywała się Polska w Europę XIX. wieku, w Europę postępową, uznającą się, myślącą, radzącą, dysputującą. Taką zaś dźwignią siłę, taką moc nieukróconą miała owa dysputa, że i ci, co żadnego wyobrażenia nie mieli o klasyczności, ni o romantyczności, chcieli jednak należeć i w samej rzeczy należeli do tej lub tamtej koterji literackiej. Więcej jeszcze, nie tylko należeli przyjęciem stanowiska jednego z dwóch stronnictw, ale wielokroć zdarzało się, że pisali, choć tego o czem pisali, sami nie rozumieli. Pisali źle, nie obeznawszy się pierwiej z rzeczą — to prawda; ale jednak pisali, rozprawiali, myśleli, czyli innemi słowy: uczyli się i myśleć i pisać i rozprawiać. Błyszczała ta nowość oczom młodzieży polskiej tak nadobnie w dali, że tym razem ani rady, ani upominające przestrzeżenia, ani nauka pomiaru, nie włożyły na nią żadnego przymuszenia. W tym dziale narodu, zamakającym najpiękniejsze jego nadzieje, przyklaskiwano nowej muzie, co nie wiedząc zkąd i nie wiedząc z jakiego zrządzenia, liczne, wspaniałe dary na około siebie rozdawać zaczęła: to temu, to owemu, według swego upodobania. Smutna, żałosna, polubiła te ustronia nad Wisłą, Wilją i Dnieprem, i nasz ostry klimat i nasze niebo pochmurne. W szacie okazała się białej, a nikt nie wiedział, co to za zjawisko? Nociła różne pieśni, i górne i gminne, na wysoką nutę i niską, pierwsze westchnienia swoje mieszając jakby z zarannego wiatru powiewem. Młodzieńcze uniesienia wspaniała jej cześć wymierzali; w poważniejszym kole wzruszano ramionami. Tu doznala albo niegościnnego przyjęcia, albo publicznej wzdardy. Każdy wiek ceniał ludzkie podług przeciwnych, wojujących ze sobą ostateczności, lubo zresztą przyznać trzeba, że i to, co się w środku między nimi dzieje, godne także uważania, jeżeli nie pamięci.

Zkądże ten rozterek, ta waśń, ta wrzawa? Otóż ztąd, odpowiada Mochnacki, że wedle wyrazów mędrca: chromy jajako jelen poskoczył i rozwiązał się język niemych. Rozcichwiała się dawna nauka, stare zdanie upadło! Spojrzeliśmy zaza siebie, na wiek upłyniony, ku dalszym jeszcze czasom. A kiedy jedno przymierzaliśmy z drugim, postrzegliśmy, że ninie było zgody między przeszłością daleką, potężną, rycerską, a tym wiekiem naszym. Jedno z drugim nie rymowało — mieliśmy boleść na sercu. Raziły przeciwieństwa jeszcze jak na dłoni. Zniknęła Polska! Ta jest główna wszystkich niesnask przyczyna. Pogasły były stare tradycje, pocichły wieści i powiastki, tak potrzebne każdemu ludowi. Roztroił się, nawet roztraskał na kawałki stary ów dźwięczny bardon, na którym niegdyś chwalono Boga w kościele, lub walecznych w boju. Zaszły także rdzą dawne pamiątki. A tymczasem nic kłębka dziejów ledwie do połowy wyciągnięta, co chwila to zrywała się, to gmatwała; wreszcie i wątki nie stało. Wszystko się jak ze szwu rozpuło. Dopiero przetarłszy oczy, przyszliśmy do siebie. Dopiero w myśl nam wpadło, że może przez długi czas nie w swoim przebywaliśmy jestestwie, tuląc do łona i piastując jakby umarmie dziecko umarłej imaginacji. Zapal owionął głowy. Były to początki narodowej emancypacji z pod przymusu cudzych pojęć. W to ugodził Kazimierz Brodziński. On pierwszy zrobił w literaturze krok stanowczy — krok obłbrzymi: bo od dowcipu do myśli, od sentymentalności do uczucia, od sztuki do natury. Pierwszy przeczuwał poezję narodową i we własne ją serce wszczepił. On to sprawił, żeśmy zapragnęli mieć swoją imaginację, swój rozsądek i swoje uczucie. W tem istotna przyczyna, w tem główna poćdniecia sporu, który ówczesną Polskę na dwa rozerwał stronnictwa. Czegóż chcieli romantycy na ziemi Bolesława Chmrorego? Ojczystej poezji! Związku z dawniejszą Polską i z rozumem starego czasu. Nie mieli tego u siebie za rzecz dołobłą i piękną, że wiarą poczywch oćwóć lńiły w literaturze poetyckiej samowolne pieśni jakby całopalenia, ze czcicią tylko bożków marmurowego politeizmu, nie przypadającego do miary z cywilizacją i duchem chrześciańskiej Europy. Chcieli oni zapewne większej ze wspomnieniami zgody, mniemając, że groby i rumowiska do życia należą

i jakoby samo zniszczenie było atomem jednym z pierwiastków rzeczywistości. Pokochali wyobrażenia i fantazje gminu, dla tego, że w prostocie serca najwięcej poetyckiej prawdy i szczeroty. Oni to chcieli obraz malarski roztrąconego jestestwa w zwierciadlanem pokazać przezroczu, żeby myśl prędką jak widzenie, a chęć dobrą, ognistą, jak płomień wzniecił, rozpalik. Nabijali romantycey w ucho ziomkom swoim, że przeminął czas, kiedy u nas pisano wiersze na cześć przedmiotów czci niewartych. Do górnieszego wzniesli się lotu! Ten gdzieindziej zmierzał — do wyższych dźwięków, do wspanialszych tonów, do piękniejszych akordów naciągnęli strunę. Zadrżała w ich rękę, zagrzmiała! Żalosne i tęskne było ich pienie, na kształt dumań samotnika, co po długiej niebytności z burzy świata, z rozdartem sercem wraca do domu, nieznan, ledwie spozstrzeżony; a choć gada swoim o swoich rzeczach, nikt go jednak nie rozumie.

Wzniosła była myśl nowatorów i szlachetne ich chęci, ale nie spali jej nieprzyjaciele. Dostę jest przypomnieć owoczesny stan oświecenia publicznego, żeby pojąć trudności i zawiady, z jakimi nowej idei walczyć przychodziło.

Szaniawski, filozof i cenzor, był nadzwyczajnym w ocieśnianiu owoczesnej młodzieży. Czego sam pojąć i dokonać nie mógł, to pojął i dokonał Grabowski albo Nowosiłców. Szaniawski, obskurant z wysokiej, abstrakcyjnej teorii filozoficznej; Grabowski, faryzeusz i bigot przez wychowanie; Nowosiłców, wróg Polski i wszystkich co polskie, ateusz i materialista z przekonania, przedajny jak wszyscy urzędnicy moskiewscy, w gruncie serca człowiek najniemoralniejszy. Otóż trójca, w ręce której złożonem było kierownictwo edukacji publicznej w Królestwie Kongresowem.

Nie lepiej było w Litwie i gdzieindziej. Nowosiłców, objąwszy kuratorję szkół we wszystkich prowincjach polskich, przez Moskwę najechanych, na rektora uniwersytetu wileńskiego pasował Pelikana, człowieka bez rozumu i serca, który nawet stał się ślepe m narzędziem kuratora do wszystkich jego kabał, nieprawości, zdzierstwa i niecności. Żeby zatamować oświatę, wyosobniono nieszlachetę ze szkół wyższych. Ograniczano w wykładzie język polski. Oddalono z uniwersytetu najlepszych i kochanych od młodzieży profe-

sów, jak Lelewela i innych mu podobnych. Szkolne urzędy powierzano ludziom niezdolnym, wysłużonym oficerom moskiewskim, faworytom, lub więcej za katedrę płacącym. PiPrzepisano księgi elementarne, niedostateczne, albo wręcz niedostępne młodocianemu pojęciu. Zabiegi publicznego otobskurantyzmu rozciągniono i do domów obywatelskich. Żaden prywatny nauczyciel nie mógł przyjąć obowiązku bez patentu Pelikańskiego, a patenta udzielane były samym tylko słuźalcóm Moskwy, albo przedawano niegodnym spekulantom. Przymtem najostrejsza cenzura tłumiała myśl w samym zarodku. Nic narodowego, nic, coby Polskę w Wilnie przypominało. Ponawiane zakazy sprowadzania dzieł z zagranicy, i oświecenią klasę ludności i uniwersytety odcięły od całej myślącej i piszącej Europy.

Wychowanie w Galicji było prawie podobne, z tą różnicą tylko, że co Moskwa przeprowadzała przemocą, do tego Austrja dochodziła obłudą i chytrąścią. Moskwa zamykała szkoły oraz uniwersytety i tamowała nawet wstęp do istniejących. Austrja przeciwnie otwierała je dla wszystkich. Przyczyna tego prosta. Podług Austrji duch ludzki trudniej traaci swą rodzinną potęgę, kiedy jest zostawiony samemu sobie, czyli bez uprawy, albo swojej woli, samopas i samorosst, aniżeli kiedy się go troskliwie, porządnie i systematycznie przytłumia, tępi, krzywi, czyli gorliwą i bezprzerwaną wkłada się w to usilność: jakby go zrobić ślepy m, głuchym, niezmym, nieczułym, niewiednym, chromym, jednym słowem kaleką. Bo zaiste, powiedziała sobie raz na zawsze Austrja, jeżeli przez pocziwą usilność i pracę można uczynić człowieka oświeconym i mądrym, dla czegożby przez przeciwnie tamnym, starannie i systematycznie prowadzone zabiegi nie można go było ocieśnić?

I owszem, nieuk z braku środków oświaty może się jeszcze przy zdarzonej okoliczności oświecić, ale na nieuka z usilności i pracy, czyli z wymżenia, nie ma rady, ani ratunku.

I Można ujeździć konia surowego, niesiadanego jeszcze, ale ze z znarowionym najczęściej trud i koszt daremny. To też rzeczc najzupełniej prawdziwa, że im który z młodzieży, wychodzącej ze szkoły austrjackiej, wyniósł był lepsze świadectwa

pilności i nauki, czyli lepiej się w szkole uczył, tem ciemniejszy był, bo pilnie ociemniania się uczył. I nie mogło tam być inaczej, gdzie za kardynalną oświecenia publicznego podstawę przyjęto postanowienie cesarskie:

«Nie chcę poddanych rozumnych, ale posłusznych.» Dodajmy do tego, że 16 lat, od 8. roku życia młodzieńca przeznaczono na jego ociemnianie, a więc 24 lat całych! Lat najpierwszych, najpiękniejszych, jedynych, giętkich, lepkich, woskowych.

Uderzony tą systematycznością obskurantyzmu, Maroncelli woła: «Akademje austriackie to istne zagrody czarownicy Cyrce austriackiej, a młodzież się zdaje, że wychodząc ztamtąd, wychodzi wprost z Olimpu i piękna jak Apollo.» Zbytecznem byłoby dowodzić, że od czasu przyzwania do Galicji Jezuitów, to okropne ociemnianie jeszcze systematycznijszem się stało. Zręczni, układni, schlebniący, umieli pod zasłoną religii i nabożeństwa przeprowadzić najniecieńsze zamiary władzy, która im w zamian nie szczędziła opieki i pomocy ku ich osobistym, zawsze przeciw-chrześcijańskim i przeciw narodowym robotom.

Prusy stanęły w środku. Wierne dwustronnej polityce swojej, oba systemata u siebie skombinowały. Moskwa uciśkała szkoły i uniwersytety, Austria urządziła je obskurantycznie, w Polsce więc zagrąbionej przez Prusaków nie było żadnego uniwersytetu. «Po co ja mam Polaków ociemniać w Poznaniu, mówił sobie król pruski, niech się ociemniają w Berlinie, albo w Hali, gdzie im ani ojciec ani matka, ani brat, ani przyjaciel, ani słońce, ani Pan Bóg polski, ociemniać się nie przeszkadza.» I tylko się dziwił i gniewał, oraz sobie wytłómaczyć nie mógł król pruski, dla czego jego Polacy Wielkiego Księstwa Poznańskiego Prusakami być nie chcą, kiedy on to sobie ma za największy zaszczyt.

W takim *status quo* publicznego wychowania zastała Polskę wielka idea, którą romantycznością zwano. Młodzież ją polubiła i z zapalem rzuciła się za nią. Ale początki zawsze są tak trudne, jak ostateczności stykają się ze sobą. Złe za nadto było powszechne i systematyczne, za nadto długo bródziło w sercu i głowie, żeby snadnie ustąpić mogło. Biła się więc nowa idea, jak o wiosnie łódka pomiędzy

krami rzeki, więzy lodowe zrywającej, aż porwana, skołatana, spaść mogła z jednej ostateczności w drugą; z materializmu w mistycyzm, w dziedzinę snów i marzeń bez przeszerzeni miary i czasu. Nie po myśli ojczystej była ta rozpaczliwa wędrówka, odwodząca postrzegającego się młodzieńca od praktyczności. Pograżać go w materialnym obskurantyzmie albo mistycyzmie, było prawie jedno i toż samo w skutku.

Od Rzymian tedy i Francuzów, od rzymskich pasterek i kurtyzanek francuzkich, przechodziło nowe pokolenie polskie do Wilkołaków, upiorów, djabłów i czarownic; od Florynd i Klorynd, w cieniach gajów, pod mrużącymi strumykami, rokosznie rozłożonych, od rozpustnych swawolnic Paryża i Wersalu, do rybek, motylków i robaczek, do Rusalek i Świtezianek, które ziemi stopami tknąć nie mogły, albo do martwic i czarownic, tylko z upiorami po smętach i grobach tańczących.

Mistyczny Mickiewicza geniusz przodkował tej czarodziej-skiej szkole i niesłychanym sposobem ciągnął roje naśladowców za sobą. Nie mogłeś otworzyć książki, żebyś się nie spotkał z trupami, djablami, lub duchami:

Raz trup po drodze bez głowy się toczy,
To znowu głowa bez ciała;
Roztwiera gębę i wytrzeszcza oczy,
W gębę i w oczach żar pała.
Albo wilk biegnie — pragniesz go odegnąć,
Aż orłem skrzydłem wilk macha.
Dość: zgiń — przepadnij! wyrzec i przeżegnać,
Wilk zniknie, wrzeszcząc: cha! cha! cha!

Ledwoś odetchnął:

Aż straszna martwica
Wypływa z blizkiej wód toni,
Białe jej szaty, jak śnieg białe lica,
Ognisty wieniec na skroni!
Skinęła tylko, widać radość z oczek,
Mieni się w parę ciemniuchną;
Ginie, jak ginie bladaś obłoczek,
Kiedy zeiry nań dmuchną.

A teraz:

Chodź tu malcze pod kantorek!
 Nachyl się i przyłóż uszko.
 Aha! słyszysz jak kołata?
 Jak zegarek pod poduszką:
 Tak, tak, tatek; tak, tak, tatek,
 Mały robaczek kołatek —
 A niegdyś był to człowiek.

Bóg wie znowu, co by dalej się stało? Dokądby tą kabaletką wiedziony umysł polski był zaszedł, gdyby Malczewski, Zaleski i Goszczyński, wszyscy trzej także poetycznym talentem znakomici i jak Mickiewicz starej szkole przeciwni, nie byli wystąpili. Malczewski w Marji, Goszczyński w Zamku kaniowskim, Zaleski w Dumach i dumkach, wszyscy trzej naraz widomie okazują: że nie w Szekspirze i nie w Bajronie, i nie w Gietym, ani w Szylerze, ale we własnej polskiej myśli, ale we własnej polskiej duszy i polskiem sercu, ale we własnych narodowych dziejach, pisarze polscy przedmiotów i wzorów dla siebie szukać mają. Nie błądzić po Anglii i Niemczech, po Aluztach i Krymie, ani też latać po księżycu i po nadpowietrznych wieszać się krainach, ale na swoim własnym, narodowym sadowić się gruncie; nie mamidlami, cieniami i duchami, ale żywem, rzeczywistem, narodowem zasilac się jestestwem, jeżeli szczerze swej ojczyźnie usłużyć pragną.

Jest to właściwe wszystkiemu, co świeże i młode, że snadno lgnąć do nowości, nieraz w swym pośpiechu za nią, minie się z rozważą i niepostrzeżone, a samo nie mogące się postrzedz, jeżeli nowość złą była, w złem zatwardzieje na długo, a czasem na zawsze. Ale jest także wieku młodego własnością uczucie czyste, szlachetne, pojęcie łatwe, bystre, które, byle dobro zakrytem nie było, pewnie w wyborze wahać się nie dozwoli. Młody umysł i serce zawsze pochopniejsze ku dobremu jak złemu. Młodzież polska przeto z zapalem powitała posłów, poczuwających się samodzielnie; czego starowiercy w żaden sposób pojąć nie mogli, to ona zrozumiała, lub odgadła od razu. Wprawdzie Goszczyński nie zrywa ostatecznie z krukami, ani z Rusalkami Zaleski; ale obaj porówny z Malczewskim czują: że Polakami zrodzeni, przedewszystkiem ziemię swą, Polskę, po polsku,

na polski sposób, na polską nutę opiewać winni. Ich młoda, poetycka literatura, jednym oto żartkiem skokiem daleką przestrzeń ubiegła, jak Alcyd, dławiąc smoka w kolebce.

Tu zaczyna się prawdziwie nowa epoka literatury polskiej; bo choć Niemcewicz, Woroniewicz i Brodziński wprowadzali ją od czasu do czasu na drogę właściwszą jej samodzielności, te ich wszakże szlachetne zabiegi i usiłowania nikły w tłumie robót szkolarskich i naśladowniczych. Malczewski pierwszy podniósł do ideału prawdziwą historyczną postać. On pierwszy, jak powiada Mochnacki, szatę polskiego szlachcica, żupan, kontusz, toż broń jego, kord, karabelę, do poetyckiej wzniosł godności i w poetyckiem pokazał światło. Nie Podstoli Krasickiego, ale miecznik Malczewskiego jest według Mochnackiego tą poetyczną figurą, w literaturze naszej, która starego, polskiego szlachcica wyobraża.

Podstoli sensat, może gaduła; wreszcie jest tylko rolnikiem, gospodarzem. Ale Miecznik, to rycerz, ziemianin! Już te czasy przeminiły. Wszystko się do koła zmieniło! Co innego teraz w myśli, w sercu, w staraniu. Jakże wielka zasługa poety! Postrzega w dali kształt historyczny niknący, ledwo nie w nic się rozwiewający. Korzysta z chwili i nie daje się w niwecz obrócić narodowej pamięci! Za sprawą jego, co przepadło w historii, nowe życie poetyckie odżyскуje. Poezja drugim jest życia okresem, nową koleją bytu; jest tylko wyższą prawdą. Wszystko ziemianieje w poezji Malczewskiego! Czyż nie było tak w istotnej prawdzie? Nie szczyrych to obraz dawnych mieszkańców tej ziemi, kiedy przez tyle set lat na strażnicy Europy harcami ustawnymi z łupieżkiem pogaństwem, własną odpierali pierś spustoszenie chrześcijaństwa i cywilizacji? Oni zapaleczywość jako charła zawsze mieli na smyczy, gdy wzywała wspólna potrzeba! gniew i uniesienie zemsty porażając z łatwością, myślą i ciałem wychodząc z prywatnych niesnasek. Cała Polska, cała przeszłość nasza czarodziejska, wzięła życie z rąk wielkiego artysty, autora tego poematu. Wszystko się tam zeszło: nieukrócona дума arystokracji, zdrożne możnowładztwo, ze staroswiecką cnotą i uczciwością, godnością szlachcica pod skromną strzechą słomianą; toż rycerskie męstwo i charakter światowy, po wszystkie czasy daleko

słynny, dziejów polskich ozdoba, ztąd: żeśmy stawili dzielny opór najazdom dziczy, która spustoszeniem oświacie europejskiej zagrażała.

I było to wielkie szczęście dla literatury polskiej, że się jej samodzielność na takim rozwijała gruncie, i zarazem wielki dla narodu pożytek, że z czasów i kolei takich umysłowość polska nie przeleżała odłogiem. Postrzeżenie się to przypada właśnie na początek pełnoletności pokolenia, które wśród wielkich wypadków wzrosło wielkością i świetnością ich, myśl i serce swoje zapomódz miało sposobność. Na zachodzie Francja siłą woli na szczyt potęgi wzniesiona, a na wschodzie Polska niesłychanem wewnętrznem zaniedbaniem i zewnętrzną intrygą do grobu zstępująca. Tamta cały świat odgłosem swych tryumfów przepelniająca, ta w najżywotniejszej części swojej w jasyr zagnana, albo daleko w obce złana legjony; z tamtymi chwała, świetność i przyszłość, z tymi poniżenie, sromota i grób.

Otóż dwie ostateczności, dwa stany całkiem sobie przeciwnie, pod wpływem których kształciło się pierwsze pokolenie polskie, rósł w Polsce pierwszy wychowaniec XIX. wieku. Dojrzałemu wśród takich obrazów młodzińcowi niepodobna było błakać się dłużej po manowcach, wydeptanych śladami niedołęztwa, poprzestać na widziadle coraz powietrzniejszym i mglistym, kołysać się w marzeniach coraz lżejszych i bezpłodniejszych. Toż, że ówczesny umysłowy ruch w Polsce nie był narzędziem kaprysu, mody, albo przykładu, zkądsiś narzuconego, ale wypłynął z głębi samorodnej myśli, dowodem i to: że się wszystko, co od wieków nieprzyjazne było Polsce, na skrzywienie i zabicie tego jej ruchu umysłowego spiknęło.

Może to kogo razić: że w tę stronę samodzielność narodowa przedewszystkiem się zwróciła. Szerokich wszakże ku temu tłómaczeń nie potrzeba. Każdy naród w swojej wiedzy i uczuciu długo gneciony, w chwilach swego postrzegania się, w owych ogólnego zapomnienia się *lucida intervalla*, jest jak rzeka czasu wezbrania ze swoich brzegów. Więc jak rzeka, co zanim się wszechstronnie i szeroko rozleje, wprzód najbliższe tamy i zawady rozrywa. Ówczesne pokolenie polskie na to rzuciło się naprzód, czem od dziecinstwa umysł jego tępiono, czem jego szlachetne w sercu

wysuszone uczucie, na pleśń każącą jego przyrodzony rozsądek, na bożka, klasycyzmem zwanego. Ale umysł raz wyzwolony nie kępuje się, chyba z własnej woli. Pokolenie, o którym mowa, zrozumiało to dobrze i nie wiele potrzeba było na to czasu, aby najzaciętsi stronnicy starowierstwa nieodwołalnie umilkli; a Maurycy Gosławski swój już całkiem wydrukowany poemat pali tylko dla tego, że dedykacja jego z korbów ogólnego, narodowego usposobienia wychodząc, mogła przeciw poecie oburzenie wywołać.

Odtąd z każdym dniem zmieniała się postać literatury polskiej. Dziennikarstwo nawet z natury i powołania w najtrudniejszym położeniu będące, usamowniało się po części. Bo kiedy Mickiewicz swą odą do młodości sobie i braciom swoim w Apollinie nowe pole otwierał, na którym potem tak wzniosło i zaszczytnie wystąpił, istnie z proroczego ducha wołając:

Dzieckiem w kolebce, kto łeb urwał hydrze —
Młodzińcem zdusi centaury,
Ten piekłu ofiary wydrze,
Do nieba sięgnie po laury.

przepowiadał sobie takie utwory, jakimi potem świat zdziwił, a jakimi już nie romanse, ale takie poemata były, jak *Dziady*, *Grażyna*, *Walenrod* i nareszcie *Tadeusz*. Otóż kiedy Malczewski, Goszczyński i Zaleski wprowadzali poezję na nowe stanowisko, wtedy prozaicy nowi ze swej strony, a na ich czele Mochnacki, rozprawami wielkiej treści ożywiali dziennikarstwo krajowe i dopełniali tym sposobem ogółu powinności, narodową potrzebą zakreślonej. Na te czasy przypada właśnie dzieło Mochnackiego o *Literaturze polskiej*, do którego powagi odwołam się kilkakrotnie, a w którym autor uczenie i mistrzowsko wyprowadził na jaw najgłówniejsze i najżywotniejsze zdania narodowe. Rzewnym i żartkim głosem wywoływał on naród polski do poczucia się i uznania samego siebie w jestestwie swoim, aby tak rozbudzony, poruszył samodzielność swoją i żyć nie dla drugich, ale dla siebie zapragnął. Wszystkie on zaprawdę wołania i zakłęcia swoje odnosił i stosował do literatury, bo

pod obuchem cenzury Szaniawskiego i drapieżnością belwiderskiego władcy, nie mogło być druku innego. Ale polska młodzież odgadywała tak łatwo estetykę krytyka swego, jak dobrze rozumiała romantyczność poetów swoich. Dla sere czujących i ochoczych nie potrzeba słów wiele. Dla nich same rzuty wystarczają. Zrozumiały też serca polskie od razu, co chciał powiedzieć Mochnacki, kiedy się tak na przykład wyrażał:

«Niechaj naród raz tylko, i choć na czas najkrótszy, ma uznanie siebie samego w swoim jestestwie, a już pamięć jego nie zginie. Wyrazi się on niechybnie, wyjawi, zasłynie. Uczucie to bowiem, kiedy się naród w swoim jestestwie nierozdzielnie czuje, jak po tętnie, jest tak piękne, tak szlachetne, że się koniecznie wszystek w niem wyjawia musi, wyrwać na jaw, wynurzyć swoje ja — na oko pokazać....

«Że jedne narody giną, śladu po sobie nie zostawiając, a drugich pamięć przechowuje się w dziejach, z kądego to pochodzi? Oto, że ostatnie za dni swoich przyszły ku uznaniu siebie, w masie swoich myśli i wyobrażeń, a pierwsze uznania tego świadectwa niczem potomności nie przekazały!...

«Nie dosyć na tem, że jesteśmy; potrzeba jeszcze wiedzieć, że jesteśmy. Im lepiej to wiemy, tem bardziej rozszerzamy się, umacniamy w jestestwie naszym. Kto jest, a nie ma uznania samego siebie — powtarzam to raz jeszcze — czyli kto tego, że jest, nie wie, ten jest tak, jakby go wcale nie było. Jest ale tylko dla drugich, nie dla siebie!... Na cóż się wreszcie przyda taka wiedza? Cóż z tego, że z dnia na dzień żyjemy jak żebracy, tułacze, jałmużną się utrzymujący, którzy nie wiedzą, gdzie głowę swoją mają złożyć ku wieczności? Śliskie myśli nasze i byt nasz śliski. Pamięć nietrwała, a w utraپieniu ledwo sama się czuje. Przecież trzeba mieć podporę na czemś. Wszelki lud rodowity, historyczny, w historję świata zachodzący, jest jak roślina w patrzarchalnej osiadłości. Z nasion na ojczystym rozkwita gruncie, a potem za błogosławieństwem nieba w wysokie, cieniste drzewo wyrasta. Stoi mocno i bezpiecznie na pniu to drzewo, jeśli ssie pokarm z ziemi,

jako z piersi macierzyńskich. Posadą jego jest przeszłość historyczna. A wszystkie dzieje tego pnia, rok rocznie wyrzynające się na nim pierścienie szeroko rozpowiedzą. Tam w pośrodku spostrzeżesz rdzeń — życie rośliny, z którego się pierwotne rozwinęły listki. Na około w coraz szerszych kręgach późniejsze lata i wieki — każdy oddzielnie — a jednak wszystkie razem najściślej ze sobą związane i zrosłe, z których każdy jeden w drugi zachodzi, jak koła zębione zachodzą na siebie, a jedno drugie, choćby ich najwięcej było, porusza i obraca. Wszystko to razem zewnętrzną pokrywa kora, spaja w całość. Takie jest życie ludu.»

«Jakże ci się mylą, którzy wszystko zasadzają na tem, co jest teraz!...

Nie obcym ja przybyszem, ani w obcej ziemi,
Łączę się z wami, bracią tu mojemi.
Kość z ojców naszych, ród jeden składamy,
I jednym wszędzie duchem oddychamy:
Gniazdo nasze tak stare jak morza i rzeki,
Którym imiona daliśmy przed wieki!

«Życie wszelkiego ludu nie jest co innego, jak tylko ciągly, nigdy nieprzerwany proces uobecnienia się samemu sobie, od początku, od kolebki, przez wszystkie pośrednie czasy. Jest to pojmowanie, czucie samego siebie w całym przestworze rodowitego bytu. Poczujajmyż się we wszystkich czasach swoich, żebyśmy mieli wszystkie kolejne wieki naszego bytu w każdym momencie przytomne — tak, żeby za każdym uderzeniem pulsu i w każdym nieledwie tchnieniu naszego życia, wywijało się z zapadłej niepamięci minione, zatracone narodu jestestwo. Tym tylko sposobem doskonale pojąć się zdołamy. Taki tylko naród jest na kształt drzewa poświęconego, które wiekami zielenieje i bezprzerwanie kwitnie, w burzy, w pogodzie, bez przerwy. Na to wychodzi rozumienie samego siebie w przeszłości i w teraźniejszości. Od zawiązków, od ziarna nasiennego, do korony rozłożystej cienistego klonu, jaworu, albo modrzewia!....

«Ojcyste: ja — stanowić należy przeciw innym narodom.»

A jak to za natchnieniem Mickiewicza, jako poety i wieszczą, a wodza Mochackiego, jako filozofa i polityka, postawiła romantyczność — o tem mowa będzie na przyszłym zgromadzeniu.

KURS TRZECI.

1860 r.

Za nim przystąpię do rozwinięcia wypowiedzianej treści na przeszłym zgromadzeniu, czuję się w obowiązku, nie mając ku temu innego środka, odpowiedzieć ztąd na niektóre uwagi na piśmie co do obecnego kursu mi uczynione. Więc przedewszystkiem składam najszczerze podziękowanie tym, którzy mnie swemi życzliwemi radami albo uwagami zaszczyścić raczyli. Pewnie najchętniej, o ile mi tylko czas, siły i okoliczności dozwolą, korzystać z nich nie zaniedbam. A teraz z kolei przeprosić winienem tych szanownych spółziomków, czyniących mi swoje uwagi, którym zadość uczynić nie mogę, a do których należą: zastanowienie się obszerniejsze nad epoką literacką z czasów Stanisława Augusta, a tem bardziej z czasów Kongresowej Polski — a to z tej prostej przyczyny, że w tak szczupłym zamierzonych godzin zakresie pilno mi przejść do czasów i do rzeczy z teraźniejszemi wymagalnościami styczniejszych. Do rzędu tak ocenianych rad i uwag, należą także te, które się odnoszą do rozleglejszego, albo wyraźniejszego dotykania i rozbierania niektórych kwestji narodowych, politycznych i socjalnych, przynajmniej, bardzo ważnych, ale które z tego miejsca w inny sposób dotykane i oceniane być przezemnie nie mogą; jak również co do rad i uwag pod względem większej może właściwości wyboru raczej godziny dziennej, aniżeli wieczornej, skoro rzecz ta przez publiczne objawienie się za godziną

wieczorną na przeszłym posiedzeniu przez samo zgromadzenie rozsądzoną została. Z uwzględnieniem należnem przyjmując dotychczasowe postrzeżenia, przyjmę także wszystkie w przyszłości, albowiem jestem najzupełniej tego przekonania, długiem doświadczeniem wyrobionego, że tym tylko sposobem dojść można do celu, którym jest pożytek sprawy publicznej.

Wracając do przedmiotu, uważam za konieczne, uzupełnić to, co na przeszłym zgromadzeniu, oceniając literaturę polską, tak zwaną romantyczną, przywiodłem albo powiedziałem, a uzupełnić to powagą słów jednego z równie znakomitych krytyków literackich, jakim był w swoim czasie Mochnacki, a następnie Goszczyński.

Komuzę ze świadomych polskiej literatury, mówi on w swej rozprawie «O nowej epoce poezji polskiej», drukowanej ówczasie w Powszechnym Pamiętniku, który miałem zaszczyt wydawać w Krakowie za czasów Rzeczypospolitej, nie przyjdzie od razu na myśl Kazimierz Brodziński, ilekroć wprowadza się mowa o pierwszych uśiłowaniach jej przeistoczenia? Tak jest, nikt mu nie odejmie tego miejsca. Sąd najdalszej potomności potwierdzi społeczny wyrok, a może nawet z chlubniejszym od naszego ocenieniem. Brodziński nie ma olbrzymich poetycznych zdolności! w pismach jego nie góruje geniusz, nie porывa natchnienie; ale czucie zapala się czuciem niewymuszonym, a do serca kolacze pocziwe, tęskne Sławianina serce. Brodziński też tylko mógł z przekonania wyrzec: że sławiańska poezja nie inaczej jak w postaci sielskości objawiać się powinna. Jakoż potrzeba przyznać: że wcielił te przekonania w pisma swoje i przodkował owym pisarzom, którzy błakając się między nami, greckie i francuzkie pasterki stroili *à la Goethe*. Pominąwszy tak piękne przekłady pieśni ludów sławiańskich, wybranych między rozmaitemi ich narzeczami, jego powieść Wiesław, słusznie uważaną jest za dzieło niemające u nas nic równego sobie; za jedno z owych, które jedynie same tworzą oryginalną literaturę i naznaczają jej niezastąpione niczem stanowisko w oświacie powszechnej, które Goszczyński nazywa zorzą, ukazującą polskiemu narodowi ową stronę nieba, z jakiej wejdzie mu słońce prawdziwej jego poezji. Wszakże nie sam Wiesław tylko ma te

dziwne i uroczyste powaby sielskości. Umiał je Brodziński rozlać we wszystkich swych twórcach, a oto jest jedna z tych próbek:

Na czarnej górze, w pocalonym lesie,
Widać z modrzewia kościółek ubogi;
Z szumem liść suchy w doliny wiatr niesie,
Wozy wzruszonym pyłem znaczą drogi.

Ustały w polu za plugiem odgłosy,
Pomału dążą z pola ciężkie wołki;
Niosą sieroty uronione kłosy,
A dzień żegnają jałowe wierzchołki.

Chmurki, igrając pod tarczą księżycą,
Przechodnie cienie ścielą na pnie suche;
Z gór wędrująca kłótniwa krynica,
Z głosem mruczeniem mija pola głuche.

Odgłos się dzwonka rozlega przez tamy,
Skrzypi żelazna chorągiewka z wieży;
Krzyż na kościółku zorzami obłany,
Z czarnego dachu blask na pole szerzy.

Z chróstem na plecach i łzami zalana,
Młoda Oldyna szła wedle kościoła;
Porzuca brzemie, pada na kolana,
W skrusze się korzy i modląc się, woła:

«Tyś czuła boleść, o Matko jedyna,
I siedem mieczów było w Twojem łonie,
Kiedyś na krzyżu zobaczyła syna —
Chciej dziś cierpiącym stanąć ku obronie!»

Łzy jej padały na próg wyklękniony,
Ale łzy tylko na kamień padały.
Idąc podróżny, jej żalem wzruszony,
O tych przyczynę pyta się nieśmiały:

«Czyliś ty ojców pochowała w grobie?
Czy męża płaczesz w tak kwitnącym lecie?
Jeszcze wyrzekać nie przystało tobie,
Wszystko ci miło kwitnie na tym świecie.» —

«Gdybym ja ojców lub męża stradała,
Jużbym łzy starła — mówiła Oldyna —
Bo wola boska jest to boska chwała,
W Jego jest prawie śmiertelnych rodzina.

«Nie śmierci męża oplakuję biedna,
Ale niewoli, ale jego stanu;
Ja bez pomocy zostałam się jedna,
A on obcemu służyć musi panu.

«Dzień i noc tędy szły orężnych roje,
Garstkę Polaków zgniebić z resztą ziemi;
Już ci mi dawno mówi serce moje,
Że on tam zginie rękoma bratniemi!

«Oby mnie zaraz jak może pocieszył!
By moje oko jego cień ujrzało —
Za jego duchem mój by duch pospieszył,
Niechaj cesarzom zostanie się ciało.»

Po takim wystąpieniu nauczyciela na drodze polskiej poezji sielskiej, zaiste, już dla literatury polskiej tego rodzaju, nie pozostawało nic więcej, jak żeby się znalazł pod myślą postępową uczeń godny swego nauczyciela. I znalazł się on wkrótce w osobie Józefa Bohdana Zaleskiego.

Józef Bohdan Zaleski, zrazu czciciel i naśladowca Brodzińskiego, nie przestając, aż po dziś pewnie, czić wzorodawcy swojego, został w końcu poetą samotwórczym, czyli samodzielny, oryginalny, czyli Samo-Zaleskim.

Ukraina, rodzinna Zaleskiego ziemia, była osnową ogółu jego pieśni. Z jej rycerskich dziejów bierze on wszystkie przedmioty, a z bogactw przyrodzonych wszystkie ozdoby i uroki poezji swojej.

Prostota, czucie, świetność wyobrażenia, zewnętrzne nawet wyśłowienia łączą się u niego w najpiękniejszą harmonię i stanowią jakoby wrodzoną muzykę tych pieśni. Poemat *Rusałki* jest melodią wyrazów. Można o nim powiedzieć, jako wyraża się Goszczyński: «że je złożył czarnoksiężnik z dźwięków skazanych przez zaklęcie, aby się wydawały jakiś czas wyrazami.» Ta piękność języka wypieszczona sprawiła, że *Kozaki* Zaleskiego są salonowe, wymuskane, za zniewieściałe, za wypieszczone na Kozaków: czyli nie są takimi, jakimi ich znamy w krwawych bojach Zaporozża. Ale podobna wada, jeżeliby była nią w pocie przeciwko prawdzie, przestaje być wadą w obec lirycznego talentu, w ten sposób rozwijającego się na przykład:

O! widać i słyhać w ogródku skowronek,
Z piosenką podłeci, upadnie:
moje kwiateczki z rozpukłych nasionek,
Jak wschodzą zielono i ładnie!

Po kwietniej, po świętniej, z przewodnią niedzielą,
Rozrosną się w słońcu kwiateczki,
I w pączki się zwiną, rozwiną, wystrzela
W czerwone, w niebieskie listeczki.

Po cichu coś szepcą i młodzi i starzy,
O! łatwo odgadnąć z ich oczu,
Coś o mnie, o kwiatach — co? jakie do twarzy?
Co? jakie w mym upleść warkocz?

O wiem ja, wiem kogoś, co wszystko mi powie;
Zwierciadło mi prawdę odsłoni,
Lilię uplotę u wstążek na głowie,
Różyczkę we włosach u skroni.

Wieczorem za dworem gościniec w kurzawie,
Gość jedzie na wronym koniku:
O! prędzej — co prędzej, u włosów poprawię,
Przepaskę zacisnę w staniku.

Gość jedzie, już w bramie; rzy konik z podwórka:
Mój Boże! ach, co go przywiodło!
I woła i pyta: A państwo, a córka?
I cugle zarzuca na siodło.

Od brzęku, od dźwięku ostrogi, szabelki,
Aż brzęczą, aż dźwięczą pokoje,
Aż skacze serduszek — bo wojak to wielki!
Wszelako nie bardzo się boję!

Przeciwny Zaleskiemu pod wszelkimi niemal względami, chociaż mu najbliższy obranym dla swoich poezji przedmiotem, jest Seweryn Goszczyński. Syn teje co i Zaleski Ukrainy, obrał również drogę kozackiego poety, czy to z przywiązania do strony rodzinnej, czy to z usposobienia talentu kochającego się, czego jasno dowodzi powieść jego: *Zamek kaniowski*, w okropnościach, które napelnione jest życie kozackiego ludu. Czytając ten poemat, zdaje się, że celem Goszczyńskiego było skupić to wszystko, przed czem się uchylił Zaleskiego genjusz.

W najdoraźniejszym dwóch poetów porównaniu, wyskoczy przed oczy każdego prawda słów takich. Powieść Goszczyńskiego pod tytułem: Zamek kaniowski, ogarnęła tyle okropności, że jak na Madejowe łożo, można by myśl na nią położyć. Uwiedzenie dziewicy, zemsta, morderstwa wszelkiego rodzaju, okropność bitwy, pożar z całym niszczącym przepychem, szlachciec ze zbrodniami tyraństwa, pieczęty śmiercio-wróżbne puszczyków, jeden wisielec, dwie warjatki, jedna banda mordująca Polaków, druga banda karząca niby tych morderców, potoki krwi, szatanów bez liku, i tym podobne — oto są wybitniejsze punkta osnowy Kaniowskiego zamku, powieści prawdziwie oryginalnej i pod tym względem trudnej do porównania. «Gdyby jej wiersze mogły kiedy przybrać widome dla oczu ludzkich postacie, to oczy w ślup by stanęły przed tym chorowodem poczwary, z których każda napiętnowana albo zbrodnią, albo karą za zbrodnie.» Taka jest z jednej strony powieść Goszczyńskiego; słusność nakazuje powiedzieć słów kilka o drugiej. Obok tej przesady, która jednak nie jest bez podstawy w historycznym Kozaków i owej epoki duchu, znajduje się prawda w malowidle uczuć i miejscowej przyrody, a wszędzie życie rzeczywiste i siła nie nadsztukowana. Charaktery jakkolwiek po za ludzkie, zręcznie są wysnute, dobrze oddane i ciągle utrzymane. Zaiste, nie można Goszczyńskiego winić o brak całości w jego poemacie; raczej o wybór pierwszej głównej myśli, która po okropnościach jednej zbrodni, wprowadziła go na szczyt ich ogółu. Tajemnica ducha tej poezji da się wyprowadzić, jak wiele innych grzechów poezji polskich w ogólności, z nieszczęśliwego na nas wpływu czarnej fantazji Bajrona. Odskokczyć chciał od niej Goszczyński, ale charakterystyczne nie przełamują się łatwo przez nikogo, nawet przez siebie. Toż więc Goszczyński, choć na inne zdawał się przechodzić pole, nie był innym w Sobótce, jak w Zamku kaniowskim:

Słyszycie? Janusz rzekł do towarzyszy,
Jaką tam gędbę wyprawują dziwy?
Słyszycie, bracia? powtórzył strwożony.
I miał przyczynę, bo ze wdzięcznej ciszy,
Którą śpiew pieścił, podniosły się wrony

I rozpuściły nagle krzyk chrapliwy;
Kawki pisały, gwałt huknęły sowy;
Ponurych wilków rozległo się wycie,
Ciężkich gałęzi kołaskało bicie,
Jak żeby wichur przeleciał zimowy,
I echem śpiące szczeleknęły parowy.
Janusz rozgląda, słucha, duchem trwoży,
A nie zmiarkuje, co ma trzymać lotem.
Słuch to do drzewa, to na głaz położy;
Drzewo brzmi w głębi, skała drga łoskotem,
Jakby gdzieś końskie kowało kopyto.
Nie rad ze słuchu, oka w pomoc wzywa,
Chee powstać z miejsca, ale nagle siada —
I już nie słucha, nie patrzy, nie bada,
Tylko zdumiały wpatruje się w dziwa,
Które nie zawsze, nie wszystkim odkryto:
W cieniach zarośli, na granicach blasku,
Jakby na ramach jasnego obrazku,
Żyjących twarzy, głosów mile brzmiałych,
Skał zrumienionych, jezior palających,
I ugwieżdżony, ogniami polany,
Powstaje w koło widok wółpodziemny:
Duch tam lub człowiek migśnie na przemiany —
To duch pół jasny, to człowiek pół ciemny.
Między pnie świerków, między cienia smugi,
Snują się gęsto postacie kobiece;
Czapki na głowach, w nieładzie włos długi,
Rozwiana odzież, okopiałe lice;
U czapek świecą bezkwiennie paprocie,
A oczy świecą jak w ciemnościach kocie.
Czasem się skupią, czasem się rozbiegą,
I tu i owdzie badają ciekawie,
Niby nierade i rade zabawie;
W ich niepokoju coś dziwnie strasznego!
Wilki pod krzaki czają się gromadą,
A w gęstwie wyższej nocnych ptaków stado —
I wszyscy w płomieni wpatrują się święty,
Jakby go w oczy na cały rok brali

Wprzódco nieco, aniżeli Zamek Kaniowski, a tem bardziej Sobótka, wyszła powieść także ukraińska, pod napisem Marja. Nieznany był literackiej krainie pisarz Marji, Antoni Malczewski, przed jej wydrukowaniem, nieznany był długo i po jej wydrukowaniu. W kilka lat dopiero po śmierci autora podniesiono chwałę jego dzieła. Za przesadą w naganach poszło uniesienie chwalców. Nie pomyśl, ale przedmiot wzięty z wydarzenia narodowego, utrzymał i utrzymuje to dzieło na stopniu wysokiej zasługi.

Widmo, że tak powiedzieć można, wojewody, ideał polskiego arystokraty; miecznik, ojciec Marji, ideał polskiego szlachcica; myśl napadu Tatarów, wydobyta ze serca dziejów polskich; obrazy Ukrainy Nadbożeńskiej, wtorujące im uczucia i mistrzowskie wyprowadzania, w dotykalnych niemal postaciach, najgłębszych uczuć z najulośniejszymi ich odcieniami — oto są najwyrazistsze i zarazem najrzeczywistsze zalety Marji Malczewskiego:

Wszystko się dziwne plecie,
Na tym tu biednym świecie;
A ktoby chciał rozumem dochodzić,
I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić.

Takie jest godło Marji Malczewskiego, a pod nastrojem którego myślą, takie z pod pióra poety popłynęły rymy:

Ej, ty na szybkim koniu gdzie pędzisz kozaczę?
Czyż zoczył zając, co na stepie skacze?
Czy rozigrawszy myśli, chcesz użyć swobody,
I z wiatrem ukraińskim puścić się w zawody?
Lub może do swej łubej, co czeka wśród niwy,
Nóćąc żalosną piosukę, lecisz niecierpliw?
Bo czapkęś nasunął i rozpuścił wodzę,
A długi tuman kurzu ciągnie się na drodze;
Zapał jakiś rozżarza twojej twarzy śniadość,
I jak światełko w polu błyszczy na niej radość;
Gdy koń, co jak ty dziki, lecz posłuszny żyje,
Porze szumiący wicher, wyciągnąwszy szyję.
Umykaj Czarnomoreu! z swą mazą skrzypiącą.
Bo ci synowie stepu twoją sól roztrąca.
A ty czarna ptaszyno, co każdego witasz,
I krążysz i zaglądasz i o coś się pytasz,
Spiesz się swą tajemnicę odkryć kozakowi,
Nim skończysz twoje koło, oni ujęć gotowi.

Pędzą, a wśród promieni zużozonego słońca,
Podobni do jakiegoś od niebianów gońca,
I długo i daleko słychać kopyt brzmienie;
Ani wesolej szlachty, ni rycerstwa głosy,
Tylko wiatr szumi smutnie, uginając kłosa;
Tylko z mogił westchnienia i tych jęk z pod trawy,
Co śpią na zwiedłych wieńcach swojej starej sławy.

Dzika muzyka! dziksze jeszcze do niej słowa!

A gdy cały ich zaszczyt krzaczek polnej róży!
Ach! czyżby serce w żalu się nie nurzy!

Ruszaj! ruszaj, kozaczę! pośpiech nakazany!...

Owoż, jeśli powinniśmy przyznać Mickiewiczowi wielkie, ogromne zasługi w obaleniu dawnego rymotwórstwa, w obaleniu go przez siebie samego, to jakże wielkie są te zasługi, że pod myślą jego natchnienia powstały tacy poeci jak: Zaleski, Goszczyński, Malczewski, a obok nich i z nimi albo później: Pandura, Słowacki, Bielowski, Magnuszewski, Gośławski, Erenberg, Pol, Wasilewski, Lenartowicz, Berwiński, Baliński, i t. d.

Rzeczy można, że uderzony tym zwrotem wielki genjusz Mickiewicza, sam się zadziwił, na jaką drogę pierwsze rzuty jego pomysłów wprowadziły literaturę narodową. Toż, jeżeliby podobnem było przyzwać na świadectwo jego zeznanie, tedy onemal twierdzić śmiałyby, że o świecie swojego wystąpienia sam nie wiedział, jak i gdzie po drodze, którą otworzył, on i jego poetyczni spółbracia dojdą. Najprzód zaczyna nócić na ton prawie Polsce nieznaną:

Zawcześnie kwiatku, zawcześnie,
Jeszcze północ mrozem dmucha,
Z gór białych nie zeszły plesnie,
Dąbrowa jeszcze nie sucha.

Aż oto nie wiele potrzeba było czasu, żeby w odpowiedzi na niezgrabne i niesumienne wydrzeźniania z katedry akademickiej warszawskiej:

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Nic nie było, nic nie będzie.

Ten sam, mniemany wileński kwiatek zawczesny, zawołał z pełnej piersi:

Bez serc, bez ducha, to szkieletów ludy!
Młodości podaj mi skrzydła!

Niech nad martwym wlecę światem!

.....
Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przenikaj z końca do końca!

.....
Razem młodzi przyjaciele!
W szczęściu wspólnem, wszystkich cele!

.....
Razem młodzi przyjaciele!
I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu;
Jeżeli poległ on ciałem,
Dał innym szczebel do sławy grodu.

.....
Razem młodzi przyjaciele!
Choć droga stroma i śliska;
Gwałt i słabość bronią wschodu:
Gwałt niech się gwałtem odciska,
A ze stałością łamać uczmy się za młodu.

.....
Hej! ramię do ramienia, spólnemi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko,
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko
I w jedno ognisko duchy.

Zaprawdę po początku takim, już wszystkie późniejsze twory Mickiewicza nie mogły zadziwiać myślącej publiczności, tylko raczej twórcę ich podziwiać i uwielbiać, tylko do serc swych nie z podziwieniem, ale z uwielbieniem przyjmować słowa tak poczuwającego się poety.

A słońce prawdy nie zna wschodu i zachodu,
Równie chętnie każdego plemionom narodu,
I dzień lubiące każdej rozszerzać ojczyznę,
Wszystkie ziemie i ludy poczyta za bliźnie...

Teraz na świat wylewam ten kielich trucizny,
Żrąca jest i paląca mojej gorycz mowy,
Gorycz wysana ze krwi i łez mej ojczyzny,
Niech żre i pali nie was, lecz wasze okowy.

Poeta takie rzucający myśli, musiał przyjść do tego narreszcie, że wszystko, co pochodziło od niego, naród cały, młodzieńcy i starcy, mężowie i niewiasty, słowem wszystko, co żyło, lub żyć chciało przyszłością, to przyjmowano

ze spółczuciem i zapalem. Wszystko, co żyło lub żyć chciało — powiadam — lgnęło do nowego poety, choć nieraz nie umiało sobie zdać sprawy, jak to się stało, że naraz nie tracąc nie z uczuć dawnej rzewności, zamiast śpiewek na przykład:

«Nad strumykiem, przy krzewinie...»

«Już miesiąc zeszedł, psy się uspiły...»

«Jeden twój uśmiech, jedno spojrzenie,» i t. d., i t. d.

naraz poczęli wszyscy nócić:

Zniknęły lasy i ojcyste góry,
Myśl znużonemi ulatując pióry
Spada, w domową tuli się zaciszę —
Lutnia umilkła w odrętwiałem rękę,
Śród żalosego współrodaków jęku,
Często przeszłości głosu nie dosłyszę!
Lecz dotąd iskry młodego zapalu
Tlą w głębi piersi; nieraz ogień wzniecą,
Duszę ożywią i pamięć oświecą.
Pamięć naówczas jak lampa z kryształu,
Ubrana pędzlem w malowne obrazy;
Chociaż ją zaćmi pył i liczne skazy,
Jeżeli świecznik postawisz w jej serce,
Jeszcze świeżością barwy zngci oczy;
Jeszcze na ścianach pałacu roztoczy
Kraśne, acz nieco przyćmione kobierce...

.....
Gdybyż był zdolny własne ognie przelać
W piersi słuchaczów i wskrzesić postaci
Zmarłej przeszłości; gdyby umiał strzelać
Brzmieniami słowy do serca współbraci!
Możeby jeszcze w tej jedynej chwili,
Kiedy ich piosnka ojczyzna poruszy,
Uczni w sobie dawne serca bicie,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy!
I chwilę jedną tak górnje przeżyli,
Jak ich przodkowie niegdyś całe życie...

«Zrozumiały taką mowę ubogie serca piastowe» — to też gdy poeta wzniósł się do godności właściwej, gdzie był młodzieniec, któryby, jak za poprzednich czasów każdy powtarzał z Niemcewiczem jego Śpiewy historyczne, a z Góreckim Śmierć zdrajcy ojczyzny, teraz z Mickiewiczem, ów młodzieniec nowego pokolenia, nie ożywiał się

był i nie pokrzepiał Odą do młodości, Grażyną, Walenrodem? I gdzie była na ziemi polskiej matrona, czy dziewczica, któraby z nim z głębokości swej piersi nie wołała serdecznie?

Któż me westchnienia, kto me łzy policzy?
Czy już tak długie przeplakałam lata,
Czy tyle w piersiach i oczach goryczy,
Że od mych westchnień pordezwała krata?
Gdzie łaż upadnie, w zimny głąz przecieka,
Jak gdyby w serce dobrego człowieka!

Jest wieczny ogień w zamku Swentoroga,
Ten ogień żywią pobożne kapłany;
Jest wieczne źródło na górze Mendoga;
To źródło żywią śniegi i tumany —
Nikt moich westchnień i łez nie podsyci,
A dotąd boli serce i żrenica.

Pieszczoty ojca, matki uściśnienia,
Zamek bogaty, kraina wesoła,
Dni bez tęsknoty, nocy bez marzenia;
Spokojność na kształt cichego anioła,
We dnie i w nocy, na polu i w domie,
Strzegły mnie z blizka, chociaż niewidomie.

Trzy piękne córki było nas u matki,
A mnie najpierwej żądano w zamęcie;
Szczęśliwa młodość, szczęśliwe dostatki!
Któż mi powiedział, że jest inne szczęście?
Piękny młodzieńcze! na coś mi powiedział
To, o czym w Litwie nikt pierw nie wiedział!

O Bogu wielkim, o jasnych aniołach,
Kamiennych miastach, kędy wiara święta,
Gdzie lud w bogatych modli się kościółach,
I kędy dziewic słuchają książęta,
Waleczni w boju, jak nasi rycerze,
Czuli w miłości, jak nasi pasterze.

Owoż, jak w tak krótkim przeglądzie można było zestawić te owe czasy świetnej przeszłości naszej, w tych różnych epokach, wielce od siebie odległych, lecz myślą narodową związanych i w tej chwili ze sobą łącznych: Kochanowskiego, gdy za tak zwanych złotych czasów literatury polskiej był księciem poetów polskich, Krasickiego, Naruszewicza, Karpińskiego i tylu innych, którzy takimiż zwańczy się mogli za

czasów Stanisława Augusta; Brodzińskiego z czasów legjonowych i księstwa Warszawskiego; Mickiewicza i Mochnackiego nareszcie, wraz z orszakiem im towarzyszących Malczewskich, Zaleskich i Goszczyńskich, z których każdy w szczególności i wszyscy społem pełnili wielki, a święty obowiązek w obec potrzeby narodowej. Ależ czy na tem koniec? Nie! Pełnili oni dobrze swoją powinność narodową! Tylko ludzkość na drodze przeznaczonej dla siebie nie zatrzymuje się, ale idzie, ale postępuje ciągle! O! myliby się wielce ten, ktoby z Lamartinem chciał twierdzić:

«Świat nie postępuje, świat rusza się tylko, a rusza się w kółko tylko i po to tylko, ażeby po pewnym przeciągu czasu tego kołowania wrócił do punktu, z którego niegdyś był wyszedł.»

Owoż to z takiego powodu wyrażenia się człowieka, który nie tylko jak poeta, literat i filozof zajmował stanowisko wielkie, poczułem się w obowiązku wypowiedzenia tego, co pozwólcie dzisiaj mi streścić.

«Są ludzie, mówi Lamartine, którzy mi wyrzucają zrozęczenie o świecie, odwodzenie ducha ludzkiego od świętej jego dążności w postęp nieskończony i wieczny. Odpowiadam (słowa są Lamartina): «Wolno Platonistom marzyć snami Platona, ale ja, niestety! rozbudziłem się z tych słów dawno. Na postęp czasowy, względny i określony, zgoda! Na postęp nieograniczony i nieustający, nigdy! Nic nie ma nieograniczonego w naszym drobem jestestwie, zaciśniętem do błyskawicy w trwałości, do atomu w przestrzeni, do szczypty prochu. Mrzonki w ideach ujdą jeszcze, ale mrzonki w rzeczywistości, w przyrodzie! Oh! żywiły same z nas by się naigrawały. Historyk, któremu zdrowego rozsądku, podniesionego aż do poezji i aż do imaginacji, nikt nie zaprzeczy (zapewne p. Thierry) podaje nam uderzający i wzniosły obraz tego pochodzenia w postęp cywilizacji społecznych. Oto jest ten obraz:

— «Ty to pamiętasz może, o królu! — mówił pewien wódz saksoński do swego władcy — co się zdarza czasami w dniach zimowych, kiedy ty siedzisz u stołu z twoimi generałami i żywy ogień iskrzy się z komina w sali ciepłej: ale dżdżysto, śnieżno i mroźno zewnątrz? Wtem ptaszyna chyżem skrzydłem przemknęła salę, wpadając jednemi drzwiami, a wypa-

dając drugimi Chwila przelotu tego jakże dla niej pełną była słodyczy! Ptaszyna ani dreszczu, ani wiatru, ani zimna nie czuła. Lecz to chwila przelotna; ptaszyna w oka mgnieniu znikła i z zimy przeszła w zimę! Otóż takim wydaje mi się także ludzkie życie na ziemi i jego trwałość chwilowa, porównana z przestrzenią czasu, która ją poprzedziła, i która idzie po niej: z zimy przechodzi w zimę.» —

«Ślota zewnątrz, deszcz, śnieg, wiatr, zimno, oto udział człowieka — dodaje Lamartine: sala ciepła i opatrzona, to postęp; ptaszyna, to cywilizacja społeczeństwa, która wpadnie na chwilę do tej słodkiej temperatury, ale która, niestety! nie spocznie tam długo i która ścigana niestałością ludzką, przechodzi z zimy w zimę. Przyłóżmyż drzewa na ogień i prośmy Boga, aby światło i ciepło trwały jak najdłużej, ale nie schlebiamy biednej ptaszynie przelotnej i nie wierzymy w wieczność czegokolwiek na ziemi: nawet naszych snów.»

Po takim przytoczeniu własnoręcznych i drukiem potwierdzonych wyrazów, już niepodobna wątpić, tylko dziwić się raczej: jak to się stało, że to, co być miało odparciem zrazu zrozpaczenia, obróciło się w najjaśniejsze jego przyznanie. Zaisteż, jeżeli Samieńczykowie surowymi okazali się dla Homera, a zaś krytycy surowszymi od tamtych dla Lamartina, tedy on okazał się jeszcze surowszym od jednych i od drugich względem ludzkości, odzierając ją z tego, co miała najdroższego, najlepszego i najmilszego: z wiary w postęp, i co za tem idzie: z nadziei w lepszą przyszłość. Opatrzność w swem wszechmocnem i nieograniczonym miłosierdziu dała człowiekowi oprócz rozumu i woli, pamięć także; i jakimże sposobem się dzieje, że człowiek, zapisujący te słowa zrozpaczenia, tak prędko zatracił pamięć tego, co zaledwo o stronice kilkadziesiąt wyżej był swą własną ręką zapisał:

«Człowiek uważany jako istota cielesna — pisze tam Lamartine — jest niczem na tej ziemi, która sama także jest niczem; ale człowiek uważany jako istota dwóch pierwiastków, jako ogniwo połączenia materji i ducha, nicości i bóstwa, zmienia natychmiast oblicze. Człowiek zanurzony w znikomym promyku światła i który swoim maluctwem

rozwiewał się w nicości, łączy się naraz wielkością swoją z bóstwem.»

I również w innem miejscu: «Ktokolwiek z uwagą badał arcydzieła ludzkości, nawet najodleglejsze, ten przyznać musi, że te arcydzieła, te odłamki arcydzieł, które kto inny mógłby na początku uważać, są dalszym ciągiem albo odrodzeniem pomników, do nas niedoszłych. Że więc jest rzeczą najmniejszej nieulegającą wątpliwości, że kiedy taki uczony i wymowny myśliciel, jak Job, przedstawia się nagle w biblii z księgą swego imienia, tedy tu mądrość, to przeświadczenie, ta wymowa, nie pozostały bez przodków w piaskach pustyni pod nazwiskiem koczowniczego i nieoświeconego Araba. I że także jest prawdą najzupełniejszą, że kiedy taki poeta jak Homer pojawia się nam nagle, z ową boską doskonałością języka poezji, gustu, mądrości na kończynach mniemanego barbarzyństwa, tedy powiadam: jest prawdą najoczywistszą, że Homer nie wstał z nicości; że nie on sam, on sam jeden, odkrył całe niebo i całą ziemię, nie sam jeden on stworzył ów język poetyczny i ten cudownie dźwięczny śpiew rymów swoich. Ale iż przed tym Jobem i że przed tym Homerem były mądrości i po za wzrokiem, których zbyt odległość nie dozwala nam przejrzeć ich obszarów, ani zmierzyć ich głębokości, a których owi wielcy mistrzowie byli łańcuchem i streszczeniem. Nic nie rodzi się z niczego na tym świecie: nawet genjusz — toż ilekroć spostrzeżecie wielki literacki utwór, tylekroć bądźcie pewni, że po za tym utworem jest literatura skryta w mgłę odległości, której on jest łańcuchem i streszczeniem, lecz nie początkiem.»

A więc jest ciąg, jest łańcuch, pasmo; jest wiosna, lato i jesień, nie sama tylko zima; a więc nie z zimy w zimę, ale z zimy w wiosnę, w lato i jesień kolejają idzie ludzkość! Bo tak chciała Opatrzność: aby po siewach nowej wiosny i po rośnię nowemu lata, zeszły plony nowej jesieni, zasób na nową zimę, którą znowu Opatrzność zsyła dla tego tylko, aby dać czas swemu myślącemu stworzeniu do namysłu i do rozmyśłu: jakby nową wiosnę, nowe lato i nową jesień, które po zimie przyjdą, najlepiej, czy lepiej od wszystkich, które je poprzedziły, na korzyść i pociechę ludzkości spożytecznił.

Owoż Bóg nasz opatrzny, Bóg prawdy, światła, miłości, Bóg nasz Chrystusów, takim raczej głosem, gdyby tego potrzebna było, przemówiłby do swego myślącego stworzenia, człowieka: «Stworzyłem cię na obraz i podobieństwo moje, abys wiecznie i ciągle układał się na podobieństwo moje; abys wiecznie i ciągle, bez przerwy i bez zatrzymywania się na chwilę, dążył do tej doskonałości, którą ja jestem, a u kresu której i po milionach milionów wieków bez końca, wszakże nigdy nie staniesz: bo kres, to ja, Bóg twój! A biada ci, jeśli kiedy wzbijesz się w dumę, a powiesz z zapominającym się na chwilę poetą: Stałem u kresu, Bogiem jestem!...»

Zdała więc bądź od nas wszelka mowa i myśli bluźniercza. Wiara w postęp, w postęp wieczny i ciągły, nigdy nieustający, a jednakże nieskończony nigdy — oto jest wiara moja, wiara niczem niezachwiana i niczem nieograniczona, a pod wpływem której spoglądającemu na rzeczy ludzkie zaiste wiele z nich koniecznie inaczej przedstawiać się musi, jak te się przedstawiają ludziom wiary przeciwnej. Według mnie wszelka ludzka i wiadomość i nauka dzisiejsza jest właśnie tylko dalszym ciągiem, tylko streszczeniem wiedzy i doświadczenia chwil i wieków ubiegłych. Nie z siebie wysaliśmy wszystko, co wiemy i co umiemy; największą owszem i najlepszą część tej wiedzy i tej nauki dostaliśmy w spadku po ojcach, dziadach i naddziadach naszych, a które wzbogaczone naszym doświadczeniem i pracą, przekazać mamy synom, wnukom i prawnukom naszym ku wiecznemu i ciągłemu postępowi ludzkości. To też jest postęp ludzkości, postęp wszędzie obecny i we wszystkich widoczny. Ojcowie nasi nie widzieli tego, co my widzimy; nie umieli tego, co my umiemy; my nie umiemy i nie widzimy tego, co synowie nasi umieć i widzieć będą. Pismo, druk, para, gaz, elektryczność i owe tysiące codziennych liczniejszych i codziennych ważniejszych wynalazków, których my do sytości używamy dzisiaj owoców, wszakże nie były udziałem ojców naszych.

Niechże więc Lamartine zatrzyma przy sobie swe o Bogu i o jego woli względem przeznaczeń ludzkich wyobrażenia: to rzecz jego. Ale my, którzy z doświadczenia i z zawodów tegoż doświadczenia, wiedzieć już nareszcie doskonale winniśmy, czem są dla nas wszelkie doktryny i praktyki obce:

Boalów, Wolterów i Laharpów, Goetych i Szyllerów, Kantów i Heglów, Bajronów i Szekspirów, lepiej zdaje mi się i pewnie stokroć i tysiąckroć lepiej wyjdziemy, jeżeli zostaniemy przy naszych naukach własnych i na naszym własnym oprzemy się gruncie; jak tego dali dowody romantycy nasi w r. 1830, przechodząc z pola myśli na pole czynu, a którym była literatura powstania listopadowego.

Ogólnie uważając rok listopadowy, 1830 — 1831, nigdy nie mógł być on innym pod pisarskim względem od wszystkich poprzednich, jemu podobnych. Cała czasu owego umysłowość zamyla się ściśle w obrębie mu odpowiednim i tem jest w odniesieniu do ogółu literatury polskiej, czem w swoich czasach były dla niej konfederacje i legjony. To samo już jest dostatecznym dowodem, jako myśl polska umie się zespolic w jedno ognisko, kiedy się w swoim narodowym obowiązku poczuje.

Akta urzędowe i postanowienia, uchwały, manifesta, odezwy, adresa, projekta, relacje mowy, kilka broszur treści politycznej, wiązka śpiewek i poezji polityczno-wojennych i rewolucyjnych, nareszcie dziennikarstwo periodyczne — oto cały zastęp pisarski z czasów powstania r. 1830.

Najpierwszym drukowanym aktem pisarstwa listopadowego, była odezwa komisji umorzenia długu krajowego, która opieczetowawszy majątek publiczny w banku, stawiała go w tej odezwie, wydanej z rana 30. listopada, pod bezpośrednią opiekę ludzi i wojska polskiego, a na którą zebrane tłumy przed giełdą odpowiadały okrzykami: «Nie się złęgo nie robi, niech się nie boją! My tylko bić Moskala chcemy!» Równocześnie prawie z tym aktem rozrzuconą została wiadomość o nowym składzie rady administracyjnej, a w parę godzin później odezwa tejże rady.

Ale lud wyzwolony nie słuchał tego podszeptu, i wołając o Chłopickiego, śpiewał chórem: «Dalej bracia do bułata», pieśń na prędcę, na broku ułożoną, i równocześnie z odezwą rady administracyjnej, w miarę jak wychodziła z pod prasy, rozrzuconą pomiędzy tłumy. Autorem tej najpierwszej pieśni narodu zmartwychwstającego był: Rajmund Suchodolski, przed powstaniem urzędnik w banku, a w powstaniu najpatryjotyczniejszy poeta, najwaleczniejszy żołnierz.

Jemu winno powstanie największą część najpopularniejszych i najulubieńszych pieśni swoich.

Oprócz owego pierwiastku poezji listopadowej, Suchodolski był autorem prawie wszystkich pieśni, śpiewanych początkowo u Honoratki, a następnie po wszystkich pułkach i obozach powstańczych.

Do nich należy owo sławne: Ram! tam! tam! czyli Moskale wygnany! — Ach! Ach! Co za strach! — Warszawianka dla kochanka — i wiele tym podobnych.

Niechaj kto jak chce przedrwiwa sobie śpiewającą młodzień u Honoratki — tego jednak zaprzeczyć nie zdoła, że śpiewające wojsko regularne swój marsz: «Za Bug — na Litwę!» i śpiewające Krakusy swoje domowe krakowiaki, tego były Moskale.

Śpiew, to mowa serca, to muzyka duszy.

Tenże sam Suchodolski śpiewający na bruku warszawskim i u Honoratki, śpiewał śnać szczerze i pod Ostrołęką, gdzie był kulą na wylot przestrzelony, i śnać śpiewał szczerze pod Warszawą, także w obronie której, jeszcze nie zupełnie wyleczony z przestrzału pod Ostrołęką, nogę utracił, i tak na wskroś przeszyty i w kawały pocięty, bohaterskiego życia śpiewający dokonał.

Wprost przeciwnie śpiewał generał Chłopicki, którego — kiedy podług wyrażenia się Niemcewicza: «Wpadł jak w wodę» — rewolucja i rada administracyjna, obiedwie w innym celu, szukały. Powstanie było przeciw Mikołajowi. Chłopicki gwałtem z ukrycia wywleczony, brał władzę z rąk rządu, działającego w imieniu Mikołaja, ponieważ go imieniem Mikołaja wzywano. Rewolucja widząc się w tak opłakanem położeniu, zadrżała; lecz potem ochłonawszy z pierwszego przerażenia, rozdąsała się i postanowiła objawić, czego chce, aby umykającym się od spełnienia jej żądzy odjąć pozór niewiadomości.

Wieczorem tedy dnia 1. grudnia zeszli się o godzinie umówionej członkowie związku, który zaczął sprawę, a mianowicie: Maurycy Mochnacki, Ksawery Bronikowski, Ludwik Nabelak, Ludwik Żukowski, Józef Mejzner, Józef Kozłowski, Anastazy Dunin i mnóstwo innych patryjotów po większej części cywilnych. Cel zgromadzenia był wiadomy. Uchwalono

jednomyslnie potrzebę utworzenia rewolucyjnego, zbrojnego klubu, to jest: jedynej jaka natenczas była podobnej władzy ludowej, aby wyrzucić rząd, działający w imieniu Mikołaja, albo w najgorszym razie, jeśli się to nie udało, zmusić ten rząd nawet siłą do przybrania charakteru rewolucyjnego.

Ponieważ rada administracyjna przyciągnęła do siebie Joachima Lelewela, jako jednego z dygnitarzów opinii publicznej, aby mu więc podać sposób wycofania się, obwołano go, choć nieobecnego, prezesem jednomyslnością.

Wice-prezesem klubu większością głosów obrany wtedy został Ksawery Bronikowski, a sekretarzem Franciszek Grzymała.

Kiedy tak na ratuszu klub stawał rewolucyjny, tymczasem w banku rada administracyjna traktowała z carewiczem o powrót. Ciekawa ta konwencja, spisana przez Lelewela pod tytułem: «Delegowani w Wierzbnie dnia 2. grudnia 1830 r.», pozostanie na zawsze równie charakterystycznym jak enigmatycznym owej epoki dokumentem.

Wiedzieć o tej deputacji obiegała piorunem całą stolicę i sprawiła wszędzie najgorsze wrażenie. Mnóstwo osób, zkadnąd przychylnych radzie, ganiło jej ten postępek; wielu zaczęło nakoniec przezierać. Ci wszyscy, co byli temu przeciwni, na placu przed bankiem, cywilni i wojskowi, prócz tego niektórzy członkowie izby poselskiej, adwokaci, mieszczenie, profesorowie, uczniowie, deputowani różnych wojsk oddziałów, rzemieślnicy, podchorążowie w liczbie przeszło tysiąca kilkuset, napełnili od zmierzchu sale readowe, gdzie o ważnych rzeczach, jak wszędy głoszone, mowa być miała. Moc, zgody, jednomyslności użyczyli temu wielkiemu zebraniu rozstawieni w różnych jego punktach członkowie związku patryjotycznego. Pałasze, karabiny, pistolety, zdawały się zwiastować: że co tu uchwalone zostanie, to mocą do skutku przywiedzione będzie. Mnogi lud, pobudzony, nastrojony pierwaj przez emisariuszów klubu, napełnił wraz z żołnierzami plac Krasińskich i dziedziniec przed gmachem rządowym. W środku największej sali, gdzie się większa część obecnych zmieścić mogła, postawiono stół długi, wązki. To była mó-

wnica. Nierzęsiste światło kilku kagańców, kilka świec, zaledwie rozjaśniało pochmurne czoła młodych i starych fizjonomji, które uniesienie, długa bezsenność i oczekiwanie ważnych wydarzeń, zarówno ożywiały, jak charakteryzowały. Im śmielsze wyrażenia z ust mówców płynęły, tym gorętszym to zbrojne zgromadzenie unosiło się zapałem. Im zuchwalsze podawano wnioski, tem raźniejsze okrzyki: «Zgoda! zgoda!» głużyły ze wszech stron zdanie przeciwnie, potępiały nikczemność folgującą rządowi, albo bojaźń obracającą swe oko ku rogiatkom, gdzie stał carewicz. Oklaskiem był wtedy szczęk oręża. Kolbami przybijano wota na stole, i pewnie żadna izba prawodawcza silniej entuzjazmu swego oddać nie zdoła. Piętnastoletnie milczenie pod wielkorządztwem Konstantego, nadawało wyższy ton, wyższe niejako znaczenie słowu każdemu odważnie, publicznie powiedzianemu. Po raz pierwszy, w obec tysiąca w zamkniętem kole, powstanie spowiadało się z myśli swoich. Po raz pierwszy wyraźnie i dobitnie z precyzją oświadczało, czego chce, co zamierza. Mówić przeciwko temu, przed którym drżało wszystko od Wisły aż do Newy, który mógł jeszcze powrócić, było to wtenczas coś tak dziwnego, nadzwyczajnego, że to za zasługę, nawet za moc duszy po czytano.

Najdzielniej i najsmielej na tem zgromadzeniu wystąpił Mochnacki. Przez całą godzinę tłumaczył on stan publicznego interesu, zabiegi przeciw-rewolucyjne; nade wszystko zaś starał się okazać wielkie niebezpieczeństwo, w jakim sprawę narodu utrzymywała obecność carewicza pod Warszawą, a większe jeszcze, jeśliby wolno puszczony z wojskiem do Ziem zabranych ruszył, z czego naturalne wyprowadził wnioski, aby głosami poparli Mochnackiego: Bronikowski, Nabelak, Kozłowski, Żukowski i inni klubisci.

Zgodzono się jednomyślnie: aby do rady administracyjnej wysłać deputację, która po wielu korowodach i zwłokach posłuchanie jej prawie szturmem zdobyła. Nie było bez skutku to energiczne wystąpienie klubistów, ale otrzymany, był wcale zamierzonemu przeciwny. Carewicz miał pozostać jeńcem rewolucji, a podmówiono go, aby jak najprędzej cały z pod Warszawy uchodził. Żądano

rozwiązania rady administracyjnej i zmiany radykalnej rządu, a tylko przybrano Mochnackiego i Bronikowskiego, i to z głosem doradczym. Trzeba było koniecznie okrzesać, a jeżeli podobna, całkiem usunąć wpływ osób, które jej swego udzielały kredytu. W tej myśli poszedł na klub Mochnacki. Było to w nocy z dnia 3. na 4. grudnia. Posiedzenie było niezmiernie liczne i, jak ciągle, zbrojne. Ale przemagał już w niem żywioł przeciw-rewolucyjny, a raczej podejrzujący dobre chęci i bezinteresowność rewolucjonistów. Nie przenikając tej, tak prędko dokonanej zmiany, Mochnacki z tą samą śmiałością i otwartością, co na posiedzeniu poprzednim mówić zaczął, ale go zakrzyczano; pogaszono świece i lampy, a tych, którzy posiedzenie chcieli przedłużać, rozpędzono bagnietami.

Taki był koniec pierwszego okresu życia klubu, który miał powołanie wyrwać rewolucję z rąk przeciw-rewolucjonistów i być owym filarem, podtrzymującym moc i prawo opinii rewolucyjnej.

Wybaczą mi słuchacze to pozorne od przedmiotu zboczenie. Wszakże stawiać klub obok rady administracyjnej, rewolucję obok przeciw-rewolucji, chciałem przywieść przed oczy dwa te różne obrazy, w których się streściły dwie odmienne myśli, dwa najprzeciwnejsze sobie żywioły, a które z większą albo mniejszą wyrazistością odbiły się nie tylko w całym dalszym ciągu listopadowej literatury, lecz i w naszym pielgrzymowaniu. Była to wreszcie jedyna w owych czasach literatura. Wstęp i zapowiedź tego, co, gdy pokonana rewolucja ustąpi, zwycięzka przeciw-rewolucja podjąć i dokonać miała.

Jakoż nazajutrz po rozpędzeniu klubu puszczonem zostało w obieg pismo perjodyczne pod tytułem: «Polak sumienny», z drukarni bankowej, pod rozkazami ministra skarbu będącej. Partja Lubeckiego zrobiła Mochnackiemu ten honor, że pierwsze kolumny swego urzędowego organu poświęciła zarzutom przeciw niemu. Wkrótce potem, lub później nieco, z samej kolei silniejszego, lub słabszego spółczucia jednych, a oddziaływania drugich stronnictw i osób, zjawily się inne rewolucyjne organa, złane w dziennikarstwo, tą razą od pocisków cenzury wolne, a które odtąd aż do końca, przez cały ciąg powstania, podejmowało wyłącznie wszystkie trudy

polemiki publicznej i przeprowadzało samo na siebie wszystkie widzenia i doktryny polityczne oraz socjalne, na jakie Polska listopadowa zdobyć się mogła.

Jedyny ten zastęp, w którym rozwijać się ówczasnie mogła umysłowość polska, będzie przedmiotem następnego przeglądu.

KURS CZWARTY.

1860 r.

W ciągu ubiegłego tygodnia, jeden z moich współziomków zwrócił uwagę, iż może niepotrzebnie zajmuję słuchaczy przytaczaniem wyjątków rzeczy im znanych. Przyznaję, że uwaga ta byłaby w zupełności słuszną, gdybym nie miał na celu zestawienia i porównania różnych epok literatury polskiej i pisarzy z tych czasów w ogólności i w szczególności. Wszakże acz w rzutach i zarysach tylko przedstawiam literaturę polską i jej literatów, jednakże jak w sztukach, jak w malowidle, rzeźbiarstwie, budownictwie, albo wreszcie w historii naturalnej nawet, teoria wtedy dopiero przybiera piętno rzeczywistej wartości, kiedy jest poparta praktyką czyli przykładami — to jest: że aczkolwiek nie jest bez pożytku mówić, przedstawiać, rozbierać i oceniać prace oraz utwory Wandyków, Dawidów, Lineuszów, i t. d.; albo opowiadać, jak wygląda i czym jest budowa gotycka, grecka, rzymska, maurytańska, egipska, chińska, indyjska; albo czem się różni słoń od lwa lub girafy, orzeł od nietoperza, i tym podobnie; lecz że daleko więcej jest pożytku i że dopiero wtenczas jest rzeczywisty pożytek, kiedy te arcydzieła i twory natury czy sztuki własnymi się oczyma ogląda i ocenia. Tak podobnie i w literaturze nie dość jest mówić o pisarzu, że pisał, a nawet co pisał i jak pisał, lub czem się jeden od drugiego różnił, ale to wybitnie własnymi jego oddać słowami. Nie mogę też przemilczeć, iż nie tylko jest

zamiarem moim, mówić do tych, którzy te rzeczy znają i doskonale znają, ale i do tych także, którzy je mało albo wcale nie znają. Cóż było znajomszego, co pospolitszego nam uczestnikom listopadowego powstania nad jego dziennikarstwo? A tymczasem iluż jest w kraju, ilu z pomiędzy tu obecnych, którzy go wcale nie znają? Część tych płodów wróg zabrał, część wyniszczył przestach albo lekceważenie, reszta poszła przypadkowo pod placki, tak, że w tej chwili może na całej ziemi polskiej cudem chyba znalazłby się jakiś egzemplarz tych pamiątek wielkich, wielkiego narodowego aktu; a zresztą wszyscy, jak tu jesteśmy, i znamy, i umiemy, i nasze narodowe pieśni, i Ojcie nasz, i Dziesięcioro przykazań, a jednak nie zaszkodziłoby z nas nikomu, jeżeli byśmy je sobie codzień, co rano i co wieczór, w pamięci odświeżali.

Przechodzę do przedmiotu, systematem ogólnym zakresłonego.

Zaprowadzenie dziennikarstwa można uważać za jedną z najgłówniejszych korzyści druku. Ujrzelśmy je u nas w pierwszej połowie zeszłego wieku, nie o wiele w tem uprzedzeni od innych narodów. Prowadzone według niedokładnych pojęć, dziennikarstwo polskie długo nie odpowiadało swemu przeznaczeniu. Przywykli wszystkiego wyglądać od cudzoziemców, nie przeniknieni tą jasną a prostą prawdą, że ci, których naśladowaliśmy, nie mieli, bo mieć nie mogli, żadnego przed sobą wzoru, poruszaliśmy długo dziennikarstwo nasze sprężyną naśladownictwa. Dojrzenie wyobrażeń, objawione najwybitniej na przerodzeniu się poezji, można uważać za erę wyjaśnionych pojęć narodu o ważności i potrzebie pism czasowych, czyli dziennikarstwa. Jakoż istotnie, jeżeli kto z rozsądnym i rozsądnym poglądem zwróci się w przeszłość, ten przyznać musi, że od tej chwili dopiero społeczeństwo europejskie przychodzi do powszechnego a rzeczywistego poczucia się i uznania się w sobie, od której dziennikarstwo rozpoczyna swoją epokę i pełnić zaczyna należny a właściwy mu obowiązek. Dziennik to nie książka zwyczajna, która u nas w Polsce dzisiaj jeszcze niestety! na 100, 300, a już prawie najwięcej, z małym wyjątkiem, bo nie ma reguły bez wyjątku, na 500 egzemplarzy się odbija, z których jeszcze połowa w składzie księgarskim

butwieje, z których drugą połowę ledwie czyta dziesiąty lub dziesiąta; kiedy już dziś na przyrząd, dziennik Czas, lub Gazeta Warszawska, liczą na tysiące abonentów, a z których każdy egzemplarz, idąc z ręki do ręki, dziesięciu albo więcej nieabonujących liczyć może czytelników. Nie dosyć na tem; książka zwyczajna jeden tylko przedmiot traktuje, kiedy w dzienniku, jeśli dziennik chce, wszystko objętem być może: nauki, sztuki i umiejętności, przemysł i handel, literatura, poezja i proza, historia, krytyka i filozofia, religja i teologia, polityka i dyplomacja — słowem, wszystko dla wszystkich, czyli encyklopedia, powtarzająca się codzień, a której w tem zasługa największa właśnie, że się codziennie powtarza.

Bo jeżeli, co człowiekowi właściwe i nawet nieuniknione, znajduje się tam niedokładności, omyłki, fałszywe relacje, błędy i krzywdy, to je jutro nie tylko sprostować, naprawić i usunąć można, ale jeżeli istotnie jedne czy drugie zasługują na to, aby je podnieść albo obalić, tedy jest otwarta droga ku temu codzień sumiennemu dziennikarzowi.

Bo książka zwyczajna wreszcie jest wyrazem i treścią pojedynczego czyli osobistego przekonania albo zachcenia, kiedy dziennik jest, a przynajmniej być winien wyrazem i treścią, jeżeli nie ogólnej opinii publicznej, to tej części społeczeństwa, której myśl i dążenie na kartach jego odbijać się i rozwijać, czyli reprezentować i kształcić się mają. A nie potrzebuje mówić, że rozumieć pod takimi pożytkami dziennikarskimi chwile, w których dziennikarstwo ma ręce najwolniej rozwiązane. Ztąd dziennikarstwo, jeśli nie najpierwsze i nie najgłówniejsze oraz nie najkorzystniejsze dla pracowników w tej winnicy zajmuje miejsce, to pewnie najważniejsze, najobfitsze w owoce, a więc najpotrzebniejsze i najpożyteczniejsze dla celów społeczeństwa.

Nie było dziennikarstwa za dawnych czasów Polski i całej Europy, bo też nie było wyrazu czyli ekspresji z jednej, a kształcenia się czyli postępu z drugiej strony. A jaki od tych czasów postęp rączy i wielki u nas samych tylko! Za Stanisława Augusta blade błyski ledwo; za powstania Kościuszkowskiego i Księstwa Warszawskiego świtać już zaczęła; za Królestwa Kongresowego, acz tłumiona ciemnościami

nocy, rumieni się już jutrenka na dzień, który miał rozwidnieć, oświecić i zbawić całą Polskę i całe społeczeństwo ludzkie; i dla tego też, zanim przejdę do pełnego dnia, którym się rozpromieniło polskie dziennikarstwo pielgrzym-skie i odbiło się światłem jego w dziennikarstwie krajowym roku 1848 i 1849 tak mocno, że do dzisiaj odbija się w niem jeszcze — muszę nad niem zastanowić się obszerniej, aniżeli nad tem, które je poprzedziło.

Z wiadomości, jakie dotąd miałem lub w pamięci zatrzymać mogłem, powiedziałem, że najpierwszym dziennikiem powstania listopadowego był: Polak sumienny.

Prawda historyczna wymaga, powiedzieć dzisiaj: że najpierwszem pismem powstańcem był dziennik: Patrijota, wydawany przez Franciszka Grzymałę i Ksawerego Bronikowskiego, a o którym, jako takim, w braku źródeł nie mogąc mówić, przechodzę do drugiego z kolei:

I. POLAK SUMIENNY. Założony był zaraz w pierwszych dniach rewolucji w drukarni banku. Nikt nie chciał się przyznać do założenia. Opinia wszakże publiczna wskazywała za jego jego założycieli: najprzód ministra Lubeckiego, a po jego wyjeździe w delegacji do Petersburga: Alberta Grzymałę i Antoniego Cypryńskiego. Dzisiaj to pewna, że obaj ci obywatele do tego dziennika pisywali, ale istotnemi jego filarami byli: Konstanty Świdziński, Gustaw Małachowski, Bruno Kiciński, Romuald Hube, Krystyn Lach Szyrma, Teodozy Sierociński, i jeszcze kilku innych. W ogóle Polak sumienny zalecał się świeżością wiadomości z linii bojowej, bo jemu najprzód udzielane były wszelkie raporty urzędowe, i chłopaki uliczne, co przed powstaniem nosiły piasek wiślany po Warszawie, krzycząc: «Piasek czerwony, żółty, różowy — do podłogi bardzo zdrowy!» — potem wołały co rano: «Polak sumienny — bardzo ciekawy.» Jakoż publiczność, w braku wszelkiej edukacji politycznej, zaspakajała się nowinkami o marszach i obrotach wojska, nie troszcząc się o dążność i działania czyli życie i śmierć ojczyzny. Wszakże po upadku reformy rządu, upadł w opinii i Polak sumienny. Zostawiono więc widocznego wydawcę o własnych siłach, a założono Zjednoczenie.

II. ZJEDNOCZENIE. Wychodziło jak początkowo Polak sumienny w wielkim formacie, na kształt owoczesnych dzienników francuzkich i na pięknym papierze. Rozrzucał się wszędzie bezpłatnie, zwłaszcza po odwachach gwardji narodowej. Pismo to zalecające jedność i zgodę, w celu popierania dążeń rozslonionych przy projekcie reformy rządu, wiele bałamuć. Redaktorowie jego byli ciż sami co i Polaka sumiennego. W końcu jednak i Zjednoczenie po walkach z dziennikami opozycyjnemi, a mianowicie z Gazetą Polską, upadło w opinii tak, iż w ostatnich dniach przed atakiem Warszawy, Jan Nachtman, odpowiedzialny wydawca Zjednoczenia, sam na siebie objąć redakcję musiał, lubo po nocy 15. sierpnia ustała zupełnie Zjednoczenia potrzeba.

III. NOWA POLSKA. Naprzeciw Polakowi sumiennemu, a potem Zjednoczeniu, oraz innym organom kontra-rewolucyjnym, o których z kolei mówić przyjdzie, stanął dziennik Nowa Polska, samą nazwą i godłem: «być albo nie być», wypowiadający myśl wprost przeciwną. Różne przeszkody, a najmianowicie zrażenie się niepowodzeniem najenergiczniejszego z rewolucjonistów, i przeto że go według zasługi nazwę, naczelnika *de facto* rewolucji działającej, Maurycego Mochnackiego, który, jak sam o sobie się wyraża: «Opuszczony od przyjaciół prywatnych, w klubie zawiedziony od przyjaciół publicznych, w radzie czyli w ówczesnym rządzie przez najrewolucyjniejszego z członków, w szkole podchorążych przez jej naczelnika, uległ pod ciężarem publicznej niechęci i o mało nie splonąwszy pierwszy w tym ogniu, który naniecił było jego usiłowaniem, uważać siebie począł za pokonanego.» To zrażenie się do innych dołączonych powodów sprawiło, że klub, który w dniach pierwszych powstania tak żywo wzruszył umysły i tyle cudów dokazał, zszedł z widowni powstańczej i tylko w tak zwanej dziurce, czyli małej kawiarni przy ulicy Miodowej, poufnemi rozmowami bezowocne życie przedłużał. Na takiej vegetacji klubu upłynął cały grudzień, ów miesiąc dyktatorski. Dopiero 5. stycznia 1831 r. zmarłychwstaje klub pod postacią Nowej Polski. Powód tego był prosty. Klub jako klub istnieć pod dyktaturą nie mógł i opinia publiczna była też

przeciw niemu. Przyjął więc imię Nowej Polski, trybunę zmienił na dziennik, członków nazwał redaktorami i w składzie osób zaprowadził zmiany, jakich owoczesne, drażliwe jego położenie wymagało. Krótko mówiąc, trzeba było fortem obejść zakaz dyktatorski, a przestraszoną jakubiństwem publiczność uspokoić modyfikacją składu, odkładając resztę do lepszych czasów.

Odbiło się to zaraz w pierwszym numerze Nowej Polski, w ogłoszeniu na samym czelu zamieszczonym, że redaktorami dziennika są: Joachim Lelewel, Piotr Wysocki, Kazimierz Brodziński, Bazyli Mochnacki (ojciec), Maurycy Mochnacki (syn), Kamil Mochnacki (brat), J. B. Ostrowski, Walenty Zwierkowski, Józef Bohdan Zalewski, Ludwik Nabelak, Adam Gurowski, Jan Ludwik Żukowski, Aleksander Kazimierz Puławski i Wojciech Kazimierski.

W numerze drugim przybywa: Jan Nepomucen Krzyski;

W ósmym: Józef Chrzęszczewski;

W jedenastym: Marcei Pomaski i Seweryn Goszczyński;

W dwunastym: ksiądz J. Gacki;

W dziesiątym zaś ubywa: Brodziński, i jako redaktor główny podpisany Żukowski;

A w jedenastym ubywa: Zwierkowski.

Od numeru 24. nie ma już wymienionych redaktorów; wszystkie jednak aż do numeru 214. podpisane są przez Żukowskiego; od 216. do 239. nie ma podpisów, a numer 240 z dnia 5. września podpisany przez Kazimierskiego. Ze ta statystyka nazwisk Nowej Polski jest razem historią dyplomatyczną klubu, może dzisiaj jeszcze nie wszyscy wiedzą. Jak to jednak się stało, że ludzie tak rozmaitych widzeń zbiegli się w tem ognisku, tego w odmienny sposób wytłumaczyć nie można, zwłaszcza, że jednym i drugim ani najszerszego patriotyzmu, ani najlepszego dla sprawy publicznej chęci, ani gotowości do wszelkiego a bezinteresownego poświęcenia się odmówić nie podobna.

Żeby pewniej obejść zakaz dyktatora i rozbroić podejrzliwość opinii publicznej, założyciele Nowej Polski zapowiadają z góry, że nie ma między nimi żadnego towarzystwa, żadnego spoju — nie ma narad, nie ma sporów — łączy ich mniej więcej tożsamość zasad, dążeń, wyobrażeń politycznych

i naukowych, mających przeciw główne znamię umysłowego i politycznego przeistoczenia Polski. Jak zaś założyciele Nowej Polski pojmują polityczne przeistoczenie Polski, to tłumaczą w akcie politycznej swej wiary:

«Nowa Polska, słowa są wstępu, jako dziennik polityczny, wzywa zmiany naszego konstytucyjnego porządku, liberalnego urządzenia towarzyskich stosunków i stanowczej przewagi wpływu władzy ludu na instytucje państwa. Obecna rozpoczynająca się era jest erą ludów i wolności. Lecz węgielnym kamieniem tej rekonstrukcji odrodzenia Polski musi być zjednoczenie rozszarpanych części naszej ojczyzny...»

Następny numer 2. z 6. stycznia wypowiada myśl Nowej Polski jaśniej jeszcze. Artykuł pod tytułem: Jakie jest nasze położenie?, napisany z powodu myśli układów, a w którym w słowach jawnych i śmiałych Nowa Polska oświadcza się przeciw myśli układów, przygotowywała opinię publiczną do odrodzenia powstania w nocy 29. listopada. Ale była to już nie lada truda i zachodu robota, po straconym najwালniejszym, bo najpierwszym, najmłodszym i przeto najgorętszym miesiącu; po obalamuceniu się tak wielkiem i powszechnem, że maksyma najzupełniej kontrrewolucyjna: «Niechaj Mikołaj, król konstytucyjny Polski, wojuje z Mikołajem, carem absolutnym Wszech Roscji» — jeszcze za ultra-rewolucyjną uważaną była. Za powrotem Jezierskiego z Petersburga, który zamiast obiecanych przez Lubeckiego prowincji przywiózł burę carską, otworzyły się rządzących oczy, ale konfuzja pomieszała do reszty wszystko. Złe tem było groźniejsze, że sejm nie przedstawiał rękoi. «Utwórz przedpiętnastoletnich o reprezentacji wyobrażeń, pisze Nowa Polska, skutek konstytucji, będącej darem najazdu despotyzmu, jest w swym składzie najsprzeczniejszy z teraźniejszymi wymagalnościami właściwej towarzyskiej reprezentacji.» Tym sposobem Nowa Polska wywoływała sejm do przeciw-dotychczasowego działania, przestrzegała, że publiczna cierpliwość wyczerpać się może, dawała do zrozumienia, że jeżeli powstanie zawiedzie się na obradującym sejmie, tedy może zechce postarać się o inny.

Tymczasem z przesłuchania Jezierskiego okazało się, że dyktator przesłał najniezgodniejsze z narodu interesem oświadczenie carowi, że najwierniejszym jego poddanym się

pisał, że objął władzę jedynie dla wstrzymania postępu powstania, że, krótko mówiąc, zawodził położone w nim zaufanie narodu.

Z upadkiem dyktatury dnia 18. stycznia upadł zakaz klubu. Zaraz tedy nazajutrz do sal redutowych zebrała się publiczność liczna bardzo. Redaktorowie Nowej Polski: Lelewel został prezesem, a Mochnacki wice-prezesem klubu, nazwanego teraz Towarzystwem patriotycznym, które dopełniając następnie swej organizacji, powołało jeszcze na wice-prezesów Romana Sołtyka, Ksawerego Bronikowskiego i Aleksandra Kazimierza Puławskiego, a na sekretarzy Michała Dębińskiego i Tadeusza Krępowieckiego.

Jaka była myśl Towarzystwa patriotycznego? Odpowiedź krótka: Taż sama co klubu i Nowej Polski.

Towarzystwo w części uorganizowane, przeniosło swe zebrania do sali posiedzeń akademickich. Ustanowiono tajny komitet do zawiązania stosunków z ludem. Głową tego komitetu był młody i dzielny Artur Czarny Zawisza, późniejszy męczennik, a duszą Józef Kozłowski, człowiek z pozoru żartobliwy, a w gruncie głęboko myślący radykalista. W parę dni Towarzystwo wzrosło tak dalece, iż go ogromna sala akademickich posiedzeń objąć nie mogła.

Uchwały zapadały z wszelkimi formalnościami. Do ważniejszych, sejmowi przedstawianych, należały:

- 1) Uwiadomienie sejmu o zawiązaniu Towarzystwa.
- 2) Akta zaskarżenia przeciw Chłopickiemu.
- 3) Petycja o ustanowienie trybunału na polityczne przestępstwa.
- 4) Ogłoszenie niepodległości wszystkich prowincji polskich.
- 5) Uwolnienie wszystkich Polaków od przysięgi carowi.
- 6) Wezwanie do sejmu obywateli: Litwy, Wołynia, Podola i Ukrainy.
- 7) Zrzucenie z tronu Mikołaja.

Sejm, według świadectwa Mochnackiego, z niechęcią, a nawet z oburzeniem i gniewem odbierał te przedstawienia, zaś adresu o zawiązaniu się Towarzystwa wcale nie przyjął. Obelga ta oburzyła i rozpałała nienawiść kilku członków Towarzystwa, a wszystkim nie dawała dobrej rękoi, co się

stanie z innemi adresami, a mianowicie z rzucając z tronu Mikołaja. Postanowiono zatem nabawić strachu wielką, zgiełkliwą demonstracją przed oknami izb sejmu na cześć męczenników rewolucji petersburskiej, a która, niechaj sobie jak kto chce uważa ją i ocenia, zakończyła się powszechnym izb sejmujących okrzykiem: «Nie ma Mikołaja!» Do obrzędu tego myśl pierwszą podał i wspólnie z Kazimierzem Puławskim, Tadeuszem Krępowieckim, Ksawerym Bronikowskim i Rajnoldem Suchodolskim wykonał Franciszek Grzymała. Orszak ten żałobny z trumną, ozdobioną imionami pięciu męczenników rosyjskich, obchodził główne ulice Warszawy, zaczawszy od zamku, gdzie sejm dyplomatyzował. Na kilku miejscach były głosy rzewne. Uroczystość ta jakby wieszczem przeczuciem przygotowywała to, co później, po ciężkich latach, w takie na tułactwie złożyło się słowa:

«Nie pierwszy raz, my Polacy, odzywamy się z głębokości utrapienia naszego, wołając o braterstwo i miłość, o prawa i sprawiedliwość — a wołając do was rok za rokiem, dzień za dniem: Cośmy wam zawinili, Moskale?

«Wołaliśmy tak do was przez męczeństwo trzydziestu tysięcy Barskich, poległych za ojczyznę i wolność;

«Przez męczeństwo dwudziestu tysięcy obywateli Pragi, wyrzniętych przez Suwarowa waszego;

«Przez krew pól Dubienki, Radoszyc, Maciejowic, przez rany i więzienie Kościuszki i jego towarzyszy, w lochach Moskwy i Petersburga gnojonych;

«Przez śmierć stu tysięcy rycerzy polskich, poległych po wszystkich bojuiskach świata ujarzmionego, w pustyniach Ameryki, na gruzach Kapitolu, przy piramidach Egiptu, w wozach Somosiery, pod skwarem St. Domingo i wśród lodów i śniegów północy.

«A gdy boje zmęczyły mocarzy świata i zabrakło im ofiar, myśmy wołali do was przez usta Łukasińskich i Krzyżanowskich, Umińskich i Łagowskich, Machnickich i Dobrogońskich, Dębków i Sołtyków; przez łzy, cierpienia, więzienie i śmierć tych wszystkich męczenników polskich, mówiących usty żywymi do serc Pestłowa, Rylejewów, Bestużewów, Murawiewów, Kochowskich, onych wielkich waszych męczenników, pomordowanych przez cara waszego.

«A była to mowa tak szczerą, tak serdeczną, tak wprost z serca płynącą, tak sławiańską, że nie ma serca w Sławianinie tym, w którym nie zadrgnie ono na samo jej wspomnienie.

«A potem w lat kilka ledwie, ażaliż nie mówiliśmy do was, wypłaszając z legowiska, które był na ziemi naszej założył, on nie człowiek, ale zwierzę dziki; a który nie tylko na naszej ziemi polskiej, ani na waszej, ani na całej świętej ziemi sławiańskiej, nie godzien był ani chwilę znaleźć jednej pędzi ziemi do postawienia stopy.

«I ażaliż nie mówiliśmy do was z bruku warszawskiego, kiedy lud polski, czcząc publicznym obchodem śmierć męczenników waszych, niósł na polskich ramionach trumny, kirem polskim okrytą, na której stały napisy: Pestel, Bestużew, Rylejew, Murawiew, Kochowski; niósł ją do waszej świątyni i zaklinał was, was Moskale, on lud polski na klęczkach, rosząc łzami kamienie, abyście pomścili się krzywd polskich i waszych własnych; i to w chwili, w tej samej chwili takie przymierze zawiązywał z wami kiedy przez sejm swój zrywał ostatnie ogniwo swe z waszym rządem tyrańskim i detronizował swego i waszego tyrana, wołając: «Precz z Mikołajem!»

«I ażaliż nie mówiliśmy do was z pól Grochowa, Wawru Igań, Dembego, Ostrołęki i z tych zalanych krwią kościołów Oszmiany i Woli, i z wałów wreszcie Warszawy, gdzie tyle krwi waszej i naszej się polało, gdzie tyle waszych i naszych kości się tyra; czyśmy nie mówili do was ze straży naszych bojowych owemi chorągwiemi z napisem: «Za waszą i naszą wolność...»

Polskie powstanie listopadowe, ta szlachetna córa powstań Barskich, Kościuszkowskich i z tych czasów Napoleońskich za sprawę Polski — powstanie najszlachetniejsze i najsprawiedliwsze wśród wszystkich, ile ich tylko i gdziekolwiek było, upadło pod przemocą sił i intryg carskich. Stary, okropny, Herodowy porządek zapanował w Warszawie. Polska raz jeszcze upadła, ale jak nigdy, tak też i tą razą nie upadła cnota i poświęcenie polskie.

Parta przez Prusaków i Austrjaków, współników zbrodni carskiej — Polska męczęńska przeniosła tęsknotę i nędzę tułactwa nad zhańbienie się pokłonem carowi — poszła

w świat, opuściła ojczyznę — a kto nie wie, co to jest dla Polaka opuścić swą ojczyznę?

Poszła! Poszła cała!

Wszystko, co tylko sercem było szlachetnem, wszystko, co tylko z paszczy wroga wydrzeć się mogło, a nie było wymordowane w Fischau przez Prusaków, niezgnojone w lochach Szpilberga i Kufstejnu przez Austrjaków, nie zaknutowane w Kronsztadzie, lub niezagnane na Sybir i na Kaukaz przez cara — wszystko, wszystko: rząd, sejm, generałowie, podchorążowie, żołnierze — wojskowi i urzędnicy, księża i nauczyciele, młodzież i starcy, ocaleni z bojów i kalecy bez rąk, bez nóg, o szczudłach i o kiju — szli, szli w cudze kraje, dalekie, ze łzami w męzkim oku, z rozdartem sercem od żalu i tęsknoty za pozostawionymi ojcami, matkami, żonami, bogdankami, niemowlętami; za niwami, lasami, wodami i powietrzem ojczystem, za tą całą ojczyzną, Polską; szli, odstępując dóbr, mienia, bogactw i skarbów, ale z nadzieją w sercu, ale z wiarą w duszy, że ludy na ten pochod ich patrzą i że po drodze spotkają ludzi sprawiedliwych na ziemi.

A kiedy ludy zdziwione tym niesłychanym i niewidzianym dla nich pochodem, pytali: — Tułacza Polsko! gdzie idziesz? — tedy Polska odpowiadała im:

«Idę walczyć za ojczyznę i ludzkość.

Idę walczyć za sprawiedliwość, za wolność, równość i braterstwo ludów.

Idę walczyć dla wyzwolenia braci moich z niewoli, dla skruszenia ich kajdan i kajdan świata całego.

Idę walczyć przeciwko ludziom nieprawym, za ludzi prawych, przez nich podeptanych; przeciw panom za niewolników, przeciw tyranom za ofiary ich.

Idę walczyć przeto, aby kilku nie łupiło wszystkich: aby podnieść pochylonych i wesprzeć upadających, aby ojciec nie złorzeczył dniowi, w którym mu oznajmiono, iż syn mu się urodził, ani matka dniowi, kiedy po raz pierwszy syna przytuliła do łona; ażeby brat nie smucił się widokiem siostry więdnącej, jako więdnę ziele, którego ziemia więcej żywić nie chce — i aby siostra nie patrzyła na brata z domu wychodzącego, a niemającego już wrócić.

Idę walczyć, aby każdy pożywał owoce pracy swojej w pokoju, aby wygnać głód z chałup; aby wrócić do rodzin pokój i radość; aby otrzeć łzy drobnych dzieci, proszących chleba! a którym odpowiadają: Nie ma chleba! zabrano nam ostatnie jego okruchy! — Aby ci, których ciemieży wtrącili w głębokie, zgniłe ciemnice, odetchnęli wolnem, świeżem powietrzem i ujrzeli światło dzienne; aby wyzwoić z pod ludzkiego jarzma myśl, słowo i sumienie ludzkie.

Idę walczyć, o ludy! dla złamania przegród, oddzielających was, które nie dopuszczają, abyście się uściskali jako synowie jednego ojca — stworzeni, byście żyli we wzajemnej miłości i kochali się jak bracia.»

Z taką mową na ustach, Polska ugnieciona i wyklęta przez cara, ciągnęła od progów swoich rodzinnych, aż na ostatnie krańce Europy; taką mową odzywała się do ludów przez usta Dziewickiego, Zawiszy, Wołowicza i tego mnóstwa swoich męczenników — do żołnierzy, którzy w ich piersi zabójcze karabiny mierzyli — do katów, co im stryczki na szyję zaciskali, i głosem błagającym wołała: «Przepuść braciom, Boże! bo nie wiedzą, co czynią!» — A wołała tak przez usta Konarskiego, rozstrzelanego w Wilnie, kiedy ten patrząc na wyrok śmierci, który car podpisał, rzekł: «Błędym car atryamentem podpisał, ale jego wyrok krwią pisany będzie.»

Przez usta Ehrenberga i tej całej młodzieży akademickiej, co wleczona na Sybir, po wszystkich siolach i miastach moskiewskich swobodnie i wesoło śpiewała: «Oj! jeszcze nie bieda, kiedy za ojczyznę cierpieć jej synom wolno!»

Przez usta Wiśniowskiego we Lwowie, kiedy z rusztowania, gdy lud zroszone łzami kwiaty i wieńce ciskał mu pod nogi, on go żegnał słowami: «Nie nademną płaczcie, ale nad wami, bo ja za chwilę wolnym będę, a was niewolnikami zostawiam.»

Przez tę rzeź galicyjską, przez ową zbrodnię nad zbrodnię, przez śmierć tysięcy na rozkaz cesarza austriackiego cepami i kijami pozabijanych żon, mężów i dzieci; przez śmierć Dembowskiego, przez mord księży i obywateli, dzieci, niewiast i tej całej procesji świętej, co, gdy straszna o onej zbrodni rozeszła się wieść, że ten, co najpierwszym książę-

ciem chrześcijańskim mieni się, popchnął braci na braci i braciom za głowy braci zapłatę przyobiecał — szła ze Zbawicielem rozciągniętym na krzyżu, z chorągwiemi kościelnymi rozwiniętymi — szła bez broni, z braterskiem tylko słowem na ustach, z miłością w sercu, z krwią i ciałem Chrystusa w ręku kapłanów, i cała wymordowana została, śpiewając: «Święty Boże!»

Jak gdyby trąbą archanioła zbudzony, podniósł się 1848 r. lud cały; ale nie była to snąć jeszcze chwila sądu ostatecznego, kiedy ten, co miał sędzić, a co zwie się Sprawiedliwością, nie stanął na Józafatowej dolinie.

Polska wierna swej wierze, Polska z pełnem sercem nadziei, Polska zawsze gotowa do spełnienia obowiązku względem braci, stanęła na ten apel, nie pytając, co się z tego wywiąże, jako nie pyta dobry żołnierz, słysząc, że biją alarm — czy to alarm potrzebny, czy niepotrzebny, złudliwy albo też prawdziwy.

Z barykad Paryża, z Moabitu Berlina, z więzień Kufsztejna, z obozów Poznania, wśród ruin i pożarów bombardowanego Krakowa, Lwowa, Pragi, Drezna, Rzymu, z zalanej krwią Badenji, Sycylii, Siedmiogrodu, Węgier, z internowania tureckiego w Azji — Polska w niebogłose wołała: »Jestem!» I to: Jestem! to polskie poświęcenie za wolność: «Jestem!» wszędzie, wszędzie krwią przypieczętowała.

A nie myślcie, o ludy, ażebyśmy tem przywiedzeniem tej części mąk i cierpień naszych odwiecznych, które jako wody w obec wód morskich, są w obec oceanu narodowych boleści naszych, nieśli wam żale lub wyrzuty jakie.

O! niech nie ma przystępu myśl tak podejrzliwa do serc waszych, jako my ją wyzuwamy z serc naszych, ożywionych ku wam najszczerzszemu i najczystszzemu uczuciem. My bracia, więc jak bracia kochać się i wierzyć sobie winniśmy. A nie niegodniejszego nad podejrzliwość braci.

Wielkie nasze polskie nieszczeście. Ale my wiemy, że wy nawet Moskale gorzko czasem nad tem naszym nieszcześciem płaczecie. My to wiemy od naszych ojców i braci, w dyby zakutych i pędzonych na Sybir i na Kaukaz. My to wiemy od synów naszych, zaszytych w żołdackie szyniele carskie i przez różgi pędzonych. My to wiemy od katów naszych i waszych, od samego cara Mikołaja, któremu te

ły wasze nad nami zakłócają sny i mięszają jego plany szatańskie.

Dzięki wam za współczucie! Polska umie cenić te ły szlachetne. Ale płacz potomkom Bestużewów i Pestłów nie zawsze przystoi.

Czas, czas już wielki, płacz męża mężką wolą zastąpić.

Czas, czas już wielki, przestać być niewolnikiem i sprawcą niewoli braci!

Czas, czas bardzo wielki, ukochać bliźniego jako siebie samego!

Czyż nie słyszycie tych jęków i tego zlorzeczenia ludów, których ujarzmicielem z woli cara jesteście?

Czyż wam nie padają zarzewiem na serca te ły i ta krew codzienną, co godzina za sprawą waszą płynące?

Oto bracia wasi Polacy do was przychodzą z błaganiem: Zlitujcie się nad światem bożym! Przestańcie być katami, krwawym biczem świata w rękę cara waszego.

A jeżeli to wołanie nasze będzie głosem na puszczy, och! jeśliby jeszcze odbić się miało o skałę, toż nie zadziwicie się, jeśli czasem oblicze nasze odwróci się od was, zalane krwawymi łzami zawodu!...

Snać głos szczery nie zawsze jest jednak głosem wołającego na puszczy, bo wkrótce na to wołanie z piersi polskiej taki poszedł głos z piersi rosyjskiej:

«Krew i ły, rozpaczliwa walka i straszliwa porażka, zakrwawiły i łzami zalały Rosję i Polskę.

«Kawałami rwała Rosja żywe ciało Polski, odrywała ziemię jej za ziemią, i jak lichy, lichy nieuchronnie, jak złowróżbna chmura, przysuwała się coraz bliżej ku jej sercu.

«Zajęciem Polski zaciągnęła Rosja pierwszy grzech czarny na swoją duszę. Podział ten zostaje na jej sumieniu.

«Warszawa i Stambuł były to dwie dręczące mary, dwa zwodnicze widma, nie dające spać carom w ich zimowym pałacu.

«Aleksander po roku 1812 pokonał całą Europę, a wziął tylko Polskę. Wojska jego zajmując Paryż, zawojowały właściwie jedną Warszawę.

«Europa wtedy już grzybiejąca i zniedołężniała, bezmyślnie oddała Polskę, oddała ją w Wiedniu zbawionym przez

Polaka. Europa sądziła, że po wzięciu Paryża nie ma się czego już obawiać. Była zabezpieczoną od zachodu.

«Nikom do głowy nie przyszło, że ta droga od wschodu była wydeptana Kozakami.

«Aleksander wmówił w Europę, że można być carem rosyjskim i razem królem polskim. On wmówił w nią, że samowładca petersburski może być władcą konstytucyjnym w Warszawie.

«To było kłamstwo.

«Chytre kłamstwo zamienił Mikołaj na okropną prawdę.

«Poczuwszy szorstką rękę jego, Polska 1830 r. powstała.

«Od 1793 r. nic nie było szlachetniejszego, nie poetyczniejszego nad to powstanie. To nie była bójka trzydniowa na ulicy. To nie było zniecka odniesione zwycięstwo nad wojskiem popłoszonym i nieprzygotowanym do boju — to była zacięta wojna przez całe dziesięć miesięcy, wojna prowadzona przez całe wojsko przeciw wojsku trzykroć silniejszemu; wojsko, stawające za naród, ginące za naród — nie za władzę, nie za katów jego.

«Zduszeni siłą, zaprzędani przez zachodnie rządy i własnych zdrajców, Polacy walcząc, za każdym krokiem ustępowali. Przeszedłszy granicę, zabrali ze sobą ojczyznę i nie uchyliwszy głowy, dumnie i ponuro nieśli ją ze sobą przez świat.

«Europa rozstała się z uszanowaniem przed tryumfalnym pochodem wojowników odważnych. Narody wychodziły na przeciw nich z pokłonem. Królowie ustępowali na bok, aby zrobić im przejście.

«Europa ocknęła się trochę od rozgłosu ich kroków.

«Szlachetny obraz polskiego wychodźcy, tego krzyżaka wolności, pozostał w pamięci narodów. On odkupywał wiek małoduszny i chłodny, on sprzymierzał człowieka z ludźmi i ożywiał dawno usłone nadzieje.

«Dwadzieścia lat przeszło na obcej ziemi; w niedostatku i nędzy, w pocie czoła pracując na lichy kawałek chleba, często uciskani i pędzeni z kraju w kraj, polscy wychodźcy bezprzerwanie jedną myślą byli zajęci: wskrzeszeniem wolnej Polski. Ani wiara ich nie pobiadła od straszliwych przygód, ani miłość ich nie ostygła od najdotkliwszych uraz, ani czynność ich nie stępiała, a siły nie osłabły od trudu i zawodów.

«Właśnie przeciwnie, na każde zawołanie ludowe, na groźne dnie bojów i niebezpieczeństwa, odpowiadali: jestem!

«I rzeczywiście, jasno-włosy syn Polski stawał w pierwszym rzędzie każdego narodowego powstania, uważając wszelki bój za wolność.

«Ale nie cała ich ojczyzna była za granicą.

«Wtedy, gdy jedna Polska szła na zachód, ocalając wydaleniem się swoim ojczyznę, druga Polska w kajdanach szła na Sybir, zbawiając ją męczeństwem. Co tylko żyło, co tylko nie zaciemniało, co tylko tchnęło nadzieją, młodzi i starzy, żony, księża i dzieci, wszystko to szło w śnieżne stepy.

«Przez dwadzieścia lat z tym samym zapalem, z tą samą zawziętością rozводził car pastwę swoją nad Polską, depcząc nogami wszystko co polskie, wszystko co człowiecze.

«Wtłoczywszy w ziemię ostatnie latorośle, zniósł między Polską a Rosją granicę...

«Czyli w tem wszystkiem żadnej już nie ma myśli, oprócz krwawej walki, wygnania i niewoli, oprócz okrutnego zwycięstwa z nieprawego zaboru?

«Nie. Z pośród ciemnego szeregu przygód, z pośród kurzącej się krwi przez szubienice, głowy cara i katów, świta dzień nowy! Ze strony Polski odtrącone są krzywdy, zapomniany gwałt, poświęcona nienawiść. Ona prawa, zboleła ku nam wyciąga rękę. Hańba nam, jeżeli uścisnąć jej nie potrafimy...»

Po tem zboczeniu, które mi szanowne zgromadzenie wybaczyć raczy, przez wzgląd na styczność z przedmiotem, wróć do głównej treści na przyszłym posiedzeniu.

KURS PIĄTY.

1860 r.

Powiedziałem, że dziennikarstwo w odniesieniu do literatury ogólnej, uważać należy za najważniejsze i najpożyteczniejsze sprawowanie obowiązku w obec potrzeby narodowej, a to z tej przyczyny, że książka a dziennik są to dwie rzeczy tak do siebie podobne, a jednakże tak różne, że książka zwyczajna dopełnia obowiązku, jak jeden albo dzieśnięć, kiedy w tym samym czasie dziennik dopełnia tegoż obowiązku jak tysiąc i sto tysięcy razy, jeżeli z jednej strony dziennik, a z drugiej strony społeczność, której on służyć zamierzył, pojmują wzajem obowiązki swoje. Bo książka jest jakby osobliwość, która chciałaby się przedstawić czyli zalecić publiczności na wieczności, i która przeto jako taka wszelkich używa sposobów dla podniesienia wyłącznej swej wartości — kiedy dziennik ma to przedewszystkiem zadanie, ażeby nie jutro, nie po jutrze, nie za sto, albo tysiąc lat, nie na wywołanie, kto da więcej i kiedy — ale dzisiaj, a przynajmniej jak najprędzej, przynieść sprawie publicznej jak największy pożytek. Ztąd też to wszystko, co przeciwko najprędzszemu, czyli najrzeczywistszemu pożytkowi społeczeństwa szkodzić chce, to nie książce zwyczajnej, pojedynczej, ale dziennikarstwu staje na zawadzie, czyli: że to wszystko, książkę zwyczajną, pojedynczą za mniej niebezpieczną niżeli dziennik uważa. Bo myśl przeciwna rozumie to dobrze, że książka jest jako perła na dnie morza złożona, o której, choć kto wie, że być tam może, jeszcze jej pomimo naj-

większego zachodu i trudu wydobyć nie podola, a nadto jeszcze poznać ją, ocenić i dowieść że jest perłą potrzeba. Kiedy dziennik co dzień, co godzina sam się przedstawiając, natrętny jak zmore, co po nocach spać nie daje, co dzień, co godzina powołuje i wywołuje społeczeństwo do spełnienia powinności. Bo dziennik jest jako nadbrzeżna latarnia morską; morze huczy, wre, szumi, wszystko zniszczyć i wszystko pochłonać i zaprzepaścić gotowe; ale świeci latarka morską rozważnemu i przytomnemu żeglarzowi, i choć wszystkie żywioły przeciw niemu się wzmogły, powietrze, wody, ciemności — on wzrokiem wlepionym w światło, które mu przyświeca, kieruje się nim i staje u portu, zwiastując ocalenie statku zagrożonego okrzykiem, porówni rwącym się z piersi już mniemanych rozbitków, jako i tych nad brzegiem oczekujących: «Chwała Bogu! statek ocalony!» — albowiem *Salus populi manifestatio Dei est.*

Oświadczyłem, że korzystać będę z objaśnień mi udzielonych. Owoż, pomimo iż w obec zakreślonego czasu trudno mi korzystać z objaśnień różnorodnych, muszę wszakże cofnąć się na chwilę w czasy ubiegłe i dotknąć się tych czasów, kiedy po krwawej, wieloletniej wojnie całej niemal Europy pod wodzą Napoleona I., kraj nasz począł się dźwigać ze swego moralnego i materialnego upadku. Stan uniwersytetu wileńskiego był, jak na owe czasy, wielce kwitnący. Sławni z nauki i talentu pisarskiego Śniadeccy — Jan i Jędrzej — jaśnieli na widnokręgu Litwy obok uczonych: Grodka, Franka, Borowskiego i rozpoczynającego wtedy świetny i ważny swój zawód Lelewela. Wtedy to ruch umysłowy w Wilnie z każdym dniem rozświecał się widoczniej. Wskrzeszony przegląd naukowy zaczął wychodzić pod przewodnictwem: Śniadeckich, Kontryma, Niemczewskiego i innych światłych oraz patriotycznych profesorów wileńskich, wspierany współpracownictwem młodzieży tamecznej, z grona których najgorliwszymi współpracownikami byli: Lachnicki, Szydłowski, Narbut, Bogatko, Żukowski, Baliński, Grzymała i kilku jeszcze innych, równie z nimi obierających za treść prac swoich przedmioty z ekonomji politycznej, dążące do usamowolnienia uciśnionego rolniczego ludu. Jednocześnie wychodził tamże Tygodnik wileński pod redakcją wspomnianego już Balińskiego, przy współpracownictwie Lelewela,

Legatowicza, Żukowskiego i kilku jeszcze innych. Ale najważniejszym zjawieniem w owoczesnem piśmiennictwie wileńskim było pismo humorystyczne Wiadomości brukowe, poświęcone wyłącznie rozwijaniu prawdy w sposobie żartobliwym, a w którym redaktorowie powstawali żarliwie na niebraterskie i nielitościwe obchodzenie się panów z poddanymi, i wszelkimi sposobami usiłowali rozbudzić, w posiadaczach tak nazwanych dusz, uczucie miłości i równości braterskiej. Inną rzadą będę miał sposobność zastanowienia się nad tem naszym zjawiskiem literackiem szczegółowiej, a teraz przechodzę do ustępu reklamy dotyczącego Warszawy.

Pokój Europy, założenie uniwersytetu w Warszawie, konstytucja, zapewniająca pewien rodzaj reprezentacji narodowej, a nawet wolność druku, usiłowania Towarzystwa przyjaciół nauk — wszystko to korzystnie zaczęło wpływać na rozwijanie się życia umysłowego w Królestwie Kongresowem, a mianowicie w Warszawie, która oddawna była zawsze ogniskiem narodowości naszej. Zaczęły wychodzić książki treści naukowej elementarne do użytku uczącej się młodzieży; ale literatura perjodyczna nie powiększała zakresu działania swego nad ten, jaki był za czasów Księstwa. Dwie gazety polityczne, Pamiętnik naukowy warszawski, przez pierwsze lat cztery zdawały się wystarczać opinji publicznej, uśpionej poniekąd mniemaną liberalnością Aleksandra. Nie probowano korzystać z wolności druku, wpisanej w konstytucję, nie nie burzano się na łagodną cenzurę dwóch zacnych patriotów, księdza Bohusza i księdza Szaniawskiego. Dopiero po sejmie 1818 roku Bruno Kiciński z Teodorem Morawskim, postanowili bez cenzury wydawać dziennik polityczny: Gazeta codzienna, na swoją własną odpowiedzialność. Za punkt wyjścia legalny wzięli konstytucję i utrzymywanie ducha narodowego. Przez rok z górą udawało im się prowadzić spokojnie to wydawnictwo; ale w r. 1819 z powodu znanego wypadku na teatrze francuskim w Warszawie i wdania się z tego powodu policji, posłusznej rozkazom Wielkiego księcia, Gazeta codzienna została zakazana. Redaktorowie wożeni do Belwederu i turbowani przez carewicza, nie mogąc wskrzesić Gazety, zaczęli wydawać Kronikę (jeszcze pod swoją odpowiedzialnością), która niebawnie także za-

kazana, dała myśl redaktorom rozpoczęcia wydawania dziennika: Orzeł biały, zmuszonego ulegać cenzurze. Rok istnienia tego pisma był epoką ciągłej walki redakcji z cenzurą, a jeszcze bardziej z wielkim księciem. Prócz dwóch wyżej wspomnianych wydawców, którzy rzeczywiste położyli zasługi w tym trudnym zawodzie, inni jeszcze rodacy zasilali pracami swemi Orła białego — a pomiędzy nimi: Niemcewicz, Brykczyński, Skomorowski i Franciszek Grzymała, przybyli już wtenczas z Wilna do Warszawy. Lecz po roku z górą cierpkiego bytu Orla Białego, Kiciński i Morawski znudzeni, zaprzestali wydawać pisma, zdając na Grzymałę i drukarnię i uciążliwą, ale potrzebną walkę w obronie swobód i sprawy ojczystej. Grzymała za porozumieniem się z Niemojowskimi i innymi członkami opozycji sejmowej, zawezwawszy do pomocy kilku literatów, zaczął wydawać przegląd literacko-polityczny, pod tytułem: Sybilla Nadwiślańska, również pod cenzurą, należącą do ministerjum spraw wewnętrznych. Pismo to poświęcone było głównie celom patriotycznym, obudzeniu ducha narodowego i wyobrażeń postępowych. Jednocześnie w podobnychże szlacheckich celach zaczęła wychodzić Dekada Polska, pod redakcją Ksawerego Bronikowskiego i Wiktora Helmana, wspierając usiłowania Sybilli. Ale już po kilkumiesięcznych zatargach z coraz surowszą cenzurą, Dekada polska ustała, przekazując prenumeratów swoich Sybilli. Przecież i to pismo nie długo się cieszyło życiem. Wzmagająca się podejrliwość Nowosilcowa i carewicza, poleciły namiestnikowi Królestwa zakazanie Sybilli. Po bezskutecznych usiłowaniach wskrzeszenia pisma, dopiero w kilka miesięcy Franciszek Grzymała zaczął wydawnictwo nowego pisma: Astrea, w celach podobnych, ale już pod cenzurą surowszą i podejrliwszą głośniego radcy stanu Szaniawskiego.

Kto z nas nie wie, kto nie czuje potrzeby przypominania niezasłużonych i raz wreszcie zakończyć się muszących ucisków, jakich ze strony wrogów Polski, a szczególnie Moskwy, doznawaliśmy w różnych czasach i doznajemy dziś jeszcze? Ciągłych tych i niczem niezachwianych usiłowań dawała i daje aż nadto dowodów, niesłusznie uciskana i prześladowana, a co najprzykrejsza i najboleśniejsza do dziś dnia niepomijana i niezrozumiana Polska. Za nadto

wiele miałbym do powiedzenia w tym przedmiocie, za zbyt długo musiałbym zajmować uwagę słuchaczy moich, żebym chciał, a raczej mógł rozwiązać to wszystko, co na tej drodze podjętem i dokonaniem przez Polaków było albo jest. To też zostawiając wolne pole tym, którzyby o tym przedmiocie mieli więcej sposobności powiedzenia odemnie, i oceniając pod tym względem ich zasługi najzupełniej, zaledwie tyle mi pozostaje czasu, ażebym wszystko, co o tem powiedzieli różni i różnie, odbił jednym streszczeniem dla nas, a streszczeniem najzrozumialszem, bo poetycznem:

Synu Moskwy, wznoszę śpiew,
Nie ten, co jękiem męczeństwa
Za mojego ludu krew,
Sze ci wciąż i wciąż przekleństwa;
Nie ten, który ze stron wszech
Zlany w jeden wzgardy śmiech,
Mści się na tobie szydersko
Za ludzką kaganą przez cie —
Nie! w tej chwili ja ukrywam
W głąb serca polskie boleście,
A tylko przestroję śpiewam,
Posłuchaj duszą braterską.

O potępieńczy to ród
Twoich panów, twoich carów,
Że tak wszech zbydlił lud.
Jakichże to siłą czarów,
Ten zesłaniec piekła mógł.
Gdy mu wrogiem człek i Bóg,
Przetworzyć w ślepe morderce,
W martwy knut na bliźnich wolnych,
Ludzi wolnymi być zdolnych?
Jak mógł zamienić na wroga,
Sprawie ludów, sprawie Boga,
Lud, co ma wiarę i serce?

A teraz już dosyć o tym bolesnym przedmiocie i dla myśli i serca; wracam do prac naszych z listopadowego powstania, reklamami przerwanych. Powiedziałem, że Patriota, Polak Sumienny, Zjednoczenie i Nowa Polska, pełniły jak mogły narodową, patriotyczną i rewolucyjną powinność. Z kolei idą inne:

IV. GAZETA POLSKA i V. SZCZERBIEC.

Gazeta Polska założona w roku 1827 przez Maurycego Mochnackiego i Ksawerego Bronikowskiego, przeszła w kwietniu 1831 z pod redakcji Tomasza Gębki pod kierunek J. N. Janowskiego, którego współpracownikami byli: Wincenty Cyprysiński, Franciszek Kupiszewski i Ludwik Królikowski. Miała naprzód za godło: *Sine ira et studio*, a potem: *Salus populi*. Dążność jej była całkiem rewolucyjna, a choć nie miała pewnego systematu w opozycji swojej, przechodziła jednak śmiałością wszystkie inne dzienniki, i nie wyjmując Nowej Polski, szczególnie w nastawianiu na dyplomację i kunktatorstwo. Ona pierwsza zaleciła uwadze publicznej uwłaszczenie włościan, stając się organem założonego w tym celu przez wydawców swoich Towarzystwa, które moderantyzm większością członków zmienił na Towarzystwo ulepszenia stanu włościan. Zrazu miała być gazetą dla wojska, redagowaną przez komitet wyznaczony z Towarzystwa patriotycznego, a przy niej miało wychodzić pismo dodatkowe Szczerbiec, z którego istotnie kilka numerów wyszło, poświęcony poezjom, śpiewom i powiastkom obozowo-wojskowym, wyłącznie wszakże patriotycznym i rozogniającym. Że Szczerbiec przestał wychodzić, a Gazeta Polska nie została gazetą wojska, to poszło ztąd, że komisja wojny nie chciała pułkom ich rozsyłać, składając się niedokładnością wiadomości o poruszeniach wojennych. Gazeta Polska była nadto niepodległym, a następnie — jak już o tem wspominałem — urzędowym organem Towarzystwa patriotycznego, do którego jej wydawcy od początku do końca najczynniej należeli.

VI. MERKURY. Dziennik polityczny, handlowy i literacki, wydawał go Stanisław Psarski. Z początku nieśmiały organ, stanął przeciw niedługo na stronie tego, co zwano przynajmniej patriotą rewolucyjnym. Było to pismo z mozołem i sumiennie redagowane, a pewnie pod względem poprawności stylu jedno z najlepszych swego czasu. Pisywali do niego różni, najczęściej bezimienni, albo tylko pierwszemi głoskami nazwisk oznaczeni, którzy w innych dziennikach miejsca znaleźć, lub go zajrzeć nie mogli. Jego to redaktorowi powiedział Skrzynecki — jakoby zdanie Franklina — «Gdzie

jest wolność druku, tam jest wolność kija!» I niestety! czyn może poparł słowa.

VII. KURJER POLSKI. Redagowany przed samą rewolucją, przez Mochnackiego, Bronikowskiego, Żukowskiego, przeszedł w końcu grudnia 1830 roku w ręce Wicentego Majewskiego. Początkowo zdawał się zakrawać na organ rewolucyjny, a przynajmniej był na tej drodze. Dowodem tego początkowy skład redakcji, a raczej ogłoszenie na każdym z pierwszych numerów w następujących wyrazach:

«Właściciel dziennika Kurjer Polski, ma zaszczyt donieść publiczności, że do tego pisma, poświęconego dobru sprawy naszej, należą osoby następujące: Joachim Lelewel, Wincenty Niemojewski, Ludwik Osński, Albert Grzymała, Kazimierz Brodziński, Piotr Wysocki, Walenty Zwierkowski, Artur Czarny Zawisza, Józefat Bolesław Ostrowski, Aleksander Kazimierz Póławski, Maurycy Mochnacki, Bohdan Zalewski, Bazyli Mochnacki, Franciszek Zakrzewski, Ludwik Nabelak, Marceli Pomaski. Redaktorami odpowiedzialnymi za regularne pisma wychodzenie: Wincenty Majewski i Maurycy Mochnacki.»

Ale po odpadnięciu przeszło dwóch trzecich części redaktorów do Nowej Polski, zszedł Kurjer Polski z drogi pierwotnie założonej i był następnie organem partji stojącej w środku między kontrrewolucją i jej organami: Polakiem sumiennym i Zjednoczeniem — a rewolucją i jej organami: Nową Polską i Gazetą Polską, czyli partji konstytucyjnej, albo inaczej jeszcze kaliskiej; lub raczej, a co najwłaściwiej: braci Niemojowskich Wincentego i Bonawentury. Z organu tedy szkoły literacko-romantycznej, a więc postępowej i rewolucyjnej, został organem klasyków politycznych, stronnikiem i wielbicielem monarchji według Benjamina Constant i jego tłumacza Wicentego Niemojowskiego; a jeżeli stawiał jaką opozycję, ta była nastrojona i sztuczna, jako z tej wypływającej zasady: że co się opiera, to wspiera.

VIII. DZIENNIK POWSZECHNY KRAJOWY. Wydawał go podczas powstania Adam Chłędowski, ten sam, który go przed powstaniem wydawał i zawsze w trzech kolumnach, w tym samym, jak na ówczesny Polski dziennik, olbrzymim formacie, z tym samym, co poprzednio, na część urzędową i nieurzędową podziałem. W początku i aż do projektu

reformy rządowej (w pierwszych dniach czerwca), Dziennik Powszechny upoważniony, czy nieupoważniony, z przyjaźni czy z wdzięczności, zachował charakter organu rządowego, ale podczas rozpraw nad projektem powyżej wspomnianym, obrócił się nagle przeciw zamachowi dyplomatycznemu, a który, jak wiadomo, nie innego nie miał na celu, prócz zwalenią pentarchji rządowej i złożenia w ręce jedne rejen-cji państwa. W stanowczych przeto chwilach był Dziennik Powszechny jednym z organów opozycyjnych, lubo się ostatecznie nie oponował.

Na kilka dni przed zajęciem Warszawy zmienił był swe nazwisko na Dziennik Narodowy, a jakie miał ku temu powody, nikt o to nie badał i on się nie tłumaczył.

IX. GAZETA WARSZAWSKA. Prababka dzienników polskich, wydawana przez Lebruna i Wilkoszewskiego, nie miała najmniejszego politycznego koloru. Zapychana była jak i przed powstaniem wiadomościami zagranicznymi i tem wszystkiem z krajowych, co jej ani na jotę przed rządem obalonym skompromitować nie mogło.

X. KURJER WARSZAWSKI. Własność Ludwika Aloizego Dmuszewskiego, mało co lepszym od Gazety Warszawskiej odznaczał się duchem. Trzymał się on polityki Molskiego, o którym przysłowie niesie: «Jakikolwiek jest los Polski, zawsze pisze wiersze Molski.» Zbierał jednak chętnie na bruku warszawskim wszelkie pomyślnie wiadomości od woj-ska, karmiąc niemi swych czytelników. Zabranie albo porażka kilku kozaków, równie podnosiła jego patriotyzm nie-oznaczony, jak bitwa Grochowska, lub zwycięstwo Wawer-skie. Był to jednem słowem prosty nowiniarz i nie więcej.

XI. GAZETA KORESPONDENTA i ROZMAITOŚCI WARSZAWSKICH. Wydawał ją Wyżewski, a po jego śmierci Jażdżewski. Pod względem ducha była lepsza od Gazety Warszawskiej i do Kurjera Warszawskiego podobna. Wyżewski, adjunkt cen-zury przed powstaniem i właściciel tej gazety, wydawał także czas niejaki pisemko pod tytułem:

XII. ZŁODZIEJ POLITYCZNY — czyli zbiór prostych wyjątków tak krajowych jak zagranicznych z innych dzien-ników.

XIII. ORZEŁ BIAŁY i POGOŃ. Dziennik wydawany w dru-karni stereotypowej, zjawiał się dosyć późno. Widomym jego

wydawcą był Zenon Izdebski; kierował nim wszakże Wale-rian hr. Krasiński, przed niedawnym czasem zmarły na tu-lactwie w Anglii. Był to sprzymierzony Zjednoczenia, ró-wnie jak Zjednoczenie i Polak sumienny wszelkiej opozy-jej przeciwny.

XIV. PATRJOŃ. Wydawany od 30. listopada; przez dziesięć dni następnych nie objawił żadnej systematyczne-dążności. Był tylko zbiorem dziennych pogłosek, wiadomo-ści lub odezów różnego rodzaju, ogłaszanych w celu zaspoko-żenia ciekawości opinii publicznej. W przeciągu nawet tak krótkim coraz bardziej upadał na siłach. Wydawcą jego był Ksawery Bronikowski.

XV. DZIENNIK GWARDJI HONOROWEJ. Z orłem jagielloń-skim na czele i z godłem: «Zestrzelmy myśli w jedno ogni-sko i w jedno ognisko duchy.» Wychodził w wielkim i po-dobno ze wszystkich dzienników listopadowych największym formacie, od 1. do 11. stycznia pod redakcją komitetu z gwardji akademickiej, czyli honorowej, którego członkami byli: Naczelnik jej, Krystjan Lach Szyrma, także do redakcji Polaka Sumiennego należący; Szef sztabu, Józef Hube, pro-fesor uniwersytetu; Tomasz Dziekoński, rektor szkoły woje-wódzkiej na Lesznie; Rajnold Suchodolski, o którym już była mowa, Leon Ulrych i Konstanty Gaszyński, a wy-dawcą odpowiedzialnym: obecnie opowiadający wypadki (Leon Zienkiewicz).

Myśl dziennika gwardji akademickiej nie mogła być inna, jak korporacji samej; to jest w teorii i uczuciu, a rewolu-cyjna w praktyce i w środkach; dyktatorska, w obronie uosobienia której, jak wiadomo, młodzież akademicka w pierwszych chwilach powstania tak gorliwie stanęła. Był to błąd bez wątpienia wielki i rewolucyjnej sprawie bardzo szkodliwy. Ale był to błąd bardzo powszechny, i wreszcie nie mogło być podówczas inaczej, bo przeciwko Mochna-ckiemu, jednemu — jakem to już powiedział — wyobrazi-cielowi rewolucji, była młodzież uprzedzona, a na drugim — że się tak wyrażę — końcu kija rewolucyjnego stał dyktator, za rękojmnię i na słowo bożków młodzieży: Lelewela, Niem-cewicza i Szyrmy. — A młodzież często się myli, czasem z gorącości na koniec kija zły padnie, lecz w półśrodku nie wierzy, czyli nigdy w środku nie staje. Wreszcie chcieć,

a mózgi pojmować oraz umieć, są to dwie bardzo różne rzeczy. Zdanie to wypowiedziane przez wydawców we wstępie do dziennika, jest najlepszym tłumaczem krótkiego życia jego. Myliłby się ten wszakże, ktoby młodzież owoczesną akademicką warszawską oskarżał o bezwzględne i nieograniczone zaślepienie. «Okoliczności i naród — słowa są dziennika tego — wezwały Chłopickiego na dyktatora. My staliśmy w obronie urzędu, ale nie osoby, i skoro opinia publiczna i naród zechcą odebrać najwyższą powierzoną mu władzę, my pierwsi odstąpię miejsca, które nam honor i dobro narodu wskazały. Bronimy dyktatora, ale dopóty tylko, dopóki on godnym się tego okaże.» I było to oświadczenie bardzo właściwe wierzącemu w niepokalaność patriotyczną wiekowi. Bo i jakże to do głów młodych wejść mogło, ażeby człowiek tak wysoko zaufaniem narodu wznieiony, aby żołnierz i Polak, tak namiętnie od wojska i narodu kochany, miał jakikolwiek interes spaść z takiego szczytu rozmyślnie, albo co gorsza rzecz jeszcze, chcieć zabić siebie i Polskę? Musiała więc młodzież w prostocie ducha swego szukać złego gdzieindziej. Toż jak poprzednio szukała go ostrzem bagnietów w piersiach Mochnackiego, teraz tak sobie piórem tłumaczyła dyktatorskie: «Otoczyło go grono ludzi, którzy w rewolucji nie do zyskania, prócz szacunku i miłości narodu, nie mają. Oni to go podmawiają do użycia półśrodków, co zgubą naszą stać się mogą. Powiedzmy szczerze. Jeżeli już nie ci kończyć mają rewolucję, którzy ją zaczęli, to jej kierunek tym przystoi przynajmniej, co nigdy nie byli organem, ani narzędziem despotyzmu. Ludzie, którzy rewolucji nie podnieśli, którzy dla niej nie dotąd nie poświęcili, którzy, gdybyśmy dziś upadli, jutro gotowi byli być napowrót urzędnikami albo generałami moskiewskimi, nie mogą mieć zaufania narodu, nie mogą, nie powinni rządzić rewolucją. Precz z półśrodkami! Albo jeśli się podoba Bogu, raz jeszcze ukarać nas niewolą, tedy kara ta sprawiedliwą będzie, bośmy spokojnie na zgubę naszą czekali.

W numerze następnym z 8. stycznia, młodzież akademicka żywiej i dotkliwiej jeszcze atakuje historyczne nazwiska!

Te buntownicze artykuły młodzieży oburzyły i przeraziły już spokojnie na laurach zasypiających. Napadnięty dyktator

spadł z wściekłością na naczelnika gwardji akademickiej, a ten znowu poblady i cały drżący od strachu, którego mu napędziła furja dyktatorska, spadł na komitet redakcyjny, zakazując dalszego wydawania dziennika. Ale młodzież raz zbuntowana zakazu nie przyjęła.

Rozdąsany dyktator na tę cywilną bezsilność cywilnego naczelnika, odebrał mu dowództwo, powierzając wojskowemu pułkownikowi Piotrowi Łagowskiemu, a cywilnie urządzoną gwardję stawiając pod rygor wojskowy. Z tego powodu zjawił się w dzienniku akademickim artykuł 11. stycznia pod tytułem: «Nasze wyznanie wiary», w którym zawiedziona młodzież w nadziejach, tak rozwodzi swe żale: «Wieg będzie występkiem śmiało objawienie uczuć młodego patrioty? Będzie grzechem dziewicza otwartość szlachetnego serca? I na toż powstał gnębiony lud polski, aby z założonemi rękami poglądał na wybryki ospałości, na oznaki niechęci, lub pigmejskie pasowanie się niedołężności z olbrzymiemi wypadkami czasu? Myśl młoda, rozwijająca się pod ożywym promieniem swobody, po piętnastoletniem ścisnaniu jej w kleszczach potężnego autokraty, ma być znowu włóczoną pod cenzurę fantazji czyjejs? A zapalony, młody syn dziewnastoletniego wieku, na toż otworzył długo zaciskane oczy, aby zamiast najpiękniejszych ideałów marzeń o wolności, przeto, że nie tał przed nimi myśli i uczuć swoich, doznał tak bolesnego zawodu?

Człowiek błąkać się musi, nim drogę prawdy odkryje. I pismo nasze nie jest może bez błędów, ale jest wolne od złych celów, od umyślnie krzywionych wyobrażeń, od niewolniczego poklaskiwania błędowi ludzi, które prędzej czy później na ojczyznę spaść muszą. Objawienie wolnej myśli nie może, nie powinno w szlachetnych sercach obudzić niechęci. Błąd trzeba sprostować, ale nie gniewać się na błędzących. Powiedzieliśmy i powtarzamy: nie dla tego świetne nazwiska przeszłością stoją na czele oswobadzającego się ludu, że ich przodkowie wielkimi byli, lub do wielkości pretensje mieli!... Minął czas, w którym niezasługa i niezdolności przewodziły; te błędne wyobrażenia podkopały zasady szczęścia polskiego, zniszczyły, zamordowały polską rzeczywistą swobodę, byt Polski. Nie będziemy, nie możemy szanować błędów. Chwila dobijania się wolności wymaga energii, ofiar, zapo-

mnienia o sobie. Półśrodek tylko do pół celu prowadzi, pół swobody daje, a półswoboda nie jest wolnością, lecz niewolą.

Prawda jest, że w przeszłości bywało inaczej, ale dziś to nie wczoraj. Dziś nikt nie jest ową osią niewzruszoną, około której obraca się naród. Dziś tą osią jest naród.»

Takiej treści rozumowanie nie mogło do smaku dyktatorowi przypaść. Młodzież za nadto wypisała się jasno, żeby dyktator na chwilę powątpiewał, że te same bagnety, które w obronie jego w pierś Mochnackiego mierzyły, mogą się przeciw niemu obrócić. Prędko więc korzystał ze swego prawa dyktatorskiego i zamiast wdawać się w przedstawienia lub jakiegokolwiek bądź tłumaczenia, wołał jednym rozkazem dziennym wydawanie dziennika zakazać, a Radziwiłł tym zachęcony przykładem, wkrótce i samą gwardję akademicką rozwiązał.

Tak się zakończyło życie polityczne akademickiej, zbrojnej korporacji, która w pierwszych chwilach powstania najszlachetniejszymi wzniesiona uczuciami i w najpatriotyczniejszym zawiązana celu, dała się następnie dyplomacji olśnić; a która, gdyby miała na czele energicznego i szczerego przywódcę, mogła sama przez się złe pokonać, i co za tem idzie, zbawić ojczyznę.

XVI. Szesnastym z kolei dziennikiem listopadowym była: NIEPODLEGŁOŚĆ. Pismo tygodniowe, wydawane przez F. S. Dmochowskiego. Przez krótki czas swojego istnienia nie miało ściśle oznaczonego koloru, było przecież wyraźnie niechętne opozycji, rozumiejąc zapewne, że tym sposobem służy dobrze ojczyźnie. Zawiedziony w tych nadziejach wydawca, wszedł do Towarzystwa patriotycznego i skutkiem chwilowego zapału krzając się nazajutrz w nocy 15. sierpnia, o mało się nie wykirował na Jakubina, nawet w opinii tych, co go z bliska znali.

XVII. Siedmnastym z kolei dziennikiem była: SYBILLA OSWOBODZONEJ OJCZYZNY, przez Franciszka Grzymałę wydawana. Wyszło jej kilka numerów w ciągu dyktatury; charakter tego pisma był umiarkowany i poważny. Każdy jednak numer odznaczał się tą szczerą, gorącą miłością ojczyzny, która do dziś dnia nie ostudza jej wydawcy.

XVIII. WOLNY POLAK. Wydawany był w poszytach miesięcznych przez Ksawerego Bronikowskiego; wyszło ich kilka. Myśl i rozumowanie pisma tego były półśrodkowe. Nawiasem dodam, że artykuł: Jaki będzie koniec naszej wojny? — który Józef Kozłowski publicznie w Towarzystwie patriotycznym rozbił, pod logicznym względem miał troiste rozwiązanie: 1) albo zwyciężymy, 2) zwyciężeni będziemy, 3) albo skończymy wojnę przez układy.

XIX. TANDECIARZ. Pismo satyryczne wydawał pod imieniem księdza Bohdana Walki, Tomasz Ujazdowski, przed powstaniem redaktor Pamiętnika Sandomierskiego, zmarły na tułactwie. Dążność pisma tego była rewolucyjna; przestało wychodzić po bitwie ostrołęckiej, gdzie ksiądz Bohdan Walka, jako numer ostatni publiczność zawiadomił, zginął za ojczyznę.

XX. L'ECHO DE LA POLOGNE. Dziennik po francuzku, z godłem w początkach: *«être libre ou ne l'être pas?»* a potem zamienione na: *«être ou n'être pas.»* Wychodził w drukarni bankowej od końca stycznia do początku kwietnia w formacie do Dziennika Powszechnego zbliżonym i jak ten o trzech kolumnach. Upadły zastąpił:

XXI. LES MESSAGER POLONAIS. Po francuzku z godłem *«l'indépendance est pour les nations ce, qu'est l'honneur pour les individus.»* Pismo to w formacie małym, do Gazety Warszawskiej podobnym, wychodziło przy ulicy Rymarskiej i równie jak L'echo de la Pologne nie wdając się w rozumowanie, przedstawiało czasowe wypadki dla wiadomości swoich francuzkich czytelników.

XXII. WARSCHAUER ZEITUNG. Po niemiecku, pismo codzienne w formacie także Gazety Warszawskiej i jak dwa poprzednie francuzkie, bez wyraźnego, politycznego koloru, wychodziło w drukarni Gałęzowskiego i trwało nie tylko przez cały ciąg rewolucji, ale i po wzięciu Warszawy; wiernie swemu niemieckiemu pochodzeniu, służyć chciało za organ tryumfującej Moskwy. Wkrótce wszakże brakiem odbytu upadło.

XVII. GAZETA NARODOWA, inaczej ZAKROCZYMSKA, ostatnia, czyli zamykająca listopadowe dziennikarstwo z godłem: *«Jeszcze Polska nie zginęła»*, wychodziła w Zakrocymiu pod redakcją Ksawerego Godebskiego, pośła łuckiego, potem

profesora języka i literatury polskiej w szkole polskiej na Batignolles w Paryżu, a dla użytku późniejszego przedrukowaną została na emigracji w Paryżu r. 1831 przez Władysława Platera, posła wileńskiego. Wyszło jej dziesięć numerów, w których oprócz artykułu głównego redaktora, bywały też i innych patriotów prace.

Był to organ rządu, a zarazem sejmu, wojska i wszystkiego tego, co opuściwszy Warszawę, jeżeli nie cieszyło się nadzieją zwycięstwa, to przynajmniej miało odwagę ludzi się jeszcze «honorowym końcem». Prezes rządu, słowa są zapowiedzi, czyli wstępu do Gazety Narodowej, w którego ręce złożył naród swoje losy, umie oceniać położenie, w jakim jesteśmy; zna niebezpieczeństwo, ale wie, że nie wybiła ostatnia Polski godzina; nie chce siebie i narodu ludzi. Pierwszy stróż honoru narodowego, tego najdroższego przeszłości i przyszłości zakładu, daleki jest od wyrzeczenia się bezwarunkowego układów z nieprzyjacielem, byleby te układy honorowi narodowemu odpowiadały. Spokojni, czekamy dalszych wypadków, a cokolwiek nastąpi, zawsze będziemy mogli powiedzieć: Honor ocalony, dopełniliśmy najświętszej powinności!

Otóż przedstawiłem, jakim było, a raczej jakim być mogło w swoim czasie patriotyczne i narodowe dziennikarstwo polskie. Czy takim być było powinno, to rzecz obejrzania i przedstawienia późniejszego. W tej chwili tyle tylko o tem powiedzieć mogę, że jak wiele rzeczy innych z onego czasu, tak też i to dziennikarstwo, jakkolwiek wielce sprawie narodowej zasłużone, nie mogło czyli nie umiało spełnić swej powinności, stojąc pod zasłoną i opieką powszechnie obudzonego ducha narodowego i stu tysięcy szablic, lanc, dział i bagnetów polskich, które się jeszcze pod zasłoną i opieką tegoż dziennikarstwa zdwoić, ztroić i zdziesięcić mogły, skoro pod ów czas wielki i w odniesieniu do całej ówczesnej Europy, Polski postawić nie zdołało. Nie jest w zamiarze moim oceniać i rozbiierać acz łączne z tym wypadkiem nasze wysilenia wojenne, nawet polityczne i dyplomatyczne. To rzecz innych ludzi poczuwających się w obowiązku. Moje zadanie przedstawić i ocenić narodowy ówczesny ruch umysłowy. Toż więc wracam do niego.

Przedstawiłem jak pełniło swojego czasu powinność dzien-

nikarstwo. Mógłbym powiedzieć, a raczej odświeżyć w pamięci niejednego z obecnych, jak pełniła wtenczas swoją powinność polityka i dyplomacja, a powiedzieć o tem to tylko i tyle tylko, o ile to ma styczności z rozumem stanu, czyli na tem polu z umysłowością, to jest polityczną i dyplomatyczną intelektualnością; ale to, jak powiadam, przechodzi zakres założenia mojego. Mając przedewszystkiem na uwadze inteligencję literacką po dziennikarstwie, naturalną rzeczy kolejną przechodzę do poezji, a raczej liryzmu poetycznego, którym się odznaczyło najwybitniej powstanie listopadowe.

Rzeczy, że coś, czego my odgadnąć, a cóż dopiero pojąć nie możemy, wlało w serce Sławianina, a przedewszystkiem Polaka, jakąś skłonność: popęd do czucia, do rzewności, do marzenia, do pienia, do liryzmu. Smutny czy wesół, zbieżony czy szczęśliwy, zachwiany w nadziei czy marzący o szczęściu — Polak śpiewa! Różne są tony jego pienia, skokiem objawiające się, albo łzami rozzone, ale zawsze w liryzm ujęte. Dla Polaka pieśń jako obraz poetyczny, zadawalniając serce jego, zaprzęta i zadawalnia nie tylko umysł i wyobraźnię, ale oniemal za samą rzeczywistość mu starczy. Oto jest tego dowód z pod pióra jednego z naszych męczenników syberyjskich, Gustawa Ehrenberga, w jego wierszu powszechnie znanym:

Siadł zwojszczyk na przodzie, i t. d.

Zdaje się jeszcze, że zadaniem poezji lirycznej z czasów powstania listopadowego było zapełnienie próżni, która, nie powiem w sercach ówczesnych literatów, ale polityków, dyplomatów, może niezawisłe od ich chęci i myśli, ale jednakże była się utworzyła. Cały naród Polski, wszystko w niebogłosy wołało i śpiewało:

Wionął wiatr błogi na Lechitów ziemię,
I Litwa czeka przychodnia!

Ale nie rozumiały tego pienia umysły pojąć go niezdolne, pomimo, że poeta siłił się przebić do nich po promieniu,

jak on przynajmniej sądził najrodzimszem i najsilniejszym,
bo z dawien dawna przed wieków religijnem:

Bogarodzico — Dziewico!
Słuchaj nas, Matko Boża!
To ojców naszych śpiew!
Wolności błyszczy zorza,
Wolności rośnie krew,
Wolności bije dzwon!

Bogarodzico!
Wolnego ludu śpiew
Zanieś przed Boga tron.

Podnieśmy głos rycerze!
Niech grzmiały wolności śpiewy,
Wstrząsną się Moskwy wieże,
Wolności pieniem wzruszem
Zimne granity Newy,
I tam są ludzie — i tam mają dusze!

Noc była — orzeł dwugłowy
Dumał na szczycie gmachu,
I w szponach niósł okowy.
Słuchajcie, zagrzmiął spieże,
Zagrzmiął, i ptak w przestrachu
Uleciał na świątyni krzyże;
Spojrzał i nie miał mocy,
Patrzeć na wolne narody,
Olsniony blaskiem swobody,
Szukał cienia — i w ciemność uleciał północy.

O! wstyd wam! Wstyd wam Litwini!
Jeśli w Giedymina grodzie
Odpocznie ptak zakrwawiony;
Głos cię pokoleń obwinia,
Jeśli nie skruszysz narodzie
Krwia twej złanej korony!

Nam się chylić przed obcymi?
Nam nie w własnych ufać siłach?
Będziem żyć we własnej ziemi,
Lub we własnych spać mogiłach!

Złamany i zbolący poeta tym głosem napróżno wołającego
na puszczy, zamilkł był na chwilę, może nawet zwątpił,
zrażony nieczułością skał. Ale śnać Polska nie po to wsta-
wiona w koło przeznaczeń ludzkości, żeby się zawodem zra-

zić miała. Toż kiedy najzwątpialiś powinni byli się poczuć
zwycięzko w obowiązku po zwycięztwach, któremi zagrzmiąły
pola Grochowa, Wawru, Igań, Dębego, rozległ się inny,
a równie silny głos innego poety i liryka:

Uderzcie w bębny, zagrajcie nam wrogi:
Za Bug, za Bug, za Bug!
Niech lotne serce nie wyprzedza nogi:
Uderzcie w bębny, zagrajcie nam wrogi.
Dla naszych serc, dla naszych nóg:
Za Bug, za Bug!

Już tam nie jeden z zabużańskich braci
Uchem przy ziemi każdy tentent ima,
Tysiąc go razy i chwytą i straci,
A nas jak nie ma, tak nie ma!
A posiadlane, pokielżane konie
Strzygą uszami, rżą do naszych koni;
A ostre szable i nabite bronie
Brzęczą nutą naszej broni.
CHÓR. Uderzcie w bębny, i t. d.

Piękne siostrzyce, Rusinki, Litewki,
Jak zakochane, już nas upatrują;
Polskim ulanom szyją chorągiewki,
Polskie kokardy gotują.
Że nas zobaczą, żywiej ich wzrok płonie,
Drżą ręce naprzód, że nas uściskają,
A serce — prorok nie mieści się w łonie —
Że nas wkrótce kochać mają.
CHÓR: Uderzcie w bębny, i t. d.

Warczy próg Dniepru, pomrukuje Dźwina,
Bo cudzy język polską wodę chlepie;
Wyje stepami polska Ukraina,
Bo koń cudzy po niej depce.
Dyszy niechęcią bagniste Polesie,
Burzami grożą naddniestrzańskie skały,
Lesista Litwa dąsa się i ćmi się
Na nasz pochód opieszale!
CHÓR: Uderzcie w bębny, i t. d.

Wodzu nasz Janie! Białe orły żebrzą
Ogniem Grochowa i Wawru napadem,
Niech się co prędzej brzegi Bugu srebrzą
Tryumfującym ich śladem.
Niech postrzelony ten potwór dwugłowy,
Po ziemi polskiej dłużej się nie ślania;

Wypuść ostatni pocisk piorunowy,
I skróć mu męki skonania.

Chór: Zagrajcie w bębny, zagrajcie nam wrogi,
Za Bug, za Bug, za Bug!

Niech lotne serce nie wyprzedza nogi!
Udercie w bębny, zagrajcie nam wrogi,
Dla naszych serc, dla naszych nóg.
Za Bug, za Bug!

O, perły, perły! Jakże marnie rzucone byliście! Wróg raz jeszcze przemógł. Padła Warszawa!...

Och! kto patrzył na ten jej upadek sromotny! Kto widział starca, oddającego się na ofiarę za grzechy samolubów, którzy ją na nim wymogli, i błagającego ich potem, aby tę zmuszoną ofiarę głową swoją okupili!... Kto patrzył na te głowy sędziwe senatorów i posłów: Ostrowskich, Ledóchowskich, Lelewelów, Zwierkowskich, o kiju w ręku, opuszczających próg rodzinny, którego już nigdy przestąpić nie mieli, ten już pewnie nie zadziwi się poecie, który w żalości cierpiącego serca wołał z bram zmuszonego do poddania się grodu:

Przeklęty bądź dniu plugawy,
Dniu nieszczęścia i niesławy!
Gdybyś kiedy miał zabłysnąć,
Gdyby znowu łańcuch krwawy
Miał nam wolną pierś nacisnąć!
O! jeśli gdzie piekła odmęty
Kryją twe światło złowieszcze —
Nie wchodzi i wprzód nim poczęty
Przed twoim zarodem jeszcze,
Bądź przeklęty!

Jak łza, co pali powieki,
Jak rozpacz, co pierś nam ciśnie,
Dniu nienawistny, niestrawny, daleki,
Tak niech nad tobą na wieki
Ciężkie przekleństwo zawisnie! —
Bez początku i bez końca!
Ty, co tam władasz gdzieś w górze,
Czy w żyjącem świetle słońca,
Czyli tron twój w czarnej chmurze,
Duchu wielki, niepojęty!
W jakiej chcesz jaw się postaci,
Zwiesz się szatanem, czy Bogiem,
Znam cię tylko z łez mych braci,

Znam cię ziemi mojej wrogiem —
I ty, i ty bądź przeklęty!

Jak te całuny grobowe.
Mojej ojczyzny oblane posoką,
Co kryją martwą jej głowę —
Jak minione w niewoli dnie me porankowe,
Jak moja myśl ponura, wyplakane oko,
Jak moja dusza zwiędła, tak jadę gorczy
Niech przesiąknie twa wieczność ducha tajemniczy!
Niech się tak cierpień pomroką,
Twoje wieczne dni powloką.
Niesiem modły do twej stopy —
A ty!... ty! miasto otuchy,
Ślesz łzy, klęski i łańcuchy!
Milszy ci głos zniewagi, który sercem zimnem,
Który zaplaconą wargą
Wrzeszczą ci brodate popy!
Wolisz słysząc skargą,
Niż wolnej wdzięczności hymnem!
O! słyn więc, póki ci życia
Dostarczy nieśmiertelność — jest na ziemi zgraja,
Co rozdzieli część z łupów naszego rozbicia
Na dwa trony zwyciężkie: twój i Mikołaja!
Skargą naszą — ludu wolny,
Ludu wielki — twoim duchem!
Ty, coś okuty łańcuchem,
Umiał światu na znak życia,
Z grobu doli obecnej wolne wywieść duchy!
Tyżeś to, ty! miałbyś się trwożyć!
Ludu wzniosły, byłbyś zdolny
Chwil nikczemnej skargi dożyć?
Miałbyś tym, co cię dziś cisną,
Zhańbiony podać dłoń bratnią?
Raczej zagubę ostatnią,
Niż tę zgodę nienawistną! —
Nie! nie tobie o nią modlić!
Pogardź i ziemią i niebem,
Zgiń w własnych zwaliskach, nieczczony pogrzebem,
Wprzód, nim raz miałbyś się spodlić!
Giń, a ty i krew twoja nie popłyną marnie!
Zamknij w milczącej piersi głos ciężki przekleństwa.
Przyszłość ich, bujna niwa te ziarna ogarnie,
I z nich tak górnio, zaszczytnie,
Szczęście na twej mogile zakwitnie,
Jak dziś na twojej skroni gałązka męczeńska.

Padła Warszawa, i z nią Polska cała! Dzieci jej roz-
pierzchyli się po świecie, albo zawleczone w jasyr na Sybir.

«Porządek panuje w Warszawie!...» wołał minister francuzki, a poeta polski wołał:

Tyran wstał! Herod! Panie! cała Polska młoda
Wydana w ręce Heroda.
Co widzę? Długie, białe dróg krzyżowych biegi,
Drogi długie — nie dojrzyć przez puszcze, przez śniegi,
Wszystkie na północ! Tam, tam, w kraj daleki
Płyną jak rzeki.

Płyną! — Ta droga prosta do żelaznej bramy,
Tamta jak strumień wpadła pod skałę, w te jamy,
A tamtej uście w morze. Patrz, po drogach leci
Tłum wozów jako chmury wiatrami pędzone,
Wszystkie tam w jedną stronę.
Ach Panie, to nasze dzieci!
Tam na północ — Panie, Panie!
Takiż to ich los — wygnanie?

I dasz ich wszystkich wygubić za młodu,
I pokolenie nasze zatracisz do końca?

Ach Panie! już widzę krzyż — ach, jak długo, długo
Muszą go nosić! — Panie zlituj się nad sługą.
Daj mu siły, bo w drodze upadnie i skona —
Krzyż ma długie na całą Europę ramiona.
Z trzech wyschłych ludów, jak z trzech twardych drzew ukuty.
Już wleką, już mój naród na tronie pokuty.
Rzekł: «Pragnę». Rakuz octem, Borus żółcią poi,
A matka wolność u nóg zaplakana stoi!

Owoż, czy przejrzywał, czy widział on wieszcz wielki
oną matkę wolność, u nóg jego zapłakaną stojącą, nie
wiem, ale nie wierzyć nie umiem; dość, że oto w Gazecie
Warszawskiej z dnia 30. grudnia 1858 r., jakby na dowód
jeszcze raz, iż są rzeczy, o których ani się śniło filozofom
naszym, znajduję takie słowa:

«W roku 1855 w miesiącu październiku wysiadł z parolpywu francuzkiego na Top-Hana mężczyzna lat około pięćdziesięciu, o białych, długich włosach, czoła myślącego, w skromnym ubiorze, z pielgrzymkim kijem w dłoni. Przybywał on z dalekiego zachodu. Towarzyszyło mu kilka osób, witało kilkaset, a cześć i szacunek powszechny otaczały każdy krok jego. Tym podróżnym był: Adam Mickiewicz. Zebrałem, ile się dało, szczegóły o jego tu krótkim pobycie i śmierci, i opowiem je wam, ile powiedzieć można.

«Mickiewicz wyjechał do Konstantynopola w towarzystwie pomiędzy innymi Armanda Lewy i Henryka Służalskiego, którego lubił za miłe dykteryjki, zmyślenia, które go bawiły lepiej, niż uczone rozprawy innych. Wybrał się on z namiotem i wszelkimi przynależnościami obozowego życia! Powiadano mi jeszcze w Paryżu, że ta uprojektowana podróż, ta zmiana życia zajmowały go bardzo, i że wyjechał marząc o niej ciągle. W Stambule był przedmiotem szczególnych względów i starań. Ambasady ustępowały mu mieszkania w swych pałacach, lecz nie przyjął żadnych ofiar i z hotelu, gdzie się zatrzymał, przeniósł się nawet do prywatnego domu na Jeni-Szeri. Zwiedzałem ten dom smutny, samotny, opuszczony, przy ulicy Kalendzi-Kuluk, i widziałem tę dużą izbę o jędnem kwadratowym oknie, w której był zamieszkał. Przedśniew prowadziła do niej, a meblowanie składało się ze stołu, kilka krzeseł prostych i łóżka, co jeszcze prościej pokryte siennikiem i dywanem tureckim, stało w kącie. Pokój tracił pustkowiem, był ciemny i nawet wilgotny; przypominał mi nasze karczemne izby, jakie czasem w jesiennej podróży zastajemy po szlakach ukraińskich.

«Wkrótce potem wyjechał do Burgas i tam pod namiotem przepędził parę tygodni. Podobał sobie nad wyraz w obozowym życiu, jeździł konno na polowanie, jadł proste żołnierskie potrawy; lecz zmiana taka życia paryzkiego, pokojowego, na polowe, była za gwałtowną i nieostrożną. Nie umiano go przestrzedać, a nawet następczono mu rozmaite obozowe rozrywki, widząc, że w tem podoba sobie. Zdawało mu się, że on młody i czerstwy, jakim był na skale Ajudachu, i że to swobodne powietrze, ten pokarm przyrządzony przy obozowym ognisku, przywróci mu siły, które styrał nad książkami i na paryzkim bruku. W Burgas zachorował, był niezdrowszy dni kilka, lecz potem znowu poczuł się zdrowszym i w tym stanie powrócił do Konstantynopola. Osoby co go otaczały, często mówiły mi, że nie zachowywał ani diety, ani się okrywał starannie, i jakby na przekór chciał przywykać do twardego życia.

«Lecz cóżkolwiek bądź, stan jego zdrowia nie był zatrważającym, aż do dnia 26. listopada. Kuczyński Hipolit tak mi opowiedział resztę: — W poniedziałek z rana, około 10. przyszedłem do Mickiewicza; opowiadał on właśnie o nowi-

nach odebranych z Burgas. Lewy powiedział mi o nim, że zeszłej nocy był cierpiącym; lecz ja go zastałem dość spokojnym. Potem zaczął rozmowę o swych dzieciach i zakończył uwagą, że w najmłodszym, Józiu, postrzega umysł uderzający nad wiek dziecinny. — Kuczyński! — rzekł wreszcie — wiesz, żem się zaczął uczyć po turecku. Lękam się tylko, żeby się ze mną nie stało podobnie, jak z jednym z królów naszych, który już nie źle sylabizował, kiedy go śmierć zaskoczyła. — O pół do dwunastej uczył młodości oraz lekkie kolki i położył się do łóżka; lecz symptomata cierpień były tak słabe, iż ani jego, ani nas nie trwożyły.

«Mickiewicz około godziny trzeciej poczuł się lepiej i zapragnął spoczynku. Wyszedł Lewy i Kuczyński, a pozostał Służalski. Zaledwie upłynęła godzina, gdy ponowiły się boleści gwałtowniej i Służalski wezwał lekarza Gembńskiego. Dał on natychmiast Mickiewiczowi *Laudanum* i kazał ogrzewać ciało; ale na zapytanie Służalskiego odpowiedział, że chory jest w stanie bardzo niebezpiecznym. Mickiewicz wyczytał to z zafrasowanej twarzy Służalskiego i zapytał go: «Powiedz mi prawdę, Służalski, co lekarze mówią o mnie?» A byli już oprócz Gembńskiego dwaj inni: Szostakowski i Bednawski. Służalski ze łzami w oczach odpowiedział: «Mówią, że możesz umrzeć.» Wtedy on rzekł: «Każ mi zawołać księdza Ławrynowicza.» Potem kazał sobie podać pióro i chciał pisać, lecz gdy mu Służalski przyniósł papier, rzekł: «Nie mam siły» — i upadł na łożo.

«Była już piąta, gdy powrócił Lewy i wkrótce po nim przyszedł i lekarz Drozdowski. Powiedziano mi potem, iż oprócz Gembńskiego, który był lekarzem z profesji, trzech inni, na sposób turecki, nie uczyli się medycyny, ale praktykowali. Posłano więc po księdza, a tymczasem doktorowie rozcierali mu ciało i przepisali powtórnie *Laudanum*, którego przyjąć nie chciał. Po chwili znowu boleści uspokoiły się. Myślano że Mickiewicz zaśnie i wszyscy powychodzili z izby. Na żądanie chorego pozostali Lewy i Służalski. «Nie wiedzą, co mi jest — rzekł Mickiewicz do nich — nie wiedzą; chcą mię ogrzać, a ja cały w ogniu.» To rzekłszy, pochylił głowę i zasnął, lecz tylko na moment; wtem ksiądz przybył. Wszedł po nim Drozdowski i powtórzył nacierania, gdyż zdjęły go kolki. «Oni mi skórę zedra jak biednemu

pulkownikowi Idzikowskiemu, a ona mi już nie odróżnie!» zawołał Mickiewicz w boleściach. Dano mu *Laudanum*, ale boleści się powiększyły i po chwili chory leżał, nie wydając najmniejszej skargi.

«Gdy się zbliżył Służalski, rzekł mu: «Powiedz moim dzieciom, niech się kochają między sobą.» Gdy go zapytano, gdzieby życzył być pochowanym, oświadczył, że na smętarzu w Montmorency obok swej żony. Postrzegłszy wchodzącego Kuczyńskiego o szóstej, poznał go. Potem leżał spokojnie, a ksiądz Ławrynowicz namaścił go Olejem świętym — o dziewiątej konać zaczął.

«Lzy rzewne polały nam się z oczu, mówił mi Kuczyński, gdyśmy spojrzeli po sobie, a potem na trupa. Uczucie sieroctwa i pewnej próżni życia owiało nas... Podaliśmy sobie wzajem dłonie i łkając, przysiękliśmy spełnić godnie i z niezachwianem mężstwem pielgrzymkę naszą. Patrzałyśmy na tę głowę szlachetną, po której w nieładzie białe i długie rozrzucały się włosy, i na te usta wpółotwarte, lecz sine, jakby gotowe do odezwania się, i milczeliśmy grobowem milczeniem.

«Ciało Mickiewicza nabalsamowano i w dwie zawarto trumny. Pierwsza była ołowianą, druga z drzewa. Stały one przeszło miesiąc w tym samym domu i izbie, gdzie umarł, opatrzone pieczęcią konsulatu francuzkiego. Zwłoka pochodziła z dwóch przyczyn. Jedni z rodaków chcieli, żeby pochowanym został w Czyfliku (folwarku), o cztery godzin drogi od Konstantynopola, leżącym w lasach Anatolji; drudzy, żeby odwiezionem było do Francji, według woli samego nieboszczyka. Rząd zaś francuzki wahał się ciało wpuszczać do Francji, z obawy wniesienia z niem cholery. Sprawa o tem zabrała więcej miesiąca czasu, lecz wreszcie pozyskano pozwolenie zawiezienia zwłok do Francji.

«Mój jeden ze znajomych, który był przytomnym eksportacji, w tych mi ją opisał słowach:

«Dzień wyznaczony na eksportację zwłok ś. p. Mickiewicza był posępny — mżyło. Na ulicach pełno było błota. Konstantynopol cały zasępiony był od deszczu i chmur. Karawan pokryty czarnym suknem bez żadnych ozdób, ciągnęła para wołów. Muzykanci Włosi ofiarowali się dobrowolnie służyć muzyką i grali marsz pogrzebowy. Oddział piechoty

eskortował ciało. Żołnierze szli we dwa szeregi, w odstepie o kilka kroków jeden za drugim. Za trumną szli Polacy, Francuzi, Włosi, Grecy, Żydzi, Niemcy, Ormjanie, Bułgarzy, Serbowie (reprezentantem których był podówczas Mikołajewicz), Kroaci, Dalmaci, Bośniacy, Czarnogórcy, słowem wszystkie narodowości sławiańskie i zachodnie.

«Obrządkowi przewodniczyli księża polscy, a celebrował ksiądz Ławrynowicz. Po drodze wnoszono ciało do kościoła ś. Antoniego, gdzie była msza żałobna. Potem odprowadzono aż do portu Top-Hana, zkąd zaambarkowano na wyznaczony przez rząd francuzki paropływ «Eufrat». Mowy przy eksportacji nikt nie miał, gdyż tego wyraźnie żądał nieboszczyk. Zarządzali eksportacją: Służalski i Lewy.

«Działo się to 30. grudnia 1855 r. o południu.

«Właśnie stojąc na pokładzie statku z oczami zwróconemi ku Polsce, myślałem o tej śmierci, wyobrażałem sobie tę trumnę, co się zmieściła w kącie opuszczonej izby w Jeni-Szeri — gdy duch wielki, co ożywił to ciało, napelniał był mocen całą Polskę i echem sławy rozległ się po świecie. Gdy tak dumalem, właśnie przedemną zarysowały się na horyzoncie Akermańskie stepy, te same, na których wieszcz nasz przed trzydziestu laty dosłuchiwał się głosu z Litwy i uronił owe pamiętne słowa:

Jedźmy — nikt nie woła!»

Tak było na wschodzie w początku i na końcu, kiedy w drugą stronę, tam na zachód ciągnących, tak znów inny cierpiący pogrzał w ich cierpieniach tułacz-poeta:

Idźcie bracia na świat cały!
Ocuceni ze snu chwały,
Z panów tułacz i sługi,
Idźcie na świat jak świat długi.
Narody nas zapomnialy,
Upowitych w zdradnie szczęście —
Minął okrzyk własnej sławy:
Nieścież im dzisiaj płacz krwawy,
Kajdanami im zatrząście!
Niech poznają głos proroczy
W jęczeniach tego odgłosu;

Niech widmo naszego losu

Przerazi senne ich oczy.

Z panów, bez panów dziś sługi,

Idźcie na świat, jak świat długi.

Nie! my nie sługi, my nie włóczęgi —

Nie zagaśł pożar polskiego ogniska,

Choć w nie uderzył grom carskiej potęgi,

Promień tem silniej słupem isker tryska.

Bracia! my będziemy iskrami swobody!

Bracia! my pójdziem przez wszystkie narody!

Staniem w pośrodku ludów męczennicy,

Bohaterowie bohaterskich lat,

Z szablą w prawicy, z pętami w lewicy,

I rozpuściwszy wołanie na świat:

«Przez naszą chwałę, przez nasze przygody,

Biada wam, biada! ośnione narody,

Jeśli się kłęską nie wzruszycie naszą,

Jeśli was losy nasze nie ustraszą —

I świat proroczą pogrózkę zrozumie.

Wzburzą się ludy, tknięte w swojej dumie:

«O bracia! — rzekną — Europy chwało!

Wasza niedola jest naszą zakałą,

Wasz wróg jest wrogiem i świata i cnoty!

Idźmy z wami, doczesne sieroty.

Zetrzem się z cara rozbójniczą władzą;

Jasne ły wasze niechaj nas prowadzą.

Aż krzywdę polską, ucisk polskiej braci

Krwia swoich trzewiów hojnie Sybir spłaci.»

Idźcie na świat cały!

Przy niezłomnej wytrwałości,

Dla ojczyzny i wolności,

Wyśni się sen waszej chwały.

A jeśli głupota ludów

Obojętnie będzie patrzeć

Na waszą walkę z losami —

Jeszcze raz wstaniemy sami,

Aby nową wojną cudów

Dzisiejszy upadek zatrząść.

A gdyby przyszło wyższemu rozkazaniem

Raz jeszcze upaść na ojczyzny grobie,

Spokojnie umrzem, bo powiemy sobie:

Ginęm — lecz wkrótce ludów chłostaniem

Ciężko pomszczeni zostaniem.

Tak wierzyli poeci polscy; tak wierzyli wszyscy dobrzy Polacy; tak wierzyły ludy! A jednak zdało się Polakom, że ich sam Bóg odstępował, że raczej nie Polską, nie Polakami, Bogu i swej wierze winnymi, ale ich wrogami się opiekował. I cóż zatem dziwnego, że zbyt dotknięci tą

swoją niedolą, tem siebie opuszczeniem i zapomnieniem, z samym się Bogiem skłócili — a skłócili się z Nim przez najlepszych i prawie wybranych, bo najmilszych swych wieszczów: Mickiewicza, Goszczyńskiego, Słowackiego, przez Konarskiego nawet.

Na domiar tych zawodów bolesnych padła *bull*a papieżka, potępiająca najszczytniejsze i najświętsze, bo poświęcenie się Polski. Oślepialemu takimi przekleństwami narodowi nie pozostawało wiele, żeby z samym sobą się skłócił. Tu jest źródło owych różnych oraz długich swarów i waśni, a które znowu jeden z najlepszych i najzasłużeńszych poetów naszych, więzien umęczony przez Austrjaków, Maurycy Gosławski, streścił w swym poemacie: «Renegat albo Odstępca», a który, acz bolesny, że wiele nauczający, (a tu nam przedewszystkiem o naukę chodzi), przywieść muszę w wyjątkach, wszakże nikogo ani dotykać, ani obrażać mogących, bo dzisiaj wszyscy w boleści porównani jesteśmy.

Poemat ten był pisany w 1832 roku, lub w początkach 1833 roku. Polska owocześnie sama zdala się nie wiedzieć, że złorzeczyć swojej niedoli nie powinna. To też pewnie nie złorzeczyła z przekonania, sumienia; ale boleść nie zawsze jest obaczną i dotyka czasem niezasłużonych. Dotkniętą nią gorące serce poety, wylało się gorzko zapewne, więc żalowi przebaczyć trzeba. Wyprowadza on na scenę tułacza opuszczającego i żegnającego ojczyznę, a która go opuszczającego i żegnającego ją z miłości i poświęcenia, według niego, tej miłości i poświęcenia nie pojęła i nie przyjęła. Oto są te jego słowa bolesne; w chwili, kiedy je czytam, nigdzie jeszcze nie drukowane:

Bądźcie zdrowi jeszcze raz,
Raz ostatni, chwilka, dwie,
A nie ujrzę więcej was.
I wy nie ujrzyście mnie!
Bądźcie zdrowi! Kto i gdzie?
Kogo tu, gdzie? żegnać mam?
Jęk po jęku, łza po łzie
Płynie, niknie, a ja sam!
Bądźcie zdrowi, bądźcie zdrowi!
Brakło technienia, brakło słów!
A z najdroższych wygnać ci, —
Nikt nie odrzekł: Bywaj zdrow.

Polsko! także to posagi
Z progów twych unosi syn?
Nagie serce, na świat nagi —
Może łez twych nie był godny!
Ależ nie był i wyrodny,
Na cóż karzesz go bez win?
Na wieczną drogę męczeństwa
Nie pokrzepił go
Nikt, niknącego westchnieniem,
Nikt współczuciem, współcierpieniem,
Nikt nie wspomógł łzą.
A jednak jakaś szeroka
Wszędzie gdzieś myśl, skarb ma tu
Droższy, niż blask dnia dla oka,
Niż dla piersi kropla tchu.
Skarby ciężko zarabiane,
Ceną serca i krwi tej
Zapiakane, zacierpiane —
Krwawa własność duszy mej.

Na co spojrzę, wszystkie drogie,
Ziemia, niebo, tyle lic;
Ja nic z sobą wziąć nie mogę —
Potępieniec, nic a nic.
Jak najlichszym nędzarz zebrał
O garść świętej ziemi tej —
Żebrak, i cóżem odebrał?
Drwiący uśmiech zamiast niej.
Drwiący uśmiech! ten skarb cały,
Matko! Twój unosi syn;
Bo tam pewno świat już mały,
Pewno na niem brakło drwin.
Słusznie! po co cudzych bogów,
Cudzych szyderstw szukać gdzie?
Kiedy można z własnych progów
Od najdroższych unieść je.

Drwiący uśmiech! tą spuszczają
Obdarzyli w Polsce mnie.
O mój kraju! o ojczyzno!
Żeś ubogą, dusza moja wie!
Prócz rozpacz —
Co piers biedną targa twą,
Nic dziś nie masz i tułaczy
Zaopatrzyć nie masz w co.
Nie dasz lauru tryumfowi, ni pociechy słowa,
Bo nad Tobą: knut, łańcuch i ciemność grobowa.
Lecz Bóg świadkiem duszy mej:
Żem nic nie chciał z dłoni twej —
Łzy masz tylko, łzę mi daj!
Świat z nią przejdę z dumnem czołem,
A przy skonanu w nieba nienawistne
Ostatnią kłątę cisnę —

Łzę pokażę i powiem: z ojczyzny ją wziąłem,
Nią płakał mój kraj!

Kraju mój! ja na wygnanie
Unoszę tylko niedolaną krew —
To moja własna — przy tobie zostanie
Myśl moja i śpiew.

Bądźcie zdrowi! z po za góry
Drży już blade światło dnia,
A wygnańca wzrok ponury
Opuszcza gorzka łza.

Dość szaleńcze, dość już czuć!
Weź pielgrzymi kij do ręki,
I rozbratu piosnkę nuć.

A te enoty i te dźwięki,
Te wspomnienia, łzy i jęki
Raz na zawsze w piekło rzuć.

Dajże Boże, byle koń.
Byle lanca rychłej w dłoń —
Pohulamy póki młodzi,
Gdzieś w pustyniach z wiatrem w lot.

* * *

Dziko wicher października
Po bezlistnych drzewach gnał,
I twarz męża była dzika,
Jak chropawe czoło skał.

Lecz któż wewnątrz tych skał zbadał
Może czysta, złota żyła
Ramiona tam rozpuściła?
Jak zniszczenie, jak zagłada
W niedociekłej ich głębinie,
Może wulkan lawą płynię,
Lub ożywny źródło przepada.
Ale nieme skał oblicze,
Niepojęte, tajemnicze,
Pewno tajni nie wygada.

Twarz męża była niema jak grobowe wieko,
I w przelotnym uśmiechu biegu
Igrał po niej zaledwo jak promień po śniegu;
I łza niedostrzeżona drżała pod powieką —
Łza dawna, nieotarta, jak bryzga kryształu
Dostygła po chwilach cierpień i zapału.
Dostygła! Nim uśmiech dumny i pogardy
Zamrozi ją i nada kryształu hart twardy —
Bo gdyby ją był dostrzegł, otarłby żelazem,
Co mu w dłoni drżało —
Otarłby, lecz z okiem razem;
Co wbrew woli jego płakać śmiało —
Bo gdzie wola męża działa,
I na rozkazy krew da —
Tam niech wulkan w piersi pała.

Piers i twarz ma być jak skała,
A jak skała milczeć ma.

A on zaczął nienawidzić,
On się zaczął łez swych wstydzić.
Nienawidzić? Kogo? Gdzie?
Za co? Ha! Bóg że to wie!...
Kogo? za co?... O szczęśliwsze
Tobie światem, twoje dziewczę!
Wszystkie cele, przedsięwzięcia —

Całe niebo duszy twej,
Zawarłeś w krag jej objęcia,
Utopiłeś w oku jej —
I u stóp twego dziewczęcia
Nie pojęto, dziwno li,
Że piersi jakoś ból tam gniecie,
Że jest jakaś piers na świecie,
Co się zawiedziona mści.

Wierzysz w miłość, w przyjaźń cnoty,
Uzdrowi cię wiara twa.
Na tamto pytanie kiedyś w dniach tęsknoty
Własne serce odpowiedź ci da!
Oj! przyjaźń, dusza życia,
Wzniosła cnota, przyznasz sam;
Sam ją wielbię od powicia,
Sam jej równych mało znam —
Jeśli dobre niebo wzięli,
Jedną duszę w piersi dwie —
Jak ta dusza przyjaciele
Równe im przedzie dnie.
Pod jej hartem piersi oboja,
Jakby jasna stalna zbroja,
Wspólną siłą silna trwa:
Biją wichry, palą ognie,
Rdza nie schwyci, młot nie pognie,

Wszędzie odpór da.

Przyjaciele! O szczęśliwi!
Bez wątpienia was to dziwi,
Że piersi jakoś bez pociechy,
Bez współczucia, drży samotnie;
A litośmi uśmiechy
Wsparliście ją wielokrotnie —
Poczekajcie chwil niewiele,
Wy serdeczni przyjaciele!
A nim przyjdzie, wy tymczasem
Oszukujcie się nawiasem:

To odpowiedź zagadki wywiąże się z was.
Miłość, przyjaźń, lekkie cnoty,
Nie ochronią od tęsknoty —
W wyższe szczęście wierz.
Ludzkość cała i jej równy,
Twój rodzinny kraj,
Niechaj będzie cel ci główny,

Całą duszę zbież —
 W takie cele mierz!
 W to mi graj, w to mi graj!
 Miłość kraju dzisiaj w modzie —
 Jasne niebo czy się chmurzy?
 Jak tam głoszą na zachodzie.
 Nawet i w Polsce niektórzy
 Wierszopisy piszą śpiewki;
 Panie — anioły dobroci
 Szyją piękne chorągiewki —
 A wszystko to patrjoci
 Kochają swój kraj.

* * *

Piękne rączki dla kochanków
 Tysiącami wily wianków —
 Wszystkie z mirtu, róż i lauru.
 A kochanek, chcąc przynieść rozrywkę kochance,
 Chwycił za miecz i za lancę;
 A gorejąca zagłada
 Na krwawych skrzydłach wielkiej nocy listopada
 Spłynęła na polach Grochowa i Wawru.
 Z wielkiej myśli wielka siła,
 Jak nowy świat się stworzyła;
 Orzeł groźnym meteorem,
 Ulatywał przodem szyków,
 Pieśni ludów wielkim chórem
 Brzmiały polskiej części śpiew.
 A śladami bohaterów
 Od Wawelu do Sybirów
 Uplywała krew.
 Dwa ludy się bawili — ten wkładał okowy,
 Tamten zrzucił, a gradem sypały się głowy.
 I na taką rozrywkę patrzył świat jałowy
 W trwodzi i zadziwieniu,
 On chciał z pod polskiego cięcia
 Wyjść czysty, poprawniejszy, niżli po stworzeniu
 Wypłynął z Twórcy objęcia.
 Lecz Bóg drwiąco się uśmiechnął,
 Wstyd mu było tej poprawy —
 I odrodzenia podstawy
 Skrzyżował i zwichnął.
 Aż krew ofiar i wielkie zmartwychwstania dzieło
 W niezgłębiony grób Warszawy
 Wyżej niżli z nieb runęło.

Otóż i po zabawie jakby nie nie było.
 Śniło się coś na chwilkę, lecz już się prześniło.
 A dźwięk kajdan, co na chwilę
 Ucichł był za owych dni,
 Znow tak wdzięcznie, znow tak mile
 Znaną sercom nutą brzmi.

Tylko mała garść szaleńców,
 Co nie wiedzieć czego chcą,
 Obląkanych potępieńców,
 Co nie mając stracić co
 Oprócz siebie, w świat odłogi,
 Bóg wie po co, na co, gdzie?
 Poszli przez rozstajne drogi,
 Potępione pędzić dnie.
 Śmieszni! każdy dumnie głosi,
 Że w swych piersiach kraj unosi;
 Że ta jego pierś i głowa
 Jest to arka narodowa,
 Której ziemia winna cześć.
 A dziś tę tulaczą głowę
 Te świętości narodowe,
 Nagie, przez świat musi nieść.
 Górne cele! cześć wam! cześć!
 Nudni ludzie, po co zmian?
 Tak wygodnie jarzmo nieść —
 Taki dobry dał je Pan!
 A choć szyja na obrzozy,
 Choć się łańcuch w szyję wpoi —
 Nim się knut dopyta duszy,
 Tymczasem się ciało zgoi.
 Byle było pić i jeść,
 Każde jarzmo można znieść;
 A komu swój w niesmak chleb,
 Niechaj szuka cudzych nieb.

* * *

Oni poszli, nieszczęśni! Los ich pognał ślepy,
 Na morza nieznajome, na bezludne stepy,
 Bezsilnemu równych ziółku —
 Pod cudzemi płotami bohaterskie głowy!
 Bez schronienia, bez przytułku,
 A na wolnych ich rękach i duszach okowy.
 I na każdym świata kresie
 Obaczysz gdzie pierś tulaczą:
 Z tą ziemią rodzinną, której nie zobaczą
 Nieszczęśliwi! Oni płaczą,
 Gdzie żaden kruk ich kości nie zaniesie!
 Płaczą, a ich łzom gorzkim ni ulgi, ni końca —
 Jedna ulga, górne: «Trwaj!»
 I każdy z tych szaleńców jest Polski obrońca,
 I każdy kocha swój kraj!

Ale tylko nie tak modnie,
 Romansowo i wygodnie,
 Jak rozliczni wielbiciele,
 Co kochali także Go!
 Chorągiewka na kościele!
 Jak wiatr wionął, to się gną.

I dziś ci na zawołanie
Dwa puhary spełni synek:
Niechaj żyje zmartwychwstanie.
Albo wieczny odpoczynek!

Twoja myśli, potępięncze! nad ojczyznę tkwi,
Nad tą ziemią kochaną twoich łez i krwi!
Po bezlistnych pustyniach każdy wiatru szum
Brzmi nutą rodzinną znanych sercu dum.
Błędna gwiazdka na niebie tem ci światłem drży,
Jak niegdyś w oku lubej drżała kropla łzy,
Gdy płacząc, cię na krwawy wysyłała bój,
Gdyś żegnał raz ostatni stracony raj twój —
Gdy jasną chorągiewkę, zlaną łzami jej,
Przywiązałeś do lancy, a do duszy twej
Przywiązałeś jej obraz, co jak gwiazdka czei,
W bojach i na męczeństwie przewodniczył ci.

Jak ten dziwny poeta, ironiczny, a jednakże poważny —
oburzony, a jednak miłujący — bolejący i zwątpiały na po-
zór, a jednak najzupełniej wierzący, streścił w sobie tę
poezję zwątpienia i boleści, to będzie zadaniem rozpatrzenia
na posiedzeniu następnem.

KURS SZÓSTY.

1860 r.

Pielgrzymstwo polskie, świadome raz celu swego, zrozu-
miało prędko swe stanowisko, lecz nie mogło z niego ko-
rzyścić odrazu; jest to bowiem własnością przyrody ludz-
kiej, że niełatwo zrywa z przeszłością: że więc po ścieżkach
wydeptanych stopami przeszłości długo kroczyć, i chociażby
te błędne były, długo po nich błąkać się musi. Pułaski
i Kościuszko, najczystszy i najpoświęćceński patryjoci polscy,
w Ameryce bili się za Polskę. Dąbrowski, Kniaziewicz,
Sulkowski, Małachowski, również najczystsze i najszlache-
tniejsze uczuciami ożywieni, szukali teje Polski na krwa-
wych polach Włoch, Hiszpanji, Egiptu i S. Domingo. Po-
niatowski Józef szukał jej w nurtach Elstery. Jerzmanowski
w wyprawie z wyspy Elby. Dwernicki, kiedy już wszystko
odstąpiło Napoleona, szukał jej jeszcze, stawiając szczątki za-
stępów polskich, wiernych do ostatka Francji, pod murami
Paryża. Wszyscy, wszyscy bez wyjątku, zawsze i wszędzie
gotowi przelać ostatnią kroplę krwi, nie pytając gdzie, pod
kim i jak — byle ją według ich rozumienia przelać w spr-
awie ojczyzny. Długie nałogi, acz nie zawsze dobrze pojęte
i nie zawsze usprawiedliwione, trudno odeprzeć i pokonać,
a cóż dopiero powiedzieć o nałogach, które przynajmniej
chwilowo przedstawiać się mogą jako dobrze pojęte, i w obec
potrzeby i pożytku narodowego namiętne, a więc ślepą mi-
łością ojczyzny rozżywiane i podsycane. Oderwane od kraju

pielgrzymstwo polskie, leciało w świat jako on liść odjęty od gałązki swojej, ale z tą wielką różnicą, że kiedy ten miotany przez wiatry, leci gdzieś bez celu, tedy pielgrzymstwo polskie szło w świat z wiedzą celu; lecz bez wiedzy jeszcze, jaka myśl zdoła je doprowadzić do celu. Pułaski i Kościuszko, Dąbrowski i Kniaziewicz, Sułkowski i Małachowski, Jerzmanowski, Poniatowski i Dwernicki, dobrze chcieli zasłużyć się ojczyźnie, i też jako takich przyjęła ich i oceniła ojczyzna. Jakżeby pielgrzymstwo polskie listopadowego powstania miało pojąć, zrozumieć i przekonać się odrazu, że nie koniecznie krocząc po śladach tak zasłużonych i tak poważanych poprzedników swoich, służyć będzie dobrze ojczyźnie? Idźmy do Algieru! wołał generał Sierakowski. Idźmy do Portugalji! wołał generał Bem. Idźcie do Ameryki! wołał pułkownik Zamojski. Idźcie do Belgji, do Szwajcarji i Sabaudji! Idźcie do Niemiec! wołali inni. Za mną i ze mną do Egiptu! wołał generał Dembiński, bo niepodobna przecież, żeby ta Francja, ta Portugalja, ta Ameryka, a nie! to Belgja, Szwajcarja, Sabaudja, albo Egipt nareszcie nie wynagrodziły tego za nimi naszego poświęcenia polskiego! I niestety, nie były to głosy wołających na puszcy! Wszędzie, wszędzie widziano znowu Polaków przelewających krew swoją za nie swoich. Pod wrażeniem tego to wołania z jednej strony, a z drugiej przejęty koniecznością i obowiązkiem niepożytku i niewłaściwości tego poświęcenia, poeta, którego poematu przedstawiłem początek na przeszłym zgromadzeniu, przerzucając swojego bohatera do Egiptu, tak rozwija budującą treść nieznanych swych rymów. *)

Po nużącym biegu

Stanął nakoniec pielgrzym na afryckim brzegu,
I z obuwia swojej stopy
Strząsnął co rychłej pył Europy,
Jakby się lękał za swojem ślady
Wnieść zarodu zniszczenia, kłątwy i zagłady,
Na tę ziemię gościnną, co pusta a dzika,
Miała odtąd przytułkiem być dla męczennika.

*) Poemat ten w całości, z którego na kuście przytaczałem obszerniejsze wyjątki, jako niezanego podówczas, znajdzie teraz czytelnik w tomie XXVI. Biblioteki pisarzy polskich, drukowanej w Lipsku u F. A. Brockhause, 1864 roku.

Na tę ziemię plag, nieszczęść, przekleństwa i sromu,
Której od proroka dano
Ziemii egipskiej, niewoli domu,
Zelżywe miano;
A która wbrew prorokom i proroków Boga
Nie wzbronila, gdy wszystkie ziemie zabroniły,
Wielkim synom upadku, wygnańcom Europy,
Tułaczom polskim, na gościnny próg,
Męczęskiej wędrowki pyły
Otrząść ze znużonej stopy!
Cześć tobie, wielka ziemio! wszystko wielkie tu!
Tyś przyjęła wygnańców do niewoli domu.
Kiedy w krajach wolności ich duszom pociechy,
Stopom ziemi, a głowom odmówiono strzechy!
To wyniosłe przyjęcie jak balsamy chrztu
Starto z ciebie zmacę sromu,
Co kalał oblicze ci;
I rzuciło jego brzemie
Na europejskie ludy i ziemię
Bez ducha, wiary i czci!

* * *

Natura jest świątynią i na każdym kresie
Miły bóstwu serca śpiew.
Wygnańcom świat ojczyznę, i gdzie ich zanieśie
Nieprzeparty losu gniew,
Kaźda ziemia, ta lub inna,
Przyjazna, lub niegościinna —
Kaźda grobem zapłaci za rozlaną krew!
Wszędzie ceny jednakowe,
Wszędzie dadzą grób za głowę;
Bo serca niepłacone, bo tak obojętne.
Czy które dla ludzkości całą siłą wrzało,
Czy w piersi samoluba drzemało niechętne,
Byleby raz bić przestało —
Jedna dla obu zapłata, jedna niepiamięć dla obu;
I zysk, przemiana miejsca z lodowego świata,
Przechód do zimnego grobu.
A jednak na rodzinnej, ukochanej ziemi,
Pod sklepieniem niebios jej,
Milsze szczęście. cierpienia — bo między swojem i
Ach! i konać lżej!

Lecz jeśli niepodobna, o! to w takim razie,
Konając nie za swoją, na wroga żelazie —
Ostatecznem westchnieniem kropkę tej krwi czystej
Ślubuj niebu: za dolę krainy ojczystej!
Wszędzie matka ziemia za twój ślub dla braci
Przyjmie ci go w rachunku i grobem zapłaci.

* * *

Dwie chorągwie rozwite miały przeciw sobie.
 Z jednakiemi godłami, z księżycami obie;
 Obie w imię proroka, co u sklepeń Mekki
 Zawisł jako myśl wielka u niebios sklepienia.
 Na sile niewidomej kołyszą go wieki —
 I śpi, aż się przebudzi na sąd przyrodzenia.
 Pod jedną z tych walczyli synowie Islama,
 Druga miała nad głową synów Ismaela
 I piersi pobratane — lecz je rzeź rozdziela.
 Rzeź krwawa, uporczywa i nieublagana.
 Szło o to między braćmi: jakiego czcić Pana,
 U którego szpony większe,
 U którego stryczki miększe,
 Którego dłoń wprawniejsza nakładać okowy,
 I kto im nadal będzie odrąbywać głowy?
 Zagadka była trudna, a w całej zagadce
 Odkrytej, nieodkrytej, korzystali władce.
 Było o co wieść boje! Niedawnemi czasy
 Dwa ludy pobratymcze także szły w zapasy
 Nad świętym brzegiem Wisły — ale tam nie o to:
 Czyje więzy twardziej gniotą,
 Czyje miłościwsze knuty?

Tam naród męczenników do krzyża przykuty,
 Zapragnął zmartwychwstania przed obliczem świata!

Od swej dłoni, od swej stali
 Chciał żadnego nie mieć kata.
 A na ostrzu jego kosy
 Spoczywają jego losy
 I tych, co go krzyżowali.
 W takiej walce nie żał przecie
 Pierś osadzić na bagnecie.

Lecz ludzie, co z psiem męstwem na siebie się miotą
 W najnikczemniejszym zamiarze,
 Przed tym, czy przed tym despotą
 Upadać mają na twarze?
 Niewarte tłumy takiego motłochu
 Naboku polskiego prochu!

Jednak patrzaj: Dwaj męże z oszczepami w dłoni,
 Z tego ludu męczenników,
 Z pod górnych owych znamion Orła i Pogoni!
 Lecą na czele ibrahimskich szyków,
 Z najwznieślijszym męstwem owem,
 Z jakim szli po listek lauru
 Męczennicy pod Grochowem!
 Tak więc łatwo z pamięci lada wietrzyk wywiał
 Ból, co serca ich ożywiał
 Na równinach Wawru.

* * *

O! zaprzestanie oszczerce
 Taką mową duszę truć!
 Jedna Polska jest na świecie,
 Jedno tylko polskie serce
 I łza — a wy nie możecie
 Polskich cierpień czuć!
 Dla tulaczy, dla wygnańców,
 Jak świat wielki przed oczyma,
 W kręgu czterech jego krańców
 Piędzi ziemi na grób nie ma.

A którażby pierś polska śmiała się zadłużyć
 Jałmużną grobu, pod głowę podróżną,
 Gdy matka Polska nie w siłach odsłużyć?

Nikomu równą jałmużną?
 Milej obcym za grób służyć,
 Niż czuć się dobrodziejstw dłużną.
 A krew nasza gdzie upadnie,
 Perła w morzu nie przepadnie.
 Cień matki, co bez pogrzebu
 Błąka się po każdym kresie,
 Odszuka ją, zabierze — pół odda niebu,
 A pół nad Wisłę zaniesie!

Krwawe było spotkanie: zniweczeni, zbici,
 W zamięszaniu, nieładzie pierzchli Ismalici —
 Bo miecz jak myśl Ibrahima
 Tamy nie zna, zawał nie ma.

Zwycięzca po szerokim spoglądał przestworze —
 I wrogów już nie było, oprócz pod kopytem,
 Trupa albo kaleki, co bezsilnym zgrzytem
 Już mu do Carogrodu drogi nie przeorze.

Zbierali z pola rannych — i patrz między nimi
 Niosą męża w turbanie. Młodzieniec szedł przy nim,
 Jak anioł stróż, płaczący nad dziecięciem ziemi.
 Mąż ciężko był ranionym, a po licu sinem
 Purpurowy zdrój krwi spływał —
 Ranny przez środek czoła — on już dogorywał!
 Wódz poznał to spojrzenie i to dumne lice,
 I podał gasnącemu braterską prawicę,
 A łza niema zwycięzcy wyszła na źrenicę:
 «Tyś wart grobu w każdej ziemi,
 Boś mógł każdej być ozdobą;
 «I konasz między swojemi,
 «Boś ojczyznę przyniósł z sobą.»
 On nie słyszał! On był sam!
 On żegnał się z pierścieniem, słowa: Polska, Lima
 Powtarzał niewyraźnie, ku Polsce oczyma
 Zwrócił, łzy się puściły i wzrok zastygł tam!

* * *

I patrzała natura z ciszą uroczystą,
 I patrzało z wysoka wiekuiste słońce
 Na taką wielkość troistą!
 Wielki wódz ze łzą, wsparty na oszczepie,
 I męczennicy, dwaj polscy obrońcy!
 Ten, legły martwym licem, dumnie się uśmiechał;
 A ten, piękny, samotny kwiat na cudzym stepie,
 Łzą tylko polewany, samotnie dosychał!
 O! ileż razy ujrzy taki zgon tułaczy
 Cudza natura, step cudzy i słońce?
 Polską tylko nie obaczy,
 Jak konają jej obrońcy!

Otóż, jak wieszcz, wygnaniec, tułacz, pielgrzym, ocenił
 bezpłodne poświęcenie się narodu swojego, swych współ-
 braci, spółwygnańców, spółtułaczy i spółpielgrzymów. Zdaje
 się, iż dość powiedział, żeby braciom otworzył oczy i od-
 wiódł ich raz na zawsze od marzeń tego rodzaju. Zdaje się,
 iż nie powiedział, co by mogło wywołać przeciw niemu
 mściwość i zawziętość wrogów. Wszak tylko swym własnym
 rodakom szczerą, przykrą wypowiedział prawdę. A jednakże
 za to właśnie wypowiedzenie i za tę prawdę właśnie uwię-
 ziony przez wrogów i dręczony katuszami, na jakie tylko
 nienawiść prawdy zdobyć się może, skonał we więzieniu
 austriackim 1838 r. Ale nim skonał, takim testamentem
 dla wroga, co mu życie poświęcone ojczyźnie wydzieriał,
 zapieczętował męczeńskie dni swoje:

Krw! pragniesz! uderz! wytrysną jej źródle!
 Nasyć serce krokodyla!
 Tyle tylko zostaw, tyle,
 Ile na rysy potrzeba mi twoje!
 Lecz nie! i ta roskosz będzie mi wydarta!
 Nad mych boleści krwawych opisy —
 Z własnych dziejów jedna karta
 Lepiej poda krwawe rysy.
 Moich bezsilnych gniewów nie usłyszysz jęku,
 Dojdzie cię tylko głos wzgardy tułacza,
 Wygnańca, potępieńca, z więzami na rękę —
 Głos wyższy, co zbrodniom nawet przebaczał!
 Ty tylko, której obraz przed obrazem Boga
 Wiernie w tej piersi spoczywa,
 Ziemię świętą, ziemię drogą!
 Ziemię moją nieszczęśliwą!
 Ty się tylko odrodz wolna,

Rozjaśnij czoło słodkimi uśmiechy —
 A żadna siła nie będzie zdolna
 Wydrzeć mi z serca pociechy!
 Ty, co i teraz czarownym powabem
 Odciągasz myśl cierpiącą od bolesnej troski,
 W okrąg luby, w okrąg boski,
 Wspomnień wyrzniętych na mem sercu słabem.
 Nim stracony dla ciebie, od ciebie daleki,
 Ostatniem dotknięty uczuciem boleści —
 Znikną nie twoją ręką zwartemi powieki —
 Przyslij słońcem zachodzącem, ze wschodzącą zorzą,
 O twojem szczęściu donoszące wieści.
 A oczy konające jeszcze się otworzą
 Raz jeszcze, lecz ostatnich obfitemi rzeki
 Zaleją się szczęśliwie i usną na wieki!

I zamilkł poeta i usnął na wieki!...

Usnął wielki wieszcz-pielgrzym, ale nie usnęła myśl jego.
 Myśl wielka! myśl płodna! myśl jedynie zbawcza! Myśl do-
 magająca się już poświęcenia tylko Polski dla Polski i za
 Polskę, i już nie po ziemiach cudzych, lecz w Polsce.
 Przeczuwał już ją Zaliwski i towarzysze jego wyprawy:
 Drzewicki, Winnicki, Wołowicz, Zawisza i tyłu z nimi in-
 nych, którzy ją okupili krwią swoją. Ale pomimo tego ich
 za nią poświęcenia się, było to jeszcze kroczenie po da-
 wnych śladach ojców: tylko bronią, tylko z bronią w rękę
 usiłujących odzyskać prawa bronią im wydarte. Trzeba broń
 wesprzeć myślą! Zanim broń pochwycimy do ręki, trzeba
 poczuć i wiedzieć, w jakiej myśli i dla jakiej myśli chwy-
 tamy broń do ręki! rzekł pierwszy Szymon Konarski, a co
 rzekł, to w swem gorącym poczuciu się do obowiązku naro-
 dowego zapragnął udzielić braciom i tę myśl zasiać na
 ziemi ojczystej.

Na pielgrzymstwie głośnie było imię Konarskiego, i w tem
 tu gronie naszym nie jeden może przypomni w nim sobie
 spółczucia lat młodych, towarzysza broni, przyjaciela, a pa-
 trjotycznych i demokratycznych zasad niezmordowanego
 apostoła, co słowa miłości i wolności poniósł między rzesze.
 Może więc i niejednemu sercu wygodzi, może i na czasie
 będzie odświeżenie pamięci najwydatniejszych rysów żywota
 tego wielkiego męża.

Szymon Konarski urodził się dnia, miesiąca i roku, z ojca, matki, i t. d.; cóż nas te szczegóły obchodzą? rzekł słusznie jeden ze sprawodawców żywota jego. Carskie urzędniki spisały to wiernie na śledczej powieści. Dla nas dość wiedzieć, że był młodzieńcem, którego wydał wiek XIX., że w Augustowskim wziął życie, że lata nauki przepędził w szkołach sejneńskich, a w roku 1825 jako ochotnik wszedł do pierwszego pułku strzelców pieszych wojska polskiego. Wiemy, jaki duch narodowy wyrabiał się pod surowością Konstantego — jak młodzież owoczesna odgadywała już przecuciem, już rozmowami, że tylko nieograniczonym poświęceniem się wrogów pozbyć się może. Powstanie listopadowe zastało Konarskiego podchorążym w tymże samym pułku. Zastało go, a raczej on się rzucił w jego objęcia z gorącym uczuciem, z sercem czystym i z ową żądzą czynu, trawiającą młode umysły, które święta miłość ojczyzny i ludzkość chrześć zwykłą ognistym chrztem poświęcenia za prawa swoje. Idąc po stopniach, kapitan w końcu powstania, ozdobiony krzyżem zasługi wojennej, poszedł z innymi na tułactwo do Francji, gdzie odepchnawszy wszelkie w przyszłości osobiste widoki, po całych dniach i nocach nad tem przemyślał, jakby najprędzej a najlepiej służyć sprawie publicznej. Wyprawa Zaliwskiego silnie przemówiła do serca Konarskiego. Poszedł więc z strzelbą przez ramię, z garścią kul i prochu, z próżną kieszenią, ale z duszą pełną prawd żywych, wzywać do powstania lud swego rodzinnego Województwa Augustowskiego. Jemu się zdało, że stając na mogile świeżo usypanej z kości braci poległych, w obec niesłychanego i niepraktykowanego w dziejach przesładowania, nie będzie na ziemi polskiej niewolnika, któryby nie zapragnął wolności. Inaczej się stało... Polska odurzona jeszcze wstrząśnieniem, które jak sen łudzony skończyło się okropnem przebudzeniem — obrana z najdzielniejszej młodzieży, zakrwawiona świeżemi stratami, nie odpowiedziała na głos, powołujący do spełnienia nowego obowiązku. Zbolały wrócił dzielić z braćmi pielgrzymstwo, ale duch jego czynny, przekonanie głębokie: że bez poświęcenia nie ma wybawienia, nie pozwoliły myślom jego spoczynku. Polska zgnębiona, demoralizowana, a jednakże nosząca w swoim łonie zaród wielkiego życia; Polska tak gorąco

czująca swój upadek, wzywała go w swoje objęcia. Przywykły do walki z największymi trudnościami, nie pojmujący zwycięstw bez niebezpieczeństw — wreszcie jak ów dobry gospodarz, znający jakie ziarno roli przystoi, pomija inne prowincje, wpływom pielgrzymstwa przystępniejsze, więcej z politycznem oswojone życiem, i wybiera sobie Ruś i Litwę, gdzie lud dźwigał najcięższe brzemie niewoli. Tam się przedrzeć, tam porozumieć się i wszystkiego się wyrzec dla jednej myśli; tam się narażać z całą najoczywistszą pewnością, iż pać może, i na koniec pać ofiarą swojego poświęcenia i wśród tortur inkwizycyjnych zyskać, jak drugi Rejtan, generała moskiewskiego przyznanie: To człowiek żelazny! — a w końcu umrzeć z odwagą bohatera, co wie, że dzieło jego tysiące po nim podejmą. Oto jest krótki, ale jakże płodny w wypadki żywot Konarskiego.

Zaiste, nie był to apostoł dla samej myśli tylko. On wiedział, iż ażeby myśl owoce swoje wydała, stała się ciałem i mieszkała między nami, musi wprzód być słowem. Toż nie marzył tylko, ale mówił i pisał. Na pielgrzymstwie należał głównie do wydawania dziennika *Północ*, jednego z wypowiedających najgorętsze i najszlachetniejsze poczucia. List jego do matki, oraz wiersz w więzieniu krótko przed śmiercią napisany, charakteryzują człowieka, który równie orężem jako słowem i piórem potężnie umiał władać. On pierwszy może poczuł, jakimi powinni być pisarze, jeżeli być mają prawdziwie użyteczni, czyli: iż służyć powinni sprawie ojczyzny i ludzkości nie tylko samym orężem, ale słowem, pismem, cnotą i poświęceniem.

Skazany na śmierć 27. lutego 1839 roku. Cały dzień zostawiony mu do przysposobienia się na wielką pielgrzymkę w wieczności i do odpoczynku po mordującej pielgrzymce tego świata, poświęcił wspomnieniom krewnych i przyjaciół; cieszył się nadzieją, że tajemniczy los ojczyzny odsłoni się przed duchem uwolnionym z ciała; następnie jakby na pożegnanie, uderzony natchnieniem, rzucił się do pióra i stworzył poezję, w której odmalował gorącą miłość ojczyzny oraz wolności i wylał cały zapal bolejącego serca nad zepsutym światem, które za kilka godzin bić dla niego już przestać musi:

Świat wielki, piękny i w szczęście obfity,
I urok wiosny po nim rozlała natura.
Siłą uczucia mego na pal cierpień wbiły,
Przeżyłem na nim młodość jak wśród burzy chmura
Uczucie piekłem wstrząsnie, w niebie myśl wyszpera,
A gdy serce poruszy, w duszy ci osiedzie,
To tak po krańcach świata miotać tobą będzie:
Jak miota głodem okiem na czatach pantera.

O! i ja kiedyś czułem i myśl z nieba brałem,
I z tą myślą, z uczuciem błdziłem po świecie.
Dzisiaj tu, na dnie duszy, na sercu zbolałem —
Kamień ciężkiej niedoli myśl i czacie gniecie.
Do łez dzisiejszych narodu mego,
Co jak mary zgryzoty ze snu mię zrywają,
Brakło mi, luba, tylko jęku twego.
Dziś hymn rozpaczy piersi twoje grają,
Dziś mi nic nie brak, los obficie darzy.
Wszystkie moje nadzieje mieści ta komnata.
Od wszystkich wspomnień oddzielił mię krata,
A przyszłość moją Bóg z katem kojarzy.

Błyszne wam jeszcze po nad rusztowaniem,
By spełnić wyrok mego przeznaczenia —
Tam was pożegnam z pod stryczka chrapaniem,
I z sobą wezmę wszystkie me wspomnienia.
Zmęczony ciężkim trudem mego powołania,
Wśród wielu serc przyjaznych poznałem i ciebie;
Westchnąłem, kiedy przyszła chwila pożegnania —
Nad twą przyszłością westchnął anioł w niebie.
Z tułaczych piersi razem z technieniem mojem
Wicher niemocy zaszumiał zniszczeniem,
I zawył burzą nad sercem w pokoju,
Nad twą młodością i nad twą swobodą.
Tyś mi jednak otarła lzy sieroctwa znoju
I dozwoliła chwilę spocząć przy twych nogach,
A gwiazda życia mego strzeliła pogodą.
Ja niebem oddychałem, żyjąc w waszych progach.
Dzisiaj wam zamiast nieba, zamiast odpoczynku,
Męki i lzy rozpaczy niosę w upomniku —
Bom tułacz, droga! Ciężka moja dola!
Technienie me w śmierci całuny obwija!
Spojrzenie moje to Sybiru żmija —
Gdziekolwiek stąpnę, tam będzie niewola.
Gdzie wchodząc, powien: « Chrystus pochwalony! »
Gdzie chleb położyć na me przybycie —
Tam opuszczonej matki, jęk usłyszysz żony,
Osierociałych dzieci tam usłyszysz wycie.
Ale gdzież ja czuć przestał że byłem sierotą,
Gdzie duszę napawałem niewinności technieniem,

Gdzie serce nie krwawiło, pojone pieczęcią.
Gdzie mię kochanka brata nazwała imieniem —
Tam hyenę przyprowadź od trupiej biesiady,
A hyena się wzdrygnie, łzami spławi oczy,
I litości ryk w niebo po ziemi roztoczy,
I nie przyjdzie już więcej patrzeć na me ślady.

Ciężka moja dola i oddech mój ciężki,
Jak trupa przed skonaniem — narodowe klęski
Przetopione w mem sercu na trucizny, jady,
Pełzają w duszy mojej jak szkodliwe gady;
I toczą pierś tułacza jak robactwo zgniłe,
Które rojem napada na świeżą mogilę.

Myśl, co mię pośród trudów pocieszać umiała —
Myśl wesola, szczęśliwa jak młoda dziewczica,
Której miłość pierś unosi i rumieni lica —
Myśl, co w niebie wolności życie swoje brała,
Dzisiaj ciężarem śledztwa strudzona, zszarpana,
Jak starzec w konwulsjach poci się i kona.
Jeżeli się przypadkiem wykradnie wieczorem,
I do ludzi pobieży przeszłości mej torem,
I zajrzy w serca polskich żon, dzieci, siostr, matek,
Wnet słabiej, omdlewa, traci sił ostatek,
I co prędzej za kratę ucieka od świata,
Jak męczennik, co wyszedł znękany z rąk kata;
I wróciwszy, zakipi w sercu niewolnika,
Jak jęk męczonych braci, co cię wskrosz przenika.

Panie! za co ja cierpię? i jak cierpię jeszcze?
Uchwyciłeś mię w srogie cierpień ludu kleszcze,
I dręczysz i mordujesz jak szkodliwą żmiję,
Co kijem przygnieciona, kurczy się i wije.
Wszakże ja w sobie serce mam tylko człowieka,
A ty w niem umieściłeś wszystko, co dopieka —
Co męczy, co morduje, co gryzie, co boli.
W życiu niebo nadziei: tu piekło niedoli.
I cóż mi, Panie, po tem spokojnem sumieniu —
Co po chęciach ci znanych, co mi po tem chceniu?
Co mi po tem, że zawsze żyłem nie dla siebie?
Że uczynkami memi chwalilem cię w niebie —
Że po więzieniu biegam jak pies z głodu wściekły —
Że lzy głodu śledczego w oczach mi się spiekły?
Ja drwię teraz już z wiary, ja się z wiary śmieję —
Ja szydę z przekonania, co daje nadzieję,
Że szczęście ludu mego tylko się odwlekło.
Ja w niebo dziś nie wierzę — ja mam w sercu piekło!
Z całą oprawców zgrają szatan w sercu siedzi,
I ucztę królom sprawną wśród brudnej gawiedzi.

Może i ten raz jeszcze Panie mię próbujesz —
 Może za piekło w życiu niebo mi gotujesz?
 Ale ja nieba nie chcę! ja nieba nie widzę!
 Ja do nieba nie pójde! ja niebem się brzydzę!
 Ja pójde ludzi szukać, co bluźnili niebu —
 Co jak Chrystus na krzyżu, ludzkość w sercu czuli,
 I nie mogąc jej zbawić, ludzkością się struli,
 I śpią gdzieś zapomnieni, bez czci i pogrzebu.
 Ja ich wszędzie wynajde, za piekłem i w piekle.
 Przyjde, powitam okiem i raz jęknę wściekle
 Jęknem narodu mego — i powiem im: Ludzie!
 Kraj mój kochałem i lud sercem żony-matki,
 Świadkiem dusza rozdarta i lzy spiekłe świadki.
 Jam się nigdy nie zmazał w samolubstwa brudzie —
 Żyłem, jak wy żyliście. Niebo jednak chciało:
 Bym dla kraju był dżumą, dla serc drogich katem,
 Bym skąpany w łzach bratnich, rozstał się z tym światem;
 By mi tylko sumienie spokojne zostało. —
 Z wysokości więzienia zakuty w kajdany,
 Żegnałem kraj rodzinny i lud mój nękany.
 Pożegnałem przyjaciół, kochankę, rodzinę,
 I tułaczów żegnałem i przeklęty ginę!
 Do nieba iść nie chciałem, bo mój lud w niewoli —
 Bo ojczyzna skrwawiona, bo mnie serce boli.
 Pogardziłem więc niebem po szatańsku, śmiałem,
 Z duszą do was przyszedłem, królom dałem ciało.
 Tutaj odpocznem chwilę wśród wspomnień kochanych,
 Tu razem czuć będziemy po mękach doznanych.
 Tu płakać nam nie wzbronią nad męką ojczyzny —
 Gdy tam cieszyć się każą, patrząc na jej bliźny.
 Tu ręce sobie damy, świata męczennicy:
 Najprzód piekło rozburzym, bo piekło jest stare,
 Potem wspólną rozlejem naszych uczuć wiarę —
 I zadrzą wszyscy króle, zbrodni niewolnicy,
 I niebo się rozjaśni, i Bóg się rozśmieje,
 I Bogu pokłon damy, bo Bóg odmiłodnieje.

Ja ci bluźniłem, Panie! bluźnierstwem tułacza.
 Lecz gdzie o przyszłość kraju, o lzy bratnie chodzi —
 Tam lepszy ten co bluźni, niż ten co rozpacza,
 Tam i ciało i duszę potępić się godzi.
 Kiedym zebrał po świecie ponury i młody,
 Kiedy nadziei gwiazda skroń moją zdołała,
 Nie żądałem dla siebie życia ni swobody,
 Myśl zdjęta z krzyża Twego wszystkim dla mnie była.
 Cieszyłem się tą myślą, jak młodość nadzieją.
 Z tej myśli dzisiaj, Panie, tyrani się śmieją.
 Ja dzisiaj męczennikiem myśli Twojej żyję,
 Ja krew drogich mych braci i ich rodzin piję.
 Aż serce wzdęte żalem rozprysnę się, pęknie,
 Tak, że aż niebo Twoje wzdęte, żalem jęknie.

Jad z mego serca aż tam w niebo trysnie,
 I jak sztandar niewoli przed Tobą zawisnie —
 I powiem swym krwawym niebo Ci zatruję.
 Bo przypomni Ci, Panie! co mój naród czuje.
 Ja w tej izbie przeżyłem wszystkich serc katusze —
 Ztąd widziałem, jak Polskę zalało łez morze.
 Tam nie dbałem o życie, tu nie dbam o duszę —
 Ale Polskę zbaw Panie! Polskę wybaw Boże!

Jaki wielki charakter! co za wzniosła dusza! Zaledwo
 gwałtowność pierwszego wzruszenia ustąpiła spokojniejszemu
 rozmyślanu, wnet Konarski pojawia się jako ów statek, co
 linami przymocowany do ładu, mając odbić, nie rozrywa
 ich, lecz z lekka je odplątuje i choć tylko na jednej linie
 przyczepiony do ziemi, dotąd jej nie opuszcza, dopóki cał-
 kiem na pełne nie wysunie się morze. Pochwyciwszy po raz
 drugi pióro, nim się oddalił na pełne morze wieczności,
 Konarski powoli, z lekka odplątuje najściślejsze, najgłębsze
 związki w swoim pamiętnym liście, który na godzin kilka
 przed śmiercią napisał do matki, do rodziny i do przy-
 jaciół:

«Kochana matko, rodzinno moja i wy wszyscy, którzy
 mię kochaliście, a którym dusza moja i serce winne są
 wdzięczność za wszystkie chwile szczęśliwe, za wszystkie me
 wspomnienia radosne — przebaczcie mi lzy wasze! W chwili,
 kiedy to czytać będziecie, już los mój się rozstrzygnie.
 Bądźcie zdrowi i nie żałujcie mię, bo nie tych żałować
 trzeba, co tam idą, lecz tych, co tu zostają. Dobra noc
 wam drodzy!»

List ten skończył przededniem... Potem żegnał się ze
 współtowarzyszami więzienia i nie jedną prawdą podnosił
 ich upadające dusze. Gdy wśród tych rozdzierających poże-
 gnań dostrzegł dozorcę więzienia, prosił, aby za część jego
 pieniędzy kupił mu odzież sukienną. «Wszak ci to zima
 dzisiaj — mówił — mogę drzeć na trzaskającym mrozie, a lud
 mógłby myśleć, że drzę z bojaźni!»

Moskal tłumaczył, że nie ma pozwolenia, a zresztą —
 dodał — droga nie daleka.

Wkrótce wszedł ksiądz Bernardyn dla oddania potępień-
 cowi ostatniej religijnej posługi.

Konarski czule go uściskał: «Ojcze! pewny jestem — rzecze — że mi Bóg przebaczy grzechy, jakich się mimo-wolnie mogłem dopuścić w mem życiu, bom dużo odpokutował, dużo wycierpiał dla ojczyzny i dla ludzkości. Lecz lubo jestem Kalwinem, błogosławieństwo twoje, jeżeli go potrzebować mogę przed Bogiem, który wszystkie dzieci porówny miłuje, równie miłem mi będzie jak mojego pastora. Błogosław mnie więc jak syna! jak wyznawcę krzyża! A jeżeli twa łaska, to pójdź i zobacz, jak umierać będę spokojny.»

Gdy godzina przeznaczona do wyjścia na plac śmierci wybiła, Konarski sam oświadczył, iż jest gotów przyjąć śmierć męczeńską. I zaraz ogładził swe jasne włosy, spadające na ramiona, na głowę włożył włóczkową czworograną niebieską, ręką swej bogdanki uwił i łzami jej zroszoną; na letni ubiór, w którym go pojmwano, zarzucił żołdacki szyniel moskiewski i otoczony żandarmami, spokojny i pogodny, jakby się udawał po odebranie zasłużonej a najświeńszej nagrody, zszedł na dół.

Wsadzono go w sanki i otoczonego żandarmami wieziono ulicą Troicką, która szła pod górę, a po obu stronach której stało wielkie mnóstwo ludu, a mianowicie kobiet, powiewających od łez zroszonymi chustkami i przeciągłym jękiem żegnających Konarskiego. On do żywego przejęty, podniósł nogę z sanek, ciężkim łańcuchem okutą, a brząknąwszy nią silnie, donośnym głosem zawołał:

«Nie nademną płaczcie, bo ja za chwilę wolnym będę, ale nad sobą, których w niewoli zostawiam!»

Zbliżając się coraz ku Troickim rogatkom, odkrywały się nieobjęte tłumy ludu. Miejsce to jakby na wzbudzenie żalu za światem uroczło się przedstawiało.

Tam, kiedy stanął potępieniec Konarski, wzrok jego, co dotąd zwracał się ku wyższym światom, utonął w krajobrazie zimowym, rzekłbyś, że dusza przez oczy chciała była wołać: Przyrodo! tyś zawsze dobroczynna i piękna, tyś obrazem twego Twórcy, lecz stworzenia, co żyją w pośród ciebie, nie rozumieją cię. — A może też marzył myślą wzniolejszą, bo patrzył w przyrodę z taką uwagą i z takim natężeniem, jak gdyby chciał okolicę grobu swego wyręć na

zawsze w swej pamięci i przenieść jej rysy w inne, wieczne krainy...

Wszystko to było dziełem jednej chwili. Komendant jasniejący od złota, srebra, szlif, szarf, oraz chrestów i otoczony sztabem, odczytał wyrok śmierci.

Konarski wziął wyrok z zimną spokojnością do ręki, popatrzył i rzekł: «Bładym car atramentem podpisał, ale jego wyrok krwią będzie pisany!»

I tak się stało!

Kapłan towarzyszący Konarskiemu, acz on tego nie potrzebował, umacniał jego ducha pobożnymi słowami. Konarski czule ścisnął mu rękę za podjęte usługi. Potem zwrócił się ku oficerom rosyjskim, skłonił im głowę, z których kilku rzuciło mu się w ramiona.

Teraz porwano Konarskiego i poprowadzono go nad grób wykopany.

Ryknął komendant! Muzyka z piszczałek i bębnow za-grzmiała dzikim wrzaskiem. Głucha i ponura cichość zaległa liczne tłumy — zdało się, iż nikt nic nie słyszał, prócz bicia własnego serca.

Rykła znowu komenda, brzękły karabiny. Zagrzmiało dwanaście strzałów, a kiedy wiatr odniósł kłęb dymu — leżał trup męczennika, pięciu kulami przeszyty.

Z rozgłosem wystrzałów rozdał się jęk przeciągły ludu, który powionął od placu aż w samo serce Wilna, i odbił się żalosnym echem po całej ziemi polskiej, jak długa i szeroka.

Lud przełamując szeregi, cisnął się zewsząd do grobu. Jedni obrywali z męczennika szczątki odzieży; drudzy kruszyli kajdany na pierścienie, owi chustki we krwi maczali, inni na grobie zatykali krzyże i kwiaty, inni słup cieli w kawały, przy którym padł męczennik, aby służył za relikwie święte, jako drzewo krzyża świętego, na którym był przed wiekami zawieszony Zbawiciel świata.

A jeżeli zgon Konarskiego takim się rozbił rozgłosem dla ziemi ojczystej przez to, że był ją kochającym i jej poświęconym synem, mogłoż pielgrzymstwo polskie nie zadrzeć na wieść taką, kiedy jego był bratem, współwyznawcą, jego przekonań, jego uczuć skarbnicą, powiernikiem i posłannikiem? Toż więc zadrzało i gorzko zapłakało, nie tylko z boleści

nad zgonem najmilszego i najzasłużeńszego swego współbrata, lecz z radości i uwielbienia także, że go w gronie swoim liczyło, w nadziei: że co zasieje, zejdzie musi. Liczne obchody na cześć Konarskiego zarządzane zostały we Francji, Anglii, Belgji, Szwajcarii, Ameryce — słowem, po wszystkich zakątkach tułającej się Polski. Na uroczystościach zostawiono opróżnione przewodniczące krzesło duchowi Konarskiego. Pielgrzymstwo polskie poczuło całe od razu, że myśl, za którą Konarski śmierć męczeńską poniósł, pomimo odcieni, które je dzielić mogły i musiały, była jego myślą powszechną; że była najpiękniejsza, bo najprawdziwsza, wlewająca balsam pociechy, bo nie zostawiająca żadnej niedoli, żadnego nieszczęścia bez pomocy, żadnego upadku bez podparcia, żadnej niesprawiedliwości bez poprawy. Najwznioślejsza, bo wyrażająca wybór ogółu; najszlachetniejsza, bo odpowiadająca godności człowieka; najfilozoficzniejsza, bo niszcząca przesady wiekowe i nieomyłności osobistych marzeń; najpoetyczniejsza, bo podnosząca myśl ludzką aż do myśli Boga. Słowem, najwspanialsza, bo wystrzeliwująca naraz wszystkimi gałęziami społeczeństwa, dającego po równi dla wszystkich: cień, wiatry i owoce.

O, młodociane drzewo wyższego żywota tak rychło podcięte! — szeptało sobie uczciwe pielgrzymstwo polskie. Podźwigniem cię wspólnymi drzewy, gałązkami bluszczu, ku swojemu szczytowi. Oby tylko z onej zamieci niedowiarstwa, obojętności, ostyglych uczuć, obłądnych rozumowań, wynieść się wysoko i twoim przykładem bogactwo życzeń w czyn, mgłem omamień w słońce prawdy, a krew naszą w kwiat odrodzonej ludzkości przemienić!

Toż zaiste! z pod takiego wrażenia i wzniesienia uczuciem popłynęły podówczas rymy z piersi wieszczej Seweryna Goszczyńskiego:

Aniele Polski! co robisz śród cieni,
Gdy śmierć snu leży na całym już Wilnie?
Dla czego patrzysz tak długo, tak pilnie
W tę krew, co bruki wileńskie czerwieni?
Ból ciężki, niemy, twoje skrzydła zwinął,
Stopy do ziemi przytwierdził otowiem,
Łzę lodowatą źrenice zapłynął;
W końcu jęk głuchy rozległ się pustkowiem
Ulic miloczących: Tu upadł grom cara!
I znów splenęła dla Polski ofiara!

Bracie Konarski! Tobie się dostało
Paść tą ofiarą błagalną za braci.
Ciebie to dzisiaj dosięgły jej kaci,
Twoje w tem miejscu zważyło się ciało....
Lecz tylko ciało — duch idzie nad ziemię,
Aż w światach nowych, bliższych Boga stanie,
Gdzie szlachetniejszych pracy weźmiesz brzemię —
W bardziej anielskie wejdiesz powołanie,
Zkąd będziesz jaśniał w promienistej szacie
Nad twoją Polską. Cześć tobie bracie!

Cóż żądam, że mało leż na twoim grobie?
Za twym upadkiem mało serc zadrżało?
Cóż ci to szkodzi, że bratnich ust mało
Żegna twą duszę boleśnem: «Cześć tobie!»
Ty pracowałeś nie na dźwięk przelotny,
Twoje serce biło nie tłumnych rąk biciem,
Jak szedłeś drogą tajemną samotny,
Tak skromnie cichem nakryłeś się życiem.
Dziś uśmiechasz się boskiem przebaczeniem,
Że cię chcą splamić losów przewinieniem.

Wiecznie warczenie bluźnierstwa wtórzyło
Pieśniom, co święte wielbiły zapaly.
Niech bluźnią — anioł narodowej chwały
Nie przejdzie niemy nad twoją mogiłą.
Chwilę twej śmierci jak pomyk poświgił,
Zawiesi na nim jak wieniec te słowa:
«On za lud umarł! Cześć jego pamięci!»
A lud w swem sercu wiecznie je przechowaj —
Będą je zdawać swoim wnukom dziady,
I czyste dusze będą iść w twe ślady.

KURS SIÓDMY.

1860 r.

Mówiąc na przeszłym zgromadzeniu o Renegacie Gosławskiego, przywiódłem wiersz jego, zaczynający się od słów:

«Krw! pragniesz! uderz! wytrysną jej zdroje!»

Niektórzy mają go za utwór Mickiewicza. Otoż wiadomo mi z pewnością, że poezja ta w pierwszych latach tułactwa polskiego w Galicji, gdzie podówczas przebywał Gosławski, była mu przyznawaną, i w rękopiśmie poezji jego, do których, oprócz Renegata, należą poemata: Banko, Wesele podolskie, Zwątpienie albo Zamościanka, i wiele innych poezji drobniejszych, a które w mojem są ręk, znajduje się także wiersz przywiedziony — gdy przeciwnie w wydaniu paryżkiem dzieł Mickiewicza z roku 1844 wiersz ten się nie znajduje. Według mnie nawet, i myśl, i ton, i forma poezji tej raczej Gosławskiego, aniżeli Mickiewicza charakteryzować się zdaje. Dziś już obaj nie żyją. Legli śmiercią — dobrze zasłużonych ojczyźnie. Toż któremukolwiek z nich zasługa tego utworu się należy, dla nas dosyć, że utwór ten równie jednego jak drugiego jest godnym.

Winienem jeszcze wzmiankę o uwagach mi uczynionych, co do formy i systematu wykładu: «To nie literatura — powiadają jedni — to polityka raczej.» «Chcielibyśmy, aby rzecz formy i stylu dotykalnie traktowaną była,» powiadają drudzy. «Nie zaszkodziłoby systematu więcej,» dodają inni.

Wszystkie te uwagi mogą być słuszne, lecz nie darmo mówię przysłowie: «Trudno wszystkim dogodzić!» A przytem wszakże z góry zapowiedziałem: że to tylko, i tak przedstawiać będę, co i jak w odniesieniu do obecnej potrzeby narodowej za potrzebne uważam. Nie dla tych, którzy po równi ze mną, albo lepiej odemnie znają te rzeczy, rozwijam je w tych niewielu krótkich godzinach. Głównem zadaniem mojem i jedynem prawie było i jest: przyjsć z ulżeniem w pracy tym, którzy tych rzeczy nie znają, bo poznać ich dotąd nie mieli sposobności. Co pielgrzymstwo polskie, co kraj sam w szczęśliwszych czyli swobodniejszych swych chwilach, a szczególnie w ostatnich latach, i to nie z pod jednego, nie z pod dziesięciu, ale z pod tysiąca piór w druk przelał, to zaiste, aby gruntownie poznać, potrzeba by także przynajmniej tyle czasu na to poświęcić. A czyż wszyscy na to się zgodzą? Czyż wszyscy mogą mieć czas i ochotę do podjęcia trudu takiego? Czy wszyscy mają sposobność mienia tych skarbów pod ręką? Niechże mi wolno będzie oświadczyć, że w obec takiego materialnego a oczywistego niepodobieństwa wszelkie dalsze tłómaczenie moje w tym względzie uważaćbym musiał za próżne marnowanie czasu. Więc zostawiając pole wolne do tego rodzaju trudów ludziom formuł i systematów zimnych, wracam do czynów gorących.

Poległ śmiercią męczeńską Konarski. Poległ, nie ciskając siewu swojego na opokę, nie prawiąc do Sedyceuszów i Faryzeuszów, nie szukając, czego nie zgubił — ale schodząc do prostego, niepokalanego ludu; ale jako ów dobry pasterz, poświęcając swój żywot na odszukanie zbłąkanej owieczki. Byli ludzie, co go oskarżali że z prostytutkami się bratał, że nawet z bałagunami przestawał. Tak jest! Ale nie przeto, żeby ich w gburstwie i brutalstwie, albo w swawoli bałagustwie utrzymał, lecz żeby ich z krzywej i błędnej na prostą i prawdziwą drogę wprowadził. Zawiedziony w usiłowaniach, powaśniony z ludźmi i ze samym Bogiem, przeto że ludzie go, a on Boga zrozumieć nie mógł: jak jeden z pierwszych, ale nie ostatni, za świętą sprawę poniósł śmierć męczeńską, tak jeden z pierwszych, ale nie sam jeden, uległ wpływowi srogięgo zawodu.

Pewna część pielgrzymstwa polskiego nie umiała sobie

zdać sprawy, dla czego Bóg zamiast ich świętej sprawie polskiej, raczej sprawie szatańskiej Mikołaja zdawał się błogosławić. Dla czego papież, ów naczelnik kościoła katolickiego, ich, Polaków, tych odwiecznych i niczem niezrażonych obrońców katolicyzmu, bullą swoją wyklinał, stając po stronie moskwicizmu i syzmy? I cóż zatem dziwnego, że pod wpływem tak niespodzianych a bolesnych zawodów, nie mogąc wytłumaczyć sobie owego strasznego zapomnienia się Rzymu, a nie mogąc jednakże ani długo klócić się z Bogiem, ani Rzymu przekonać, odniosło się w żalu do siebie i w samym sobie poczęło się waśnić.

Czartoryski chciał Polski! Wszak chciał, skoro dziś jeszcze, chociażby mógł za to odbić Puławy, jeden z pierwszych pisał się przeciw łasce carskiej!...

Lelwel chciał Polski! Wszak chciał, skoro dziś jeszcze z djogenesowskimi zadowoleniem znosi wszystkie niedostatki i szyderstwa życia tułaczego! Jenerałowie: Skrzynecki, Rybiński, Małachowski, Sierawski, Gawroński, Sznajde, Bem, chcieli Polski! Wszak chcieli, skoro jedni z nich do dzisiaj nie sprzykrzyli sobie tułactwa, lub na pobojuwisku cierpień i boleści tułaczycy głowy złożyli! Ministrowie, wojewodowie, kasztelanowie, senatorowie i posłowie, chcieli Polski! Wszak chcieli, skoro odstąpiwszy dostojęństw, honorów, dóstatków i obszernych włości, gorzkie okrucy chleba tułaczego pożywali i pożywają ze słodyczą! Mochnacki, Puławski, Krempowicki i całe warszawskie patryotyczne towarzystwo chciało Polski! Wszak chciało, skoro wszyscy z nich w ogólności i każdy w szczególności szukał jej przez swe rany na polu bojów: pod Grochowem, Wawrem, Dembem, Iganiami, Ostrołęką i Wolą, aż na tułactwie poległ, lub poledz gotów śmiercią wytrwałego walecznika! Matrony i dziewice polskie chciały Polski! Wszak chciały, skoro po dniach i nocach całych opatrywały rannych i stróżowały przy nich po szpitalach Warszawy, lub do dzisiaj na pielgrzymstwie i męczeństwie jęczą.

A jednak Polski nie ma! A jednakże to wszystko na tułactwie, na Sybirze, lub po więzieniach! A więc jest winowajca! Gdzie on? Kto on? Szukajmy! Ukazmy! I niestety! długo było tego szukania i karania, zanim się pielgrzymstwo polskie spostrzegło, że największym i podobno

może jedynym winowajcą tego okropnego narodowego nie-szczęścia i upadku był brak myśli zbawczej we wszystkich, i że jej właśnie brakiem wszyscy zawinili.

Idąc za tem natchnieniem, pielgrzymstwo polskie zaczęło szukać przyczyn niemocy przeszłych usiłowań i skutecznego na ich zniszczenie lekarstwa, i tej powinności dopełniając, z dziwną pracą, wytrwałością i poświęceniem przeprowadziło na tułactwie wielkie narodowe przeobrażenie. Nowe przekonania, walcząc z dawnymi, wydierały po kolei wszystkie nad umysłem narodu przywłaszczenia. Ważność tej wielkiej przemiany łatwo uczujemy, zwracając uwagę na głównejsze jej znamiona.

W przeszłych powstaniach walczyła tylko jedna część mieszkańców, jedna klasa. Reszta, ogromna większość, rzetelna narodu potęga, w takich usiłowaniach bezowocną przeczuwając dążność, stała na boku. Nie było siły — nie mogło więc być i zwycięstwa. To pojęcie stając się prawdą, wysnuwało naturalne przekonanie, iż nasze narodowe usiłowania całą narodu masą prowadzone być winny; całą zaś masą prowadzone być nie mogą, jeżeli im nie będzie przewodniczyć wielka, dla wszystkich jednakowa wolność, równość i braterstwo; jeśli najliczniejsza część narodu, czyli lud rolniczy, usamowolnionym i uwłaszczonym nie będzie. Nie koniec na tem.

W przeszłych powstaniach ludzie kierunku, nie upatrując w narodzie sił do pokonania zewnętrznego wroga, ogładali się na obcą pomoc, na pomoc naturalnych swych nieprzyjaciół. Teraz, oceniwszy swoje i swoich wrogów żywioły, Polska nabierać zaczynała zaufania we własne siły, a myśl zebrania obcej pomocy, jej narodowemu uczuciu ubliżająca, stanowczo odrzucała.

W przeszłych powstaniach władze naczelne bez wiary w powstanie, bez rzeźwości i siły, niedołężne, wachające się, szły drogą najtrudniejszą — bo drogą półśrodków — usiłowały zgodzić ze sobą najsprzeczniejsze żywioły — wolność z przywilejem, sprawiedliwość z przywłaszczeniem, interes narodu z interesem kast. Odtąd wiarą być zaczynało to przekonanie, że naprzeciw silnie uorganizowanego nieprzyjaciela postawić trzeba równie silną organizację własną i przyodzierać ją najzupełniejszym zaufaniem w to, że tylko

myśl powszechna i interes powszechny, wszystkie drobniejsze myśli i cząstkowe interesa w jedną myśl i interes zlać, albo one stłumić i zniszczyć mogą.

Wolność i własność, zaufanie w narodowe siły, władza silna, wszechmocna, przechodziły w ogólne pojęcia, w niezaprzeczoną narodową własność. Dawne niedołężne i anarchiczne wyobrażenia, przechodziły na własność pojedynczych osób, do przeszłości przyłgnionych, dla przyszłości straconych. Żadne stronnictwo w szczerej, czy udanej wierze, już się do nich nie przyznawało; ogół z zapalem nowe pojęcia przyjmował. — Krótko mówiąc, nowa myśl zwyciężała!

Rzecz znajoma, fakt dokonany, a jednak choć w przelocie może nie zawadzi, że jedni sobie przypomną, a drudzy się dowiedzą: Jak się to wszystko stało?

W naturalnym porządku rzeczy, wystąpienie najpierw na scenę tychże samych znakomitości, które przewodniczyły ostatniemu powstaniu, koniecznem było do rozpoczęcia pielgrzymskiego dzieła, aby wywołać jawne a sprawiedliwe ocenienie przeszłości w przeważnej części pielgrzymstwa; a pierwsze uderzenie spadło na tak zwany Komitet Niemojewskiego, złożony z kilku posłów i członków byłego rządu; komitet, który się sam złożył na prędko po większej części z najzärliwszych obrońców konstytucyjnej legalności.

Zniesienie jego dokonano uroczystem i jednomyślnem orzeczeniem przez wszystkich prawie Polaków obecnych w Paryżu, iż ta moralna reprezentacja Polski odmawia zaufania i ludziom i władzom i doktrynom, w których rękę skołało powstanie 29. listopada.

Do utworzenia jednakże czegoś roztropnego, coby kierunek sprawy narodowej skutecznie objąć mogło, to tłumne i zamącone objawienie się zupełnie było bezwładne. Postawiony został wprawdzie w miejscu zwalonego nowy komitet, w Paryżu dokonany wyborami; ale i ten komitet miał w sobie zaród tej nieszczęśliwej niemocy, jaka ciążyła na źródle, z którego wziął początek i władzę. Lecz większy jeszcze daleko na tym komitecie leżał grzech. W braku wyrobionych i jasnych pojęć politycznych, które mogły być tylko dziełem ścisłego zawiązku i jedności, trudno było wynaleźć ludzi, którzyby mogli uosabiać i reprezentować jaką-

kolwiek przyszłość. Musiano dla nieokreślonych a różnie pojmowanych, wolnomyślnych przekonań, szukać reprezentantów w rewolucyjnej, to jest w opozycji sejmowej powstania listopadowego, w legalnym upadku władz opozycyjnych.

Trudno było tu przewidzieć i obliczyć wszystkie zdarzyć się mogące wypadki; to jednak pewna, że rozognienie się Europy sprawą polską, stawiało ją w położeniu nieznanem w dziejach ludzkości. Była to chwila, która się po latach wielu ani pojąć dokładnie, ani opisać nie da; chwila niepodobna dzisiaj do wiary, w której jedno wyrażenie się i wystąpienie tułactwa mogło nie tylko zachwiać pokój, ale cały ówczesny stan społeczński zburzyć.

Wszakże pielgrzymstwo polskie nie mogło jeszcze zająć tego stanowiska; położenie to jednakże głęboko zostało wrytem w jego pamięci — bogdaj! dla szczęśliwszej przyszłości.

Sam komitet zdawał się być oczarowanym tem powszechnem współczuciem ludów; pod tym wpływem liczne pisał odezwy, najczęściej jednak do krajów, do których ani drogi nie było i do których ani echo ich nie dochodziło.

W łonie tego — jak go nazywano — Lelewelowskiego komitetu znalazła się jednakże żywsza i bystrzejsza mniejszość od członków stanowiących główne tło jego i charakter, która dotykalszego i śmielszego domagała się działania. Nie bez przyczyny miała ona w podejrzeniu przewodniczące osoby o pokątne zmywy i czynności, które dla komitetowego kompletu były tajemnicą. Szukała więc w swej dobrej wierze i szczerości poparcia w ogólnem zgromadzeniu paryżkiem, domagała się pilniejszej nad komitetem baczności; chciała i ogółowi i wysadzonej z niego władzy nadać ścisły i określony polityczny charakter, żądając objawienia wyznania wiary, co przyjętem na razie, lecz co później cofniętem zostało.

Z całego tego nieładu sprzeczności wykryła się i wyjaśniła niemoc postawienia naprzód najmniejszego kroku, bez zgody na się w pierwszej choćby na najogólniejsze zasady; bez pewnego pojmowania Polski i jej sprawy, bez wysłowienia choćby kilku tylko prawd żywotniejszych, uznanie których mogłoby być jedynym zawiązkiem podobnej pracy: przywiązać do niej ludzi, wydobyć pewny kształt i ciągłość postę-

powania, i na takiej jedności, na takim niezachwianym gruncie skutecznie dopiero właściwą władzę postawić.

Uznanie tej prawdy pociągnęło za sobą oddzielenie kilku członków od zgromadzenia ogólnego i założenie Towarzystwa Demokratycznego, manifestem z dnia 17. marca 1832 roku, które wkrótce wzrosło przystąpieniem do tego aktu wielu w Paryżu i po zakładach zamieszkałych spółbraci.

Odtąd pielgrzymstwo polskie na trzy wyraźne rozpadło się części, z których dwie miały dzieje swego stopniowego rozwijania się, objawiania się codziennym najwyraźniejszym; trzecia snuła się jeszcze między dwoma.

Ale obok tych zawałt inne wtedy daleko większe duchowi i posłannictwu polskiemu groziło niebezpieczeństwo — tem cięższe i dotkliwsze, że czynniejsze zdawało się porywać umysły, zużywać szlachetniejsze serca i poświęcenia gorętszego zapалу; był to wpływ obcych towarzystw i doktryn.

Przy powszechnem a nieograniczonem spółczuciu, jakie się dla naszej objawiało sprawy, zdawało się obcym dyplomatom i nawet radykalistom, że do wszelkich przez nią marzonych ruchów, rozplamieniących imię i wiara polskiego pielgrzymstwa koniecznie były potrzebne. Algier, Hiszpanja, Portugalja, Francja, Włochy, Niemcy, Szwajcarja i Sabaudja domagały się powagi i poświęcenia, a niekiedy i przewodnictwa pielgrzymstwa polskiego, które nawzajem w swej niecierpliwości, w każdym zaburzeniu i wojnie upatrywało zbawienie swej ojczyzny. Towarzystwa tajemne płatały wolę pojedynczą, do innych przeznaczoną działań, wikłały do wypraw, które nie miały ani należytej posady, ani należytego i prawdopodobnego obliczenia.

Te zabiegi dyplomatyczne i stowarzyszenia pokryte zasłoną, tworzone w spółnictwie z cudzoziemcami, lub też osobno na rzecz naszej sprawy, krzywiły pielgrzymką, polską pracę, która szerokiej domagała się pracy w sobie, przez wyrobienie i upowszechnienie prawdziwie narodowych pojęć.

Niemniej niebezpiecznymi okazały się inne, obce, umysłowe doktryny, które ze stanowiska polskiego sprowadzały pielgrzymstwo polskie na obce obszary, lub je zawodziły w ciasne sektarskie widzenia.

Tem drażliwszem było to położenie, że wszelkie doktryny obce powinny były tylko służyć za środek umysłowej wprawy, jako rozbiór i wykład stanów społecznych, jako nauka wyjaśniająca własne narodowe potrzeby; że mogły nawet w człowieku pojedynczym wyrabiać pewny odleglejszy i ogólniejszy ideał ludzkości, ale nie oddalać serca od najważniejszego i najpierwszego obowiązku, oraz szczebla doskonałości — od Polski.

Jak tej powinności dopełniło piśmiennictwo pielgrzymskie na drodze czysto politycznej, rozwiniemy to innym razem — dziś pozwolę sobie, mimo wszelkie skrupuły formuł i systematów, przenieść uwagę słuchaczy na pole literackie, a raczej literacko-polityczne.

Jest to zjawisko godne uważania, ta łączność przeszłości z przyszłością w dziejach literatury naszej. Piękne były czasy literatury złotej, czyli Zygmunto-wskiej, za sprawą Kochanowskich, Rejów, Górnickich, Skargów — a jednak niemniej piękne podobno, po uśpieniu długiem rozbudzone za Stanisława Augusta przez Krasickich, Naruszewiczów, Karpińskich, Książninów i wielu, wielu innych. Podnieśli i uzupełnili je następnie: Woronicz, Niemcewicz, Brodziński — dalej: Mickiewicz, Malczewski, Zaleski i Goszczyński. Owoż: Czem Woronicz, Niemcewicz i Brodziński byli dla literatury romantycznej, a w szczególności dla Mickiewicza, Malczewskiego, Zaleskiego i Goszczyńskiego, tem ci znowu byli dla literatury nowoczesnej może, także na jej się już będącej, bo pokolenia piśmienne wieku XIX. prędko rosną i dojrzewają. Woronicz, Niemcewicz i Brodziński oddawali znakomite posługi literaturze ojczystej, i wtenczas jeszcze, kiedy romantycy już u szczytu świetności swojej stali; Mickiewicz, Zaleski i Goszczyński piszą jeszcze i wtenczas, kiedy zastępujące ich pokolenie już nieklasyczne i nieromantyczne, ale poetyczne i socjalne składa poemata. Początek tej nowej epoki w literaturze naszej przypada na rok 1836, w którym umysł narodowy otrząsa się już z osłupienia, i Lwów, Kraków, Wilno, Warszawa i Poznań pisać zaczynają — a na Emigracji, wśród dzieł i rozpraw czysto politycznej lub socjal-socjalnej treści, pojawia się poemat polityczno-socjalny: Irydjon.

Rzecz dziwna, że u nas każdy znakomity pojaw na polu literackim przechodzi niepostrzeżenie. Tak było z Marją Malczewskiego, z Zamkiem kaniowskim Goszczyńskiego, z Tadeuszem Mickiewiczem i tak z Irydjonem, acz świetnie poprzedzonym przez Agaj-Hana. Mówiono o nim zaprawde, ale jak się mówi o pogodzie lub deszczu. Może treść nie wprost z dziejów narodowych wysnuta; może przekonanie, że poeta dobry nie potrzebuje ukrywać swego nazwiska, czyli, że co bezimienne, już tem samym że bezimienne, dobrem być konieczne nie może, wpłynęło na tę obojętność. Ależ Irydjon, na mściciel krzywd ludzkości, to duch nieśmiertelny bożej wolności, co dawszy czas chrystjanizmowi przeobrazić człowieka, odżywić się ma na północy:

«Idź na północ w imieniu Chrystusa — idź i nie zatrzymuj się, aż staniesz na ziemi mogił i krzywd! Poznasz ją po milczeniu mężów i po smutku drobnych dzieci! Po zgorzalych chatach ubogiego i po zniszczonych pałacach wygnanców! Poznasz ją po jękach aniołów moich przelatujących w nocy! Idź i zamieszkaj wśród braci, których ci daję! Tam powtórna próba twoja! Po drugi raz miłość twoją ujrzyś przebitą, konającą, a sam nie będziesz mógł skonać — i męki tysięcy wcieli się w jedno serce twoje! Idź i ufaj imieniu mojemu. Nie prosz o chwałę twoją, ale o dobro tych, których ci powierzam. Bądź spokojny na dumę i ucisk oraz natrząsanie się niesprawiedliwych. Oni przeminą, ale ty i słowa moje nie przeminiecie! A po długim męczeństwie zorzę rozwiódę nad wami! Udaruję was, czem aniołów moich obdarzyłem przed wiekami: szczęściem — i tem, co obiecałem ludziom na szczycie Golgoty: wolnością!»

Że poemat takiej treści od razu nie pozyskał rozgłosu, nie mogło być bez powodów. Zdało się niektórym, że styl brylantowy i pelen efektów nie trafiał do publiczności, słusznie się obawiającej, aby ten obyczaj wyrażania się zawsze w sposób nowy i uderzający nie przeszedł w manierę. Publiczność — mówiono — żąda naturalniejszego dialogu, tem bardziej, że poeta przemawiając osobiście w ciągu dramatu, miał gdzie wylać zbytek liryzmu, miał gdzie użyć tego nadmiaru farb, co mu pędził przeciężał. Niech sobie wreszcie, dodawano, śpiewa poeta, ale niech ludzie przezeń stworzeni rozmawiają w sposób więcej zbliżony do zwykłej śmiertelnych

mowy. Uważanie takie dotykało samej strony zewnętrznej poematu. Prawdziwa przyczyna obojętności leżała we wnętrzu poematu.

«Polacy — pisał Mochnacki r. 1831 — obawiają się terroryzmu wyobrażeń; nie lubią mistycyzmu, i czego od razu nie rozumieją, to zaraz biorą w podejrzenie.» Nie styl tedy, nie liryzm, nie nadmiar farb i brylantów, ale nieświadomość, czego chce i gdzie dąży poeta, ale mistycyzm Irydiona wpłynęły na tę obojętność. Zda się, że publiczność czekała, aż poeta jaśniej się wytłumaczy. I nie zostawił jej w długim oczekiwaniu płodny umysł poety. Nieboska komedia, Noc letnia, Trzy myśli, pozostałe po Ligenzie, Przedświt i Psalmi przyszłości, rozwiąły po kolei wszystkie wątpliwości co do wiary i przekonania poety. On czuje, wierzy, wie nawet z pewnością, że nadśledził czas przeobrażenia; tylko widząc, że to będzie, nie wie jak będzie. Szuka więc, odgaduje, i czy z przekonania, że nadgroda odpowiadać musi załsudze, czy z uprzedzenia, że przyszłości nie podobna zdobyć inaczej — wszystko w niej widzi mylnie i tak się lęka przyszłości, że woli zginąć z przeszłością, aniżeli się doczekać przyszłości, aniżeli widzieć przyszłość tryumfującą. Taka jest w ogólności treść tych różnych poematów, najwydatniejsza w Komedji Nieboskiej, w innych zlagodzona albo wzmocniona do czasowości.

Zda się, że Komedja Nieboska urobiła się z dwóch osobnych, a przynajmniej oddzielnie pomyślanych poematów. Tło domowe, rodzinne części I. i II., a publiczno-socjalne części III. i IV. rozkłada ten poemat wyraźnie na dwie różne połowy, jakby w późniejszym dopiero rozmyśle związane przywołaniem na chwilę dwóch czy trzech osób z pierwszej połowy poematu, w pośród towarzystwa osób drugiej jego połowy, o których w tamtej żadnej wzmianki, ani żeby w dalszym ciągu pojawić się mogły, najmniejszego podobieństwa nie było. Komedja otwiera się apologiem do poezji. Dla czego? Bo ma się zamknąć epilogiem przeciwko racjonalizmowi, który rozumem wyzwala przyszłość, przyszłość bez imaginacji, czyli ideałem, a więc bez poezji, którą żyła i zdobiła się na przeszłość; bo krótko mówiąc, zdaniem autora Komedji Nieboskiej, poezja, to szczyt przyszłości, a ro-

zumem pokalać go się ma przyszłość. Po takim założeniu coś dziwnego, że przez cały ciąg poematu sili się tylko poeta na oburzenie przeciw wszystkiemu, co szczere, naturalne i proste. Wszakże nie ma to znaczyć, żeby autor Komedji Nieboskiej złożył w poezji wszystkie swoje pociechy i nadzieje; on zna także wszystkie jej zawody.

«Zkądżeś powstał marny cieniu, który znać o świetle dajesz, a światła nie znasz, nie widziałeś i nie obaczysz! Kto cię stworzył w gniewie lub ironji? Kto ci dał życie nikczemne lub zwodnicze, że potrafisz udać anioła, nim zagrzeźniesz w błoto, nim jak płaz pójdziesz czołgać i zadusić się mulem? Choć cierpisz, twoja boleść nic nie utworzy, na nic się nie zda. Ostatniego nędzarza jęk policzon między tony harf niebieskich. Twoje rozpacz i westchnienia opadają na dół i szatan je zbiera, dodaje w radości do swych kłamstw i złudzeń, a Pan je kiedyś zaprzeczy, jako one zaprzeczyły Pana!»

I nie tajne są także autorowi złudzenia poezji; wie on dobrze, co real, a co może ideał; zna uczucia i język, technienie i ton, wzrok i słuch ich obu:

«Pan młody. Jakżeś mi piękna w osłabieniu twojem — w nieładzie kwiaty i perły na włosach twoich — płoniesz ze wstydu i znużenia! O! wiecznie, wiecznie będziesz pieśnią moją!»

Panna młoda. Będę wierną żoną tobie, jako matka mówiła, jako serce mówi.

Mąż. Przekłeta niech będzie chwila, w której pojąłem kobiety; w której opuściłem kochankę lat młodych, myśl myśli moich, duszę duszy mojej!

Żona (przebudzając się). Możeś zasnął, mój drogi, wstanę i dam ci eteru.

Widmo. O! mój luby — odrzuć ziemskie łańcuchy, które cię pętają. Ja ze świata świeżego, bez końca, bez miary! Jam twoja!

Żona. Najświętsza Panno! ratuj mnie — to widmo blade jak umarły — oczy zagasły i głos jak skrzypienie wozu, na którym trup leży.

Mąż. Twe czoło jasne, twój głos kwieciem przetykany. O luba!

Żona. Całun w szmatach opada z jej ramion.

Mąż. Światło leje się na około ciebie — głos twój raz jeszcze! niechaj zginę potem.

Żona. Mężu, mężu! zasłoń mnie! nie daj mnie! — czuje siarkę i zaduch grobowy.

Mąż. Kobieto z gliny i z błota, nie zazdrość, nie potwarzaj, nie bluźń! Patrz! To myśl pierwsza Boga o tobie, aleś ty poszła za radą męża i stałaś się, czem jesteś.

Żona. Nie opuszczę cię!

Mąż. O! luba — rzucam dom i idę za tobą!»

Tak tedy ów mąż — bohater Komedji Nieboskiej — goni za widmem, za ideałami; odstępuje żony, bo nie znalazł w niej czego szukał; gotów zaprzeć się syna własnego, jeżeli nie będzie czem on go mieć pragnie. Gonić za ideałami, myśl być może dziwaczna — i nie więcej. Zapewnie; ale w rozumieniu pospolitem, ale w pojmowaniu poezji, jak ją tłum pojmuję. Wszelako autor Komedji Nieboskiej nie tak pojmuję i ocenia poezję. Dla tłumu poezja jest zamięłowaniem piękności i szczytności, wolności i roskoszy, jakich oko nie oglądało, ucho nie słyszało powszednie. Podług autora Komedji Nieboskiej, poezja w obrazie społeczeńskim jest to ów żywioł przeszłości, który sobie przywłaszczył całą poezję ziemi — światło i chleb, wolność i roskosze, wszystko co na ziemi i w ziemi, co życiem wszystkich żył w sobie i dla siebie tylko — jednym słowem: poezja, według autora Komedji Nieboskiej, jest owa walka ucisku z żywiołem usamowolniającym się w imię prawd chrześcijańskich.

Gdzie się odbywa rzecz Komedji Nieboskiej, nad Sekwaną, Renem, czy Wisłą, nie powiada poeta. Mickiewicz z tego powodu uważa ją za poemat kreacji całkiem poetycznej; a jednakże tyle tam jest żywej prawdy i żywego kolorytu, że choć osoby zdają się być ogólne, w rzeczy jednak, którą przedstawiają, widać Polskę z całą rażącą sprzecznością jej żywiołów społecznych wśród oświecenia europejskiego. Że rewolucja francuzka ze wszystkimi jej zaletami i przywarami stawia ciągle autorowi na myśli, że wszystkie niemal obrazy żywcem z niej powybieżały, to jest tylko dowodem: że autor w chwili, kiedy Nieboską Komedję składał, nie przepuszczał, ażeby gdziekolwiek i kiedykolwiek przyszłość mogła się stworzyć inaczej. Ale czy autor, jeżeli istotnie

Polskę miał na celu, był w jasno-widzeniu przyszłości polskiej? Czy ją wysnuł z charakteru polskiego? Czy ją odgadł przecuciem serca polskiego? To rzecz znowu inna. Z tej strony uważana Komedja Nieboska nie jest bynajmniej polską. Jeszcze ów hrabia, mimo swojej dziwnie niepolskiej, zwłaszcza na dzisiejsze czasy przyrody, może mieć tłumaczenie w podobieństwie samolubów całego świata i we wszystkich wiekach. Ta w nim obojętność dla ubóstwiającej go żony; to przywiązanie do jedynaka syna, ale pod warunkiem, że kaprysowi ojca dogodzi; ta nienawiść zacięta do wszystkiego co uciśnione, poniżone, ubogie i zgłodniałe; ta obrona złego w imię dobrego, krzywdy w imię sprawiedliwości, ateizmu w imię wiary — są zapewne dowodem głębokiej znajomości charakteru tak pomyślanego bohatera; ale natomiast wszystko, co autor na stronie przeciwnej ustawił, wszystkie obrazy, sceny i osoby, zaczynając od naczelnika ludu aż do szpiega obozowego, od manifestacji publicznej aż do intryg pokątnych, nie mogły się wyrodzić tylko w nienawiści lub zupełnej nieznajomości polskiego ludu. «Takie tłumy — powiada sam Mickiewicz — tacy bohaterowie w innym kraju, w innej epoce, mogłyby istnieć może, ale wśród narodu przyciśnionego, najboleśniejszej przeszłości, są tylko karykaturami.» Ów nawet hrabia, w którym autor dla czegośby nie miał odbić charakteru własnego, wśród tak pomyślanego towarzystwa wyszedł na rycerza tajemnej postaci. «To korsarz Bajrona — woła Mickiewicz — ale korsarz nawrócony!» Jednak obejrzawszy go lepiej, tenże Mickiewicz powiada: «To hrabia Wacław, ów typ stworzony przez Malczewskiego, ale hrabia schodzący do życia powszedniego.» «Nie! nie! — powiada dalej — to bohater Garczyńskiego, filozof! Ale filozof szukający czynu.» A wszakże sam poeta nie dwuznacznie charakteryzuje bohatera swojego, gdy mówi: «Pracowałem lat wiele na odkrycie ostatniego końca wszelkich wiadomości, roskoszy, oraz myśli, i odkryłem próżnię grobową w sercu mojem; znam wszystkie uczucia po imieniu, a żadnej żądzy, żadnej wiary, żadnej miłości nie ma we mnie.»

Zaisteż bohater taki, jeżeli działa, to z uporu, to z zawziętości, to z dumy i samolubstwa tylko.

«Dajcie mi przeszłość zbrojną w stal, powiewną rycerskimi pióry. Gotyckie wieże wywołam przed oczy wasze. Rzucę cień katedr świętych na głowy wam. Ale to nie to, tego już nigdy nie będzie!»

Sam nie wierząc, nie przypuszcza, aby ktokolwiek mógł wierzyć.

«Ktokolwiek jesteś, powiedz mi, w co wierzysz? Łatwiej byś życia się pozbył, niż wiarę, jakąś wynalazł, wzbudził wiarę w sobie!»

W sercu tak zwątpiałem jakież uczucia, jeżeli nie oburzenia, mogą obudzić te tłumy nędzne, ze znojem na czole, z rozczochranymi włosy, w łachmanach, ze spiekłami twarzami, z dłońmi pomarszczonemi od trudu; te kobiety, ich matki i żony głodne i biedne jak oni, zwiędłe przed czasem, bez śladów piękności: na włosach których kurzawa bitej drogi, na łonach poszarpane odzieże, a w oczach coś gasnącego, ponurego, gdyby podrażnianie wzroku.

Teraz występuje na scenę drugi bohater: przeciwstopność, kontrast pierwszego — Pankracy, czyli wszystkodzierżca, naczelnik tłumów, władca ich dusz i zapala — «wściekłość ich i kochanie» — krzyki się wzbily, rozciągnęły, pękły po wszystkich stronach: «Niech żyje! Chleba nam, chleba, chleba!»

I teraz występuje na scenę wszystko, co tylko, jakeśmy powiedzieli wyżej, mógł autor przywołać z rozkiełznania rewolucji francuskiej; wszystko, co zkażdokolwiek zasłyszał, lub w głowie swojej wymarzył ze wszystkich okropności krwi i trucizny, stryczków i sztyletów, mordów, rzezi, pożogi, najdzikszych pastw i bezeceństw — i wszystko to złane w chóry mężów i niewiast, młodzieńców i dziewcz, starców i dzieci pracowitego, rolniczego, pocziwego, spokojnego, łagodnego, polskiego ludu.

Śród tak niewłaściwie przedstawionego ludu, sam naczelnik jego, w którym chciał właśnie uosobić poeta wszystkie zgrozy materializmu, wszystek egoizm, ateizm, destruktyzm i hjenizm, w którego charakter chciał zlać zapewne nie tylko wszystkich Kronwelów, Dantonów i Robespierów, ale wszystkich Żeleźniaków, Gontów i Szelów, ale wszystkie

larwy piekielne i samego Lucypera z nimi: to wódz mściwy i straszny. Wygląda jeszcze jak prawdziwy bohater wieku, wielki na swój czas i na swoich ludzi — a to jest próbka, do czego doprowadzić może zwątpienie o postępie i przeobrażeniu.

Autor Komedji Nieboskiej nie przypuszcza nawet poprawy społeczeństwa przez oświatę, moralność i obywatelstwo; nie przypuszcza, aby ten, który z taką rezygnacją i bez szemrania przeciw woli bożej nosił tak długo poniżenie i nędzę, mógł potem kochać Boga za to, że mu sprawiedliwość wymierzył. Dla [autora Komedji Nieboskiej Chłop i Żyd, to jakby wół i koń, z miotu w miot, z pokolenia w pokolenie, tylko nieukiem albo niewolnikiem, oszustem albo potępieniem być może. Tego *perpetuum stabile* rasowości nie odmawia on nawet rodzajowi kastowemu. Zdaniem jego, i on i potomkowie jego, jeżeli są lub będą kiedy na świecie, tylko ludźmi ucisku, pychy i swawoli być mogą; bo podług nauki jego, ród ludzki, to nic więcej, tylko ród strąconych aniołów; każdy człowiek szatanem, żaden człowiek nie może chcieć dobra ludzkiego; on na to tylko stworzony, ażeby ludził drugih.

«Myśli moja! Czyż nie zdołasz ludzić siebie jako drugih ludzi! Wstydz się, przecie ty znasz mój cel, ty jesteś myślą — panią ludu — w tobie zesła się wola i potęga wszystkich — i co zbrodnią dla innych, to chwałą dla ciebie!»

Takie bluźnierstwa kładzie autor Komedji Nieboskiej w usta zbawiciela przyszłości; a zaś takie znów w usta przeciwników jego obrony w przyszłości:

«Człowiekiem być nie warto — aniołem nie warto. Pierwszy z archaniołów po kilku wiekach, tak jak my po kilku latach bytu, uczuł nudę w swem sercu i zapragnął potężniejszych sił. Trzeba być Bogiem albo nicością!»

Pod wpływem tak niechrześcijańskiej żądz, nie już dziwnego, że samolub na widok własnych braci zawoła:

«Całym wzrokiem oczu moich, całą nienawiścią serca obejmuję was. Teraz już nie zmarłym głosem, nie mdłym natchnieniem będę walczył z wami, ale żelazem i ludźmi, którzy mnie się poddali!... Jakże tu dobrze być panem, być

władcą — choćby z łoża śmierci spoglądać na cudze wole, skupione dookoła siebie, i na was przeciwników moich, zanurzonych w przepaść, krzyczących z jej głębi ku mnie, jak potępieni wołają ku niebu!... Dni kilka jeszcze, a może mnie i tych wszystkich nędzarzy nie będzie; ale bądź co bądź — dni kilka jeszcze użyję roskoszy mej k'woli! Panować będę!...

I to wszystko w imię Boga chrześcijańskiego, pod znakiem krzyża świętego, z wezwaniem Ducha świętego, na cześć i chwałę Boga! W uosobieniu takiej obłudy i zapamiętałości nie ma już pewnie w sercu miejsca do skruchy — i nie przeczę, że przy inaczej pojętym charakterze dialog z całego dramatu słusznie uważany za najpiękniejszy, nie mógłby mieć miejsca:

«Świecie stary, zgrzybiały — ustąp miejsca światu młodemu!» woła wódz świata młodszego.

«Znam ja także świat twój i ciebie — odpowiada mu wódz świata starego. — Patrzałem wśród cieniów nocy na płasy jego, słyszałem krzyk jego: Chleba! chleba! Kilka chwil jeszcze, a jeśli rozum cię nie odbieży, ty sam będziesz pogardzał sobą i światem twoim młodym.»

Wódz przyszłości. Świat mój jeszcze nie rozparł się w polu — zgoda! — nie wyrósł na olbrzyma. Łaknie dotąd chleba, ale przyjdą czasy, w których on zrozumię siebie i powie o sobie: «Jestem!» A nie będzie drugiego głosu na świecie, coby mógł odpowiedzieć mu: «Jestem!»

Wódz przeszłości. Darmo, ty mię nie rozumiesz nigdy, bo każdy z ojców twoich pogrzeban z motłochem pospołu, jako rzecz martwa, nie jako człowiek z siłą i duchem. (Wyciąga rękę ku obrazom). Spójrz na te postacie — myśl ojczyny, domu, rodziny, myśl nieprzyjaciółka twoja, na ich czołach wypisana zmarszczkami; a co w nich było i przeszło, dzisiaj we mnie żyje.

Wódz przyszłości. W rzeczy samej jest na co patrzeć. Ów starosta baby strzelał po drzewach i Żydów piekł żywcem. Ten z pieczęcią w dłoni i podpisem: Kanclerz, sfałszował akta, spalił archiwę, przekupił sędziów, trucizną przyspieszył spadki — ztąd wsie twoje, dochody, potęga. Tamten czarniawy z ognistym okiem, cudzołożył po domach

przyjaciół. Ów z runem złotem, w kolezudze włoskiej, snąć służył u cudzoziemców. A ta pani błada z ciemnymi puklami kaziła się z giernkami swemi! Tamta z pieskiem na robro nie, królów była nałożnicą. Ztąd wasze genealogie bez przerwy, bez plamy. Lubię tego w zielonym kaftanie; pił i polował z bracią szlachtą, a chłopów wysyłał, aby z psami gonili jelenie.»

Zbliża się wreszcie walka, mająca rozwiązać założenie dramatu. Dolina świętej Trójcy obsypana światłem migającej broni i lud ciągnie zewsząd do niej jak do równiny ostatniego sądu. W katedrze zamkowej panowie, senatory, dygnitarze siedzą po obu stronach, każdy pod posągami jakiegoś króla lub rycerza. Za posągami tłumy szlachty, przed wielkim ołtarzem w głębi arcybiskup, w krześle złożonem, z mieczem na kolanach; za ołtarzem chór kapłanów. To uroczystość obwołania wodza przeszłości.

«Patrz, z jaką dumą spogląda na wszystkich! — rzekł jeden z cicha z zabytków przeszłości.

«Myśli, że świat podbił — odrzeczcie drugi.

«A on się tylko nocą przedarł przez obóz chłopów — do rzuci trzeci.

Pierwszy. Sto trupów położył, a dwieście swoich stracił.

Drugi. Nie dajmy, by go wodzem obrali.

Arcybiskup (do wodza przeszłości). Przypasz miecz ten błogosławiony.

Głosy. Niech żyje wódz! Niech żyje!

Głos jeden. Nie pozwalam.

Inne głosy. Precz! precz! za drzwi! Niech żyje wódz!

Chór kapłanów. Daj mu siłę — daj mu Ducha świętego, Panie!

Wódz. Teraz przysięgnijcie wszyscy, że głód i pragnienie umorzy was do śmierci, ale nie do poddania się — nie do ustąpienia choćby jednego z praw przeszłości prawa waszego.

Głosy. Przysięgamy!...

W jednej krótkiej scenie, w kilku rzutach pióra, niepodobna oddać lepiej i umiejętniej tak różnorodnego obrazu

tyłu różnych uczuć i namietności — zazdrości, ironji, pychy, anarchji, impozycji, uległości, ani go charakterystycznie oddać.

Ale na nie wiele zdało się napuszone męstwo. Wódz odstąpiony, opuszczony przez wszystkich: «przeszłości! bądź mi przekłeta!» krzyknął i rzucił się w przepaść. Zwycięzcy, ludzie nowi, zajęli ostatni zamek. Rozpoczyna się scena zemsty, w której znowu aż do stylu podrzeźnia autor trybunały francuskie z czasów teroryzmu. Na tem mógł się zakończyć dramat Komedji Nieboskiej, i takie rozwiązanie byłoby najwłaściwsze dla niej; ale poeta czegoś więcej potrzebował jeszcze — zemsty — śmierć za śmierć, głowy za głowy. Na zwyciężkach masach pomścić się nie było już komu, a więc na ich wodzu przynajmniej. A kto? Bóg! A za co? Bo tak podobno się jeszcze. I wnet na rozkaz poety zwycięzca jak długi zatacza się w objęcia towarzysza i kona, wołając: *Galilee vicisti!*

Mickiewicz to wyrażenie uważa za tak wzniosłe i szczerne, że mu nie znajduje nic równego w literaturze świata. Nie myślę się sprzeczać; może nawet są tacy, dla których szczerniej jeszcze i wznioślej byłoby, żeby autor wszystkim tym tłumom zwyciężskim od razu kazał wymrzeć. Ale na co nie zgodzimy się nigdy, to: że Komedję Nieboską nazywają niektórzy poematem narodowym. Najprzód dramat żywcem zkądiną przeniesiony, na obcym charakterze i obcych obyczajach i zwyczajach osnuty, choćby rzecz jego odbywała się na ziemi narodowej, a bohaterowie jego nosili nazwiska i stroje narodowe, nie jest bynajmniej narodowym, jak nie jest narodowym poematem polskim ani Korsarz, ani Giaur, przeto, że po polsku dobrze są wytłumaczone. A potem czyż sam Mickiewicz nie oskarżył autora Komedji Nieboskiej o nienawiść postępu, o sfalszowanie wszystkich typów narodowych? Czy mu nie zarzucił nieznamości charakteru ludowego? Czy mu nie powiedział, że gdyby zgłębił był dzieje, albo co lepiej, gdyby się wznosił był nad nie, byłby odgadł uczuciem potrzebę tego rozległego ludu, którą jest rząd zgodny z jego naturą — rząd miłości. Już to samo odejmuje podobnie Komedji Nieboskiej nazwę dramatu proroczego. A zresztą, ażaliż godzi się nazywać pro-

roctwem pierwszą lepszą imaginacji zabawkę, a prorokiem pierwszego lepszego poetę? Wprawdzie ilu tylko było poetów na świecie, mało z nich było, który nie wierzył w swoje powołanie i swe posłannictwo prorocze, a ztąd to pewnie u nas poeta wieszczem, a poezja wieszczaniem lub wieszczbiarstwem się zowie. Ale też właśnie dla tego, że poeta jest wieszczem, żeby dobrym wieszczem był, musi być politykiem, socjalistą, filozofem — to jest znać myśl społeczeńską i prawdę, żeby się nie omylić w wieszczaniu, żeby nie prorokować tego, czego nigdy nie będzie, przeto że być nie może — żeby jednym słowem: nie był fałszywym prorokiem.

Nigdy może i nigdzie poezja nie przedstawiała tak ogólnie wieszczego obrazu, jak u nas w latach ostatnich. Na to zgoda; ale to nie jest dowodem, żeby dzisiejsi poeci nasi mieli być prorokami w sensie ścisłym, religijnym tego wyrazu; tylko, że oświeceni społeczeńską myślą wieszczowie, czują, że czas na dobre, jako czuje każdy, że dzień nadchodzi, kiedy kury piał zaczynają. Po co ludzi nazywać niewłaściwymi imionami? Społeczeństwo całe żyje nadzieją. A czy nie ze społeczeństwa idą poeci, czyż nie są częścią jego? Dzisiaj prorokiem jest całe społeczeństwo polskie; tylko co jest w jego przeczuciu lub wiedzy już powszechnej, to poeci wyśpiewują, czyli po swojemu wypowiadają pierwsi, i uważani z tej strony, są jak dobosze, którzy bijąc w bębny, idą na czele pułku, chociaż mu nie dowodzą, jak muzyka w pochodzie, a która, kiedy zagrzmią do boju, milknie i usuwa się na bok: bo wtenczas muzyką jedyną huk dział, szcęk broni i jęki konających. I tak to położenie poetów względem społeczeństwa wspólne jest wszystkim narodom i wiekom, że może się uważać za prawidło powszechne. Kiedy naród żyje po obozach i po bojuwiskach, poeci jego grzmia mu hymny rycerskie; płaczą z nim, kiedy żyje w niewoli i pohańbieniu; modlą się, kiedy zejdzie na mnicha; gruchoczą sonetami, kiedy się zniewieści, przepiją odą do dzbana za Sasów, do piesków pod Poniatowskim; pogonią na smętarze za upiorami, kiedy w życiu zakrzepnie. Jakżeby wtenczas nie mieli prorokować, kiedy wszyscy wiedzą, że czas na dobre? Uważana z tej strony poezja, słuszenie się nazywać mogła portretem społeczeństwa przeszłego, dzisiejszego, albo przyszłego,

mniej lub więcej do niego podobnem, podług tego, jak poeta, malarz, większy albo mniejszy artysta, podobne albo niepodobne maluje portrety. Mickiewicz w *Tadeuszu* doskonale odmalował przeszłą szlachtę zaściankową, a w *Konradzie* późniejszego siebie samego. Autor *Komedji Nieboskiej* pierwszy odważył się na odmalowanie przyszłości narodowej, ale się omylił, jako musiałby się omylić każdy, któryby nie wierząc w nieśmiertelność duszy, chciał prawić, jak ta dusza żyć będzie na tamtym innym świecie. Z braku tu wiary w cnoty społeczeństwa, z nieznamości duszy jego, powtórzyły się właśnie w *Komedji Nieboskiej* te sceny, obrazy i postacie, nie tylko nie prorocze, ale nie narodowe i niechrześcijańskie.

Mylą się więc ci, którzy *Komedję Nieboską* nazywają poematem proroczym; mylą się ci wszyscy, którzy ogół tego rodzaju poematów chrzczą na prawdę imieniem: poezji proroczej. Oddajmy co się komu należy — powiedzmy prawdę. To już nie literatura klasyczna Dmóchowskiego, Śniadeckiego, Osińskiego, nie literatura romantyczna Brodzińskiego; nie literatura Mickiewicza, Malczewskiego, Zaleskiego i Goszczyńskiego — ale literatura doktryn socjalnych, ale literatura dyskusji politycznych, ale spór polityczny i socjalny na polu politycznym, na broń poetycką — ale poezja polityczno-socjalna. Co było w dziennikach, broszurach i dziełach czysto politycznej barwy, to do poezji weszło. I nie w tem nie ma nowego, ani dziwnego; jak kto może i umie, tak społeczeństwu służy. Poezja we wszystkich czasach towarzyszyła polityce, a miała byż odstąpić jej wtenczas, kiedy — że użyjem przysłowia pospolitego, nadeszły czasy, że nawet matematyki nie ma bez polityki! Jeden chwali Boga prozą, a drugi wierszem; jeden służy społeczeństwu orężem, a drugi radą, i jeżeli szczerze tylko, tedy miła Bogu zarówno modlitwa obu i pożyteczna zarówno społeczeństwu ta służba. Poezja nawet tak zastósowana może znakomite oddać posługi, bo trafia do serca, a serce i w społeczeńskim zakresie ważną czynność sprawuje. Wszakże to rzecz przedewszystkiem serca, które tak bez rozumu obejść się nie może, jak rozum bez niego: rozum przeto czuwać powinien, ażeby serce omamionem nie było; ażeby poezja, która mówi do serca, mówiła

mu prawdy, nie błędy. Ztąd potrzeba ich ciągłej zawisłości wzajemnej. Co starożytność rozumiała przez proroków prawdziwych i fałszywych, to nowoczesność oznacza imionami: filozof i mistyk. Prorok-filozof wypowiada życzenia i wesechnienia narodu, to co leży, co jest w narodzie: czem naród żyje i czem tylko żyć może. Prorok-mystyk wbrew wiedzy narodowej i narodowemu rozumowi, rzuca prorocтва, dla których ni myśli, ni żywiołu w narodzie, których naród nie pragnie i nie przyjmie nigdy; przetoż w znak zaprzeczenia swojego, mistycyzmem prorocтва takie, a mistykiem proroka takiego zowie. Jest jeszcze trzeci rodzaj proroków, ludzi prostych, ale religijnych, ale bogobojnych. Nie nauką, ale rozumem przyrodzonym, rzeczy gospodarskim i miłością ojczyzny i braci; ale sercem czującym i wierzącym, odgadujących powołanie i posłannictwo narodów, a do których z ostatnich czasów należą u nas: ksiądz Marek, ksiądz Kordecki i chłop Wernyhora. I oni wypowiadają rzeczy niewidziane i niesłyszane od żyjących ludzi, rzeczy przyszłe — a przecież nikt ich mistykami nie zowie, każdy wierzy im owszem, błogosławi ich pamięć, zasila się ich prorocत्वami; bo w prorocत्वach ich odpoznaje własne swoje przecucia, własne swoje nadzieje, swą własną wiarę — bo w nich widzi to i słyszy, co tajemnicą leży w jego sercu i głowie. Każdy naród miewa takich proroków i prorocтва takie, a w narodzie uciśnionym, przywalonym klęskami i niedolą, są one tem naturalniejszym zjawiskiem. Kiedy choroba obala ciało, kiedy je cierpienia strawią, kiedy krew wytoczona rozleje po niem spokój omdlenia, dusza tedy bierze przewagę, buja swobodnie między ziemskim a nieziemskim światem, i albo ma widzenia, albo jest na ich drodze. A naród odepchnięty od całej prawie ziemi, opuszczony od wszystkich, skatowany w całym cielem, całym ciałem cierpiący, nie miałaby uciekać się duszą przed nadzwyczajnymi klęskami ze zwyczajnego świata; mógłby, nie znajdując na nim wsparcia, nadziei, pociechy, wzmocnienia swojej wiary, nie szukać ich w tajemnicach przyszłości? W istocie, tajemnicza strona narodu nie tylko jest właściwą narodowi cierpiącemu, ale jest mu potrzebną, jest go ożywiającą. A wszakże powtarzamy, nie ma to znaczyć, że wszystko co tajemnicą okryte, że każda

i każdego fantazji lub imaginacji zabawka jest potrzebną i pożyteczną. Naród chrześcijański, któryby nieszczęściem popadł w tę ostateczność, któryby do takiego przyszedł przyznania, musiałby się zaprzeć najgłówniejszych dogmatów swojej wiary. A im naród w większym jest ucisku, i bliższy swojego niemowlęctwa, tem mu większe ztąd grozi niebezpieczeństwo. Polacy, i w ogólności Sławianie, są właśnie w tem położeniu. Co gdzieindziej rozum, to u nas fantazja i imaginacja pochłonać mogą. Dowodem Towiańskiego. A z kąd pochodzi, że najskwapliwiej i o niemal wyłącznie obalamucili się nią poeci? Bo ich umysł tak się ze sprawami imaginacji oswoił i otrząsał, że wszystkie jej złudzenia bierze za rzeczywistość, mrzonki za czyny, a przynajmniej za widzenie tego, co kiedyś czynem i rzeczywistością być może. Sprawa to pierwiastkowego wychowania. Wrażenia młodości są silne; niektóre z nich nie zacierają się nigdy. Do rzędu tych należą przesady, przyjmowane w niemowlęctwie ze ślepą wiarą, bez rozbiuro i sądu, które się wszczepiają do młodocianej duszy z klechdami bab i piastunek, a które od nich samych przyjęte i opowiadane z wiarą najlepszą, z przerażeniem, na które dziecię własnymi oczami patrzy, gnieźdzą się w pamięci jego z tą wiarą i z temże przerażeniem. Jest to u nas tak pospolite, że dość spojrzeć nam w siebie, żeby się o tem przeświadczyć. Zaiste, któż z nas nie wierzył w upiory, wilkołaki, strzygi, zmory, rusalki? Iluż z nas dzisiaj jeszcze, chociaż w te bajki niby już wcale nie wierzym, nie przespałoby jednej nocy na smętarni za żadne skarby świata, lub też w izbie z nieboszczykiem sam na sam? Chociaż chrześcijaninowi nie przystoia takie przesady, przez samo uszanowanie chrześcijańskiego Boga, przez samo wyznawanie wiary chrześcijańskiej. Ale skoro tak jest, jakież to dopiero grzech przed Bogiem chrześcijańskim być musi, wmawiać w siebie te przesady rozmyślnie, a cóż dopiero potakiwać im w bliźnich, a cóż dopiero szczepić je i ugruntowywać w ludzkie? Lud ma mnóstwo złych nałogów, błędnych przesądów, zgubnych słabości, które czas uświęcił, które wzrosły w jego istotę, które on szanuje i kocha, a przez które jednak cierpi i niszczy. Czy poeta, zapytuje jeden z samychże poetów, Seweryn Goszczyński, powinien

uwielbiać, szanować tę słabą stronę ludu, dla tego, że na niej leży urok przeszłości, że jej strzeże przychylnosc ludowa? Powiedzmy że: nie! Takie spółbłądzenie z ludem, jedynie przez miłość i cześć ku niemu, jest występna słabością w każdym, a trudniejszą do przebaczenia ludziom wyższego pojęcia, do których liczymy wielkich poetów. Według tego, nie ten u nas jest wieszczem ludu, który go utwierdza w jego błędach, ale ten, który wznosząc się sam nad nie, usiłuje z nich i lud wyprowadzić. Z tą bezwzględną uległością może wprawdzie być jego ulubieńcem, ale będzie mu szkodliwym. Może zostać poetą jego przeszłości, byle nie jego przyszłości. Bo dzisiaj poecie nie godzi się czepiać przesądów przeto, że one w pierwiastku narodowym są; ale dla dobra sprawy narodowej oprzeć się złemu pierwiastkowi. Cobyśmy dzisiaj rzekli o Polaku, któryby utrzymywał, że jarzmić i bić chłopą, to do pierwiastków narodowych, godnych przechowania należy, przeto, że szlachta długo tak sądziła i tak robiła, oraz że i dziś jeszcze wśród niej znajdują się tacy?... Grzeszy, kto hołduje uprzedzeniom i wynysłom uprzywilejowanym, oraz grzeszy, kto schlebia błędom i przesądom ludowym.

Więc kiedy badacze przeszłości, jak na przykład Hapusz, przyznają tę korzyść Sławianom nad innymi narodami: «że nie zmarnowali swojego ducha» — to ma znaczyć tylko, że przychodząc do pełnoletności i filozofii własnej, szczęśliwi są tem, że mogą korzystać z długiego i okupionego doświadczenia tych, którzy na tej drodze ich poprzedzili. Mickiewicz słusznie uważał, iż tradycję sławiańską to czyni dzisiaj najbardziej szacowną, że nie została skażoną robotami fałszywego rozumu, kiedy inne fałszowano ciągle; ale myli się, kiedy sądzi, że imaginacja była tu również bezczynną. Owszem, kiedy rozum śpi, wtedy właśnie imaginacja działa. Dowodem będą sny niezarządzane i nieumiarkowane rozumem; dowodem obłąkani, u których przez przytłumienie rozumu imaginacja buja. Dowodem wszystko, z zaparciem się rozumu na jawie snem marzące, dowodem lud i my wszyscy, którym — jakem napomknął wyżej — ani jednego ich przesądu wyssanego z mlekiem, kiedy właśnie rozum spał jeszcze, żadna mądrość ze serca nie wytrąci.

Ależ mistycyzm nie jest wynalazkiem naszym, ani czasów naszych, rzekną mi jego obrońcy. Prawda — lecz ileż to rzeczy było, jest i będzie, bez których, gdyby ich nie było, daleko lepiej byłoby ludziom na ziemi? Toż nie jest to błędem mistycyzmu Wrońskiego, że mistycyzm do rzędu rzeczywistości policzył, ale że skutki, że rojenia tego mistycyzmu pod prawdę chciał podciągnąć. Nie wszystko, co jest, przeto że jest, prawdą jest. Bajka choć jest, nigdy nie będzie prawdą. Rozumowanie, do takiego pojęcia sprowadzone, byłoby zaprzeczeniem rozumu, parodią mądrości i boskości w człowieku, przypodobającej się Bogu. Jest mistycyzm, jak jest filozofja, matematyka, fizyka, chemja — bo jest imaginacja, rozum, rachunek, doświadczalność, rozbiór, z których one idą. Ale jeżeli filozofja odpychając mistycyzm, postąpiła w tem sobie logicznie, to Cieszkowski jako filozof, biorąc mistycyzm w obronę, nie postąpił logicznie. Porozumiejmy się tylko dobrze: imaginacja, to nie rozum — mistycyzm, to nie filozofja, to nie poezja nawet. Wprawdzie mistycy czasów naszych nie zowią imaginacji po staremu: imaginacją, marzeniem — ale intuicją, która będąc dziecinnym natchnieniem, ma być bezpośrednim widzeniem Boga, wpatrywaniem się w Boga naocznie. Ależ, gdyby na to zgodzić się można było, to by do przysłowia: Co głowa, to rozum — przybyło drugie: Co oczy, to Bóg.

Wszakże co nie wolno filozofji, która idzie z rozumu, wolno poezji, która jest imaginacją dziełem; trzeba tylko odznaczyć między niemi granice, nie brać jednej za drugą. Filozofja i poezja jest jak historia i dramat. Historia przedstawia prawdę, nagą prawdę, li tylko prawdę. Dramat wolne dodatki, upiększenia, dekoracje, byle tło historyczne zostało. W filozofji utwory imaginacji nie mają żadnego znaczenia — w poezji imaginacja jest prawie wszystkim — poezji nie szkodzi nawet mistycyzm poezji; bo jest jak alegorja w bajce i jako taki nie tylko jest w niej usprawiedliwiony, ale jest jej zasługą i zaszczytem. Przecież trzeba i wiedzy, gdzie i kiedy go użyć, a przedewszystkiem zapowiedzieć z góry, że to nie filozofja, ale poezja — a tem bardziej nie udawać jednej za drugą, jako dobry nauczyciel nie będzie uczniom alegorji o Popiele i myszach

udawał za rzeczywistą prawdę. I to także tłumaczy, dla czego mistycyzm w Dziadach Mickiewicza nikogo nie zdziwił i nawet dobrze przyjętym został, a dla czego mistycyzm jego w kursie o literaturze sławiańskiej wszystkich słuchaczy — swoich oraz obcych — i zdziwił i odstręczył.

KURS ÓSMY.

1860 r.

Przydługo może na przeszłym zgromadzeniu zatrzymałem uwagę szanownych słuchaczy po za obrębem głównego założenia; ale trzeba mi było klucza do odkrycia niejednej tajemnicy i usunięcia w następstwie niejednej wątpliwości, nie tylko względem wszystkich późniejszych poematów autora Komedji Nieboskiej, ale i wielu innych w tym rodzaju płodów.

Że Komedja Nieboska nie jest widzeniem proroczem przyszłości, ale tylko pochwyeniem i ujęciem w karby dramatyczne myśli czasowej i niejako na czasie będącej, dowodem, oprócz tego, com o niej już powiedział, wszystkie bez wyjątku inne poemata autora. Dość jest przywieść je do pamięci tylko, żeby się o tem przekonać.

Kiedy przed dwudziestu laty rozległ się był głos: «Stara Europa skończyła posłannictwo swoje! Dziś Północ! Północ tylko młoda i świeża, podjąć je i rozwinąć może. Wnet kochanek Kornelji odebrał posłannictwo na północ, pod postać Irydjona. Ale kto? ale który z narodów północy podjąć może to posłannictwo?...»

A zaś nie inny, odpowiada tenże głos, tylko: «Naród świetlica sławiańskiej ziemi — pocziwy sławą minionych stuleci — święty zasługą pierworodnych dzieci — czysty probierzem ogniem klęsk i biedy — mądry w myśleniu spędzonemi laty — mężny jak święci wyznawcy na stosach — w ziemiach dziedzicznych i możny i wielki!»

To też Komedja Nieboska niczem innem nie jest, jak wypowiedzeniem poetycznym tego głosu powszechności; a że tonem nie obojętnie niewłaściwym, to dowód tylko, że w piersiach poety nie było jeszcze wówczas głosu do wypowiedzenia innego. Poemat Komedji Nieboskiej wyszedł roku 1837, a pierwszy po nim z kolei r. 1841. W upływie tych lat czterech autor kierowany opinią publiczną, miał czas spostrzeżenia się; ale spostrzeżenie się nie jest świadomością jeszcze. Autor Komedji Nieboskiej, niezachwiany w przekonaniu, na jaką stronę musi paść zwycięztwo, postrzegł tylko, że nie jego środkami świat nowy dojdzie do celu. Odgaduje więc dalej...

Właśnie w onymże czasie doleciał był do uszu jego nowy głos: Panslawizm. Roskosznie zabrzmiał głos ten w uszach carskich, a jednakże w Grabowskim i Rzewuskim w Polsce, w Jabłonowskim i Mirskim na pielgrzymstwie znalazł otuchę i poparcie, a w autorze Komedji Nieboskiej proroka przemazującego poprzednie proroctwa swoje nowym poematem: Noc letnia.

Wprawdzie w nocy letniej poeta podaje «pieśń zgonu» tylko, inny powiada: «pieśń zwycięztwa» ułoży. Ale co wziął na siebie, co sam tylko ze zwycięztwa wyśpiewał, to jest właśnie, czego bez zaparcia się siebie wziąć na siebie nie należało.

Na Noc Letnią zaciągnął autor osłonę, ale tak przejrzyście, że trudno o wzrok, któryby przez nią wszystkiego nie dojrzał. Ojciec wydaje córkę za mąż — za cudzoziemca. «Bóg nie raczył — powiada — po mieczu (silnego) przeciągnąć mi rodu; kądziel (ród słaby) tylko pobłogosławił w domu moim; lecz ten, który cię pojął, przysiągł mi imię nasze przybrać i dzieci twoje zwać się będą jak ojcowie moi. Szanuj szczęście, którem Opatrzność cię uwieńczyła. Pani równej tobie, pani tylu włości i skarbów, nie ma na całej ziemi naszej. Pamiętajże być mężowi do śmierci posłuszną i wierną.»

Te słowa mówił ojciec cichym głosem — zdawało się, że każde z nich próbuje serca milczące; lecz kiedy nic nie odpowiadała, kiedy coraz niżej spuszczała skronie i w końcu jej czoło utonęło w jej dłoniach i wieniec ślubny ześlizgnął się z jej włosów, on zawołał: «Czy nie słyszysz? Już nad-

chodzą oderwać cię od łona, na którem wzrosłaś! Pożegnaj mię, mówiąc: żeś szczęśliwa!»

Lecz ona wzniosłszy oczy, zdała się śledzić po ojcowskiem licu i przez chwilę wierzyć, iż jeszcze nie wszystka zniknęła nadzieja, aż nareszcie zsunawszy się, klękała na głazach grobowego pomnika matki, modli się całą postacią do starca i słowo jakieś wyrzekła. Tem słowem był: Lud! Dreszcz gwałtowny odrzucił starca od pomnika żony. «Co za imię wyrzekłaś? Milcz! milcz! — Nie! Ty nie mogłaś tego wymówić słowa — a wyrzekłaś, to wraz z niem bądź przeklęta!» Ona się podniosła. Ona dotąd cierpiała w milczeniu jak słodka ofiara, niesiona na mściwych bogów ołtarze. Teraz odparła zimno i stanowczo: «Kochałam i kocham go, ojcie!» Starzec nie dotrzymał tym cichym, śmiertelnym wyrazem. Zakręciło mu się w głowie i zniszczony, jak wszystkie nadzieje, którym ufał, padł u stóp grobowca. Przez chwilę duch jego wraz z duchami przodków spoczął w nicości, a kiedy się przebudził, ujrzał nad sobą twarz bladą córki, uczył jej uściski, wołające go nazad do życia i usłyszał zarazem tuż nad sobą brzmiące ślubnej pieśni zwrotki, a muzyka huczniej zabrzmiała na zamku. Tam bawi się i częstuje przyjaciół pan młody, szalony żoną tak nadobną i mozną; a równocześnie oblubieniec jej serca ostrzy szyćlet o stopnie ołtarza, u którego tylko co odprawiał się śluby: «Ktokolwiek jesteś bracie, idź na spoczynek i nie mięszaj pokoju Pańskiego!» rzekł na ten widok mnich jeden. «Precz z kościoła! bo świętokradczą jesteś!» rzekł do oblubieńca mnich drugi. «Wyklinam ciebie i to żelazo, któregoś u stóp krzyża śmiało dobył!» dorzucił mnich trzeci. Młodzieniec cisnął kłutwę za kłutwę i leci do swoich wśród trzech wzgórz łagodnej pochyłości, których stopy kąpią się w tym samym strumieniu, a czoła odeszły od siebie, powiewając gestami krzewy. Znać czekali nań; bo skoro się pokazał, leżący powstają, stojący schodzą niżej ku brzegom ruczaju, a z każdego wzgórza podnosi się sztandar i pływać zaczyna w powietrzu, lecz żaden okrzyk się nie rozległ. On sam dopiero, kiedy usiadł na głazie obalonym w poprzek strumienia i głowę schylił, a dłoń opuścił między ciekące fale — on pierwszy przerwał milczenie i głos jego szedł ze szmerem wody, jak śpiew za wtórującą struną; a każde słowo choć

ciche, padało na serca przytomnych: «Od tysięcy lat ojcowie nasi posiedli tę ziemię; nie słysząc, by kogo z niej wygnali. Jak kłosa niw, jak sosny lasów, tak oni byli jej synami; a pod cień ich szabel postronne garnęły się ludy — bo czego ucho nie słyszało, oko nie dowidzi, ale dusza mężnych kocha: to było ich udziałem.» «Prowadź nas! prowadź! Odbijemy oblubienicę twoją!» pomieszane głosy wzniosły się ze wszech stron. «Dzięki wam, bracia — od-rzeczcie on — ale starca śpiącego w komnatach przodków moich nie przebudzi szcęk szabel naszych. Wzrosłem pod cieniem jego ręki — on pierwszy usta moje nauczył imienia: ojczyzny. On pierwszy serce moje zapoznał z żądzą jej mienia. Nim zatkniecie na jego zamku sztandary święte, a moje własne, wprzód mi umrzeć trzeba» — i odszedł kilka kroków, dodając, jakby się już nie do drugich odzywał, ale sam do siebie: «Co ksiądz zwiąże, tego człowiek nie roz-wiąże, chyba przeciąć może.»

Takie jest założenie Nocy letniej, które autor rozwija dialogiem w komnacie ślubu: «Czemuś tę obrączkę włożyła? Czy nie lepiejby było wyzwoić się ucieczką do tych gór przed ślubem?» A ona odrzekając: «Ojciec mój ukląkł przedemną, dłoń położył na swoich włosach, krew rozrywała mu skronie, widny był na jego czole konający sen całego życia, mara wielkości i panowania wyciągająca ręce do mnie. Wyrzekłam słowo przystania, oddałam rękę niezna-nemu, obojętnemu, ach! niecierpianemu — bo u mnie nie-cierpiany każdy, kto twoich oczu nie ma, twym głosem nie mówi, szabli twej nie nosi i twoją myślą nie oddycha. Te-raz odejść już mogę, ale nie wąpi! Tyś pan mój i mąż mój na wieki!» — I spuszczać oczy, wnet ukląkł i modlić się poczęła modłami umierających. On ukląkł także, czasem wtórował jej słowom, czasem milczał w ponurej powadze, aż obejrzy się ku otwartym podwojom na ganek i rzecze: «Już świtać zaczyna! Oprzyj się na mojem ramieniu i spoj-rzyj na świat choć raz jeszcze ze mną!» Poszła za nim i stanęli oboje na progach krużganku. On wlepił wzrok do góry i śmiało żegna się z nią; ona ze schyloną głową ciśnie się ku niemu. Wtem głosy rozhukane wzniosły zdrowie czy-jeś w oddalanej sali — on się wzdygnął, ona już może nie słyszy. Potem sygnęły się na krużganek gesty stóp hałasy

i z ukosa błysnęły pochodnie. «Boże! — zawołał — wszak dasz braciom moim zwycięstwo!» i uniósł zdrewniałą z wne-trza ślubnej komnaty; po murach zamku odbite wzorem pik-łek skaczą wiwaty podechmielonej zgrai. Śnać pan młody spieszy do żony z pierwszym dnia promieniem. «Czy wi-dzisz? — krzyknął, wyciągając ręce ku zwierciadłu, nie po-znaając już siebie samego — jaki piękny anioł mój?» «Ach, piękny!» — powtórzył wódz z głuchym jękiem i upadającą przycisnął do piersi, a w drugiej ręce wznosił śmiertelne żelazo.»

Cały ten obraz rozwinał poeta w samym widzeniu przed oczyma ojca. Zrywa się starzec, chce lecieć ratować córkę; z zakrętów ciemnej galerii wpada mu mąż na przełaj. «Gdzie żona twoja? ... Milczysz ...» Starzec chwycił miecz oburącz. «Bierz ten spadek po niej» i opuścił miecz; ale żelazo wyrwało mu się z dłoni i roztrąciło o przyległe filary. Starzec zaczął wołać córki po imieniu — echa naokoło na-śmiewały się z niego; ludzie szlochali, idąc z tyłu za nim. «Gdzie dziecko? dobre dziecko moje!» Lecz cisza była w okolo, tylko wielka błądź rozpastała się na jego twarzy. «Panna młoda pewno tam na jeziorze!» woła przerażony starzec. Ludzie porwali za wiosła, on wszedł na statek i od-bili od brzegu. Wysepki kryły się jedne za drugimi; na każdym skrócie wodnego manowca starzec klaszcze w ręce i woła: «Tu ją, tu ją znajdziemy!» Tak opłynął całą wysp družynę, ale panny młodej nigdzie nie było. Zanurzył ramię w jezioro po łokieć, i słuchając szmeru fali, głośno, dziko się zaśmiał; aż naraz zerwał się na nogi i skoczył z sił wszystkich, ostatnich, w głębinę. Śludzy wrócili, niosąc starca; lecz w nim już nie dopatrzyć życia — życie pod błę-kitami jeziora zostało — jeziora Wszech-Sławiańskiego.

Takie jest rozstrzygnięcie poematu: Noc letnia. Roz-strzygnięcie wyraźnie okazujące niepewność autora w odga-dywaniu przyszłości.

Ale jeszcze Noc letnia nie była wydrukowaną do końca, kiedy w tym wieku odgadywać rozległ się znowu głos inny: «Nie tak, nie to! Panslawizm, to świat nie nasz i nie dla nas. Ale wiara! Ale królestwo Niebieskie! Ale kościół boży! Ale kościół nowy! Kościół stary zatracił wiedzę, od-stąpił swego posłannictwa. Kościół stary ustąpić, rozwalić

się musi, a na zwaliskach jego powstanie kościół nowy» — I otóż jest, co znowu jako nowość złoży się w treść nowego poematu autora Komedji Nieboskiej pod napisem:

«Trzy myśli, pozostałe po ś. p. Henryku Ligenzie.»

W Trzech myślach, jak we wszystkich poematach poprzednich, przyszłość również wychodzi zwycięsko, ale rzecz dzieje się już gdzieś indziej i nie tak, bo nie za jeden lud, nie za kilka, nie za panslawizm nawet — ale za całą całą ziemi ludzkość, za kosmopolityzm. Syn cieniów tak opiewa potęgę nowej myśli:

Ten co dziś wątpi, co od wieków jęczy;
Gwiazd swych się dorwie i zamieszka z niemi,
Bo w gwiazdę nieba przetworzy krąg ziemi,
Wiążąc go z niebem innej wstęgą tęczy.

Druga myśl: Sen Cezary, przedstawia myśl narodu umęczonego w obronie ojców spuścizny. Poeta nie wierzy w wyraz «ojczyzna», i co w Komedji Nieboskiej kładł w usta Pankracego, tutaj sam to wypowiada od siebie: «Opuść tę, która nie odżyje nigdy — piękność jej tylko przeszłości wspomnieniem. Nie wierz, gdy spojrzysz na ciebie, lub rękę ci poda. Wracaj i żyj w pośród ludzi, a ja tu z nią zostanę i będę jej śpiewać śpiew mój: «Bez nadziei.»

W Myśli trzeciej, której tytuł: Legenda, idea miłości wstępuje w świat i dopełnia się Królestwo Niebieskie. Głos z ewangeliji święto-jańskiej: «Zaprawdę, powiadam tobie: Gdyś był młodszym, opasowałeś się i chodziłeś, gdzieś chciał; lecz gdy się zestarzejesz, wyciągniesz ręce twoje, a inny cię opasze i poprowadzi gdziebyś nie chciał.» — Głos ten zapowiada z góry treść pieśni, upadek kościoła starego, a zwycięstwo nowego. Ciągną ludy na obchód wigilji Bożego Narodzenia w Rzymie, ciągną ostatki szlachty polskiej. Im przed innymi narodami dostaje się pierwsze miejsce w starej bazylice. «Puszczajcie tych, którzy dla wiary katolickiej niegdyś naród cudzy od śmierci zbawili, a później za też wiarę poginęli sami. Umarłych puśćcie naprzód.» Za nimi potok ludu wpływa do Bazyliki, hucząc; a gdy każdy

orszak zajął miejsce pod sztandarem swoim przy ołtarzu, i ojciec, który jest na ziemi, uchwycił drżącą ręką za poręcz tronu i usiadł na nim, zagrzmiął ogromny głos: «Czasy dopełniły się! Piotrze! czy poznajesz mnie? Głowa moja przy ostatniej wieczerzy spoczęła na piersi Pańskiej! A teraz kazano mi, bym wśród ludzi zamieszkał, a ogarnął świat i przytulił do piersi, jak Pan głowę moją ostatniego wieczora.» I wnet rwać się poczynają sklepienia — ludy wychodzą. Jedna szlachta polska patrzy śmiało okiem i wzniosłszy szablę w górę, jakby chciała na ich ostrzach wstrzymać spadające mury, i woła: «Nie opuścim starca, samemu gorzko umierać; a kto z nim umrze, jeśli nie my? Wy idźcie wszyscy — my nie umiemy uciekać!» I przywalili ich sklepienia bazyliki. Kolumny Watykanu łamią się, rwą, w proch się sypiąc, i obie fontanny jak dwa białe gołębie przypadają do ziemi, konając — a lud ucieka coraz dalej jak morze wyparte z brzegów; z nad kopca zaś tych gruzów zagrzmiął znowu głos:

«Odtąd Chrystus ani się rodzi, ani umiera na ziemi, bo odtąd już na wieki wieków jest i będzie na ziemi.» — A ci wszyscy, co umarli obok umarłego, czy na zawsze już leżą pod gruzami temi? — «Nie trwój się o nich; za to, że wyrządzili mu ostatnią posługę, Pan odwdzięczy im, bo zachodzący tak jak wchodzący, umarli tak jak żywi, są z Pana; owszem, im lepiej będzie i synom synów ich.»

Samo takie zamknięcie poematu było zapowiedzią, że poeta kończąc go, już o nowym poemacie myślał. — «Toż, gdy zrozumiał te ostatnie słowa — powiada — ucieszyłem się i duch mój się przebudził.» Ale jakież treści będzie ten nowy poemat? Nie wyczerpałże poeta wszystkich politycznych, socjalnych i religijnych zadań? Widać, że nie. Można by nawet powiedzieć, że dotąd był zajęty wciąż jednym przedmiotem; tylko nie wiedząc, co z nim zrobić, różnych próbował sposobów. W rzeczy samej zadziwiające jest to obnoszenie się autora z przyszłością polską, po całym, polskim i nie polskim świecie, a po to wszędzie, aby ją wszędzie zatracić. Tak wymordował ją w Komedji Nieboskiej na okopach zamku ś. Trójcy w walce przeciw ludowi. Tak utopił ją w Sławiańszczyźnie w Nocy letniej. Tak zagrzebał ją pod gruzami Bazyliki w Trzech myślach. Ale

kiedy lata upływały po latach, a proroctwa poety nie wypełniały się jeszcze — «to jeszcze nie tak! — rzekł sobie — snać nie marzyć, ale rozumować potrzeba.» Więc na temat z pisma świętego: «Ojciec mój aż dotąd pracuje i ja pracuję», zabrał się do spisania manifestu swej wiary. Zaprawdę, dotąd manifesta tego rodzaju pisały tylko narody w czasach wielkich politycznych zmian swoich, rządy obejmujące albo składające ster państwa, towarzystwa w chwilach swego związku lub wyjścia na obszerniejsze pole swych działań; redakcje dzienników wreszcie z powołania interesu obowiązane do wypowiedzenia z góry publiczności: czem są, po co przychodzą, jak i dokąd dążą. Autorowie zaś pojedynczy wypowiadali to treścią samych dzieł swoich, a najwięcej, jeżeli posunęli się do nadużycia przedmowy. Lecz że to był autor tytu i tak niepospolitych poematów, więc sądził, iż miał prawo do manifestu, którym poprzedził nowy swój poemat: Przedświt.

Co skłoniło autora do tego poematu nowego, powiedzieliśmy wyżej. Toż samo, co do wszystkich poprzednich, z wyjątkiem pierwszego, rozumie się, czyli Irydiona: nowe spostrzeżenie się, że nie tak będzie, jak on dotąd myślał. Trzeba wszakże tę sprawiedliwość oddać poecie, że obecne przemawianie zapowiada postępek na korzyść jego. On poczuł nareszcie, że obecna wiara narodu nie jest z rodzaju tych, z którą ludziom sumiennym walczyć i spierać się godzi; ale którą rozwijać i wspierać, oraz z którą łączyć się sercem, myślać i czynem należy. Nie jest to jeszcze zupełne jasnowidzenie, dopiero Przedświt; ale kto w przedświcie widzi już tak dobrze, czemużby we dnie nie miał widzieć lepiej? Był jeszcze wzgląd inny, który przemawiał za Przedświtem. We wszystkich poematach poprzednich poeta przyznawał się do błędów nawiasowo tylko, przez usta nawet nie swoje; teraz wypowiada to głośno, wyraźnie, sam od siebie, usty własnymi. I uroczysta zdała się tym razem ta spowiedź — przed ojcami, na grobach ojców, z łaski i za pomocą ojców:

Ledwom spytał! Ich zbroice zagrzegocą w głuchy dźwięk,
Z wszystkich piersi wypadł jęk.
Wszystkie zmarłe te żrenice
Z pod tych przyłbic jak gromnice

Płoną ku mnie, razem, górą,
Wszystkie rozbiły się prawice!
Przesłoniły księżyc chmurą,
I tych białych rąk sklepienie
Drży przysięgą potajemną —
Na słów moich zaprzeczenie
W niebo rośnie ponademną.
Tak jak rosa z polnych kłosów,
Pot mi trwogi ścieka z włosów.
A na piersiach zmora siedzie —
Ni odwrócić mogę wzroku.
Tu — przedemną — za mną — z boku —
Oni stoją tłumem wszędzie;
Zewsząd słyszę ich oddechy,
I pogardy słyszę śmiechy.
Patrz na mnie ci umarli jak półbogi —
A z ich lic

Patrzy wieków tajemnica,
I z nich każdy ją rozumie —
Więc mną gardzą w świętej dumie.
Aż pogardą mi rozdarli
Serce — serce me ze stali.
Gdy tak z śmiechem mi łajali,
Pękłoby — węc jak mogę tak się korzę.
Aż znów zerwie się namiętno duch mój —
Krzyknę: «Ojcowie!
Zdejmcie ze mnie wasze gniewy!
Któż na świecie mi tym powie
Prawdę świętą, jeśli nie wy?»

Na takie zakłęcie i skrucę syna, gdzież ojcowie, coby odmówili nauki i przestrogi? Toż nasz poeta zaledwo ich zażądał, wnet dosłyszał grzmiący głos hetmana: «Co nie z soli, ani z roli, ale z tego, co boli, wyrosł.» Jak tam mówił głos umarły, o to mniejsza; dla nas ta rzecz ciekawsza, jak z głosu tego skorzystał słuchacz żywy.

«A Jezus im odpowiedział: — Ojciec mój aż dotąd pracuje i ja pracuję.» — Takim godłem rozpoczyna autor swoją przedmowę do Przedświtu, co wytlómaczone na język pospolity, znaczy: «Nie dziwcie się, że się pobłąkał, szukając — szukam aż znajde.» Tem poszukiwaniem wiedziony, odkrywa on uderzające podobieństwo dni Cezara, poprzedzające wielki dzień Chrystusa do czasów obecnych. Świat owoczesny doszedł był do ostatecznych wyników historii swojej; gdzie tylko spojrzeć, w świecie ducha — ruiny, swawola i roztrój;

quod capita tot sensus. Wszyscy czasu onego zatraciele czy odnowiciele jedną cechę na sobie noszą: pragną nieznośną postać rzeczy odmienić, ale nie wiedzą jak. Słabość, gorączkowa żądza czegoś lepszego i gorączkowe przerażenie po każdym czynie dokonany, który do pożądanej przemiany nie doprowadził — oto są duszy takiej piętna; a z tych znamion łatwo rozpoznać, że świat ten blizki dnia sądu i przeobrażenia swego. Lat dwa tysiące, powiada, a te same znaki pokazały się po falach czasu. Zerwały się cienie: Marjusza, Sylli, Katyliny, pod postaciami Dantona, ś. Justa i Robespiera; nareszcie dnia Cezara przełały się w dniu Napoleona, a chrześcijański Cezar, wyższy całą ubiegłą epoką od poprzednika, rzekł, umierając na skale wygnania: «Odmnie liczyć się będzie nowej ery początek!» W tem słowie, dodaje poeta, zawarta jest prawda jego i całej przyszłości; lecz nim ta prawda rozwinie się i dopełni, nim ze stanowiska takiego, tegoczesnego, przejdzie świat do innego, całkowitszego i świętszego przeobrażenia się: musi się sam wyczerpywać i zaprzeczać, jako się wyczerpywał i zaprzeczał świat starożytny. Od Greków świat pogański nie spoczął, aż usłyszał obietnicę Chrystusa; od Lutra nowożytny nie ma pokoju; cywilną i ogromną wojną i myśli i miecza rozłamuje się coraz bardziej — i on też nie spocznie, aż dojdzie, nie już do usłyszenia, ale do zrozumienia i do spełnienia obietnicy Chrystusa...»

Temi słowy przedmowy do swego poematu nowego: Przedświt, przypomina autor treść poematu: Trzech myśli. Ale tam przeprowadzał się do bezwiedzy, niewiedomie i niewiadomie; tu ponieważ wszystko, co na ziemi jest, boże jest, zapowiada poeta już najpewniej: Królestwo boże! Królestwo Niebieskie! Kościół nowy! Kościół Chrystusa!

To mistrzowskie dotknięcie w tak krótkim przebiegu tylu kwestji, szkół i doktryn najrozmaitszych, a w najżywniejszej ich części postawiło autora względem każdej z nich w takim stosunku, że go każda za swego uważać mogła. Autor Przedświtu, mówił Mickiewicz, jest wyraźnie Mesjanistą, bo inaczej nie przeszedłby nigdy do takiego odgadnięcia przyszłości. — A ja bym mówił, wyznawca Chrystusowy, że on jest jednym ze służebników w winnicy Królestwa Bożego, bo inaczej nie byłby pojął Chrystusa. — Może być,

mówił Kosmopolita, ale gdyby nie był człowiekiem kosmopolitycznych pojęć, z kąd byłby wiedział, że kościół boży na tej ziemi, to nie tylko to lub owo miejsce, ten albo ów obrzęd, ale cała ziemia i wszystkie jakiegokolwiek być mogą stosunki, tak osobników jak narodów pomiędzy sobą. — A mnie się zdaje, że on jest komunistą. «Nic ludzkiego, wszystko boskie. *Domina est terra et plenitudo ejus orbis terrarum et universi qui habitant in eo!*» Jako żywo! To Polak i nic więcej, bo Polak tylko tak o narodowości rozumować może. A jaki przytem prawowierny katolik:

Ot, z błękitów i szkarłatów
Już otacza ją przesłona:
Na tle z pereł, na tle z kwiatów
Brylantowem lśni korona.
W krzyż na piersiach zwite dłonie,
Złote gwiazdy na jej łonie!
Witaj! witaj! To królowa,
Po swym ludu długo wdowa.
I dziś wraca w tej koronie,
Którą w polskiej Częstochowie,
Niegdyś dali jej ojcowie.

Ta sama różnaitość zdań o jednej i tej samej rzeczy jest już dowodem niepewności jej ducha, i co za tem idzie, oraz samego jej twórcy. Zapewnie autor w Przedświcie widzi przyszłość jaśniej, wyraźniej, niż ją widział dotąd. Wszystkie jego poemata poprzednie uważane z tej strony, to mrok Przedświtu, ale że przedświt nie jest świtem, a tem mniej dniem jeszcze, ztąd brak w nim tego jasnego światła, które jest dnia własnością; ztąd ta niepewność farb — cienie same, które tak rozmaicie rozmaitym widziane są wzrokiem. Zaprawdę, wszystkie piękności poprzednich poematów nikną przed jedną zwrotką Przedświtu: «Słuchaj w dźwięków tych wszechzgodzie.» Ale żeby poeta taki ton ze swoich piersi wydobywszy, utrzymał się na wysokości wszechzgody, nie powinien i na chwilę wypuścić z pamięci pierwotnego dźwięku, inaczej tworzyć będzie wieżę babilońską tonów. Właśnie autor Przedświtu goniąc za wszechzgodą nawet najfałszywszych tonów, przypuścił potrzebę fałszu, i co zatem idzie, nieszczęść z niego idących. W takiej pogoni, w takim

poszukiwaniu, nie dziwnego, że poeta zawoła: «Łaska boża nas wygnała w te bezdroża! Za to Panu wieczna chwała! Błogosławcie ojców winie! To jest boskiej znak opieki!» A wszakże nie ma to znaczyć, żeby w Przedświcie nie widać było postępu na korzyść autora; bo i czemże, jeśli nie postępek jest to pojęcie posłannictwa narodowego:

Głos, co woła w wiecznym niebie,
Jak im niegdyś syna dałem,
Tak im, Polsko, daję ciebie!
Syn mój jeden był i będzie,
Lecz myśł jego żyje w tobie!
Bądź więc prawdą jak on wszędzie,
Ja cię córką moją robię!

I nie myli się Mickiewicz, kiedy w Przedświcie dostrzega mesjanizm, ale się myli, kiedy go bierze za mesjanizm osobowy, kiedy go sprowadza do szaleństw Towiańszczyzny. Autor Przedświtu odbił w nim niedwuznacznie, że dla niego równie jak dla całego Chrześcijaństwa, Chrystus zamknął szereg Mesjaszów i prawdę wylał ze swojego serca między całe narody; że dla niego równie jak dla nas, od tej chwili usamowolnienia ludów, wielkimi mężami przestali być ci, którzy wiedzieli czego nikt inny nie wiedział, a poczęli być ci wielkimi, co najlepiej wiedzieli to, co wszyscy wiedzieli. I zaliczyć to przekonanie należy na karb zasługi autora Przedświtu — tem piękniejszej i szlachetniejszej, że i w widzeniu narodowej przyszłości również ważny okazał postępek:

Gdzie nam dotąd śni się mnóstwo,
Cząstek, rozdział, lub rozbiecie;
Tam już dla nich jedno Bóstwo —
Jedną miłość i wszechżywie.
Dawne pany biorą sami
Swe za dłonie niewolnice —
Przemieniony ten planetą
Wie co bracia i siostrzyce.
I świat nowy ten radośnie
Jak świątynia Panu rośnie.
Na wiekowych nieszczęść niwie
Już nie pusto, ni żałośność;
Nigdzie, nigdzie już nie ciemno,
Wszędzie jasno, sprawiedliwie

Zrozumiana przyszłość święta,
Zrozumiane czyśca męki —
I ten kielich z kata ręki,
I te krzywdy i te pęta,
I duch złego, który kusi
Do podłości serca dzielne —
I to serce, które musi
Wstać z tej śmierci nieśmiertelne!

Ztąd Przedświt uważaoby można za rehabilitację Komedji Nieboskiej. I nie pod inną myślą pisanem było zapewne to upokorzenie się poety przed napomnieniem ojców, czyli takie zamknięcie Przedświtu:

Cóżkolwiek będzie, cokolwiek się stanie,
Jakkolwiek pieśni nie pojma szyderce —
My już w niej całe wyspiewali serce —
I tu jest nasze ze słowem rozstanie!
Niech rzucą jeszcze dzieciątka niewinne;
Harfy już nigdy, nigdy nie nastroję.
Drogi przed nami otwarte są inne:
Zgincie me pętni! Wstańcie czyni moje!

I być może, że przy pisaniu tego zakończenia takie postanowienie ożywiało istotnie poetę; lecz że poeta jako człowiek układa, a kto inny rządzi, więc pisał dalej poeta, i stanęły naraz: Psalm przyszłości, których ton: «Hajdamackie rzućcie noże!», a do których, każdy inny poeta w uroczych a ironijnych strofach zarzucił autorowi trzech psalmów, choć nosiły tytuły: wiary, nadziei i miłości, brak tych trzech cnót teologicznych — tedy dorzucił psalm czwarty i psalm piąty: Żalu i Dobrej woli, których myśl istotnie narodowa i chrześcijańska, tylko zawsze przeciążona tym samym zbytkiem farb, światła i brylantów. Użalanie się pod tym względem było powszechne, a jednakże przesada ta była w pocie rzeczą najnaturalniejszą i prawie nieuniknioną.

Jakoż czytałem gdzieś i kiedyś, że pewien mędrzec indyjski, zapytany: Co to jest myśl człowieka? — Myśl człowieka, rzekł, jest to ziemia, na której człowiek się urodził i na której on mieszka; okolica, która go otacza; niebo, które nad nim się wznosi; słońce, które mu świeci; powie-

trze, którem oddycha; ludzie, zwierzęta i rośliny, wśród których i z którymi żyje; pokarm, który pożywa; napój, którym pragnienie gasi; praca, którą się trudni; przybytek czyli naczynie wreszcie, w którym jego myśl przemieszkuje.

Tak mówił niegdyś mędrzec indyjski, a świeżo jeden z naszych pisarzy w ten sposób wyrażał się o poecie, którego utwory oglądamy:

«Lubię jego obrazy, pełne są ruchu i życia; lubię jego rozwój i przedstawienie, i nigdzie może ani więcej dramatyczności, ani zręczniejszej pomyślanej, związanej i utrzymanej intrygi nie znajduję. Ale nie mogę się pogodzić z dekoracjami jego, z tym jego stylem purpurowym i klejnotowym, wiecznie złotym i srebrnym, szmaragdowym, rubinowym i brylantowym.»

A jednakże przyczyna to tylko różnicy urodzenia i wychowania. Jeden się urodził bogatym, drugi ubogim. Jednemu dali rodzice wychowanie jakie chcieli, drugiemu jakie mogli. Tamten podróż swego żywota odbywał po różach i puchach, wśród złota, srebra, purpur, perł, rubinów, szmaragdów i brylantów — ten po cierniach i głogach; wśród słot i wiatrów, nawałnic, o głodzie i o chłodzie. Okolice tego, w której się urodził, była jedną z najpiękniejszych i najrozkoszniejszych na ziemi. Zamek, w którym się wychował, liczył się do najwspanialszych i najokazalszych. Służba ojca jego cała osrebrzana i ozłocona, należała do najliczniejszych; cugi i pojazdy do najpyszniejszych, stół i piwnica do najwytworniejszych, psy i strzelcy do najdzielniejszych, a bramy zamku, wiecznie zastawione stołami uginającymi się pod ciężarem srebra, jadła i napojów, stały wiecznie dla wszystkich gości i niegości otworem. Tam to się on urodził i rósł wśród wyprzedzających go pieczętów, pod pobłażliwą i zezwalającą na wszystko opieką rozmaitej nazwy i narodowości ochmistrzów i ochmistrzyń; wśród pochlebstwa i bezprzestannego kłaniania się liczniejszej i rozmaitszej jeszcze tłuszczy dworzan, sług i służebnic. Dzieckiem biegał po ogrodach, gajach i łąkach, latał z motylami po kwiatkach, śpiewał ze słowikami nad brzegami strumieni. Młodzieńcem gonił za zwierzęmi. Ale wcześniej myśl jego gdzieś indziej rwać się poczęła. Uciekał od motylów i słowików; nie bawiły go konie,

strzelby, ogary; dom go nudził, pieszczoty go drażniły, słudzy dogodzić mu nie mogli. Świata! świata trzeba mu było. I rzucił się w ten świat, ale po to tylko, aby tracił codziennie na sile, aby wola dzielna i niezwalczona niegdyś, zaczęła małym zawadom ustępować; aby nie wiedział, czego pragnie; aby wiedział tylko, że pragnie czegoś, i że umysłowa zaguba przyjdzie jako owoc nieosiągnięcia tajemnego celu ciemnych i powikłanych życzeń. I to jest, co w tych tłumnych a różnych poematach odbić się koniecznie musiało, jako wpływ wychowania i urodzenia, jako to, co się na charakter składało i charakterem się stało.

Ze wszystkich poetów pielgrzymstwa polskiego najbliższego autora Irydiona, nie tylko talentem i treścią, ale niesłychaną płodnością utworów, stał Juljusz Słowacki. Rzeczy, iż wbrew zwykłemu biegowi rzeczy, obojętność czytelników była zachętą dla niego, krytyka podniesiona aż do napaści, bodźcem.

Juljusz Słowacki urodził się w roku 1809 w Krzemieńcu. Był synem profesora literatury, Euzebjusza Słowackiego, który go wcześniej odumarl. Wychowanie odebrał pod troskliwą opieką matki w Wilnie, gdzie zaraz z młodych lat pokazał zdolności, które nie mogło nacieszyć serce macierzyńskie: nie mogli się nacieszyć przyjaciele domu, a w ich liczbie był także Adam Mickiewicz.

Rok 1830 został Słowackiego młodzieńcem. Próbował już był jednak poprzednio swych poetyckich sił, a próby, jakie złożył w Dzienniku Wileńskim zapowiadały poetę olbrzymich nadziei. Szereg swoich poezji z czasów powstania rozpoczął pieśnią «Bogarodzica», z którą wkrótce połączyła się równie piękna i wzniosła: Litwinka, i kilka jeszcze innych. Falangę jego zagranicznych płodów otwiera powieść ukraińska: Żmija. Pole dla fantazji niezmierzone, raz, że dowolne, bo prawie bezhistoryczne, powtóre, że ukraińskie. To też pod tym względem dowolności buja po tem polu poeta z całą swobodą. Ze jednakże na stepie trudna podróż bez przewodnika, idzie więc czasem za Zaleskim, a czasem za Goszczyńskim, lubo łatwo dostrzedz, że jednego i drugiego radby wyprzedzić. Idący tuż po Żmiji, Jan Bielecki, przedstawia szlachetę polską, całkiem już w mistrzowskich konturach, a puszczone w świat prawie jednocześnie:

Lambro, Marja Stuart, Mindowe, Mnich-Arab, Hugo von Brache, uderzyły publiczność taką rozmaitością talentu, że sobie sprawy z niego zdać nie umiała. Czytając te poezje, mówili jedni, co parę stronnie nuży się myśl i umysł, lecz jeżeli wpatrzysz się w robotę szczegółów, wszystko piękne skończone, mistrzowskie; w tem ci jest złe, powiadali, bo śnać ten pisarz nic z laty nie pozyska; ma już wszystko, co się zdobywa pracą, a brak mu tego, czego nabyć nie można — iskry z nieba. Inni krytycy nie zaprzeczali braku, który według nich zdawał się ubezwładniać poezje Słowackiego; nie pozwalali, aby to suchością duszy być miało. Poeta jest w pierwszej radości, prawili oni poważnie; w pierwszym upojeniu tworzenia uderzył po stronach arfy i sam zdumiony dźwiękami, jakie wydostał, gwałtownie budzi tę harmonję, nie dbały o jej logikę, znaczenie, cele. Ale jak się oswoi z własną potęgą, pokaże, że to jest tylko narzędzie wielkich pomysłów. Byli tacy na koniec, którzy w poezjach Słowackiego nic prócz formy i dźwięku nie dostrzegali. Tym się zdawało, że ich treści i ducha ani oni, ani pokolenia, ani sam ich autor nie odgadnie nigdy. Wszyscy odwoływali się do przyszłości. I nie zostawił publiczności w próżnem oczekiwaniu płodny umysł poety, bo nie przestając na trzech, od razu ogłoszonych tomach, posypały się po kolei: Kordjan, Anhelli, Ojciec zadżumionych, W Szwajcarii, Wacław, Poemat o piekle, Balladyna, Mazepa, Lilla-Weneda, Beniowski, na którym zatrzymał się był poeta, zabawiony Towiańszczyzną; ale się z niej wkrótce otrząsnął i znowu stanęły poemata: Książd Marek, Sen srebrny Salomei, Książę niezłomny, Król- duch, i nareszcie Do autora Trzech Psalmów.

Płodność zaiste niesłychana, ale która właśnie była przeszkodą, że poeta nie mógł się dowiedzieć, co o nim myśli publiczność i jaką korzyść z jego płodów czerpie; bo zaledwie który z recenzentów zakończył czytanie jednego poematu i zabierał się do rzucenia na papier zdania swego, już mu poeta nowy poemat do czytania podawał. Czasem więc tylko zaczepiano go mimochodem, lub zapytywano z daleka: A dla czego pomimo wyborności kształtów poezje Słowackiego tak mało mają rozgłosu? «To dla mnie, *to be or*

not to be — odpowiadał poeta — nad którym ja właśnie jak Hamlet rozmyślam, a czego rozwiązanie Bóg zapewne grobowi mojemu zostawi.»

Co wszakże sam o sobie przed grobem wypowiedział, jest takiego znaczenia, że brak wszelkiej obcej krytyki prawie zastąpić może.

«Pierwsze tomy poezji moich — pisze on roku 1839 — są bez duszy. Imaginacja młoda jak motyl, wabiona była polyskiem, słońcem, kształtami, kiedym je pisał. Teatralny koturn włożyłem na stopy moje, abym, dziecięciem jeszcze będąc, wzroku sobie przymnożył. Pokazałem się więc po raz pierwszy jako artysta ludziom, którzy bynajmniej o artytostwie nie myśleli... wojną i okropną tragedją rzeczywistą zajęci. Pierwszymi dwoma tomami zgubiłem się na cały czas życia mego — i teraz muszę bez echa śpiewać, choć śpiewam inaczej. Albo Polska nie ma ani krytyków silnych, którzyby ją o zmianie lutni ostrzegali, ani czytelników dość szybko sądzących, którzyby się sami z pierwszego sądu otrząsnąć mogli i z czystą uwagą iść za pierwszą uwagą poety. Do tej pierwszej i głównej przyczyny niech krytycy dodadzą trochę obojętności ze strony tych poetów naszych, którzy dość mają zarobionej sławy; a wszelako stoją jak koklesy na świecie literackim i czekają, aż go ktoś zrąbie, aby skoczyć we wodę, obróciwszy od nowych triumfatorów polską poezję, którzy podobni do ministerjów politycznych, zwiąawszy się niegdyś razem w opozycję przeciw Osińskiemu i Koźmianowi, osiągnęli berło, i dziś są równie przeciwko nowym autorom, partją Osińskich i Koźmianów. Niech dodadzą wpływ takich podszeptów, jak n. p., że Ojciec zadżumiony jest naśladowaniem Ugolina, tak właśnie, jak gdyby kto powiedział, że grupa Nioby, tracącej dzieci, jest naśladowaniem Labluna z dwoma synami, zjedzonego przez węże. Niech jeszcze dodadzą, że Polska terazniejsza podobna jest do Prometeusza, któremu sęp wyjada nie serce, ale mózg i rozum — wtenczas może i sami zrozumieją, dla czego poezje Słowackiego są bez rozgłosu w Polsce, dla czego dusza Anhellego napróżno wystąpi z ciała i po słupie światła krzyżowego wraca do ojczyzny, myśląc, że ją tam poznają i przyjmą ze łzami; dla czego nareszcie biali Anhelli i ciemni Ojciec zadżumionych i Nimfa szwajcarska, oraz Wacław

z Eolionem będą jeszcze długo, długo figurami niezrozumienia dla duszy narodu, aż może jaka błyskawica nagle oświeci oblicza tych typów i pokaże je przezroczystymi aż do głębi serca.»

Na takie oświadczenie poety nie jeden z czytelników zabrał się do rozważniejszego odczytania poematów, próbując, ażali nie odkryje w nich tego, czego dotąd odkryć nie zdołał; ale zdanie nie zmieniło się. Niektórzy recenzenci utrzymywali z przekąsem, że ta przepowiednia poety co do zrozumienia płodów jego, ziści się chyba w roku platonicznym, to jest, kiedy na świecie powtórzy się znowu poeta i zrozumie swoje poemata — sam. Powszechnie zarzucano Słowackiemu przesadę indywidualizmu, co na polski język tłómaczy się przez osobistość. Jest w naszym narodzie, pisze z tego powodu jeden z najznakomitszych krytyków, i co większa, poetów naszych, cokolwiek naturalnej żyłki do tej osobistości. Kto wie, czy to nie jest grzech panów braci szlachty, rozwinięty urzędami, drobnymi popularnościami, który tradycją jakąś i do nas przypłynął. Może to być, że w tej zupełnej dezorganizacji, w jakiej był naród, kiedy wyglądano zbawcy, Mesjasza, owego Czterdzieści cztery, każdy się pytał siebie, czyli nim nie jest. Może nawet były chwile, iż nie jeden w to wierzył, a pierwsze prawo do tego przyznawali poecie. Dla tego najpierwszy wśród nich tą samą osobistością z samym Bogiem walczył w obronie swojego narodu; i w takiej sprawie uzbrojonemu szermierzowi można było jeszcze przebaczyć wołanie: «Mądry jestem! Wielki jestem!» Improwizacja trzeciej części Dziadów jest najwyższym szczytem tej naśladowniczej osobistości. Toż sam poeta wyrzekł: «To mój Zenit.» A choć ta wojna nie poszła mu na dobre, nie wzdygnął się przed nią Słowacki i jak Mickiewicz z Bogiem, on z Mickiewiczem wystąpił do walki:

Ha! ha! odkryłeś mi się, mój rycerzu?
Więc teraz z mieczem pod ciebie przypadam!
Najprzód ci słońce pokażę w puklerzu,
Przed słońcem ciebie z trwogi wypowiadam —
Fałsz ci pokażę w ostatnim pacierzu,
I pokazanym fałszem śmierć ci zadam —
Patrząc na swoją twarz zieloną w nocy,
Jak księżyc — słońca wyrzekłeś się mocy.

Jam ci powiedział, że jak Bóg litewski,
Z ciemnego sosen wstałeś uroczyśka;
A w rękę twem krzyż jak miesiąc niebieski,
I w ustach słowo, co jak piorun błyska —
Tak mówiąc: Ja syn pieśni! syn królewski!
Padłem — a tyś już następował zblizka,
I nogą swoją jak na trupa stawiał?
Wstałem — jam tylko strach i śmierć udawał

Znajdziesz mnie zawsze przed twojem obliczem,
Mnie powalonym, hardym i strasliwym...
Nie jestem tobą — ty nie jesteś Zniczem.
Lecz choćbyś Bogiem był — ja jestem żywym!
Gotów wężowym balwan smagać biczem,
Dopóki świat ten pędzisz biegiem krzywym...
Kocham lud więcej niż umarłych kości,
Kocham... lecz jestem bez łez, bez litości
Dla zwyciężonych. — Taka moja zbroja,
I takie myśli moich czarnoksiężstwo.
Choć mi się oprzesz dzisiaj, przyszłość moja!
I moje będzie za grobem zwycięztwo!
Legnie podemną twych poetów zwoja —
Twe hektorowe jej nie zbawi męztwo.
Bóg mi przyszłości obronę powierzył;
Zabiję — trupa twego będę włóczył!
A sąd zostawię wiekom...
Bądź zdrow! A tak się żegnają nie wrogі,
Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych — bogi!

Istotnież oryginalną i ciekawą była w swych czasach historia wojny owych dwóch bogów na polu poezji pielgrzymskiej. W ostatnich dniach grudnia roku 1840, słowa są dziennika w wypowiedzeniu swoich wielce ostrożnego, bo owoczesnego Dziennika Narodowego, zebrało się w pewnym domu przeszło trzydziestu młodzieży polskiej. Była tam muzyka, śpiewy; była i szczerza polska ochota. Przy wieczory wywołany został do improwizacji Słowacki, i w wierszu pełnym giętkich zwrotów, śmiałych porównań i życia, zwyciężąc Mickiewicza ogłosił. Przebiła czasem gorzcy i ironia w jego strofach, ale piękność ich artystyczna uderzała słuchaczy, a gdy skończył, wielkie podniosły się oklaski. Wszakże w zadowoleniu otaczającego koła widział improwizator więcej administracji niż współczucia i za szczęśliwem idąc natchnieniem, jeszcze raz do stołu wrócił: «Na łodydze mego życia — mówił do wieszczki Dziadów — dwa błyszczą

kwiaty: jeden niechęci ku tobie, ten wędnie i opada; drugi przyjaźni, ten rozwija się z pączka; jakkolwiek ciężko zakwita, schyl się go zerwać.» Mickiewicz milczał, pasował się z natchnieniem, powstał w końcu i w ognistej improwizacji przypomniał przeciwnikowi lata dziecinne; mówił mu, dla czego ludzie za nim nie poszli; mówił i o sobie, jak nieraz niewiary doznaje i skończył słowami: «Dla poety jedna tylko droga... ztąd (ze serca) przez miłość — tam — do Boga!»

Nazajutrz był drugi podobny wieczór. Mickiewicz improwizował znowu; przyznawał Słowackiemu wielkość, wyraził się nawet: że w sławę płynie; lecz gdy dodał: «Niech idzie tam, gdzie my idziemy!» — tedy Słowacki odpowiedział w Beniowskim:

Ha! ha! mój wieszczu! Gdzież to wy idziecie?
Jaka wam świeci! Gdzie portowa wieża?
Lub w Sławiańszczyźnie bez echa toniecie!
Lub na koronę potrójną papieża
Piorunem myśli podniesione w świecie
Gnacie! — Znam wasze porty i wybrzeża!
Nie pójdę z wami, waszą drogą kłamną —
Pójdę gdzieindziej, i lud pójdzie za mną!

A działo się to w końcu 1840 r., kiedy o Towiańszczyźnie mowy jeszcze nie było. Jakież zatem musiało być zadziwienie publiczności, kiedy ta po złożeniu tak uroczystego oświadczenia, ujrzała potem Słowackiego też puszczającego się drogą i prowadzącego do niej:

Idea wiary nowa rozwinięta
W błysnieniu jednym zmartwychwstała we mnie...

Widzę wchód jeden tylko otworzony,
I drogę ducha tylko jednobramną!
Trzymając w górę palec podniesiony,
Idę z przestroga! Kto żywi! pójdzie za mną!...

Dobrze! — mówili jedni — w Towiańszczyźnie pisać nie wolno, a Słowacki rozpiął się już dosyć. — Szkoda, mówili drudzy, Słowacki w nowszych poematach swoich widoczny

okazał postęp. Trochę pracy jeszcze, a mielibyśmy w nim poetę nad poetami.

Wszakże nie długo trwała ta sprzeczka. Słowacki rychło zerwał z Towiańszczyzną i najprzód przez księdza Marka, a potem przez Srebrny sen Salomei, w grobie Agamemnona, Księcia niezlomnego i Króla-ducha, zapowiedział swój powrót do domu. Lecz nie długo cieszyło się tym powrotem brata do domu pielgrzymstwo polskie. Słowacki umarł w Paryżu dnia 3. kwietnia 1849 roku, umarł w sile wieku, w pełni zdolności. W różnych epokach podróżował wiele. Był aż w Jerozolimie i kilka nocy przepędził przy grobie Chrystusa. Kilka ostatnich miesięcy przecierpiał na nieuleczoną chorobę, na suchoty piersiowe i prawie w opuszczeniu. Ostatnie jego słowa były: «Niechże już zrzucę ten płaszcz lichy, co mię więził, i pójdę tam!» Ciało jego złożyło kilkunastu żołdaków na smętarzu Montmartre. Mowy żadnej nad grobem nie było. Prawda nie zawsze wielbiąc, czci najlepiej pamięć znakomitych ludzi. Słowacki zdaje się pierwej, jak niektórym jego krytykom się zdało, ocenianym i rozumianym został, bo stał się i jest dzisiaj jednym z najulubieńszych poetów młodego pokolenia polskiego. Właśnie wtenczas, kiedy na pielgrzymym, poetyckim świecie najświetniej jaśnieli autor Irydiona i Słowacki, pojawił się inny poeta, znany już poprzednio zaszczytnie z kilku poezji dorywczych, ale występujący teraz z zupełnym poematem, a poematem najwięcej politycznej treści: Trzy wieszczby.

W ogólności każdy naród, jak pojedynczy człowiek, ma swoją przeczuciową czyli wieszczą stronę. Tak się zapatrywał poeta Trzech Wieszczb na polski naród, na naród polski i na jego przyszłość. W życiu Polski widział on trzy żywioły, trzy sprężyny jej losów, wydatniejsze przed wszystkimi innymi: władzę narodową uświetnioną pozorami monarchizmu; szlachtę, to jest naród polski, w niej owocnie zamknięty; наконец lud polski, czyli polski naród cały, w zupełnym rozwinięciu swej myśli. W tym już samym nastroju dostrzega się snadno głęboki rozmyśl i bystre oko artysty. Każda też z trzech tych wieszczb opiera się głównie na jednej z tych trzech myśli. Pierwsza mówi o królach aż do ostatniego z nich. Druga maluje rozprężenie się i upa-

dek Polski szlacheckiej. Trzecia rozpala nad gruzami przeszłości gwiazdę przyszłości i wyprowadza na widownię Polskę siłą ludu wskrzeszoną. Właściwie ostatnia tylko jest wieszczbą. Dwie drugie mówią o dokonanych już czynach. Mimo to wszystkie trzy noszą słusznie nazwę wieszczb i nie można im zrobić zarzutu, że są prorocztwami przeszłości, bo jak poeta nie wierzył jeszcze wtedy w powołanie proroka, tak też jedna jak druga osnute na zabytkach dziejowych, były konieczne do stworzenia całości poematu, jako świadectwo trzeciej wieszczby, nie spełnionej jeszcze.

Tak nakreśliwszy pomysł, poeta otwiera swój poemat uroczystym godłem, wziętem z objawienia świętego Jana: «Nie pieczętuj słów prorocztwa ksiąg tych, gdyż czas blizki jest», i w poezji sławiańskiego poety Kollara:

Wszystkich światów klęski i gorycze
Zagniewane niebo na nas zwali,
Jeśli ludzkość nie postąpi dalej.

Pierwsza wieszczba nosi napis: Horoskop, a stosuje się jedynie do losów Polski, kierowanych władzą królewską.

Poeta, oparty na historycznych słowach Łukasza Górnickiego, kładzie tę wieszczbę pod kształtem powieści w usta jednego ze starych domowników Zygmunta Augusta. Widzimy tam jedną z najpoetyczniejszych postaci między naszymi królami, w chwili najpoetyczniejszej, bo w chwili konania, właśnie w stanie duszy najstosowniej do przyjmowania objawień przyszłości. Zygmunt August spoczywa na łożu śmiertelnym, wysila się jednak na życie, chce jeszcze raz napatrzeć się rysom drogiej swojej Barbary — czeka dworzanina, który jej wizerunek ma przynieść. Otoż i ten przybywa — zostają sami — drogi obraz jest w ręku króla, na to jedynie, aby skupieniem całej rokosznej przeszłości rozpalić gorączkę życia do stanu zdrowia po raz ostatni i usposobić go do ważniejszej sprawy, do przejrzenia przyszłości, bo w tej skrzynce, która jest składem pamiątek drogich sercu królewskiemu, złożono także pargaminy jakieś. Na rozkaz króla wydobyl je dworzanin, zamalowane dziwnymi znakami, i czyta:

Cichy sługa sług Pańskich, opat z Jędrzejowa,
Berejus propheticus spiritu, natchniony,
Wiedzion chwałą kościoła i zdrowiem Korony,
Takowe *vatcinium* z gwiazd i ksiąg wiela
Zebrane, ostatniemu z Jagiellów udziela.

«Ostatniemu! król krzyknął — a już lat trzydzieści
Jako ta przepowiednia w mym skarbcu się mieści!»

I złożył na krzyż ręce, by modlił — żałował,
Że bezpotomnie nogą do grobu wstępował.

Druga wieszczba zaczyna się tam, gdzie się pierwsza kończy: w epoce Poniatowskiego, w epoce tak już napiętnowanej przyszlým upadkiem narodu, że możnaby ją podciągnąć pod chwilę upadku stanowczego.

Moskwa rozrasta się w coraz widoczniejsze kształty olbrzymie, zapuszcza, jak choroba rak, coraz głębiej swoje odrośle w łono Polski. Serce narodu czuje bolesne jej dotknięcia z każdej strony; czuje, że mu coraz ciśnieć w narodowej piersi; widzi, że strumień krwi coraz bardziej ubywa; wzdyga się boleścią obecną i niepokojem przyszłych nieszczęść. Niezwykłe te poruszenia udzielają się ciału Rzeczypospolitej, gdziekolwiek dochowało się ono jeszcze w starożytnym zdrowiu; przez zamęt bezrządu przeblaskują tu i owdzie zbawienne myśli, sny niespokojne rzucają letargiem gnuśnego odrętwienia; wiara i wolność podają sobie ręce do wspólnej pracy i przygotowują w skrytości powstanie Konfederacji Barskiej. Naraz wszystko to wciela się w jedną osobę księdza Marka, kapłana, żołnierza, wieszczą i w końcu męczennika. On jeden cały swój czas wyobraża; czuł obecność jak inni, pracował dla niej jak inni, ale wyprzedził innych przejrzeniem przyszłości. Któż to był ten ksiądz Marek? Oto cichy mnich zakonu Karmelitów w Berdyczowie, ledwie znany potomności z kilku napomknien owoczesnych dziejów, niezgodnych ze sobą; za to wynagrodzony częścią świętości, jaką podanie ludu do jego pamięci przywiązało, a nade wszystko widzeniem przyszłości polskiej.

Rzecz dzieje się w klasztorze berdyczowskim, w szczupłej, żakątnej celi zakonnika. Ksiądz Marek zakłopotany przygotowaniem kazania, z którym powinien wystąpić za godzin

kilka, łamie głowę nad niem, bo w Berdyczowie jarmark, zgromadzenie w kościele będzie liczne i świetne, nabożeństwo solenne — trzeba godnie kazać. Ale o czemże kazać, czego słuchacze nie wiedzieli? Gdzież zasięgnąć w tem rady? Z księgi, z której zawzdy pił moc jak w źródle — z ewangelji. Ksiądz Marek przede wszystkim jest kapłanem Chrystusa. Otwiera więc ewangelję, a pierwsze jego spojrzenie pada na owe tak poetyczne, tak wzniosłe, a zarazem tak okropne słowa, zapowiadające spustoszenie Jerozolimy — i wnet po kilku wierszach rozbudza się w księdzu Marku z myśli religijnych myśl polska, obok kapłana powstaje Polak, Jerozalem zmienia mu się w ojczyznę. W rozpędzie tej myśli przebiega poeta wszelkie prywatne i publiczne grzechy narodu, zepsucie grasujące po wszystkich stanach; stawia u kresu jako skutek ich konieczny straszliwą przyszłość, którą lęka się wyrazić wymienił; oddala od jej widoku duszę skierowaniem jej w sferę niebieską; woła o pomoc niebieską. Skąpy w źródle modlitwy duch księdza Marka, wraca pokrzepiony z myślami weselszemi, ze środkami naprawienia złego, z marzeniami nawet przyszłości, jakiej tylko Polak może zapragnąć:

O śliczne! o śliczne!

Niebo nad naszą Polską wtedy się otworzy:
Jako druga Chanaan zakwitnie kraj boży,
A stara złota wolność, by ziarna różańca,
Skupi się około tronu swojego wybrańca,
Z dobytymi współkordy, z okiem na granicę,
Czy pohaniec nie wkracza?... z okiem na świątnię,
Czy znowu kąkol w zbożu nie naszli bluźnierce,
Osmym mieczem boleści przebić Marji serce?

Marzenia te potrącają wieszczą stronę duszy księdza Marka; poeta jednak nie od razu stawia go na szczycie, tylko po szczeblach przeprowadza. Ksiądz Marek wchodzi w siebie, najprzód spotyka w duszy swojej silną wiarę; nie wiem, przez jakie osoby mówi on:

Mógłbym nią martwych wskrzeszać, wypędzać choroby,
Z tym oto jednym krzyżem bić Amelecyy.

Z tej pełni wiary wypływa uczucie wieszczego powołania: jest to uczucie jeszcze słabe, widocznie zamglone, a jednak pewne. W sercu ma siedlisko ten duch tajemniczy; przeświadczony jest o nim — z tem wszystkiem sam nie wie, czy to żart, czy Bóg! Kto wie, rzecze wreszcie po krótkim dumaniu, «może ja i widzę?»

Myśl ta uśmiecha się księdzu, i w tejże chwili odgania ją jak myśl pychy i znowu do niej wraca. Ale dusza nie wzniosła się jeszcze nad sferę ziemską, ztąd, że marzenia obudzone przejrzeniem, krążą przy ziemskich uciechach, przy ziemskiej sławie, przy ziemskich gościnnościach. Ksiądz Marek ma je za pokusę piekielną, sili się oczyścić z niej serce, jakby w przeczuciu, że się niebieski zesłaniec zbliża, napelnia je miłością chrześcijańską, podnosi się niem coraz wyżej, do powołania kaznodziejskiego, do gotowości poświęcenia się, aż upada w zachwyceniu przed objawieniem senatorów, porwanych na Sybir. Z tego zachwycenia nie zdoła go wyprowadzić nawet przeor klasztoru, który nadszedł w tej chwili przypomnieć mu kazanie i zbliżającą się jego porę.

Druga część wieszczby przenosi uwagę do kościoła w chwili nabożeństwa, między tłumy pobożnych, czekających na kazanie; niepokój wzrasta, dostojne państwo nudzi się i ziewa — otóż wreszcie i ksiądz Marek, blade jakby z trumny. Poeta nie zmarnotrawił chwili między ukazaniem się a wstąpieniem na kazalnicę: ze wszystkich stron gwar słyszemy, głosów niewiernych i pobożnych, przychylnych i niechętnych; serce drży mimowolnie oczekiwaniem czegoś nadzwyczajnego, głos tłumu nakazuje cichość: «Słuchajcie! słuchajcie!» woła wieszcz, i w pierwszych słowach rzuca na słuchaczy piorun przerażenia:

Ruina

Wisi nad Polską! Miałem objawienie:
Oto biskupów wloką na więzienie!
Starców z senatu, z izby... gwałt za gwałtem...

I wieszcy potok jak buchnął tak płynie wojną, mordami, aż póki nie skończy się w grobie narodu. Jak mary krwawe przesuwają się po przed duszą: Konfederacja Barska,

sejm czteroletni, powstanie Kościuszki, wyprawa Napoleona do Moskwy, rewolucja listopadowa i наконец obecne tułactwo nasze. Wieszczenie zamyka koniec równie okropny jak początek:

Cierpmy — nie ma rady,
Oto anioł nad Polską zatrąbił trzy biady.

A grzmotowi anioła nieszczęść odpowiada tylko tajemnicza i daleka piosenka pociechy i nadziei, jakby gdzieś z zagrobowych krain: «Ozwie się głos, uciecze noc, zjawi się blask i Bóg się ulituje.»

Skończył kapłan, gwar tłumu się zaczął. Słyszymy płacze, modły, śluby i pokuty; lud rozpacza, woła koniec świata; między szlachtą znowu przekąsy, oburzenie, groźby, latają przydomki kuglarza, oszusta. Nagle wpada goniec i przywozi wiadomość o porwaniu senatorów. Z ostatnim wierszem rozpoczyna się dzieło Konfederacji Barskiej; usiłowanie bezużyteczne — szlachta upadła, Polska jeszcze nie ocalona.

Dwie poprzedzające wieszczby nie rozwiązały rąk narodu, nie zaspokoili wiary jego; pokazały tylko, pierwsza: że utrzymanie narodu w całości i zdrowiu było nad siły monarchizmu; druga: że szlachta w coraz większym psuciu się nie znajdzie już w sobie dosyć mocy zapobiedz złemu, które się z niej poczęło, bo ona sama stanowiła naród. A jednak w duchu Polski leży jakieś błogie przeczucie; potrzeba więc to przeczucie oczyścić ze mgieł niepewności, zamienić w wiarę jasną, spokojną, niezachwianą, wzmocnioną wszystkim, co tylko do wiary wejść może, a czegoby rozum nie odrzucał; opartą jednym słowem na niebie i ziemi, na Bogu i człowieku, na nadzwyczajności zwykłej. W takim duchu i celu złożona jest wieszczba trzecia. Stanowisko, na którym goreje jej duch. Ognisko okropne i przez tę samą okropność poetyczną — okropniejsze, poetyczniejsze jak stanowisko księdza Marka. Co tamten przepowiadał, to się już po części spełniło, a spełniło na większe nieszczęście, na pewniejszy upadek kraju. Hajdamaczyzna powstała i zginęła; ale na Polsce prawie konającej, ślady jej przejścia, krew, trupy i grzyzy koła widoczne i świeże. Nie zgasyły jeszcze rozniecone przez

nią pożary, rany jej noża zapalają się piekielnym ogniem. Ten głos, co wychodzi z ust Polski, to głos piersi do dna przebitej, wysiłającej się tylko w ryk zemsty. Konfederacja Barska, przytłumiona w pierwszym wybuchu, zamieniła się w niedoleżną wojnę domową, zgubną. Właśnie temu zaradzić chciano. Masa szlachty przeciwna lub przestraszona, albo obojętna. Wielkie słowa wiary i wolności bez uroku. Cała ziemia polska bojowiskiem, a na niem rozciągnięte ciało ojczyzny, a przed ciałem Moskal z uśmiechem szydersko-triumfującym: a w duszy narodu żadnej myśli silnej, a na niebie żadnej gwiazdy pocieszającej. Wszelkie środki zbawienia zużyte; samo zwątpienie, rozpacz, przepaść grobu. Aż oto naraz podnosi się gwiazda zapowiedziana, przebija strzałą światła ęmc przyszłości i oświeca oczom Polski znak jej zbawienia, jako powiada poeta: «W słowo lud się wciela. Ufaj, Polsko! Cemu nie podołali ani twoi królowie, ani twoja szlachta, ani twoja głowa, ani twoje ręce, to dopełnisz sama cała, przez twój lud: twoim zbawicielem będzie masa twojego ludu.» Takie jest ostateczne słowo trzeciej wieszczby. Ale poeta nie rzuca go nam jako wyrocznie, w dymie delfickiego trójnoga, w zamęcie rozerwanych między sobą myśli. Promień wieszczego oka jak wyszedł, tak utkwił w swoim celu jasny, prosty, nieprzerwany. Każdy szczegół tego ustępu nosi na sobie cechę głównej myśli, wchodzi harmonijnie do jej całości. Wieszcz trzeciej wieszczby nie jest to już żaden opat, żaden kapłan, żaden szlachcic, ale chłop prosty; nie jest prawie Polakiem, przynajmniej w oczach ówczesowej szlachty; on chłop ruski, a jednak kocha Polskę, cierpi dla niej prześladowanie, tuła się, poświęca się dla niej, już więc we własnej osobie wyobraża lud Polski najdoskonalej; dodajmy, że przed potęgą jego ducha sam szlachcic zgina kolano. Nie zapominajmy i o tem, że prorok nie jest dowolnym tworem poety, ale osobą dziejową; kilkadziesiąt lat temu cała Ukraina знаła Wernyhore żyjącego, dzisiaj cała Polska powtarza jego przepowiednie.

Był to rodem Kozak z Ukrainy Zadnieprskiej, będącej już pod panowaniem moskiewskim; przechował jednak szczególniejsze przywiązanie do Polski — może pod świeżą jeszcze pamięć jej stosunków z Kozaczyzną, a może i pod bodźcem wyższej myśli, którą mu objawiała przyszłość; a w tej

przyszłości z jednej strony okropność jarzma, które Moskwa jego braciom nałożyć miała — z drugiej zaś świetność Polski i zbratanych z nią narodów, kiedy myśl jej żywotna wypróbowana nieszczęściami, stanie na swem południu. Bądź co bądź, to pewna, że Moskwy nie cierpiał, a trzymał z Polską. Uczucia te objawił tak silnie, kiedy poczęła się gotować sprawa rzezi, przez Moskwę podszeptwana, że przywiódł Hajdamaczynę aż do oburzenia grożącego mu i musiał ratować się ucieczką na Ukrainę polską. Lecz zmowa hajdamacka rozszerzająca się i tu go ścigać poczęła. Wtedy to Wernyhory osiadł w Korsuniu, na jednej z wysep Rusi, pod zasłoną zamku korsuńskiego i opieką jego rządcy, któremu podyktował swe wieszczby, tak dzisiaj głośnie. Autor Trzech Wieszczb bierze go właśnie w tej chwili; konieczność swego wyboru tem usprawiedliwia, że Wernyhory, czując się blizkim śmierci, chciałby raz jeszcze, raz ostatni pomówić ze starostą w sprawie ważnej. Domyślamy się tego z dalszego opowiadania poety, albowiem rzeczywisty początek wieszczby jest tylko przygotowaniem do tej sceny; jest niejako przegrywką do dalszej pieśni, pełną muzyki wiejskiej, dzikiej, tajemniczej, jak cała osnowa wieszczby, przegrywką malującą istotę całego dzieła. Jak w pierwszej wieszczbie poeta wprowadził nas do komnaty królewskiej, w drugiej odsłonił nam wnętrze domu religijnego, tak dla tej trzeciej obiera miejsce w okolicy wiejskiej, wśród widoków przyrody prostej, zgoła w sferze ludu. W pierwszym zaraz kroku czujemy powiew jego świata. Obraz rozpoczynający ten wstęp maluje nam rzekę Roś i wyspę na niej ze wszystkimi dźwiękami cichego ustronia na ziemi ukraińskiej. Chwila nocna i powieść o młynie spustoszałym z przywiązaną do niego gminną cudownością dopełniają obrazu rysami tajemniczości, zwiastującami coś niezwykłego w dalszym jej ciągu, bo:

... zwykle u gminu
 Musi się w bajkę oprząść treść każdego czynu,
 Jak w jedwab gąsienica — aż z poczwarki w końcu
 Dumką — skargą — wyleci motylek ku słońcu.

Wśród takiej tajemniczości słyhać szelest nadbrzeżnych zarośli, coś ciemnego przesuwającego się w poprzek Rosi, ślizga

się gadziną po sitowiu, staje u brzegu — to łódka, a z łódki wyskakują dwie postacie: znać po stroju, że jeden z nich Kozak, a drugi starosta Korsuński. Cóż to za spór pomiędzy nimi? Zaledwie łódź opuścili, staroście spiesźnie do Wernyhory, a Kozak lęka się stanąć przed nim. Sumieniem jego szarpia śmiertelne zgryzoty; on, wychowaniec Wernyhory, dał się uwieść jego przeciwnikom, wzgardził jego przestrożkami, odstąpił go, został Hajdamakiem; i on także udarł, jak sam powiada, pasu z tego, co Wernyhory było najdroższe z Polski. Poznał dziś swoją zbrodnię, ale po niewczasie; żałuje, karze się za nią cierpieniami duszy — ale jakimż czołem stanie przed Wernyhorą, który mu to wszystko zwiastował? Tu występuje na scenę polska szlachetność tak pięknie, tak rzewnie oddana przez poetę, a tak prawdziwa, tak wrodzona charakterowi polskiemu. Starosta nie cieszy się męczarnią Kozaka, nie nasycą nią swojej zemsty; przeciwnie łagodzi ją słowami pociechy. Wszystko jeszcze może się naprawić, woła on, jeszcze się naprawi, musi się naprawić, tylko zabić co było, wziąć się razem — pan z chłopem. I obejmuje Kozaka serdecznym uściskiem — ale uroczysta chwila pojednania się nie nastąpiła, nie zstąpiło jeszcze święte słowo, które zniszczy wyrobioną wiekami nieufność; Kozaka dziwi tylko ta serdeczność szlachcica.

Patrzy, niedowierza —

Nareszcie kręcąc głową: u was jak u jeża
 Skóra, panowie szlachta — niech prostak który
 Otrze o nią, dalibóg! własnej zbędzie skóry.
 Nie, nie! chleb chłopskiej pracy, to słodka ponęta —
 Panować, to tak dobrze — a wy królowienta.

powiada słowami Chmielnickiego, i nie oddaje uścisku ni ręką, ni słowem, ni okiem. Chwilę milczenia, które zamknęło tę scenę, przerywa dziki chychot w zaroślach, wtórzone hukem sowy i niepojętym turkotem pustego młyna, a potem głos niewidomy, wzywający podróżnych w głąb ostrowu. Głos ten wciela się na końcu w dziwo pogiecie we czworzo, ze łbem dużym jak u konia, które mimo swojej potworności jest jedynym domownikiem, towarzyszem, aniołem stróżem Wernyhory. Pół tajemnicza istota, Semka, wchodzi do całego

obrazu jako rys konieczny, odpowiada i duchowi ukraińskiemu i nieodgadnionemu życiu Wernyhory. Jest to jeszcze jeden szczegół, dowodzący głębokiego rozmysłu artystowskiego. Z takim to przewodnikiem dwaj podróżni wchodzą, a raczej spuszcza się w głąb chaty pustej i stają w mieszkaniu Wernyhory przed nim:

... W ciemnym izby rogu,
Z kulbaką pod głową, na ciemnym barłogu
Między kudłami burki krymskiej broda biała
I głowa — siwy sokół, gościom się kłaniała.
Potem by nie dość jeszcze tego powitania,
Rąk dwoje, pierś zarosła, zwiody się z posłania
Tak porywco, że obok wiszące nad chorym
Ratyszcze, szabla, kołpak z wierzchem różowym
I jańczarka — o mało ze ściany nie spadły.

Taki jest obraz Wernyhory na śmiertelnem łożu.

Dobrze, żeście przybyli, póki dusza w ciele.
Mogę wam coś przekazać... choćby słów nie wiele,
A i one są czemś — wiercie mi, są słowa
Często ważniejsze czynów, gdy je gmin przechowa
W świętościach wiary...

Tak odzywa się Wernyhora, zanim wejdzie w opowiadanie swojego życia. Może się one wydać za długie, ale zważmy, że to mówi starzec, który ma sto lat za pasem, wiele widział, wiele robił; że mówi po raz ostatni, że ma nadto potrzebę wypowiedzieć:

... Nie jedną prawdę, o panowie
Koronni! pilem do was — nie poszło na zdrowie,
Sami powróz kręcicie. Niby to swobodę
Kochacie, lecz tak właśnie jako dziewczkę młodą
Upatrzoną na łanie, na siłę wleczoną,
By swem zdrowiem rozgrzała skrzepie pańskie łono —
W końcu psami wyszczuto, gdy jej kwiat opadnie.
Toż lada jaki przybył nad wami zawiadnie,
I nie stanie nikomu wrogom się zastonić!
Darmo, jak za pańszczyznę, lud on będzie gonić
W pola, zbroić kosami — pójdzie, krew przeleje,
Ale dla tego wianek już nie zazielenieje...

Bo swobodę wam kochać dla wszystkich pospołu,
Bo swobody moc idzie nie z góry, a z dołu —
Tam siła!

Nie z braku scen podobnych wstrzymuję się od liczniejszych wyjątków, lecz że wykład rozszerzyłbym nad zamiar. Idę więc dalej. Stopniami, z uczucia do uczucia podnosi się dusza Wernyhory. Na pierwsze jego objawienie się dwaj goście mimowolnie padają na kolana. I było przed czem. Wieszczy prawi z raju:

Kędy się wywodzą
Rzeczy przyszłe — i ludzie nim się jeszcze rodzą,
Odgrywają na próbę to samo, co w czasie,
Gdy się wcieli na ziemi, po drugi raz gra się.»

W następsem widzeniu rozwija się śmierć króla i czyn pierwszego zbratania się ludów. Wieszczy szuka Polski — ale jakże okropne pierwsze jej objawienie się! Oto zbrodnia sejmowa! Pierwsze podpisanie rozbioru Polski i pierwszy męczennik. Z kolei przesuwają się: powstanie Kościuszkowskie, listopadowe, partyzantka Zaliwskiego, męczeństwo Konarskiego i tym podobne usiłowania i klęski, a w każdej zmianie myśl szlachcica niedołężna, ciemniejsza, przed myślą ludu coraz wybitniej występująca. Naraz Wernyhora każe Semkowi obudzić lirę dźwiękiem rzewnym, długim, w cały świat rozgłosnym; on zruca z duszy ciężar nieszczęść, on w potęgę ludu patrzy. Natchnienie wznaga się, ciało schorzałe rozkwita nowem życiem, nadziemskim, ręce oparły się na głowach starosty i Kozaka, przygarnęły je ku pierśiom wieszczka: bo już jedna pieśń, jedna przyszłość dla szlachcica i chłopą, przyszłość ludu zbawionego. Lira zagrała, głos wieszczka zamienił się w śpiew, i dumka popłynęła ostatnią wojną z Moskalami, ostatnimi tryumfami, ostatecznem zbawieniem całego ludu polskiego.

Odtąd dziwy niebu, ziemi, pokaż anieli
W znak zbawienia, odkupienia. słowo: Lud, się wcieli.
Ziemia niebem! Cudy! cudy!
Półbogami staną ludy!

Taka jest ostatnia zwrotka wieszczej dumki. Następna ledwo połowy doszła; duch i głos wieszczu nie podolał natłokowi i wielkości objawień. Nad wszystkie podniosło się widzenie Dniepru, zalewającego jego mogiłę, zagasiło wszystkie, a z niemi głos i życie proroka. Ale w tejże chwili cud uczcił trupa: tym pierwszym cudem jest pojednanie się szlachcica z Kozakiem:

... Przy trupie ócz czworo i rąk się spotkało,
We wzajemnym uścisku nowego sojuszu;
Łza była na siermiedze, druga na kontuszu,
Równie czysta i święta, jak płacz dwojga dzieci,
Gdy je macierz pogodzi.

«Pan nad duszą świeci! —
Rzekli razem — on duszą niech świeci nad nami!»

O, niech świeci! Oby oświecił rzeczywiście postać całego narodu, co przy zgonie proroka było tylko przepowiednią, postacią tajemniczą i osobistą.

Za chwilę głucho na ostrowie; nad grobem Wernyhory stoją brzozy jak płaczki, a pod ścianą pustki; dziwne jego chłopię siedzi z gębą otwartą i źrenicą szklaną nad zepsutą gęślą, niby uosobienie podania w proroku, krążącego dotąd po Ukrainie.

Oto treść trzeciej wieszczby, w której poeta rozwiązał po mistrzowsku zagadkę naszego bytu przez słowo: LUD. Tu jeszcze wspomnieć wypada, że Wieszczba Wernyhory nie jest żadnym wymysłem, że główna jej myśl opiera się na głównej myśli podania ludowego, objawionego przed siedm-dziesięciu laty. Zdarzenia dotknięte w nich zaszły wprzód, niżeli jaki poeta zamarzył o nich; nie przygotowywał ich żaden człowiek stanu, ale zbieg rzeczy; mógł je przewidzieć tylko człowiek dalszego widzenia. Wartość więc słów przepowiedni jest prawdziwie dziejowa, a zasługa poety również. Wynalazł je, umiał ocenić sam wieszcz, potrafił pochwycić ducha wieszczczenia i rozwinąć go.

Ostatni dźwięk lutni Trzech Wieszczb — epilog do Wieszczów, zamykający poemat — należy do najpiękniejszej części. Trudno dać o nim wyobrażenie bez przytoczenia:

O! tylko śmiało, nie na gorzkie płacze,
Nie na kancony w spuszczenie wam dali
Gęśl przedbojańską, owi trzej oracze,
Co pieśni mieli, a nie mieli stali.
Na ziemi Lecha stał rodzi się z pieśni:
Boga rodzicą — Polska nam stanęła!
Mazurkiem — Jeszcze Polska nie zginęła!
Hymnem Marsylskim: Któż nie śni?...

KURS DZIEWIĄTY.

1860 r.

W jednym z pism emigracyjnych znajduję takie spostrzeżenie:

«Kiedy któryś z cudzoziemców na jednym z tułacznych obchodów rzucił wzrok swój na nasze polskie oblicza, tehnące pogodą mimo tylu nieszczęść, niedostatków i cierpień, zapytał zdziwiony: — Jestże to naigrzanie się z losów? Albo jestże to obojętność dla dziejowej przeszłości i dla nadziei w przyszłość? — Lecz gdy po dłuższem rozpatrzeniu się w tych obliczach dojrzał na nich jakiś promień niewytłómaczony dla siebie, wznoszący i uszlachetniający te niepozorne wejrzenia, zawołał z uniesieniem: — Wielka musi być sprawa narodu, która mimo długoletnich cierpień i zawodów takim bije promieniem z tych odłamów jego!»

I zaisteż, czy nie ma powodu zapytać się obcy: Kto my jesteśmy? On, któremu mówiono, że to nasze tułactwo, to tylko garść spleśniałego zboża, które Bóg z rodzinnych naszych progów na obce wyrzucił śmiecie; on, któremu powiadali drudzy, że to naród bezrządny, bezmyślny i bezwiedny, który urojonemi i nieistniejącami drogami chciałby powrócić do ojczyzny, z której własną winą, więc słusznie wyrugowanym został; on, w obec którego bywali nawet tacy, którzy nas nazywali rozdąsanemi dziećmi, którzy u progów i u tronów obcych chcieliby wyzebrać oburzenie przeciwko ich najmiłościwшему ojcu — carowi!

Owoż inne i wznioślejsze musi być odcechowanie myśli na czołach pielgrzymstwa polskiego, chociaż przez długi czas nie zrozumiano jej; wyższe i szczytniejsze, chociaż naród nie odział pielgrzymstwa swego ani purpurą narodowego majestatu, dając głos i powagę posłannictwa swego, ani też w ręce jego nie powierzył swoich sił, swych zasobów, swoich środków, swej potęgi i całego uczucia swego; ani też on powiedział: «Unieście mi to wszystko przed zajądłością wrogów na obcą, gościnną ziemię, abyście przynieśli mi to i na powrót w ręce moje złożyli, kiedy moja znowu wybije godzina.»

Zaisteż, jakaś nieodgadniona siła wiodła to pielgrzymstwo jak niemowlęta ku wysokiemu powołaniu jego; wabiła płonną obcych, ludowych lub rządowych nadzieją pomocy; blizkim kołysała powrotem, spólcuciem ludów i dyplomacją rządów pokrzepiała wiarę, aż unosząc na obcą ziemię szczątki wszystkich politycznych odcieni, kazała im stanąć przy swych chorągwiach i na ostre rozprawić się o godło ich znaczenia. Ale gdy przed oczami duszy pielgrzymstwa polskiego to się rozwidniło i rozjaśniło, że do listopadowego powstania dwa wyraźnie przystąpiły żywioły: z jednej strony głębokie uczucie i poczucie się w dziesięcio-wiekowym istnieniu i gorące pragnienie bytu, z drugiej strony zaś skrzywiony i złamany obowiązek — wtedy pielgrzymstwo polskie musiało w koniecznem następstwie istnienia dwóch swych żywiołów w sobie, przyjsć do uczucia potrzeby rozpatrzenia: po której stronie jest prawda, czyli życie w przyszłości.

To szczególne zadanie musiało być wielce żywotne, skord z małym bardzo wyjątkiem — bo gdzież reguła bez wyjątku? — odbiło się we wszystkich pracach emigracyjnych, a na zasługę poetów miło wyznać, iż oni nie byli w tej winicy ostatnimi pracownikami. Rzechy, że nowe pokolenie wieszczów na wskroś przejęło się myślą mistrza poprzedniego pokolenia swojego:

Tys arką przymierza
Między dawnemi i młodszyimi laty:
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przedzę i swych uczuć kwiaty.

Arko! tys żadnym nie złamana ciósem,

Póki cię własny twój lud nie znieważy!
 O, pieśni gminna! ty stoisz na straży
 Narodowego pamiątek kościola.
 Z archanielskimi skrzydłami i głosem
 Ty czasem dzierżysz i broń archaniola.

Plomień rozgryzie malowane dzieje,
 Skarby mieczowi spustoszą złodzieje —
 Pieśń ujdzie całą, tłum ludzi obiega.
 A jeśli podle dusze nie umięją
 Karmić ją żalem i poić nadzieją:
 Ucieka w góry, do gruzów przylega,
 I ztamtąd dawne opowiada czasy.
 Tak słówk z ogniem zajętego gmachu
 Wyleci, chwilę przysiedzie na dachu:
 Gdy dachy runą, on ucieka w lasy,
 I brzmiać pieśnią nad zgłiszczami i groby
 Nuci podróżnym piosenkę żaloby.

Otóż tą arką żadnym niezłamaną ciosem, póki jej własny lud nie znieważy — tą brzmiającą pieśnią nad zgłiszczami i grobami nucącą pieśń żaloby, było tą razą pielgrzymstwo polskie, karmione żalem, pojone nadzieją ze zgłiszcz i gruzów, dawne opowiadające i nowe zapowiadające czasy. Młodzi poeci zrozumieli to powołanie i poczęli składać, jako powiedziałem, już nie same tylko miłosne, erotyczne, i nie same nawet tylko narodowe, patriotyczne, ale polityczno-socjalne poemata. Postrzegli to starsi bracia poeci, więc podstroiwszy gęśli, ruszyli w drogę również, by połączywszy się z młodszą bracią, śmiało kroczącą naprzód, razem z nią pełnić dalej świętą ich i swoją powinność, a w tym rzędzie jeden z pierwszych stanął Adam Mickiewicz, pisząc najprzód: Redutę Ordona i Śmierć pułkownika, a następnie Dalszą część Dziadów 1833 r., i zaraz potem: Pana Tadeusza 1834 r., poemata równie szczytnej, jak wielkiej i obszernej myśli, osnowy i treści.

Dalsza część Dziadów, jako dalszy ciąg części poprzednio ogłoszonych, musiała stać we wiążącej ją z niemi łączności. Tenże w niej co i w tamtych kształt i krój, układ i rozkład, język i dźwięk — tylko wszystko na większe wzięte rozmiary i na wyższe nastrojone tony; a co najważniejsza pod względem myśli, osnowy i treści, wolne od nożyc moskiewskiej i niemieckiej cenzury. Dzieje męczeńskiej Polski wiele

obejmują pokoleń i niezliczone mnóstwo ofiar; krwawe sceny rozwijają się po całej ziemi naszej i po obcych krainach. Mickiewicz w dalszej części swych Dziadów zawarł kilka rysów tego ogromnego obrazu, kilka wypadków z czasu prześladowania carewicza Konstantego i jego najgłówniejszego i najnikczemniejszego pomocnika, senatora Nowosilcowa. Okrutny i systematyczny Nowosilców wziął najprzód na męki dzieci i młodzież, aby nadzieje przyszłych pokoleń w samym zarodzie wytępić.

Wszyscy pisarze, którzy pisali o prześladowaniu ówczesnem Litwy, zgadzają się na to, że w sprawie uczniów wileńskich było coś mistycznego i tajemniczego. Charakter mistyczny, łagodny, ale niezachwiany Tomasza Zana, naczelnika młodzieży; religijna rezygnacja, braterska zgoda i miłość młodych więźniów; kara boża sięgająca widomie prześladowców — zostawiły głębokie wrażenie na umyśle tych, którzy byli świadkami lub uczestnikami zdarzeń; a opisane, zdają się przenosić czytelników w czasy dawne, czasy wiary i cudów.

Kto zna ówczesne wypadki, odda świadectwo autorowi, że sceny historyczne i charaktery osób działających skreślił sumiennie, nic nie dodając, a nigdzie nie przesadzając. Bo i cóżby wreszcie — zapytuje słusznie Dziadów wydawca — dodawać, lub przesadzać miał poeta? Czy dla ożywienia w sercu rodaków nienawiści ku wrogom? Czy dla obudzenia litości w Europie? Czemże są wszystkie ówczesne okrucieństwa w porównaniu tego, co naród polski do dzisiaj cierpi i na co Europa do dzisiaj obojętnie patrzy! Poeta chciał tylko przechować narodowi wierną pamiątkę z dziejów narodowych lat kilkunastu; nie potrzebował ohydać rodakom wrogów, których znają od wieków; a do narodów europejskich, które płakały nad Polską, jak niedołężne niewiasty jerozolimskie nad Kkrystusem, naród nasz przemawiać tylko może słowami Zbawiciela: «Córki jerozolimskie, nie płaczcie nademną, ale nad wami.»

Pan Tadeusz jest utworem pod wpływem całkiem innej myśli pojętym, inaczej rozwiniętym i wykonanym. W pierwszej chwili nie wszyscy dostrzegli ukryte w nim zalety. Pan Tadeusz, mówili, jest bez wątpienia utworem, którego nie zawstydzą ani utwory Delila, ani Ziemiaństwo Wirgilju-

sza; ale ani Delil, ani Wirgil nie mieli na sobie tego obowiązku, jaki leżał na Mickiewiczu, kiedy Pana Tadeusza w świat puszczał. I dziwili się nawet, że Mickiewicz, mając przed sobą przedmiotowość polską dziewięciowiekowych dziejów, kopalnie bogate tyłoma sprzecznościami ze spojonych narodowości, dziwaczne życie polskiego społeczeństwa, pełne jeszcze azjatyckich miazmów, a prawie nietknięte od artysty, bo jeden dotąd Malczewski był wydobył zeń Miecznika — że on, Mickiewicz, górnych natchnień poeta, zwiedzając to Herkulanum, nie znalazł żadnej posagowej postaci, ani przywódców Rzeczypospolitej, jak Sobieski albo Zamojski, ani buntowników, jak Zborowscy albo Nałęcz, nie rozmawiał się w żadnym z dramatów wojenno-politycznych, odgrywanych to na szwedzkiej lub tureckiej granicy, to na sejmowych lub elekcyjnych zborach. Że się zapatrzył z roskoszą na szary koniec dziejów naszych pokątnych, a wyniósł na jaśnie i starannie odnowił obraz szlachty wylęgłej w czasach ostatniego z Augustów, kiedy krew przestawała już obiegać żyły Rzeczypospolitej. Wszakże nie wiele potrzeba było czasu, aby się Polska pogodziła ze swoim poetą i z Panem Tadeuszem jego, podnosząc go do wysokości poematu najwyższej narodowego i najszczerzej patriotycznego. Opowiem to w skróceniu.

Było to daleko, było to w mieście wielkiem. Ulice brzmiały wrzawą szału zapustnego. Wysokie kamienice trzęsły się od turkotu kół, rozwozących młodzieź i niemłodzieź płci obojej na zabawy, bale, koncerta, teatru, igrzyska i swawole — kiedy w jednej z kamienic przy ulicy ustronnej, w izbie obszernej, lecz za wszystkie sprzęty kilkanaście krzeseł po bokach mającej, stół w środku, przy kominie, w głębi którego kilka główni pełniło powinność ciepła i światła, siedziało kilkunastu mężów, a wszyscy byli zadumani i wszyscy zadumani głęboko i rzewnie.

Naraz, jakby długą znużonych ciszą, poruszyło się kilka stolków.

— Mielśmy obietnicę! — zaczął któryś pierwszy.

— Obietnicę obrazu! — rzekł drugi.

— Obrazu okolicy rodzinnej! — dorzucił z westchnieniem trzeci.

— Jeszcze nie czas! — ozwał się ponuro któryś czwarty. — Północ jego godzina.

I znowu nastąpiła cisza grobowa, a jednak im się zdało, że cała izba pełną była głosu tajemniczo brzmiącego:

Bracia! duch jego wyszedł i błądzi daleko,
Jeszcze nie wrócił — może przyszłoś w gwiazdach czyta
Może się tam z duchami znajomymi wita,
I one mu powiedzą, czego z gwiazd docieką.
Jak dziwne oczy! Błyszczy ogień pod powieką,
A oko mi nie mówi i o nic nie pyta;
Dusz teraz w nich nie ma; błyszczą jak ogniska,
Zostawione od wojska, które w nocy cieniu
Na daleką wyprawę ruszyło w milczeniu;
Nim zgasną, wojsko wróci na swe stanowiska.

Słuchałem i dumałem, gdy wtem zegar z wieży przyległej począł wybijać północ, a gdy ostatni dźwięk dwunasty zrodził, tedy mąż, w którego obliczu wszystkie znowu utkwiły oblicza, poruszył się na swoim miejscu, przetarł oczy oburącz, włosy długie oburącz po za czoło zarzucił, a potem wzrok zatopiwszy w niebie, tak zaczął mówić powoli, uroczyście:

Litwo! ojczyzna moja! ty jesteś jak zdrowie,
Ile cię trzeba kochać, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Czuję i opisuję — bo tęsknę po tobie.

W tej treści mówił tak długo, aż gdy zamilkł, natenczas całe towarzystwo mężów, dotąd nieruchomych jak skały i jakby do miejsc swoich przykutych, jak jeden zagrzmiąło oklaskami i jak jeden ruszyło ku wieszczowi i otoczyło go kołem, a wszyscy cisną się ku niemu i dłonie jego ścisną w znak spółczucia, uwielbienia i chluby narodowej.

Gdzież jest zaprawdę wieszcz po za ziemią naszą, czy on się zowie Wirgili, Homer, Tasso, Delil, Bajron, Gete, lub Szyller, któryby jak ów nasz wieszcz ziemię swoją poczuł i pojął, i któryby ją z takim wdziękiem sercom ziomków swoich oddał? Któż z nas nie pomni, iż taką słowo w słowo była jego okolica rodzinna; taki dom, sad, ogród i gaj, takie grzybobranie i polowanie, i taki sam matecznik?

Zrodzonemu na łonie takiej przyrody, daleką też nie była podróż za nauką, i nie wiele potrzeba było do nauki książek, bo przyroda była mu szkołą najlepszą i najlepszą książką podęczną.

Toż ojciec polski, bywało, kiedy chciał uczyć syna swego jeografji polskiej, tedy siedł z nim na najwyższe wzgórze i ztamtąd kazał mu wzrok natężyć na prost, na boki i dokoła, a wskazując ręką w oddali po zielonych łąkach jak wąz wijącą się niebieską wstęgę: To, synu, nasza Narew — powiadała — która po to spieszy do Buga, aby z nim i z Muchawcem pospół wlała wody swoje do Wisły i tak już z jej wodami, które sama niesie od Cieszyzna, ze Szlązka, i z temi, które dawniej przyniosły z prawej strony: Sala z Węgier, Raba, Dunajec, Wisłoka i San z ziemi Halickiej i ze szczytów Karpackich, Wieprz od Brodów, Zamościa i Lublina, oraz z wodami, które do niej spławiły z lewej strony: Przemsza, Prądnik, Nida i Pilica od Krakowa i Częstochowy, szły już razem ku Warszawie i przez Warszawę, na przyjęcie Bzury, Brdy i Czarnej z lewej, a Wkry i Drwęcy z prawej strony, aby tak wszystkie już spolem, warcząc, pieniać, szumiąc i gwarząc, płynęły szeroko, poważnie, uroczyście odbijać w toniach swoich mury Płocka, Torunia, Chełma, Grudziąza, Marjenburga, Elbląga, Gdańska, i wszystkie razem nareszcie trzema odnogami wlały się do wspólnego oceanu wieczności, co go zowią morzem Bałtykiem.

Tak było z nauką jeografji dnia pierwszego, z rzekami, miastami, ziemiami i morzami tam na prost ku północy. A zaś dnia drugiego kazał, bywało, ojciec wyteżyc synowi wzrok ku zachodowi, tam na lewo i dopatrywać się nurtów Warty, Noteci, Odry i Elby. A dnia trzeciego obrócił go ku wschodowi, na prawo, i kazał znowu płynąć z wicinami i dubasami po nurtach Niemna, Wilji i Dźwiny. A dnia czwartego obrócił go w stronę południa, kędy płyną: Prypec, Jasiółda, Styr, Zbrucz, Boh, Dniestr i Dniepr, i dopóty kazał znowu patrzeć a słuchać, aż się syn dosłuchał huku porohów dniesprzańskich i dopatrzył brzegów Morza Czarnego. I takim sposobem syn się uczył jeografji dzień za dniem, aż się jej dobrze poduczyl.

A kiedy szło ojc o gramatykę i naukę języków, tedy dla

wymowy i deklamacji kazał mu co rano i co wieczór głośno, wyraźnie i dobitnie odmawiać: Ojcie nasz, oraz Dziesięcioro bożego przykazania. A dla melodji uczyć się tonów większych pieni pracujących w pocie czoła rolników. A dla harmonji słuchać szczebiotania ptastwa leśnego, szmeru wód, szelestu liści, szumu drzew, świstu wiatrów, grzmotu piorunów, rżenia koni, ryku stad, wycia wilków, jęku puszczyków i hukania po nocach zabłąkanych podróżnych.

Podobnież było z innymi naukami: z historją, filozofją, teologją i całą ekonomją polityczną.

Z okien domu rodzinnego widać było miasteczko powiatowe z wysmukłemi wieżami kościoła katolickiego i z okragłemi kopułami cerkwi moskiewskich, z zamkiem w ruinach leżącym, i z białemi murami nowo zbudowanego więzienia czyli ostroga; a zaś do koła, jak oko sięgnąć mogło, mnóstwo dworów i dworków zamożnych i wcale niezamożnych, wsi i wiosek porządných i wcale nieporządných; ogromne łąny gruntów wybornie uprawnych i przeróżnem zbożem okrytych, oraz podobnież obszary zaniedbanych i odłogiem leżących; prześliczne zielone smugi i łąki, oraz bezdenne błota i bagna; rozległe, niebotyczne lasy i wytrzebione a w bezużyteczne karczowiska zmienione; liczne stada i trzody, piękne, kragle, wesole, skaczące, a tuż obok świecące kośćmi i zaledwie nogi za sobą powlóczące. Słowem: istny obraz wszystkiego, dobrego i złego, ładu i nieładu, zamożności i nędzy, twórczości i zniszczenia, szczęścia i nieszczęścia, a których widok codzienny dostarczał ojcu zasobów do codziennych i nigdy niewyczerpanych spostrzeżeń, uwag i nauk pożytecznych synowi.

Nawet podróżować dla zwiedzenia obcych krajów i narodowości nie trzeba było podówczas, bo wszystkie, ile było na świecie, właśnie przechodziły same się przedstawiać, i jakby naumyślnie dla obejrzenia i poznania ich dokładnego, przedstawiały się w dwóch przeciwnych obrazach: raz bitne, dumne, hulaszce, śpiewające, skaczące, wesole, zwyciężkie masą gdzieś naprzód — a drugi raz: pokorne, poniżone, wystraszone, ponure, nagie, głodne, przemarle, rozpierzchnione, pobite, uciekające, wszystkie pola i drogi zaścielając trupami.

O roku ów! kto ciebie widział w naszym kraju!
Ciebie lud dotąd zowie rokiem urodzaju.
A żołnierz rokiem wojny...

Zdawna byłeś niebieskim oznajmiony cudem
I poprzeczony głuchą wieścią między ludem.

Kiedy pierwszy raz bydło wygnano na wiosnę,
Uważano, że chociaż zgłodniałe i chude,
Nie biegło na ruń, co już umajała grudę,
Lecz kładło się na rolę i schyliwszy głowy,
Ryczało, albo żuło swój pokarm zimowy.

I wieśniacy, ciągnący na jarzynę pługi,
Nie cieszą się jak zwykle, z końca zimy długiej,
Nie śpiewają piosenek, pracują leniwo;
Co krok wstrzymują woły i podjezdki w bronie,
I poglądają z trwogą ku zachodniej stronie,
Jakby z tej strony miał się objawić cud jaki —
I uważając z trwogą wracające ptaki.
Bo już bocian przyleciał do rodzinnej sosny,
I rozpiął skrzydła białe, wczesny sztandar wiosny;
A za nim krzykliwemi nadciągnawszy pułki,
Gromadziły się po nad wodami jaskółki,
I z ziemi zmarzłej brały błoto na swe domki.
W wieczór słychać w zaroślach szept ciągnącej słomki,
I stada dzikich gęsi szumią po nad lasem,
I znużone na popas spadają z hałasem;
A w głębi ciemnej nieba wciąż jęczą żurawie.
Słyszac to, nocni stróże pytają w obawie:
Zkąd w królestwie skrzydlatem tyle zamieszania?
Jaka burza te ptaki tak wcześniej wygania? —
Aż oto nowe stada, jakby giłów, siewek
I szpaków — stada jasnych kit i chorągiewek
Zajasniali na wzgórzach, spadają na błonie;
Konnica! dziwne stroje, nie widziane bronie,
Pułk za pułkiem, a środkiem jak w stopione śniegi,
Płyną drogami kute żelazem szereg;
Z lasów czernią się czapki, rzęd bagnietów błyska,
Roją się niezliczone piechoty mrowiska.
Wszyscy na północ: rzekłbyś, że wówczas z wyrażu
Za ptastwem i lud ruszył do naszego kraju,
Pędzony niepojętą i nieznaną mocą:
Konie, ludzie, armaty, orły, dniem i nocą
Płyną; na niebie gorą tu i owdzie łuny,
Ziemia drży, słychać, biją stronami pioruny.

Wojna! wojna! Nie było w Litwie kąta ziemi,
Gdzieby jej huk nie doszedł; pomiędzy ciemnymi

Puszczami, chłop, którego dziady i rodzice
Pomarli, nie wyjrawszy za lasu granicę;
Który innych na niebie nie rozumiał krzyków
Prócz wichrów, a na ziemi oprócz bestji ryków;
Gości innych nie widział oprócz współleśników —
Teraz widzi na niebie: dziwna luna pała,
W puszczy loskot, to kula od jakiegoś działa
Zbłądziwszy z pola bitwy, dróg w lesie szukała,
Rwąc pnie, siekąc gałęzie. Żubr, brodac sędziwy,
Zadrzał w mechu, najeżył długie włosy grzywy,
Wstaje na wpół, na przednich nogach się spoziera
Na błyskające nagle między łożem zgłiszczce:
Był to zbłąkany granat — kręci się, wrze, świszcze,
Pękl z hukiem jakby piorun — żubr pierwszy raz w życiu
Zląkł się i uciekł w głębszem schować się ukryciu...

Nie skończyłbym, gdybym chciał wszystkie piękności tej
poezji Mickiewicza przywozić. Zna ją zresztą Polska, ro-
skoszuje się niemi, i jeżeli nad czym boleje, to nad tem
chyba tylko, że poeta takich zdolności zamilkł, a za nim
niestety, zamilkło wielu innych. Był to odłam umysłów
upadłych, smutna szkoła zwątpienia i obojętności. Kto dał
tej szkole początek, kto ją stworzył i po co? — niech od-
powie stronnictwo wołające: «Módlmy się! Jak Bóg zechce,
to będzie! Módlmy się i pokutujmy tylko!»

Otóż jeżeli przykrem było pielgrzymstwu zamilknięcie
Mickiewicza i z nim wielu zdolnych współbraci; tedy nie-
mniej też przykrem być musiało zamilczenie innych spół-
braci, a pomiędzy nich najprzykrejsze to, że na tem polu
dostrzegło jednego z najlepszych i najulubieńszych poetów
swoich: Józefa Bohdana Zaleskiego.

Rzecz dziwna, że początek pojawu tego w Zaleskim
przypada właśnie na czasy, kiedy całe pielgrzymstwo oży-
wiała nadzieja. Przez całe lat dziesięć ani jednej dumki, ni
szumki! A było dosyć do natchnienia poety, i świetności
w zaraniu, i tryumfu w polocie, i boleści w zawodzie.
Wprawdzie od dawien dawna, jak Mickiewicza litewskim,
tak Zaleskiego wieszczem ukraińskim zwano; ale nie byłże
to czas właśnie, w którym Litwa i Ukraina okazały widomie,
jakie je ożywia uczucie? Sam wszakże wieszcz Ukrainy nie
ostał się przed ogólnym zachwytem, tylko rzucając się na
pole niewłaściwe sobie, odstąpił niwy, na której właśnie

mógł najlepiej zasłużyć się ojczyźnie. Rzecz to dziwna i bolesna zaprawdę, ale tem dziwniejsza i boleśnieszka jeszcze, że dziesięć lat, dziesięć! upłynęło po tem, a wiesz ukraiński nawet nie już polskiego, ale ukraińskiego echa i jedną nie obudził nutą. Czy się zarzekł? Czy czas tak chłodny, że aż w piersiach wieszczą zamarzło? Czy może wszystko bez niego i za niego zrobiono? O, nie! Wiesz nie śpi! Wiesz sto dum układa! mówili przyjaciele. Aż sto! Czemuż choć jednej tymczasem w świat nie puści? Myśl z myśli się wypłata, дума dumę rodzi; a niwa świeża i bujna, a echo ciekawe i rozgłośnie! Czemuż, nim słońce wejdzie, rosa oczy wyjada?...

W rzeczy samej jakiegokolwiek powody mógł mieć do milczenia Zaleski, powinien je być przezwyciężyć koniecznie. Poeta-dyletant ma obowiązki względem społeczeństwa; a cóż dopiero poeta-patrjota, który się ich podjął z dobrej i nie-przymuszonej woli, który się na nie poświęcił. Jak w każdej pospolitej, tak i w społeczńskiej pracowni każdemu, nim przyjmie obowiązki, służy prawo i czas namysłu, ale raz przyjęte, pod odpowiedzialnością wypełniać winien. Zaleski schodząc z pola politycznego, na którym wegetował bezpłodnie, wracał na dawne, literackie, właściwe sobie, na którem, zwłaszcza że zatrzymywał narodowego poświęcenia charakter, do czynnej za dziś i wczoraj obowiązany był pracy. Tak sądził myślący ogół narodu, tak rozumiało obowiązek pielgrzymstwo, którego Zaleski był członkiem — i cóż dziwnego, że utyskiwano przeciw zaniedbaniu, że dopominano się daniny z powierzonego talentu! Aż wreszcie upłynęło lat dziesięć, i naraz Paryż i Poznań ogłosiły poezje Bohdana.

Znany był za nadto talent poety, żeby publiczność powątpiewać mogła, że dań, którą jej teraz przyniesie, godną będzie tak długiego oczekiwania. Chodziły też wieści o ogromnych poematach z dziejów ojczystych, o wskrzeszonej siłą wieszczą i przywołanej z grobu całej narodowej przeszłości, ku świadectwu i nauce przyszłości. I jakież było zadziwienie rzeszy, kiedy po takich zapowiedziach dostała wiązkę przegrzywek, nacechowanych pietyzmem?

Ale nie koniec na tem. Było to wadą romantycznych pisarzy polskich, że pod tytułem narodowości wprowadzili

do pism swoich najrozmaitszy prowincjonalizm, każdy swoją stroną rodzinną, a nieraz tylko okolicę urodzenia swojego. Spotykałeś więc Litwinów, Ukraińców, Podolaków, Kozaków, nawet Wileńczuków, Krzemieńczanów, Nadwiślanów i Nadniemnianów — ale co z Polakiem co się nazywa, toś się rzadko zobaczył. Rozebrana tym sposobem między rodzinne okolice, nikła narodowość polska, a Zaleski zasłynął w tem najgłośniej. We wszystkich bez wyjątku poematach jego Ukrainizm a raczej Kozaczyzna tak pochłania polskość i Polskę, że ich prawie nie dopatrzysz się za tamtymi. Nie chcemy przez to rozumieć, żeby Zaleski miał ku temu nie polskie pobudki. Daleką jest od nas myśl taka! Jedną jego Modlitwa za Polskę wystarcza nam przeciw wszelkim tego rodzaju obawom. Ale nie przeto nie odwiedzie nas od uwagi, dokąd podobna przesada zaprowadzić może. Pojmujemy i podziwiamy przywiązanie do okolicy rodzinnej, jak pojmujemy i podziwiamy przywiązanie syna do ojca lub matki; ale czyż przeto zapomnieć mamy, że są inne, wyższe i rozleglejsze obowiązki? Zda się też, że Zaleski wreszcie sam się począł przestrzegać, iż wybrał był sobie obręb za szczupły, że mu nie wystarczała jego Ukraina, bo pogonił na inne jeszcze pole i do dumek ukraińskich dołączył: Pieśni nabożne. I to jest najwłaściwszy podział na pielgrzymstwie stworzonych poezji Zaleskiego; jedna, a może dwie najwięcej poezje polskie, a reszta ukraińskie, albo nabożne.

Te nowe poezje Zaleskiego mają wszystkie zalety i wady dawniejszych. Taż sama śpiewność języka, melodia i gra wyrazów; toż samo uczucie, rzewność, wdzięk, świetność; taż sama jednostajność barwy poetycznej i poetycznego słownika, i toż samo, o ile dało się tylko, przez wszystkie osoby, przedmioty, obrazy przeprowadzanie siebie. Największa część nowych dumek Zaleskiego jest treści codziennej czyli pospolitej; są wszakże między nimi niektóre historyczno-kozackie, a że dzieje Kozaczyzny słynniejsze zaczynają się właśnie pod przewodnictwem Polaków, przez potęgę myśli polskiej, ta więc strona ozwać się tu musiała. Poddzwonne ku ojcom należy do rzędu tych, których w tece i 24 godzin chować nie należało:

Boże święty — o mocny — Gospodynie nasz!
 Kości tu ojców — pełne mogiły;
 Dusze ojców — o wszystkie! na prawicy masz.
 O Gospodynie przedobry! miły!
 Błogosław na roli ich siedzącym — nam;
 Jak starym swym kmieciom!
 Błogosław, o! dzieciom;
 I bądź — bądź pochwałą między nami sam!

Gospodynie! nie wiemy liczby naszych dni,
 Ni pracy — jako znojna i długa,
 Łacno zmudzim i nudzim robotnicy źli,
 Tęsknim ustawnie do dom i pluga —
 Och! przymnóż pogody, i zdrowia i sił,
 Jak starym swym kmieciom,
 Bądź szczodry i dzieciom,
 Ochoczo się weźmiem, byleś z nami był!...

Czem Podzwonne ku ojcom w oddziale dumeł, tem Most Kalinowy w księdze Sielanek. Oddział wiośniemek i szumek jest już mniejszego znaczenia, a kończący je Bojanicz, okazuje iż jest Bohdanicz.

Poezje religijne składają głównie dwa poematy: Duch od stepu i Święta rodzina, z których pierwszy jest opisaniem żywota samego poety, a drugi Jezusa Chrystusa. Bohaterowie poematów zaiste różni, a wszakże i jednemu i drugiemu poematowi nie zbywa na równie pięknych i zachwycających obrazach. W Duchu od stepu odsłonięte jest życie poety całe, nawet przedziemskie, od bajecznego jego zawiązku między aniołami, aż do chwil obecnych, a w części i przyszłych; bo że nie ma poety nieproroka, więc poematowi temu nie brak także strony proroczej. Byłóż życie poety tak obfite w wypadki, żeby aż na poemat dostarczyło przedmiotu? Zapewne! Albo może, że jak mówi przysłowie, poecie wszystko wolno! Bo gdy za mało ziemi, opowie jak się w niebie bawił z aniołami, albo w piekle djabłów zwojował; a zabraknie wątku o niebie i piekle, to prawić może o wszystkich innych rzeczach, aż znowu wróci do siebie. W Duchu od stepu tak się to wszystko rozwinęło jak z płatka, że czytelnik kroku po ziemi, niebie, piekle i całym świecie bożem nie zrobi bez poety.

Dziwna to jest rzecz jednak ta w poetach naszych dzisiaj-

szych osobistość. Powiadają, że ten zwyczaj przyszedł do nas z Niemiec; ależ Niemcy dają tylko swoje popiersia na początku dzieła, kiedy nasi poeci portretują się na każdej karcie od początku do końca. A jednakże ani Kochanowski i Szymonowicz, ani Krasicki i Naruszewicz, ani Niemcewicz, Woronicz i Brodziński nie zostawili im tego wzoru po sobie, chociaż także mieli zasługę i poważanie swych czasów. Niechaj poeta; jeśli chce, myśl swoją przeprowadza przez wszystkie swego poematu obrazy i sceny — to mu wolno; niechaj weń wcieli słowo swoje i natchnie go duchem swoim — to stworzenie jego; niechaj przezeń przeprowadzi jaką chce doktrynę — i to mu także wolno; ale niech nie dręczy swych czytelników tem, co dobre tylko do sztambuchów albo pamiątników prywatnych.

Ale jest inna strona w poezjach religijnych Zaleskiego — smutniejsza, strona zrozpaczenia, i co za tem idzie, opuszczenie się na łaskę cudu:

Odtąd mętne życia fale
 Mglą się straszniej: Smutki, żale
 Nierozwiewne! noc prawdziwa...
 Mąż! o! mężkie swe nadzieje,
 Gdzie nie sieje, na wiatr sieje,
 Rok po roku lichsze żniwa!

 Rozmiłował więc w pustyni,
 Utkwił w ziemię kij pielgrzymi —
 Aż rozkwitnie Pańskim cudem!

Gdybyż przynajmniej na tem się skończyło! Ale zrodzonemu i nawykłemu do pieśni niepodobna zerwać z nią na zupełnie. Gdy więc z młodością uleciał czas wiośniemek i szumek, a kij w ziemię utkwiony nie rozkwitał cudem, poeta wiele dokazał jeszcze, że skończył na fanatyzmie, i zdziwił się tylko, czemu za nim drudzy nie idą? Ostatnie słowo Zaleskiego: «Zbawienie Polski w powrocie do wiary katolickiej», z której Polska nigdy nie wychodziła, rozkrywa najdziwniejsze uprzedzenie względem Polski obecnej! Jak tam wrócić, z kądem się nigdy nie wychodziło? Tego bez sofizmu rozstrzygnąć niepodobna, a Polska, bez wszelkiego zaprzeczenia, nie jest dzisiaj mniej katolicką, aniżeli nią

kiedykolwiek była. Ale poeta pod odstąpieniem od katolicyzmu rozumie wyzwalanie się ludzkości przez wyzwolenie rozumu:

Ludzkość milczy z daleka,
Już się czemsiś lepszą mieni —
Rozum! rozum swój wyzwala!

Otóż tego wyzwolenia nie chce poeta. A dla czego? Bo go nie chce Rzym. Wyznać trzeba jednakże, iż w samym Zaleskim są widocznie dwie strony. Kiedy patrzy w Boga, który jest wiecznie jednakowym ojcem ludzkości — powiada Goszczyński — w Boga wszystkich ludzi i wieków, tedy z poezji jego wieje powiew nieskończoności; słowo jego ożywia, podnosi znękanie do wysokości wiary czynnej, wre przyszłości życiem; pod jego dźwiękami uczucia zbolełe krzepią się, męźniąją; w samych łzach przegląda niebieskie światło pociechy, wszystkie serca jemu wtórują, wszystkie zanim idą. — Ale jak tylko wciśnie swoje natchnienie w ułomne, zużyte formy rzymskiego katolicyzmu, cały widok duszy zmienia się, posępnieje, maleje: z życia ludzkości wytyka tylko zła strona, rozum i wolność są tylko narzędziami grzechu, mara bezbożności jest wszędzie i zawsze, zła, ma wieczność jak Bóg i Jego potęgą. W pojęciu Boga odbija się mocarz ziemski, z wiary wygląda tylko bierna jej strona, strona modłów, zwątpienia w ludzkich środkach, zdania się całkowitego na łaskę Opatrzności; myśl polska rozbija się w ascetyczne dumania, a naród traci swego poetę i znajduje tylko poetę zakonnika.

Żebyśmy nie byli posądzeni — słowa dalej są Goszczyńskiego — o chęć osłaniania brzmiaćcami ogólnikami jakichś uprzedzeń bezzasadnych, a może nawet o nierozumienie samych siebie w zarzutach bezwątpienia drażliwych, widzimy się zmuszeni dotknąć, choć pokrótce, przynajmniej kilku z owych myśli, gdzie według nas poeta jest niżej siebie. Winniśmy to jemu, sobie i publiczności, a nadewszystko ważności przedmiotu. Sądźmy, że najlepiej tego dokonamy, kiedy rzucimy cokolwiek więcej światła na główne ich źródło.

Dwie wielkie myśli walczą dzisiaj ze sobą w duchowej sferze ludzkości o religijną przewagę nad nią. Dla wyraźniej-

szego ich odrysowania położmy je obok siebie w najogólniejszym ujęciu. Pierwsza przynosi światu tak zwane prawo postępu, czyli doskonalenia się, aż do kresu, jaki stworzeniu, określönemu w swoim zawodzie pewnymi warunkami, osiągnąć wolno. Bierze ona człowieczeństwo w stanie większej może niewinności, jak jest dzisiejsza ludzkość, ale mniejszej doskonałości: bo w tym stanie niemowlęctwa, kiedy równie jak człowiek nie mając jeszcze rozwiniętej wiedzy złego i dobrego, nie może się nazwać ani złem, ani dobrem. Bierze je z całym zarodem władz i zdolności, mogących mu wystarczyć w najwyższym jego rozwinięciu się, czyli udoskonaleniu do ogólnego, niewyraźnego, ale prawdziwego pojęcia Boga, a zatem od samego początku pod opieką prawdziwej wiary. Za pomocą tych zasobów jak za pomocą narzędzi rozwija je, doskonalą, czy to przez zbiorową pracę pokoleń całych, czy przez wyższe natchnienia pojedynczych, stosownie do wzoru świecącego z jej bóstwa tem jaśniej, im wiedza ludzkości jest głębsza. Podnosi je w duchu coraz wyżej po stopniach coraz doskonalszych, aż póki nie zleje duszy jego w jedno z położonym przedwiecznie wzorem, a który zakryty dzisiaj tajemniczą zasłoną wiary, odgadywanym nawet być nie może przez myśl, choćby najśmielszą. Według ducha tej myśli znajomość i miłość Boga są przewodnikami, bodźcem ludzkości w jej zawodzie; wiedza i wola głównymi jej czynnikami. W wiedzy sprzęga się wiara i rozum; wiara jest punktem oparcia dla rozumu, rozum pomocnikiem jej ziemskim; oboje doskonałą się kolejno, wspierają się wzajemnie i wspólnie podnoszą wiedzę ludzką ku wyżynom wiedzy boskiej. Działalność woli ludzkiej ogranicza się powołaniem człowieka, to jest ogólnym celem wszystkich i drogą wiodącą do tego celu. Materjalne roboty ludzkości idą w harmonji z duchowymi, przeplatają się ze sobą dla wzajemnego wspomagania siebie; zła jest pojedyncze, chwilowe; zrządzone przez jednego człowieka, przez jedno pokolenie, może być zniszczone tak dobrze natychmiast przez swoich sprawców, jak przez drugiego człowieka, przez drugie pokolenie. Ztąd i kary są doczesne tak w tem, jakoteż i w przyszłym życiu. Każdy tutaj ma wszystko, co potrzeba, aby sam mógł zbawić siebie. Bóg przytomny jest robocie każdego człowieka przez odwieczne swoje prawa;

traci jego pomoc, kto tych praw odstępuje; kto się ich trzyma, ten ma wsparcie Boga nieprzerwane.

W tej nauce jest Bóg, jakiego dzisiaj pojmujemy. Nie ubliża ona w niczem zasadom, których dotknęliśmy, mówiąc o niebieskiej stronie religii. Jaśniejszy jej obraz nie w tem miejscu dać możemy; rzucamy go nawiasowo.

Myśl druga, przeciwnicza powyższej, znana jest pod nazwaniem: nauki upadku człowieka. Poczęła się ona w jednym z podań, krążących na wschodzie. Chrześcianizm wziął ją od Żydów, dopełnił, rozwinął i oparł na niej cały systemat stosunków człowieka z bóstwem, a przez to samo wyobrażenie bóstwa w niemalej części podług niej urobił.

Ogólny wykład tej nauki może być następujący:

Człowiek początkowo mieszkał w raju, żył jako jeden z aniołów, używał wszelkich roskoszy bytu, nie znał żadnych jego dolegliwości, co większa, to życie miało być wieczne. Wykroczył przeciw jednemu warunkowi swojego bytu, nadużył danej mu od Boga wolności do rozszerzania swej wiedzy; za to nie tylko sam został wygnany z raju i skazany na bolesną walkę z całym życiem, a w końcu na śmierć, ale nadto grzech jego przechodzi w spadku jako grzech pierworodny na całe jego plemię, na całą ludzkość; robi całą ludzkość uczestnikiem wiecznej nędzy za życia, wiecznego potępienia po śmierci, bo obraza boska jest wieczną jak bóstwo; nie może też zmazać jej zasługą własnej pokuty, bo czemże jest cała wielkość jego pokuty przy wielkości grzechu? Oto czem człowiek przy Bogu: chwilą przy wieczności. Zasługi człowieka, pokuta, są rzeczą podrzędną, są niczem bez ulitowania się, bez łaski Boga, która znowu może spadać nie na cierpiących najbardziej, ale na wybranych, na upodobanych Bogu przed wieki; nigdy na wszystkich ludzi, bo wówczas zbawienie przestałoby być łaską bożą.

Z tej nauki daliśmy tylko ogólne wyobrażenie równie jak pierwszej, tak jednak według możliwości naszej dokładne, ażeby obie porównane ze sobą być mogły; co zostawiając każdemu, przechodzimy do wyciągnięcia z niej koniecznych wynikłości. A ponieważ przystępujemy do tej czynności z powodu poety narodowego, przeto w całym jej ciągu kierować się będziemy samym względem na Polskę, i zamknijemy się zetknięciem z obecnem naszym położeniem.

Owoż według nauki upadku człowieka ziemia jest więzieniem kary, człowiek cierpiącym zbrodniarzem, cały byt jego pokutą. Gdyby jeszcze za tą pokutą szło koniecznie zbawienie — ale nie! woła człowieka tutaj jest niczem. Sam Bóg ostatecznie rozstrzyga, bez względu na zasługi cierpiącego, bo jego wyroki są przedwieczne; znaki zbawienia i potępienia rozdane są przed narodzeniem się wybranych i odrzuconych. I w rzeczy samej, jakaż może być zasługa w cierpieniu mimowolnem? Cierpimy, bo możemy nie cierpieć. Smutna nauka! Nie dziw, że w końcu wyda wielu wezwanych, a mało wybranych. Jest ona równie smutna ze strony, która bliżej dotyka naszej ziemskości.

Nauka ta, potępiając wolę i rozum jako pierwsze sprawce grzechu, które jednak według wyobrażeń ludzkiej sprawiedliwości są najważniejszymi względami w ocenianiu czynów ludzkich; karząc chwilowe, co większa, cudze przewinienia wieczną męką, kiedy przez odmówienie człowiekowi używania rozumu i woli zdejmując z niego odpowiedzialność za jego nawet własne czyny, zachwiewa wszelką moralność; bo w samej podstawie, to jest w pojęciu Boga, którego robi tak niesprawiedliwym, okrutnym, jak tylko wyobrazić sobie można. Cóż wtedy pozostaje człowiekowi szczerzej wiary? Ślepe posłuszeństwo, bierna rezygnacja, oderwanie się od ziemi, zaniechanie wszystkich spraw ziemskich, lekceważenie wszystkich obowiązków społecznych, ponury pietyzm, przesadzony spirytualizm. Co pozostaje narodowi uciśnionemu jak polski? Cierpieć i starać się cierpieć coraz więcej: bo zasługa przed Bogiem tem większa, im cierpienie jest większe. Jest to pokuta za grzech, którego nigdy dosyć odpokutować nie można. Wolno modlić się, niekiedy zapytać: czy daleki jeszcze koniec kary? Ale wylamywać się z pod niej własną wolą, własnym rozumem, tego nie wolno, bo jest zasłużona. Wylamywanie się to jest bunt. I kara i narzędzia kary są z wyroku boskiego; trzeba w nich szanować wolę Boga. Car spełnia względem Polski wyższe posłannictwo, wykonywa czyn pobożny, ułatwia Polakom drogę zbawienia. Zdaje się, że na tem przestać możemy.

Poeta Zaleski, jako prawowierny syn kościoła rzymskiego, z tego dogmatu wychodzi w swojej poezji religijnej. Poemat zapewne nie jest rozprawą teologiczną; ale poezja jest obja-

wieniem prawdy przez piękność; w głębi jej powinna być prawda, inaczej zaprowadzi na bezdroża złego. Pewna i to, że myśl jego poszła w końcu gdzieindziej, spoczęła ostatecznie na obrazach pocieszających duszę narodową. Ale my tego zboczenia nie możemy przypisywać logicznym następstwom przytaczanego dogmatu; my widzimy w tem jedynie miłość narodu, prawdziwe pojęcie bóstwa, natchnienie prawdziwie niebieskie, mocniejsze od wiewów panującej myśli. Nie wszędzie jednak zdołał ją przemódz poeta.

Ztąd w jego przeglądzie ludzkości tak wydatna jej zła, coraz gorsza strona, a mogąca się jednak usprawiedliwić, gdyby tak było w rzeczy samej, nieznośnymi warunkami bytu. Ztąd zarzuty bezbożności najświętszym usiłowaniom narodowym około wolności, jak gdyby owe czyny nie były już same w sobie najwyższą pobożnością; ztąd powstawanie na wiedzę, na wolę, jak żeby wiedza i wola nie były przymiotami samego bóstwa; a będąc w bóstwie dobrem, mogły być złem w człowieku, jak żeby bezrządna swawola i szalony nierozum jedno z niemi znaczyły. Ztąd pogarda dla wiekowych prac i nabytków umysłu ludzkiego, dla udoskonalen fizycznych, które także są robotą ducha; a przez wzmocnienie, uszlachetnienie materialnej, ziemskiej strony człowieka, dążą jedynie do opatrzenia duszy w narzędzia odpowiednie ważniejszym jej robotom w przyszłości. Ztąd w pieśniach jego pełno skargi, narzekania i płaczu, które prędzej rzuca do duszy zwątpienie, jak pociechę, prędzej zamkną ją w nieczynnem rozmyślaniu, jak pobudzą do działania; są słabością w człowieku powszednim, mogą ująć samotnikowi wspierającemu ludzką pobożnem tylko rozmyślaniem i ofiarą wewnętrznych boleści: ale powinny być wstrzymywane, o ile można, w śpiewach poety przeznaczonego powoływać naród do życia społecznego, do walki mężkiej. Ztąd наконец pojęcie bóstwa, nieprzystające całym obrazem do obrazu leżącego w duszy dzisiejszych pokoleń.

Nikt zapewne, możemy to śmiało powiedzieć, nie widzi jaśniej od nas potrzeby religii w każdym czasie dla wszystkich, a tem bardziej w obecnym dla Polaków. Nikt mocniej nie jest przekonany, że konieczna jest myśl, któraby położyła koniec moralnemu nieładowi Polski, zniszczyła trawiącym ogniem wszelkie obce jej pierwiastki, narodowe zaś

podniosła w potęgę nadziemską; przywróciła pierwotne ich powinowactwo i nakoniec skupiła w jedność polskiego ducha; że tą myślą może być tylko myśl religijna; że jej podstawą i szczytem jest Bóg; że zatem w miłości i pojęciu Boga leży ostatecznie nasze narodowe zbawienie, narodowa przyszłość. Ale i o tem także jesteśmy przekonani, że wiara powinna rozjaśniać umysł człowieka, nie ściemniać, pokrzepiać, nie rzucać w zwątpienie, podnosić zaufanie we własnych siłach, a nie naigrawać się jemu; a nadewszystko objawiać Boga, któryby skupiał w najwyższym podniesieniu szlachetne, wzniosłe instynkta, władze i dążenia ludzkości; któryby nareszcie, że się zwrócimy do tego, co nas tu wyłączej zajmuje, świadczył Polsce boskim swoim słowem, że mimo jej ułomności nie zasługiła na los, jaki dzisiaj znosi. Że mimo jej przewinień, sprawcy jej losu są zbrodniarzami godnymi kary; że powstać przeciw nim, zniszczyć ich, będzie najlepszą pokutą za grzechy przeszłości, najwyższą zasługą przed Bogiem i prawem do przyszłego zbawienia.

Wszystko, co w sposobie powyższego sądu wypowiedział poeta o poecie, Goszczyński o Zaleskim, odnosi się wyłącznie do wyobrażeń, które przy całej ich powadze nie zdały się bezpiecznemi kierownikami czynnego życia narodu, w obecnem zwłaszcza jego położeniu. Jak uważane być mogą poezje Zaleskiego pod względem natchnienia i wykonania, powiedziałem to inną razą; tu dodać muszę, że jeżeli gdzieś, to niezawodnie w «Duchu od stepu» rozwinął Zaleski wszystkie bogactwa poetycznego talentu, całą swą umiejętność muzycznego władania językiem, wszystkie sztuki i tajemnice sobie tylko wiadome. Niemniejszej pod tym względem wartości jest: Przenajświętsza rodzina, i podzielać wątpliwość, aby którakolwiek literatura miała coś piękniejszego w podobnym rodzaju. Ale czyż nasza wina, że ze stanowiska naszego rzeczy oglądając, wolałbyśmy na jej miejscu widzieć polską rodzinę? Święty Mateusz, Łukasz i Jan, ewangelieści, wszyscy święci apostołowie i świętej teologii doktorowie, tak to już opisali szeroko i wszechstronnie, umiejętnie i wszechpostronnie, że i największy talent polski nie już dzisiaj dać nie może. Kto wie, czy nie lepiej Pana Boga chwalić

i żywot Jezusa Chrystusa opisuje, kto go życiem swem naśladować, słowo jego w czyn wprowadza. W winnicy Chrystusowej każdy ma sobie udzieloną pracę, a Polak ważniejszą przed innymi i tak sobie wyłączną, że mu jej w żaden sposób nie godzi się i na chwilę odstąpić. Francuzowi, Niemcowi lub Anglikowi może nawet przebaczyliby Pan Bóg omyłkę podobną, jeśli by kiedy ich sądził — ale Polakowi, dziś zwłaszcza, kto wie, czy jej nie ma za grzech śmiertelny? Na wszystko jest czas i miejsce. Cóż powiedzieć o żołnierzu, któryby w chwili walki, kiedy nieprzyjaciel grot w piersi jego wymierza, on zamiast grot odbić, rzucił broń, a padłszy na kolana, godzinki śpiewał przed wrogiem! Nie jesteśmy przeciw modlitwie i pobożnym uczynom; nie mamy za złe Radziwiłłowi-sierotce, że nie mając co lepszego robić, do Betleem i Jerozolimy wędrował — ale wiek XVI. to nie XIX., i w potrzebie narodowej i w obowiązkach wędrowców jest także trochę od tego czasu różnicy. Zostawmy co radziwiłłowskiego Radziwiłłom, a my pełnimy naszą powinność.

Błąd jest rzeczą człowieka: to prawda tak starego doświadczenia jak człowiek. Ale są błędy, których w pewnych czasach ustrzedz się można; chyba że kto nie chce. Wytyka je sam naród objawem swojej myśli, przeciw której kto idzie, błądzi, mogąc nie błądzić. To mnichostwo, to opuszczenie się na łaskę Opatrzności, jakby nie słyszał wołającego jej głosu: pracuj, a ja ci dopomogę! — należy do szeregu błędów, dla poety tem niebezpieczniejszych, że pozbawiających go z najważniejszych poezji uroków, zapuszczania się w przyszłość, choć tej przyszłości ma czasem pewną wiarę. Jakoż zdaje się, mówi Libelt w dziele: Filozofja i krytyka, że ile razy Zaleski lot swój ku wieszczeniu posunie, tyle razy korna wiara strąca go z owych wysokości ducha, jak n. p. w wierszu: Niepokój. Uderzył w strony Jeremiaszowe, słuchem duszy słucha; drga ziemia, niby brzemienne powtórny płodem, boli — pracuje ciężko — porodem. Widzi, jak się przechadza gniew boży, jak pada kara niebios na miasto, jak wyginą silni i słabi, starzy i młodzi, jak się żaden z mocarzy nie ostoi i zdać muszą liczbę trzód opiekunowi — jak dopiero potem, gdy już różne klęski znękają grzeszników, ku wiosnie, na żywot nowy odetchnie miłośnie.

Ale naraz zapomina się i w pokorze ducha rzecze: «Duchu, o duchu mój, nie prorokuj!... Nie tobie dano przeglądać w niebie, módl się za swoich, ach! i za siebie.» Sprowadzona do takiej fatalności poezja, przestaje być poezją w najważniejszej swej części, a poeta, co miał przewodniczyć na drodze do przyszłości, schodzi na płaczka pogrzebowego, który zamiast pocieszyć siostrę, dobija ją swoim lamentem.

Przeciwny we wszystkim Zaleskiemu, jak był w dawnych krajowych poezjach, tak też i w swych pielgrzymских tworach, jest Seweryn Goszczyński, zasługą Zamku Kaniońskiego zaliczony w poczet najślawniejszych poetów polskich. Ta przeciwność rozciąga się do wszystkich religijnych, politycznych i socjalnych względów. Zaleski zwolennik i sługa papieżkiego Rzymu — Goszczyński wręcz mu przeciwny i prawie w ciągłej z nim wojnie. Zaleski w skrusze i pokorze zdał szczęście narodowe na łaskę Opatrzności — Goszczyński właśnie w tem opuszczeniu się narodu widzi źródło największe jego nieszczęść. Zaleski chciałby, a przynajmniej zgodziłby się świat jaki był, jeżeli nie taki jaki on jest, urządzić — dla Goszczyńskiego ani przeszłość, ani teraźniejszość nie jest już dostateczną; jemu przedewszystkiem trzeba przyszłości. Cóż dziwnego, że był czas i byli czasowi ludzie, którzy Goszczyńskiego obwiniali o bezbożność i hajdamackie dążenia. Dwie poezje: Uczta i Modlitwa, stały im do tego powodem. Były one rzeczywiście takimi? Były, ale w obec, jak poeta ich nazywa, pomazańców piekła, fałszerzów wiary i pijawek ludzkości, ale w obec nieprzyjaciół postępu ludzkości, szczęścia i zbawienia narodowego.

Koleje losu nie dozwoliły Goszczyńskiemu, tak jak sobie życzył zapewne, rozwijać poetycznych swoich zdolności, ani nawet ogłosić tego, co już było gotowe. Pojawily się wszakże od czasu do czasu jego poezje w pismach czasowych, z których widać było poetę dobrze swą powinność pojmującego. Przekład Osjana, drukowany w trzech tomach we Lwowie, odstaje od tej skali i tyle tylko ma wartości, ile mieć może dobra kopja dobrego oryginału. W roku 1839 w Strasburgu, spokojniejszy już nieco, ogłosił Goszczyński

część lirycznych poezji swoich, dając im za tytuł: Trzy struny, jakby trzy głosy, trzy tony, trzy echa z trzech okresów, z trzech chwil wielkich, z których każda przeszła przez widowię dziejów pod znacznie różnie obliczem. Pierwszy ton, czyli pierwsza struna brzmi głosem cierpienia i nadziei, silniejszej nad to cierpienie; w drugiej strunie szcęk broni i wrzawa wojenna głośzą wszystkie inne; w trzeciej boleści i nadzieje nowe wzbici się miały po nad wszystkie uczucia. Poezje te, jak sam autor objaśnia to w przedmowie, pisane po największej części pod bodźcem chwilowych wypadków, pod wpływem zewnętrznych okoliczności, w natchnieniu jak wicher burzliwym, ulatującym jak meteor, nie są, nie mogły być w duchu utworów rozważnie obmyślanych, wylewanych swobodnie, obrabianych starannie. Ich świat nie mógł być owym światem, który spokojne rozmyślanie otwiera poecie, gdzie mu wolno przechadzać się, rozpatrywać się z całem lubem artystowskim *farniente*, który dowolnie urządza, upiększa, objawia albo zamyka i zarządza.

Nie taki świat niniejszych poezji, nie takie położenie ich twórcy. Mnogie lata burz moralnych i fizycznych nie dozwalały Goszczyńskiemu obeznać się ze światem po artystowsku, urządzić go artystowskim smakiem. Był on dla niego obwarowany wszystkimi zawodami życia; u jego wnijscia stała, jak u rajskiej furty Cherubin, dziwna dola poety i wciąż go odganiała w świat inny. Ukradkiem wchodził do własnego świata, wchodził przed gwałtem; porwał co mógł, objawił światu co mógł, nie jak chciał; bo objawienie czując się za granicami swojej sfery, ulatywało wichrem wprzód, nim je dokładnie zdołał obejrzeć; to tylko było jego, co w przelocie mógł ująć — zaledwie szczątek całej myśli. Musiał zatem na formie utworu wycisnąć się duch jego; i te poezje są to właściwie improwizacje z całą ich niepoprawnością, ze wszystkimi wadami, ułomnościami ducha i formy improwizowanej.

Ta szczerza spowiedź poety nie rozbroiła wszakże przeciwników, nie mogących mu przebaczyć strachu, jakiego im napędził. «Ta siła, ta energia, co przejmuję strachem, wołał Mickiewicz z katedry, stawia Goszczyńskiego między Dzierżawinem a Puszkinem, Rosjanami.» To nie poeta, ale

ptak złej wróżby, krzyknęli fałszerze wiary, za którego odgłosem oblicza się koło weselne: kogo tu zabraknie na przyszłym świecie? — A któż widział tak krzyczeń! To nie pięknie, to nie lirycznie! wołali ci, których poeta przezwalał pijawkami ludzkości. — «Goszczyński widocznie nie jest lirycznym, i trudno nam zrozumieć, co spowodowało przeciwny sąd Mochnackiego. Poetą-lirycznym jest ten, który umie wyrazić myśl, czy namiętność swego czasu, napiętnowane własną osobistością w formie najpiękniejszej i w ich pojęciu najbardziej zidealizowanem. A któż z ludzi podnioslejszego umysłu, walczących o usamowolnienie ducha i przypuszczenie nowych ras do politycznych społeczeństw Europy, chciałby uznać za wyrazy swych uczuć poezje Goszczyńskiego?»

Myślałby kto, że tak wykrzykującym recenzentom szło do prawdy o pogwałcenie praw piękności albo liryizmu; że oni istotnie tylko dla miłości i poszanowania praw tych woleliby włoskie barkarole, albo trubadurskie kancony do pań tajemnych myśli. Ależ czy nie zdradzali się sami równocześnie wyznaniem: że ten, co umie wyrazić namiętność czy myśl swego czasu, lub też jeden z tych krzyków serca, wydzierających się ze swej epoki, jest poetą lirycznym? Ale, odpowiadali, trzeba je wyrazić pięknie!... Najprzód zapominali ci recenzenci, że piękność poetyczna bez prawdy jest tylko urojeniem; a potem, czyż nie można ich zapytać nawzajem: jak wygląda namiętność naszoczesna i jaki to krzyk dzisiaj z niej się wydiera? Czy zepsucie i zbrodnia, obciążone krwią i łzami wieków, nie są godnymi oburzenia poety? Czy społeczność, do której poeta należy, tak jest wzorowa, że nic a nic w składzie jej nie ma, z czem się dusza czująca nigdy zgodzić nie może? Albo zabołć pod chłostą jękiem cierpienia, przekleństwem ludzi, groźbą, to nie pięknie, nie szlachetnie i nie lirycznie? Malowanie brzydkiej rzeczywistości obróciło się w zarzut przeciw Goszczyńskiemu, jak gdyby Dantemu można było wyrzucać jego okropne obrazy, Mickiewiczowi opilstwo i nieszczemność Nowosilcowa; jak gdyby Noc ś. Bartłomieja, Nieszpory sycylijskie, pożary, pożogi i wszystkie klęski wojenne; wszystkie okropności powietrza, ognia i wody, głodu i moru; wszystkie grzechy i zbrodnie, podłości i chytrłości nie miały swoich

artystów, rzeźbiarzy, malarzy i poetów; jak gdyby temu, w kogo wszystkie gorycze, wszystkie dolegliwości, troski, bóle i cierpienia ziemskie biją bez wytchnienia, poezja brzęczeć może jak złota lira?... Ale przeczuwał widać poeta, o co i z kim przyjdzie mu się rozprawiać, skoro tak kończy pierwszą swą strunę:

O, moi bracia! wam się nie podoba,
Żem wybudował poezji bożyszczu,
Świątynię, w której kapłanem żałoba,
Że płomień śmierci na ofiarnym zgłiszczu —
Że samą uczuć krwących się szkaradę
Jako ofiarę na jej ołtarz kładę!
Wam to nie miło, że po jej sklepieniach
Ustawna burza mroczy się lub błyska,
Że dzikie tylko wiatry brzmiały w jej pniach,
Że w niej okropność i nieład zwaliska —
Że się w niej roją same grobów larwy,
Że w jej obrazach same czarne barwy.

Rozpalcież słońce — a w tej samej stronie,
Co barw, co kształtów, co dźwięków, co tonów
We mgnieniu oka ozwie się, zapłonie!...
O! póki ciemne słońce milionów,
Póty, o bracia, niech mię nikt nie wini,
Że tak ponuro w mych uczuć świątyni!

Jakoż Druga struna brzmi już nutą inną — wesela i tryumfu, bo przedstawia poezje z czasów powstania listopadowego; aż póki cięższa niżli kiedykolwiek żałoba nie przytłumi ich znowu. Cały ten oddział odznacza się głębokim pomysłem i uczuciem, a jeśli nie wszędzie zupełnem wykończeniem; za to tok lirycznego pędu, jak w Orle białym, pewna okrągłość i wdzięk, jak w Skowronku, żywość barw i opisu, jak w Marszu za Bug, prostota gminna, jak w Duchu kosyniera, urok wysłowień, jak w Wiśle i Ś. Jakób, pozostaną na zawsze wzorami, które naśladować warto, chociaż sprostać im trudno. Trzecia struna nie raziłaby pewnie harmonji dwóch pierwszych, to co znamy jako próbki, a co w skład jej wejść miało, jak n. p. Wojsko królowej Jadwigi, Śmierć apostoła, Muzyka wieczorna w Krakowie, Do wrogów, Po-

tok życia, Stoły pańskie, Powitanie — wszystko to pod wszelkimi względami stoi na równi strun poprzednich. Byłże to czas, w którym poeta swe duchowe zdolności zastosował do czynnego życia, kiedy rzeczywisty świat narodowy odkrył mu się w urokach czarowniejszych nad wszystkie ideały, i kiedyż przeto z piersi jego rwał się głos nad głosy:

Do mnie tu, bracie górалу!
Do mnie tu, bracie kowalu —
Do mnie tu, barki żelazne,
Czerstwe myśli, dusze różne,
Sercu wiary, boju pięście,
Oblicza surowe cnotą,
Biednem odzieniem hołoto.
Przeszła wielkość, przyszłe szczęście —
Do mnie tu, ludu serdeczny!
Ja brat tobie, ja twój wieczny!...
Stańmy, o tak! bok przy boku,
Idźmy, o tak! krok do kroku —
Tylko razem, tylko zgodnie,
A gdzie zechcemy, zajdziemy niezawodnie.
Lata już temu, kilkuset nas było,
Co z taką wiarą, z taką bębna wrzawą,
I z takim krokiem poszliśmy tak żwawo,
I tych kilkuset cały czas zmieniło!...

I miło wspomnieć, że w całym ciągu tego okresu wszystkie swoje prace odznaczał Goszczyński wiarą najczystsza, nadzieją najpełniejszą, miłością najserdeczniejszą, silną wolą, przenikliwym rozumem, pamięcią, wreszcie świadomością przeszłości w przyszłość się kierującą. Gorący i niezmordowany współpracownik pism postępowych na pielgrzymstwie, równocześnie układający swoje Widzenie sprawy narodowej, pisał Straszne strzelca i Króla zamczyska, powieści prozą najpoetyczniejszej treści. Ale czy pracami temi tak wyciągnął strunę swoich zdolności, że aż zerwać się musiała — czy stanął na swym zenicie, z którego nie było dlań miejsca do postawienia kroku na przestrzeni — dość, że Trzecia struna z druku nie wyszła, i świat polski nie słyszał odtąd o poecie swoim jako poecie. Miałaby taki poeta być niepowrotnie dla ojczyzny stra-

conym? — Autorze Kaniowskiego Zamku! Autorze Straszego Strzelca! Króla Zameczyska! Poeto poezji najukochańszych od narodu twojego! Pozwól spodziewać się, że dań mu powiną z twego talentu złożysz kiedy jeszcze — co daj Boże najprędzej!

KURS DZIESIĄTY.

1860 r.

Jeżeli ze spraw ludzkich może co być drażliwszego do ocenienia, to najpewniej sprawy pisarskie; raz dla tego, że sam pisarz ma sposobność odwetu, a powtórę publiczność uważa się też w prawie uszykowania się ze zdaniem swoim po jednej albo drugiej stronie. Wszakże żeby na tem był koniec, jeszcze stanowisko oceniającego byłoby na wpół trudne. Ale na nieszczęście są ludzie, którym się zdaje, że wypowiedzenie zdania, jakiegokolwiek by ono było, jest tylko objawieniem się osobistego uczucia przyjaznego lub zawiśnięgo. Do takich karbów zaciśnięte pojęcie sądu traci prawo wszelkiego uwzględnienia. Bo i jakże zezwolić, a nawet przypuścić można, ażeby, jeżeli któremu ze strategików, recenzentów i krytyków wojennych zdało się pożytecznem rozpatrzyć i oceniać działania wojenne którego z naszych wojowników: Bolesławów, Łokietka, Jagiełły, Sobieskiego, Czarneckiego, Puławskiego, Kościuszki, Dąbrowskiego, Skrzyneckiego, i t. d. — tedy to ocenienie, stosownie do streszczonego w niem zdania, ma być dowodem, że recenzent onego Bolesława, tego Jagiełłę, Sobieskiego, Czarneckiego, Kościuszkę, i t. d., uwielbia albo nienawidzi. Nie! Z tak skrzywionego pojmowania krytyki wyjść koniecznie raz potrzeba. Krytyka, przypomnieć tu musimy raz jeszcze, nie jest wyłącznie ani wyrazem powszechności, ani pisarza. Jej stanowisko całkiem bezstronne, niepodległe, wyższe niejako;

tem stanowiskiem jest duchowy pierwiastek narodowy, główny pomysł rozwijający życie narodowe, stosownie do rozmaitych położen, czasu i okoliczności. Z tego stanowiska duch krytyki nie tylko ma prawo, ale i obowiązek obejmować całą drogę narodu, od jej poczęcia się w przeszłości, aż do ostatnich kończyn przyszłości. Jej oko powinno się rozpatrywać we wszystkich szczegółach społecznego wieku i okoliczności działających na naród; jej głos powinien prostać pojęcia tak powszechności, jako i pisarzy; powszechności odkrywać istotę pisarza, jego widoki i urządzenia; pisarzom przedstawiać potrzeby narodowe; utrzymywać obie strony we wzajemnej ich znajomości, zbliżać ku sobie, kojarzyć głównym narodowym węzłem; tak jednym jak drugim wskazywać właściwszą drogę do wspólnego celu; krótko mówiąc, duch krytyki powinien być tem dla literatury, czem jest sumienie sędziego w sądzie przysięgłych. A jako zaś sędzia przysięgły nie odpowiada za swoje zdanie sumienne, chociażby to komu mylnem się zdało, tak podobnież i krytyk. Ale dla czego, zapyta kto może, krytyk nad sprawami jednych zastanawia się i rozwodzi obszerniej, niżeli nad sprawami drugich. Odpowiedź prosta: bo snąc pierwsze w przekonaniu swoim osądził za ważniejsze, czyli za bardziej pożyteczne lub szkodliwe, niż drugie. Jakoż nasze duchy emigracyjne na przykład, Towiańszczykami zwane, nie piszą, czyli pismem nie propagują doktryn swoich. Ale gdyby nawet pisali, żeby je nawet już nie pismem, lecz żywymi ustami pomiędzy ludem polskim słowo swoje siać chcieli, czyżby ztąd być mogła jaka dla sprawy ludu szkoda? Wszakże nie! Bo lud polski wierzy w duchy niewidzialne, ale duchom po tej ziemi chodzącym i jak on żyjącym, obalamucić się nie da, czyli za duchy ich nie weźmie; duchów takich nie rozumie i w duchy takie nie wierzy. Całkiem przeciwnie rzecz się ma z doktrynami, do których lud polski był od wieków wdrożony, i które przeto stać się mogły nałogiem czyli drugą jego naturą. Z doktrynami, które rozmaitemi rodzajami, kanałami, środkami i sposobami od wieków ustalonymi i rozpowszechnionymi, do wszystkich jego warstw spływać, wszystkie opanować i skrzywić mogą. Takie doktryny zasługują, ażeby je bezprzerwanie, wszechstronnie i surowo śledzić, rozważać i oceniać. W tem leży cała tajemnica ró-

żnicy oceniana, a która jednakże dla oczów i umysłów, chcących i mogących widzieć i rozumować, przestaje być nią od chwili takiego jej położenia. Stara nauka, jako stary czas, ma zawsze pewien urok, już przez to samo, że należy do życia narodowego, do życia, które przeminęło i stało się przeszłością.

Stary czas, jakkolwiek był, jest zawsze dla narodu tem samym, co dla człowieka młodość niepowrotnie ubiegła, choćby nawet nie bardzo oględna i spędzona szczęśliwie. Cóż dopiero, gdy marzymy o tej młodości na widoku rodzicielskich grobów, w pustkach ojczystej zagrody, pod burzą obecną, pod wątpliwą pogodą — a o przeszłości narodu na jego gruzach i mogiłach? Łatwo wtedy zapominamy o kołcach przebieżonej drogi, o chmurach, co zasępiały niebo, o boleściach, co zatrwały uciechy życia, a w oddaleniu czujemy tylko woń różaną, patrzymy na niebo obrzucone obłokami jak na malowidło; wygrzebujemy w duszy same zabytki rokosznych upojeń i nieraz gotowi jesteśmy za jedną chwilę przeszłości oddać wszystko co jest i być może. Nie mała to zapewne roskosz stan podobny; ale jak ten, co ją wzbudza, tak ten, co ją używa, winni trzymać się pewnych granic. Niepożyteczna w kółku domowym, może być bardzo szkodliwą w sferze narodowej — kiedy grobową ponętą odciąga od życia obecnego, poświęca rzeczywistość marzeniom, podnosi na łonie narodu bezpłodną a jednak mordującą walkę tego, co musi być, z tem co wrócić żadną miarą już nie może.

Nie podpada to wątpliwości, że społeczność polska jest dzisiaj w stanie przeobrażenia się, to jest: zmierza do stanu innego, jaki był przed laty kilkadziesiąt, kilkanaście, a może nawet do innego już, jaki jest obecnie. Społeczności przeobrażającej się nie trzeba wystawiać jak człowieka, który może się przebrać kiedy zechce, co zrzuci jedną odzież, a wężmie drugą. Przeobrażenie społeczności polega całkiem na przeobrażeniu moralnem, umysłowem, wewnętrznem; idzie w niem o zmianę zwyczajów, nawyków, nałogów, wyobrażeń obyczaju, charakteru, całego sposobu życia narodowego. Co dawniejsze, jeśli było złe musi ustąpić nowemu, jeżeli to jest dobre. Ustąpienie to nie może się odbyć bez dolegliwych, bolesnych dla przeszłości uczuć: ztąd jej opór, ztąd

walka moralna w łonie narodu, między dwoma chwilami czasu. Zwykle dół ją rozpoczyna — raz dla tego, że niedogodności trwającego stanu jemu najwięcej dały się uczuć; powtóre, że dół będąc podstawą narodu pod każdym względem, więc w nim także wszelka wzniosła myśl przyszłości przechowuje się od wieków, wyrabia się, oczekuje cierpliwie chwili dojrzewania; w jego też kornej postaci najprzód się ona przedstawia, ile razy rozpoczyna wyprawę na podbicie świata. Na ten raz dosyć na świadectwie dziejów nauk Chrystusowej. Walka owa w początkach zawsze jest ciężka, niepewna i często niekorzystna dla wywołujących takową; bo przeciwną stronę składają zazwyczaj ludzie zajmujący wyższe stanowiska, czy to pod względem materialnym, czy przez umysłową ich wyższość. Wyłumaczyć to łatwo. Pierwsza przyczyna ważna, że podobnym ludziom dobrze jest ze stanem obecnym, bo wyłączne ciągną z niego korzyści, a przemiana znosi te korzyści, lub je zmniejsza; drugi zaś step broni głównie stanowiska duchowego i składa się z ludzi ukształconych, utalentowanych, takich na przykład, jakimi są pisarze; prowadzi ich do tego nie sam tylko bezzasadny opór; ukształciły ich, podniosły do potęgi, stworzyły niejako wyobrażenia, których bytowi nowość zagraża. Wyobrażenia te stały się potrzebą ich życia, jedynym, właściwym pokarmem ich duszy, jedyną sferą, w której życie ich rozwijać się może; przynajmniej wyobrażają sobie, że inny porządek rzeczy musi im śmierć przynieść. Do tych względów osobistych dodajmy jeszcze wyższe, szlachetniejsze, jako to: obawę o byt narodu, o jego zdrowie, nawet życie, które nie mogą być bez niebezpieczeństwa w podobnych przemianach. Nie pominiemy i tego, że przyszłość grzeszy często wybuchami zapału zbyt gwałtownego, nierozważnego. Przeszłość wtedy, chociażby na prawie doświadczenia oparta, uważając się za przyrodzoną strażnicę życia i szczęścia narodowego, osłabia ten zapęd wstecznym kierunkiem. Opór ten wzmagą się w miarę im gwałtowniej przyszłość ją targa, aż do chwili, póki nie upadnie w zupełnem omdleniu. Cośmy powiedzieli w ogólności, to wszystko można zastosować do widocznego oporu przeciw przeobrażeniu się narodowemu niektórych pisarzy, zajmujących złączyń stanowisko świetne w umysłowej polskiej sferze. Myłłby się jednak, ktoby temu

postępowaniu podsuwał za główne powody, poziome widoki, ktoby je tłumaczył czem innem jak troskliwością o byt narodowy, zamienioną w końcu przez zbytnią lęklliwość w prosty instynkt konserwacyjny. Chęci ich są niezawodnie w zasadzie pocziwe; oni chcieliby istotnie przyszłość tak jasno widzieć jak przeszłość, ale to być dla nich nie może. Według ścisłej wynikłości zasady, do której stosują swoje postępowanie, nie może być nic lepszego nad to, co jest; powinno więc być nadal to, co było wprzód. Dla nich przeszłość jedynie daje świadectwo mądrości; nie dowierzają Opatrzności, skoro idzie o przyszłość. Ztąd mimo całej religijności, jaką im przyznać należy, ludzie przyszłości są religijniejsi i dla tego zwyciężą.

Jest to zdarzenie w dziejach naszych ostatnich godne uważania, że wszyscy niemal wyżsi nasi poeci nie tylko podzielili narodowe tułactwo, lecz pierwsi wzięli udział we walce, mającej głównie na celu otrząśnięcie się narodu z dawnych uprzedzeń i nawyków, przesądów i nałogów, zwłaszcza w zadaniach dotyczących położenia i sprawy ludu polskiego.

Nie potrzeba było im ani po obcych rewolucyjnych przewracach dziejach, ani podróży do Niemiec lub Francji, ażeby uczuć stan przerażający, w jakim jest masa polskiego ludu, ażeby się zresztą domysleć, że deptanie i uciskanie tych prawdziwych narodowych sił i głębi było najważniejszą przyczyną wewnętrznej niemocy.

Jakaż tedy prawda żywotniejsza i płodniejsza w przyszłość mogła być postawioną za zasadę wszelkich dawnych usiłowań, jeżeli nie wywołanie i wydobywanie tej siły i potęgi, co nie samem materialnem uzbrojeniem, ale podniesieniem i upowszechnieniem prawdziwej godności obywatelskiej mogła się dokonać. Ażeby lud polski mógł skutecznie walczyć za ojczyznę i swobody, potrzeba mu było dać jedno i drugie, nie w płonnych i po tylekroć razy zawodzonych obietnicach, lecz w rzeczywistości i za pierwszym strzałem; nie półśrodkami na długie wieki obrachowywane wyzwoleń, lecz najoczywistszem uposażeniem; a takiego walczącego za swą niepodległość obywatela i właściciela należało przypuścić do równości i uczestnictwa wszelkich praw obywatelskich i politycznych.

Nie dość było na tem, ażeby podobne wielkie i jedyne dzieło nigdy poronionem, lub zwiniętem nie zostało; potrzeba było położyć je za kamień węgielny wszelkich usiłowań, za tło, za cel i środek wszelkich pragnień i nadziei; na niem tylko marzyć o przyszłym szczęściu i zmartwychwstaniu, z niego śnić i wyprowadzać całą polityczną budowę.

To pojmowanie rzeczy w kształcie przypuszczeń i domysłów oddawna błakało się po Polsce; ale tą razą należało stale przywiązać każdego rękojmnią osobistego zeznania, jakby przysięgą, której bez wiarołomstwa zrywać i zapominać nie można.

Otóż w pracy tej ważnej, ważny udział wzięli poeci, i to równie dawni jak nowi, służąc każdy narodowej sprawie według możności i pojęcia.

Pomiędzy poetami starszymi miało w swem gronie pielgrzymstwo liczne poetyczne znakomitości, z którymi równocześnie przychodzili łączyć swe prace i próbować sił swoich poetycznych pisarze nowego pokolenia.

Komuż ze świadomszych pierwszych chwil tego rodzaju polskiej literatury nie przyjdzie od razu na myśl Kazimierz Brodziński, ów niezmordowany pracownik na niwie narodowej, ilekroć podnosiła się chęć usiłowań zreformowania złego, lub upomnienia się o narodowe prawa. Zbolały w duszy i schorzały na ciele, opuścił wraz z innymi zagrabioną na nowo ojczyznę; opuścił ją z tym większym żalem, że szukając jej przez lat tyle po za jej granicami, jako żołnierz w szeregach Napoleona, wiedział z doświadczenia, jak niewdzięcznie odplaconem zostało poświęcenie Polski. Dowłókszy się o starganych siłach ledwo do Dreżna, zkąd już dalej udać się nie mogąc, kości tam złożył. Jeszcze ztamtąd z nad grobu już otwartego, tak żegnał Nowy rok przyszłości, ostatni już dla niego:

I po co snem litośnym zakrytemu oku
Znienawidzone światło wracasz nowy roku?
Czy cięższe niesiesz pęta przywykłym więzieniu,
Czy zamróż rozwitemu młodych pokoleniu?
O! pójdźmy w tajne kąty nieszczęsni wyrzekać!
Czegośmy doczekali, na co musim czekać!...

Kiedy zbójcko nasze rozszarpało plemię,
Gdyśmy za duchem matki obiegali ziemię
I naszego przechodu krwią znaczyli drogi,
Dla przestachu zaborców i ludów przestrogi —
Wtedy zasiadł zbór królów wśród Habsburga grodu,
Zkąd morze barbarzyńców na wieki od wschodu
Piersi Lachów odparły — tam w nagrodę trudów
Targ był o ludy same — nie o prawa ludów.
My wtedy, lud pogrobnny, bez głosu sposobu,
Kości tylko z pół sławy zwozili do grobu,
Bo jeszcze nie dostrzegli oczyma zazdrości:
Jakim skarbem są ludom czczone ojców kości!
Wtedy czwartakroć matkę szarpało lachową,
Jej członki jakąś szatą odziano gotową,
By pod nią dokonała życie obiecań;
Nam dano jakieś prawa knutem obowiązane;
Nas sieroty czarownym trunkiem zapaoli,
Żeśmy wierząc, na litość ludów zasłużyli —
Cośmy nieśli, kołacząc do grobowej bramy,
Znać dając, że żyjemy, że matkę kochamy.
I rzymski nawet tyran judzkiemu ludowi
Dozwał się wejść na wzgórek, patrzeć ku wschodowi,
Aby raz w roku oczy ku wschodowi zwrócił,
Wolną lżą sercu ulżył i rzewnie zanucił —
A nas zaś zapaśników nieludzczy Rzymianie
Na milczące wskazywali walki i konanie.
Nam się rozstawać każą z cnych ojców kościami,
Wdzięczność głosić i strzedz się zabrzęknąć więzami.
Nie pozwólą cyprysu na grób matki rzucić,
By szelestem jej ducha z grobu nie ocucić.
Rzadkiego już dziś starca od syna odtrąca,
Gdy go uczy, jak zaznał ojczyznę żyjącą.
Samo nazwisko ojca podejrzanę w synie,
Winny, jeżeli czuje jaka krew w nim płynie!
I przeszłość by nam chcieli wydrzeć przekazaną,
Sławy dziesięciu wieków, księgę niezmaszaną,
I po przyszłość sięgając w serca naszych dzieci,
Kwiat jej piękny w pajęczę osaczono sieci.
Ojcowie sromne czoła kryją w drżącym ręku,
Struna cichnie — na odgłos własnego zadzwieku,
Słowo w pieśni się cofa, wszędzie cichość głucha —
Ścian samotnych się lękaj i własnego ucha.

Taki głos rwał się z piersi zbolalej i gasnącej kończącego już ziemskie powołanie a najznakomitszego w swych czasach wieszczka polskiej poezji ludowej. Pierwszy on przyłożył do niej szczerą rękę i rzewnym głosem zachęcał innych. Toż nie można powiedzieć, ażeby głos jego przeszedł głosem

wołającego na puszczy. Myśl rzucona nie trafiła wprawdzie do mnóstwa, rozchodziła się powoli, ale gdzie raz weszła, tam już jak każda prawda zostawała na zawsze. Toż kiedy ów mistrz wielki życie kończył doczesne, zaraz jeden z młodych wieszczów, a wielbiciel ludowej lutni jego, takimi z niej tony witał Nowy rok polski, rocznicę listopadowego powstania:

Nowy rok polski, powstania rocznica,
Przyszłości matka, wita na wygnaniu
Swe dzieci — zawsze pochmurne ich lica,
Jak lica niebios w burzliwym zaraniu;
Zawsze choć męzkim śmiechem otulona,
Patrzy lza z oczu, jęk wybiega z łona;
A jako czarne ptastwo wróbia słoty,
Ciągną za krajem wciąż nasze tęsknoty.

Zawsze i zawsze! choć tutaj w obczyźnie
Niebo tak piękne i serca tak bliźnie —
Choć tutaj człowiek w praw swoich obronie
Kartę wyzwania przybija na tronie,
I w kres postępu siłą pary zmierza;
Sny wielkich mędrców do życia rozszerza,
Kształcąc świat lepszy — bogdaj, lepszych ludzi!...
Choć tu raj taki, czemuż nie przyłodzi
Ciebie, wygnańcze, czemu nie ostudzi
Serca polskiego? Czy twoja noc grudnia
Śród śniegów polskich pod słomianym dachem
Milsza, widniejsza, niż tu raj południa,
I dzień owiany pomarańcz zapachem?...
Czegoż ci trzeba, by się zbýć wspomnienia,
By zobojętnieć dla strat i cierpienia?
By kiedy carski knut dosięże głowy,
Wydać ziewając wykrzyknik jałowy?
I w walkach stronnictw nie biorąc udziału,
Do swych przeznaczeń toczyć się pomału?
I czegoż trzeba — tylko przestać wierzyć,
Wpaść w przesyt, nie czuć nic i siebie przeżyć.
Strasne to słowa, a jednak niestety!
Kto z nas nie doznał zdrady i zawodu
Tam, gdzie dla swoich był wszystkim za młodu?...
Kto się nie zbłąkał w pół drogi do mety?
Kto z tyłu złudzeń, kto z nadziei tyłu,
Nie padł jak prorok w pasczę krokodyla?

Rozczarowani, ale nie przesytom,
Skłócení z losem, lecz nie z własnym bytem —

Bez świata uczuć, a jednakże czuli!
Skarby my swoje w żelazną pierś skuli
Na długą drogę, jak pielgrzym ubogi,
Gdy go rozbójnik obedrze śród drogi —
Przecież na tyle ma jeszcze zasobu,
Że dojdzie cały do świętego grobu.

Odarci, zbici, na rozstajnej drodze
Kiedyż pielgrzymi spoczną błędnej nodze?
Wrócić? Tam gruzy! Z Polski Jagiellonów
Zostały stopnie do trzech obcych tronów.
Ów gmin szlachecki, co wschód szablą trzymał,
Co arcyksiążąt, carów w więzy imał —
Jak stara zbroja, gdy piersi nie kryje,
W kącie spoczywa, aż ją rdza spożyje —
Tak on spoczywał, gdy plemię Islama,
Karniejsza Moskwa odpierała sama;
Tak on nie słuchał choć burza zachodnia
Wołała: czleka ciemieżyć to zbrodnia!
Tak on zawierał, choć lud krzyczał: zdrada!
Królom i panom w nocy listopada;
I w samolubstwo ugrąższy odwieczne,
Cierpiał porządku prawom czleka sprzeczne.
Aż i zakończył karty swe dziejowej!...
Ale jak Feniks przejdzie w życie nowe,
W lud się przerodzi!...

Więc jest duch czy siła,
Gwiazda czy prorok, co wiąże w budowę?...
Bo choć sklepieniem przeszłość się zwała,
Bo choć on wstąpił w życie pogrobowe —
Będzie ci gwiazda jakaś w dali tiła,
Będzie rozmawiać z tobą wróżka tajna
W łodach Nerczyńska i kaźniach Kufstajna;
Na placu śmierci w Konarskiego twarzy,
Wielka jak Polska! Taka myśl się żarzy!
Na świat promieniami ostrzela mu z czoła,
A lud padając: święty! święty! — woła.

Naprzód więc, naprzód! Poświęceń bez końca!
Przekonań serca, płomienistej wiary,
I prawd żyjących, jaśniejszych od słońca —
Oto są nasze sztandary!
Z niemi pójdziemny dziś, jutro, czy kiedy,
Czyści probierzemy ogniem klęsk i biedy,
Mądrzy w myśleniu spędzonemi laty,
Mężni jak święci wyznawcy na stosach,
Których widokiem kajały się katy...
Za gwiazdą Polski, co tam lśni w niebiosach,
Przyjdziem z miłością, niosąc skarb bogaty
W dań narodzonej dziecinie — ludowi —
Pokornie przed nią uderzymy czołem,

Dłoń z dłonią spleciem i stanimy kołem
A Bóg przymierze z swym ludem odnowi.
Bo lud umęczon, jest to lud wybrany —
Na apostołstwo w świat będzie wysłany.

Patrzcie! Czy potop rozlał się po błoniach?
Czy dzwon wiecowy brzmi z sławiańskich czasów?
Że z Karpat góral, Litwin z ciemnych lasów,
Że Ukrainiec na stepowym koniu,
Mazur z swych piasków wyskoczył... Ha! zbrojni!
I jak potęga spokojni!
Twarze jeden duch okrasza:
Polska nasza! Wolność nasza!
Bratnia miłość! Święta zgoda!
Od narodu do narodu!...
To lud — czerniawa, od Odry do Dźwiny,
Niby wąz-olbrzym, w kręgi swoje bierze
Cytadele, twierdze, wieże!
Przeszedł... i tylko ruiny!...
Padli ciemniecy!... Nieba błogosławia
Zawsze ludowi, gdy kajdany łamie;
Lecz samolubom, co sobie tron stawia
Na karkach bratnich, Bóg usuwa ramię!...

Do liczby poetów najdawniejszych, bo sięgających jeszcze czasów Księstwa Warszawskiego, a dzielących losy pielgrzymstwa naszego, należy Antoni Gorecki. Żołnierz w czasie wojny 1812 r., uczcił już wtedy pięknym wierszem pamięć walecznego generała Grabowskiego, poległego pod Smoleńskiem. Później, w początkach Kongresowej Polski, zwrócił uwagę powszechności swemi patryjotycznymi utworami, jak: Śmierć zdrajcy ojczyzny, Zdobycie wozu pod Somosierą, oraz bajkami również patryjotycznej a dowcipnej treści. Nigdy wszakże Gorecki nie rozwinął tak niezmordowanej i niesprawowanej płodności swego umysłu, jak na pielgrzymstwie, i dziś jeszcze, acz złożony dotkliwą chorobą i obarczony wiekiem. Największą część tych jego poezji stanowią powiastki i bajki, zawsze odznaczone właściwą mu rzewnością i najszlachetniejszym uczuciem, a oznaką wartości których jest ten dowód najwymowniejszy, iż są w ręku wszystkich pielgrzymów.

Drugim pomnikiem na pielgrzymstwie z dawnej epoki rymotwórstwa polskiego jest Franciszek Grzymała, który

acz za czasów Polski Kongresowej i tu za granicą wyłącznie jako pisarz historyczny i polityczny prozą pracował, powodowany wszakże gorącym patryjotyzmem, uczuwał czasem potrzebę zawezwać w pomoc poezję do pełnienia swej narodowej powinności, i od czasu do czasu układał dумы i pieśni, niektóre drukowane, a niektóre w odpisach ręknych krążące, z pomiędzy których: Głos wygnańca polskiego do narodu, Pierwiosnek czyli Wielkanoc na wygnaniu, List o sztuce malarskiej do Tadeusza Goreckiego, zięcia Adama Mickiewicza, i nakoniec Wigilja Bożego Narodzenia, noszą na sobie przy głębokiem uczuciu miłości sprawy narodowej, cechę rzewnej prostoty i staropolskiego stylu:

Tułac się łamie z niedolą,
Goniący życia ostatkiem,
Naród z przemocą, z niewolą —
Łammy się bracia opłatkiem.

Na rodzinnej, bracia, ziemi,
Wśród krewnych, przyjaciół, dzieciak,
Spojeni węzły świętymi,
Łamiamy dziś wspólnie opłatek,
Myślą o nas, czują z nami
Łzę, nadzieję — wspomnieniami!

Nim zasiedli, ojciec, matka
W doczekanej błogiej chwili,
W skromnym kawałku opłatka
Serce swoje obdzielili
Między dziatwę, między krewnych,
Wpółśród wspomnień, życzeń rzewnych.

I z czeladką się lamano,
W imię wiary porównano.
Stary sługa Jegomości
Łzę odplacił błysk równości.
Czemuż krótki i nietrwały
Błysk ten nie trwa przez rok cały!

Dziś i chłopek zapomniany,
W imię Boga porównany —
Dziwna losów jego zmiana!
Dłoń swą uczul w dłoni pana!

Czemuż stale i serdecznie
Dłoń w twej dłoni nie trwa wiecznie?...

Gwiazda błysła, stół nakryto,
Stół obciągnął obrus cienki;
Pod obrusem rozestano
W drobnych szczyptach miękkie siano,
Dźbia pszenicy, jęczmień, żyto.
Przyszła wróżba dla panienki,
Przyszłość chciwiej wiedzieć skrycie.
Siano — pamiętka stajenki,
Gdzie Bóg-człowiek ujrzał życie.

Krzyż położywszy na czołe,
Już zasiedli w bratnim kole.
Czegoś smutni i posępni,
Krotochwili niedostępni:
Łza rzewna drży w ich źrenicy,
Trzy miejsca próżne przy stole —
Gdzież są owi biesiadnicy?

A matka smutnie odpowie:
«Jeden z nich poległ w Grochowie,
Drugi w odludnej Kamczatce,
Trzeci w dalekiej krainie
Przewleka życie tulącze!»
Droga pamięć smutnej matce
I dla tego matka płacze —
Czeka na syny podróżne
I dla tego miejsca próżne...

«Wy ich tutaj nie widzicie,
Lecz w nich moja krew i życie.
Ja nad ich płaczem obrazem,
Ja ich widzę trzech tu razem:
Jeden z nich z krwawionem czołem,
Drugi w pośród kajdan brzku —
Ten z okiem smętno-wesołem
Kwiat nadziei trzyma w ręku,
Spieszny od strony zachodu,
Wolność zwiastując narodu,
Której chwila niedaleka —
Zwiastuje prawa człowieka!
Wy ich tutaj nie widzicie,
Lecz w nich moja krew i życie.
Widzę — bo męczyne oko
Widzi daleko, szeroko,
A czuje w sercu głęboko!...»

Matka płacząc nad synami,
Rozrzewniała bratnie grono;
Łzę zmieszaną z wspomnieniami
Pamięć wygnańców uczczono.
Pamięć braci czcimy wzajem
Starym polskim obyczajem:

«Bracia! żyć z serca, duszy.
Jak w palcach kruszym opłatek,
Roku nowego ostatek —
Niech tak wrogów złamie, skruszy;
Niech po pasmie klęsk, niedoli
Silnym wiarą, uczuciami —
Wśród tryumfu Bóg dozwoli
Ten opłatek łamać z wami!

Garczyński Stefan zostawił dwa tomiki swych poezji drukowanych 1833 r., a przypisanych Adamowi Mickiewiczowi na pamiątkę chwil w r. 1831 razem spędzonych, i wydanych potem przez tegoż. Pierwszy tomik obejmuje poemat w dwóch częściach: Wacława młodość, i scenę fantastyczną: Wizja. Drugi tomik: poezje drobniejsze, z których szczególnie: Wspomnienia z czasów wojny narodowej polskiej 1831 roku, przypisane przyjaciółom współtowarzyszom broni i współpielgrzymom, a wśród nich: Zapalenie młody, Na dzień detronizacji, Do wojska polskiego, gdy Moskałe Bug przeszli; Śpiew po pierwszej bitwie, Bitwa pod Grochowem, Hymn zwycięstwa pod Wawrem i Dębem, Modlitwa obozowa w obozie pod Rudzienką, Śpiew ochotników poznańskich, wychodzących na Litwę; Na dzień pospolitego ruszenia, Do ludów, W obozie pod Bolimowem, W nocy po pierwszym dniu szturmie, Wehodząc do Prus, W pierwszą rocznicę 29. listopada, oraz Sonety wojenne w liczbie 13, należą do najpiękniejszych i najpatryjotyczniejszych utworów.

Oto jest na próbę wyjątek z wiersza: Na dzień detronizacji:

Brzmiecie na wszystkie cztery świata strony:
Niechaj od jednej do drugiej krawędzi

Głos nasz przez morza i lądy popędzi:
Na głowie cara nie masz już korony!
Kradzione złoto ze skroni mu zdarto.
Polski bojownik berło mu wytrąca!
Ludy spółbratnie! od wieków tysiąca
Dzieje podobną nie zabłyśły kartą!

Jednemu Bogu z niczego przystało,
Świata olbrzymią wystawić budowę —
My po nim pierwsi sercem wzmogli ciało,
Duchem stworzyli zastępy bojowe —
A słowem jednym jak kiedyś prorocy,
Ze szponów orla i cara północy
Wybili berło wolności narodu!
Ludy! to czyni — pierwszych chwil zarodu.

Rok tylko życia, a dziecko olbrzyma,
Młodzieńczy naród w siły świata wzrośnie;
Rok tylko życia! — a po jednej wiosnie
Słońce mnogimi zabłyśnie oczyma!
My orłem białym wiewając na przodzie,
Gdy krwawy bęben zagrzni wojny hasło,
Przechodząc będziemy, naród po narodzie,
Bagnetem błyszcząc, gdzie światło zagasło!

Garczyński już nie żyje; zmarł zbyt wcześnie dla Polski, podobnie jak Mickiewicz, za którego szedł wzorem i któremu poezje swoje przypisywał. Ta uwaga nie jest rzeczą bez związku, jest owszem rękojmnią ściślejszej bezstronności i zarzutowi, że osobistym sądem chcemy podnosić lub poniżać zasługę. Kto umarł, tego już ani surowszym sądem dotknąć, ani pochwałą ująć nie podobna. Zasługa poezjom Garczyńskiego należna, z powodu ich ducha najwyżej patriotycznego, jest jeszcze i z tego względu właściwa, że w nikim wyraźniej nie zbiegły się różnorodne naszej poezji żywioły. Zdolności Garczyńskiego wielkie, lubo na ich skierowanie ogromnie wpłynęła obczyzna, tak, że uważane z rodzinnego stanowiska i narodowego artystostwa, nie mają powabów tej świeżości, któremi, acz każdy na swój sposób, odznaczyli poezje swoje: Mickiewicz, Goszczyński, Zaleski, Siemieński, Pol, i kilku jeszcze innych. Fantazja pełna czucia, wyobraźnia pełna bogactw ducha, jest ich główną cechą; mistycyzm i wszyst-

kie liczne rysy zagranicznych literatur, to słaba ich strona.

Do płodniejszych poetów z początkowych czasów pielgrzymstwa należy też przedwcześnie zmarły Stefan Witwicki, którego poezje biblijne ogłoszone w roku 1836 przedstawiły w nim poetę głęboko duchem im właściwym przesiąkniętego, i Konstanty Gaszyński, autor poematu: Powstańcy polscy, Pieśni pielgrzyma, oraz kilka jeszcze innych gładko i mile pisanych, a którzy obaj wreszcie przed powstaniem i za czasów jego złożyli próby swoich zdolności rymotwórczych. Pisali też poezje z upodobaniem czytane: Chodźko Michał, Mejnzer, Ulrych, Żaba, Dobiecki, Olizarowski, a w późniejszych czasach: Lenartowicz, Baliński, Norwid, Brzozowski, i inni jeszcze, wszyscy bez wyjątku z każdego wiersza okazując, że myśl nowa stała się ich myślą, a szczęście ludu, jako jedyny warunek niepodległości narodowej, ich powszechnem życzeniem. Żałuję, że krótkość czasu zniewala mnie ograniczyć się jednym tylko wyjątkiem z Dzieśięciu obrazów Michała Chodźki, poświęconych uczczeniu bohaterów i męczenników naszych z roku 1833, z epilogu «Do młodzieży polskiej»:

Wiele lat później wzrosłe, witaj pokolenie!
Na ziemi krwią karmionej, hodowany kwiecie,
Piękna gwiazdo nadziei na rodzinnym świecie!
O, ty! na którym Polski przeznaczenie
Spoczęło — ogniem niebieskiem zagrane —
Witaj nam nadobna w ojczyźnie rodzino,
Strojna kwiatem miłości, zielona krzewino —
Wy duszy naszej dzieci ukochane!

Ile razy samotna myśl moja popłynie
Ku tej ziemi nadziei, smutku i żalności —
Ty, z czarownym obrazem uroczej przyszłości,
Stajesz w samotnej tułactwa godzinie
I świecisz w duszy pochodnię przeczystą
Boskiego ognia, co już ledwie tleje
W sercach znękanych przez płochę nadzieje!
O, świeć nam! świeć nam, gwiazdo promienista!

Nam, choć przed czasem szron przysypał głowy,
Praca — tęsknota — wysuszyły ciało;

Ile nam godzin żywota zostało,
My do ojczystej użyjem budowy!

O, młodzi polsko! marząc ja o tobie,
Wśród życia drogi zbłąkanych pamiątek —
Ten ci usnułem myśli moich watek,
Oparty sercem na druhów mych grobie!

Niechże ich imię wiecznie wśród was słynie,
Niech duch ich święty skronie wam owionie,
A myśl ich święta w sercach niech utonie,
Nim chwila zemsty strasznej nie nadpłynie...

Ale nie dopełniłbym tego obrazu, żebym miał pominąć milczeniem poetów, którzy w lżejszej lub żartobliwszej formie rozpowszechniając nowe myśli, wielce się także do ustalenia ich przyczynili. Rozpoczął ten zastęp Wincenty Pol, znany już z rozmaitych poezji rewolucyjnych i Pieśni o Ziemi naszej, poezją drukowaną w Noworoczniku demokratycznym na r. 1843 pod tytułem: Historia szewca Kilińskiego, radcy miasta Warszawy, pułkownika najjaśniejszej Rzeczypospolitej polskiej, w której wybornie naśladuje oryginalny język Kilińskiego, z jego pamiątek znany; i drugą poezję: Wachmistrz Dorosz, ogłoszoną w pieśniach Janusza, gdzie przedstawia zbytkujący sztab Skrzyneckiego. Wszakże najwyżej może tę stronę pożytecznego żartu rozwinął przywieziony w innej potrzebie poeta Goławski, w swym obszernym poemacie pod zapisem: Banko, a z którego jako wcale nieznanego i niedrukowanego dotąd przytoczę tu wyjątek.

Poeta wyobraża sobie Polskę w bank postawioną, który różni ochotnicy rozbić by chcieli, i tak rzecz swą prowadzi:

Pocziwi nasi przodkowie
Dobre mieli serce:
Przegrali Matkę Polskę — daj im Boże zdrowie
Na częstkowej poniterce;
A największą część przegrali
W Faraona do Moskali.
W potomkach duch przodków ożył —
Chcieli grać w djabelka.
Pan Mikołaj bank założył,
A w banku perełka —

Polska w banku była droga,
A bank to nie lada;
A wspólnik gry w przeciwnym przedstawił się franku,
Co tak pięknie gada:
«Odegramy się, kochanku!
Polska, lub zagłada!»
I zagrzało wielkie banko
Nocy listopada!
Tego banko wielką chwałę
Grzniały ziemia i niebiosy;
A za nami nic nie stało,
Oprócz naszych serc i kosy.
Nie był bankier ów Konstanty!
Chciał z Chłopskim razem
Po partacku, grać na fanty,
Układami nie żelazem.
Czuł wyraźnie przegraną, prosił o akordy;
A dyktator akordować radził —
Uradzono, zrobiono i Konstanty hordy
Ściągnął z banku i całe za Bug uprowadził.
Chłopski wziął talję — i chociaż od dawna
Dobrze znał naturę kart,
Lecz dłoń do Faraona była tylko wprawna,
W djabelka on djabla wart.
W owym wielkim djabelku nocy listopada,
Gdzie jedno wygrywało: «Był albo zagłada»
Drżącą dłonią, sam nie wiedział,
Czy ma ciągnąć bank, czy nie?
Założywszy ręce, siedział
I marnował drogie dni.
Gdyby wtenczas z mieczem w dłoni
Z po za Bugu: banko! krzyknął —
O! byłby wielki sztandar Orla i Pogoni
Na starych wiał granicach, gdzie wiać się nawyknął.

On radził się kabalki, a tu wołał klub:
Nie tak trzeba zbawiać kraj,
Dyktatorze, nie tak rób!
Ty akordy radzisz z wrogiem —
Idźże sobie z Panem Bogiem!
A talję tu daj! —
Wzięli talję sejmowi
I dali Radziwiłłowi,
Jak bez niego, tak i z nim.
Aż Radziwiłł
Sam się zdziwił,
Zkąd ta grzeczność przyszła im?
Wtem dwakroć sto tysięcy poniterów stało,
A na czele graf Dybiec z zabajkąską chwałą.
Banko! krzyknął graf z Bałkanu!
— Dotrzynamy pewnie panu!

Banko! krocie dział zagrzmiał —
 Banko! rzekła zgraja;
 Aż w Warszawie okna drżały,
 I drżało w Petersburgu serce Mikołaja!
 Trzy dni trwała rzeź i mordy;
 Wtem szczególny traf,
 Pierwszy poszedł na akordy
 Zabalkański graf.
 Zebrał swoje bohaterzy
 I sam ruszył na kwatery.
 Polskie lance i bagnety
 Taką ich powitały uroczystą pliją,
 Że aż się pogarbiły zabalkańskie grzbiety,
 I bohater wykrzyknął: «O! tegoż tu biją!»

Pan Skrzynecki, Jan z imienia,
 Był to sobie Jan;
 Wziął taliję od niechcenia
 I miał taki plan:
 Chciał, nie chodząc po Bałkanie,
 Urwać sobie na miejscu bałkańskiego lauru.
 «Banko!» krzyknął niespodzianie.
 Zagrzmiał napad Wawru,
 I z zimowych, ciepłych kwater
 Umykał co prędzej bohater,
 Pod Dębem, do Domanic.
 «Naprzód, wiara!» pan Jan wołał,
 «Na bagnety! proch z panewki!»
 Naprzód: naprzód, chorągiewki!
 I strzepali na nic! —
 Prawda nie grzech, panie Janie,
 Udały się nam Iganie!
 I pewno się tam w niebie ucieszyła dusza
 Nieboszczyka bankiera, pana Tadeusza.
 Ale pan Jan zapomniał, że taliję trzymał,
 Urwał laurów bałkańskich i na nich zadrzymał.
 Pan Jan był wielki bankier, są na to dowody;
 Lecz wzorem Herkulesa, po trudach zwycięstwa
 Do stóp pani Janowej poszedł po nagrody.
 Bo piękność, jak świat światem, jest nagrodą mężstwa.
 I ukląkłszy przy jej stopie.
 Rzekł: «O, najdroższa kochanko!
 Już w Polsce i w Europie
 Głośne moje wielkie banko.
 Zabalkańskich laurów snopy
 Składam u twej drogiej stopy!
 Ty je listkiem myrtu zamień.
 Takich laurów ze trzy kopy
 Byłbym przyniósł do twej stopy;
 Lecz do ciebie, moja chwało!
 Źródło najdroższych omamien,

Do ciebie mnie serce gnało!
 A serce, ty wiesz, nie kamień.
 O! za żadną w świecie chwałę,
 Już z Warszawy do Moskali,
 Od ciebie, me niebo całe,
 Twój się luby nie oddali!»
 I dobra pani Janowa,
 W zachwyceniu cała,
 Nie wyrzekła ani słowa,
 Tylko nań patrzała
 Okiem tkliwej miłości — za całą nagrodę
 Głaszcząc go białą rączką po pod siwą brodę.
 Aż nie prędko, nie prędko rzekła: «O, mój luby!
 Dobre niebo spełniło wszystkie moje śluby.

Z krwawych bojów wracasz cały,
 Otoczony blaskiem chwały;
 Lecz ileż ta twoja chwała
 Gorzkich lez mnie kosztowała!
 Nie oddalaj się odemnie,
 Zaniechaj tych banków już.
 Mnie tak z tobą żyć przyjemnie!
 Tutaj, tutaj, na mem łonie
 Uwieńczone twoje skronie
 Po wojennych trudach złóż!
 Słuchaj! gdybyś mógł to skronie
 Złożyć na twej lubej łonie
 W dawnej Jagiellów koronie!
 Wtenczas ja — twoja Janowa,
 Byłabym polska królowa.
 Zostań tutaj, w Warszawie. Książę Czartoryski,
 Mówię, tronu bardzo blizki;
 Wtenczas księżna Adamowa
 Byłaby polska królowa.
 O! tej myśli nie znoś — jeśliś tobie miła,
 Zrób to, drogi mój Janie, bym królową była.
 Nie uwierzysz, jak twej żonie
 Do twarzy będzie w koronie!»

Tak pod myrtem w Warszawie, na miłości łonie,
 Drzymał stary Wallenrod przy siwej Aldonie,
 Wielbiąc sercem rycerskiem poważne jej wdzięki.
 A tymczasem dokoła zbliżały się burze,
 Aż zagrzmiało w czarnej chmurze:

Banko Ostrołęki!
 Po którym do Warszawy, do najdroższych stopek
 Przyniósł pan Jan wawrzynów mały tylko snopek.
 I pewno się tam w niebie zasmuciła dusza
 Nieboszczyka bankiera, pana Tadeusza!
 Już było wyświęcono: tu piątka — tam as!
 Pan Jan siedział spokojnie, a klub do kabalki,
 Sejm pocziwy wypłatał koszalki opatki:
 Miał po temu czas.

Jak zaczęli radzić, doradzać, odradzać,
W kontramarszach się przechadzać —

W taki wpadli las,
Że na wieki zapomnieli,
Że już całkiem nie wiedzieli,
Co wpródy wygrywało: piątka czyli as?
Pana Jana na sejmie
Pożegnano uprzejmie.
Chodź ty, panie Henryku!
Potrzebni nam wodze.
I nabrali bez liku
Pierwszych lepszych po drodze.
Kraj chciał piątkę, asa klub:
Poszedł as zdradziecki
I wykopał dla nas grób:
Był to Krukowiecki!

Żle było grać na polu — zaprosił do miasta.

W tym dniu zgrozy i niesławy

Wszedł Mikołaj do Warszawy

I powiedział «basta!»

A my, wierni samym sobie,

W krwawej rzezi, w krwawym mordzie,

Woleliśmy poledz w grobie,

Lub pójść na świat szeroki w dniach smutku i zgrozy,

Polską piersią zaludniać europejskie kozy —

Niż się spodlić na akordzie!

Lecz tułacz, niedobitki,

Dzisiaj bez kraju i bez stali;

Zgrani do ostatniej nitki,

Cóżemy przegrali?

W męskiej piersi serce bije,

W męskiej piersi Polska żyje;

Przyjdzie jedna talija — i wszystko odbije!

Każdy z nas, dzięki Bogu,

Wielki bankier — mało który

Patrzy na dół — bo z natury

Przywykł patrzeć już do góry.

I dziś spojrzj w okół: kogo w wężach wloką

Na Sybir lub do kozy, jak szeroki świat,

A on wznosi dumne oko

Z pogardą z za krat;

I oddech jego piersi i jego spojrzenia

Śmielsze i pogodniejsze niż tchnienie Europy,

Co cała siedzi w kozie własnego spodlenia,

Przytłoczona ciężarem tamerlańskiej stopy;

A on wielki, i z za krat

Idzie banko, choć o świat —

Na me słowo wierz ślepo: to pewno nasz brat.

W dziwnie zgodnej styczności z tymi równymi poetami pielgrzymstwa stanęli pisarze jego biblijni. Pierwszy na tem polu wystąpił Mickiewicz w dziele pod zapisem: Księgi narodu i Pielgrzymstwa polskiego. I musiała to być praca godna mozołu i talentu twórcy swojego, kiedy podała następnie myśl i wzór Lamenemu do ułożenia na podobny sposób, równie przedziwnych i na cały świat głośnych: Słów wieszczych i Ksiąg ludu. Zanadto znana jest powszechności polskiej ta praca Mickiewicza; wszakże dla zbliżenia i porównania innych prac emigracyjnych na tej drodze, muszę się posłużyć krótkim tego stylu i tej myśli jego przykładem, zostawiając obszerniejszy rozbiór na później:

«Jesteście w pielgrzymstwie waszem na ziemi cudzej, jako był lud boży na puszczy.

«Strzeżcie się w pielgrzymstwie waszem utyskiwania, narzekania i powątpiewania. Grzechy to są.

«Wiecie, iż gdy lud boży wracał do ziemi przodków, do ziemi świętej, tedy pielgrzymował w puszczy, a wiele z ludu bożego tęskniło i mówiło: — Wróćmy do Egiptu, będziemy tam w ziemi niewoli, ale będziemy mieli obfitość mięsa i cebuli. —

«I powiada pismo, iż Bóg obrażony przedłużył pielgrzymkę narodu, aż dopóki wszyscy ci, którzy tęsknili, nie wymarli na puszczy; bo żaden z nich nie miał ujrzeć ziemi świętej.

«Wiecie, iż byli drudzy między ludem bożym, którzy nie ufali prorokom swym i mówili: — A jakże zdobędziem ziemię przodków, kiedy mamy przeciw sobie króle mocne i ludy, jako ludy olbrzymów? —

«I powiada pismo, iż Bóg obrażony tem niedowiarstwem, przedłużył znowu pielgrzymkę narodu, aż wszyscy ci, którzy wątpili, pomarli na puszczy; bo żaden z nich nie miał ujrzeć ziemi świętej.

«A nie tylko ci, którzy głośno narzekali i wątpili, ale i ci, którzy w sercach swych narzekali i wątpili, pomarli także; bo czyta Bóg w sercach jako w książce otwartej, chociaż dla drugich zamknięta jest.

«Przełoż strzeżcie się grzechu narzekania i wątpienia, abyście nie przedłużyli dni pielgrzymstwa naszego.

«A jako w obozie ludu wybranego byli ludzie zaraźliwi, chorujący na leprę, czyli trąd, tak i między wami trafiają się ludzie zaraźliwi, to jest źli Polacy; od tych uciekajcie, bo nad trąd zaraźliwsza choroba ich. Po tych znakach zaś poznacie chorobę ich.

«Człowiek zaraźliwy nie wierzy w zmartwychwstanie Polski, chociaż bił się o nie i pielgrzymuje o nie. A choroba jego pokazuje się w słowach takich: — Wiedziałem, że powstanie było głupstwem, ale biłem się walecznie za sprawę powstania, jako dobry żołnierz; wiem, iż niepodobniestwem jest odzyskać Polskę, ale pielgrzymuję jako człowiek honorowy. —

«Skoro posłyszycie takie słowa, uciekajcie, zatknąwszy uszy i doniesiecie starszym; a starsi natychmiast człowieka zaraźliwego złożyć winni z urzędu, jeśli jest urzędnikiem, i kazać mu się namyślać w domu przez pewną liczbę dni.

«A po tej liczbie dni obaczyć, czy się wyleczył i czy wstąpiła weń wiara; a jeżeli się wyleczył i wyrzeka się grzechu, tedy ogłosić go czystym i przyjąć znowu do pielgrzymstwa.

«Jeśli zaś chory też same słowa co pierwszej mówić będzie, tedy napiętnować go, ogłaszając, iż jest nieczysty. I wszyscy od niego uciekać mają, od widoku jego i słów jego, bo ani jest dobry żołnierz, ani człowiek honorowy, ale głupiec i złołnik.

«Bo jeśli w bitwach szedł na ogień, tedy i koń, na którym siedział powstaniec i bódł go ostrogami, i koń, który wioził armatę pod biczem furmana, szedł na ogień; a możnaż nazywać konia dobrym żołnierzem?

«A jeżeli zaraźliwiec mówi, iż bije się dla honoru, tedy i ten rozmiłowany, który mści się, zabijając sztyletem rywala swojego, mówi, że się mści za honor; a cóż znaczą głupi, bałwochwalczy honor taki?

«Zaprawdę, mówię wam, iż żołnierz, który walczy bez wiary w dobroć sprawy swojej, zwierzem jest, a dowódzca, który prowadzi na bój bez wiary w sprawę swoją, rozbójnikiem jest.

«Człowiek zaraźliwy bije się w polu i zabija dwóch nieprzyjaciół, a wróciwszy do namiotu, psuje serca żołnierzy i zabija dziesięciu swoich na myśli.

«Jest on podobny do człowieka, który chodzi do kościoła i kłęczy; a wróciwszy do domu, śmieje się przed dziećmi z Boga i wiary.

«A niech się tłumaczy, mówiąc: iż co innego jest postępowanie i czyn, a co innego myśl i mowa — bo przeciwko ojczyźnie można ciężko grzeszyć mową i myślą, a każdy z tych grzechów nie ujdzie kary swej.

«Te są ostrożności przeciwko zaraźliwym w pielgrzymstwie polskiem.»

Wkrótce jakoś potem pojawiło się w tymże samym stylu pismo pod napisem: Poselstwo z ziemi ucisku do synów jej w rozproszeniu. Wydawca jego, Stefan Witwicki, uprzedził w przedmowie, że autor dziełka tego, nie wiadomo mu kto, a nawet gdzie mieszkający, przysłał je na jego ręce, żądając, aby dane było do druku, i że on tem chętniej uczynił zadość żądaniu, że znalazł w piśmie tem wiele rzeczy mądrych, głęboko pomyślnych, pięknie wyrażonych, a nawet nadzwyczajnych i całkiem nad pisarstwo świeckie wzniesionych. Jakoż nie mogło być inaczej, skoro potem się okazało, iż dziełko to jak pierwsze było utworem wielkiego i nad wszelki wyraz wzniosłego poety, Adama Mickiewicza, tak owo drugie pochodziło także od wielkiego i nad wszelki znów wyraz serdecznego poety, Kazimierza Brodzińskiego. Pielgrzymstwo polskie czytało z uwagą i zajęciem ten wylew szlachetnej duszy; lecz że w nim znalazło kilka rzeczy dotyczących posłannictwa swego, których skołataną i zboląłą duszą pojąć i odgadnąć nie mogła, dla tego czuło się w obowiązku odpowiedzieć mu w swoim słowie pielgrzymkiem, czyli w Odprawie posła, tak tłumaczając swoje widzenia:

«Na wszystko i na wszystkich będzie kiedyś sąd, i na wszystko i na wszystkich będą sędziowie także.

«Ale jako dobry sędzia, zanim wyrok wyrzeczę, wprzód się w sprawie rozpatruję głęboko, tako i my wzajem się w sobie rozpatrywać dzisiaj winniśmy, aby, kiedy sąd przyjdzie, wszystko gotowe było.

«A czas i miejsce zaiste doskonałe do śledztwa i wyводу słownego mamy.

«Bo pielgrzymstwo nasze jest jako zwierciadło czyste, a niedola nasza jest jako kamień probierczy.

«A jakim się kto w tem zwierciadle, a na kamieniu tym pokaże, taki wyrok w swoim czasie mieć będzie.

«Więc nie mówcie, o bracia! w pokoju i bezpieczeństwie będziecie mogli zdania się ściierać, gdyż zaprawdę, nie było i nie będzie może do rozpraw a narad lepszego, oraz dogodniejszego czasu i miejsca, jako tu, na tem naszym pielgrzymstwie, dzisiaj one są.

«Stocmy ze sobą tu walkę, abysmy tam wszystkie siły nasze na wspólnego wroga obrócić mogli.

«A było już wiele razy tak w Polsce, że gdy działać a bić wroga potrzeba było, zbiegliśmy się w radę; ale oto za krótki już czas do narady był, więc nie wiedząc, co robić, mówiliśmy do wroga: Powiedz wrogu, co począć?

«I nie krzycie na niezgody a kłótnie nasze dzisiejsze, albowiem jako kłótnia a niezgoda złe i zabójcze są, tak jedność a ślepa zgoda nieraz także prowadzą do zguby.

«Boć i oto, nie szukając w dziejach starej przeszłości wzorków, czy wiecie, jakie nad jednością powstania 1830 r. zrobił postrzeżenie pewien pielgrzym uważny?

«W jedności oczekiwaliśmy przez trzy miesiące, aż zechcą nas urządzić, uzbroić i na Moskwę prowadzić; w jedności straciliśmy te trzy miesiące na niczem, pewni, że je nasi naczelnicy na coś używają wielkiego; w jedności wierzyliśmy, że układy z Konstantym naprzód, a potem ze wszystkimi ciemiężycielami, cara nie wyjmując nawet, na dobre nam wyjdą; w jedności poddaliśmy się pod rozkazy cywilnej i wojskowej starszyny, która za Moskalami puszyła, wierząc w jedności, że ją duch święty nawiedził; w jedności zwyciężaliśmy przez dziesięć miesięcy Moskali, nie posuwając się ani na krok naprzód; w jedności złożyliśmy broń niezwyćżeni; w jedności oddaliśmy ojczyznę naszą w kajdany; i w jedności poszliśmy na tułactwo!»

Do szeregu tego oddziału pism, na pielgrzymstwie jawionych, dodać należy: Słowa boże do ludu polskiego, które — czy dla tego, że poruszały mnóstwo zadań najżywotniejszych, czy że były streszczeniem pojęć nowoczesnych, czy dla tego, że się pojawiły w chwilach najdrażliwszych i najboleśniejszych, bo po zawodach usiłowań w Poznańskim i po straszliwych wypadkach rzezi galicyjskiej — przez jednych może za zbyt chwalone, a przez drugich za zbyt

ganieone były. Może stosownie będzie, że dzisiejsza powszechność treść ich odświeżając w pamięci, sama je przez się samą oceni. Pisarz po rozwinięciu ogólnych praw i obowiązków człowieka w ludzkości, tak następnie do polskiego ludu przemawia:

«Teraz czas wam powiedzieć, bracia! dla czego wy nie macie ojczyzny, ani rządu własnego, ani sami około dobra swojego radzicie; a powiedzieć wam całą prawdę, nie z niej nie ukrywając; bo prawda jest to sam Bóg, i zasłaniać prawdę przed ludem, jest to Boga przed nim zasłaniać.

«Bóg przed wiekami dając ojcom waszym za ojczyznę tę ziemię, którą dotąd zamieszkujecie, a która Polską się zowie, kazał im, jako dzieciom jednej matki, kochać się i żyć wiecznie w braterstwie.

«Ojcowie nasi długo byli posłuszni temu przykazaniu boskiemu, a dopóki go przestrzegali, ojczyzna ich była potężna i wielka, a oni szczęśliwi i wolni.

«Z małego zawiązku nad brzegami Wisły rozciągnęła się ona szeroko od jednego do drugiego morza; a rzekami i górąmi odgrodziła się na wschód, południe i zachód od złych sąsiadów, na zgubę jej czyhających.

«Niedźwiedzie Wielony, wilki Halicza, zmory kałuż pomorskich, szły ułaskawione, szły pokorne jeść z jej ręki, albo zalegać u nóg jej pokotem; orły ze skrzydeł swoich plotły jej koronę i wyższego na ziemi nie było nad nią mocarza.

«Szczęśliwe były jej dzieci; gdzie stąpiły, po smugach pod nogami ich tryskały źródle miodu i mleka, rumienił się czerwiec i woniał bursztyn. Wszystko, czego tylko człowiek zapotrzebować może, przepelniało ich ziemię.

«Przedwieczne dęby, niebotyczne jodły, najrozmaitsze zboża, rośliny i owoce, okrywały nieprzejrzane okiem łąny jej; nieprzeliczone stada wszelkiego rodzaju pasły się po nieprzekoszonych jej łąkach; miliony ptasza wieszały się w powietrzu; roje pszczoł w pasiekach; ryby przepelniały wszystkie jej jeziora i rzeki; a sól, marmur, żelazo i miedź nieprzebranymi pokłady zalegały wewnątrzności jej ziemi.

«Głodni cudzoziemcy przychodzili do niej jak do spichlerza, zakupywać jej zboże i swoje w niej zostawiali bogactwa.

«Był dostatek w domu i w polu, po pałacach miejskich i po sielskich zagrodach.

«Była wolność osobista, oraz wolność myśli i mowy — każdemu było wolno modlić się obyczajem ojców i czcić Boga jak go czcili ojcowie.

«Był spokój i wesele wewnątrz ojczyzny; na świat cały była powaga i sława. A jeżeli z wrogów który złakomił się na jej bogactwa i napadł jej granice, tedy wnet szczerbiec polski przepłoszył go za dziesiąte góry i wody.

«Przez długie a długie wieki tak żyła kochana ojczyzna wasza Polska, wierna Bogu, szczęśliwa w sobie i pożyteczna sąsiadom.

«Mężowie jej rycerscy nigdy nie napastowali żadnego narodu, ale bronili chrześcijaństwa od pogan i barbarzyńców, niosących niewolę.

«I szły męże Polski na obronę chrześcian w kraje dalekie: z Władysławem pod Warnę, a z Sobieskim pod Wiednę, na obronę wschodu i zachodu.

«Nigdy zaś polscy rycerze nie zabierali ziem sąsiednich gwałtem; ale przyjmowali narody do braterstwa, wiążąc je ze sobą dobrodziejstwem wolności.

«I nagroził im Bóg; bo wielki naród Litwa połączył się z Polską, jako mąż z żoną, dwie dusze w jednym ciele. A nie było przedtem takiego połączenia się narodów. Ale będzie.

«I dał Bóg mężom wolności, iż wszyscy nazywali się bracią, i najbogatsi i najubożsi. A takiej wolności nie było nigdy przedtem. Ale będzie.

«Aliści szatan dumy i rozpusty, ów stary sprawca wszego złego na ziemi, pozazdrościł Polsce błogosławieństwa tego i rzucił kość niezgody pomiędzy jej synów, szepcąc do ich uszu zdradziecko: — Po co żyć macie jak bracia i używać wszyscy darów bożych porówni? Bądźcie jedni panami, a drugich na poddanych i niewolników, czyli chłopów obróćcie.

«I tak bezbożna rada szatana trafiła do niektórych synów szczęśliwej dotąd ojczyzny — i rozdzielił szatan naród długo wolny i równy na panów i na chłopów; i oddał w ręce panów życie narodu i życie chłopów; i natchnął jednych nienawiścią dla drugich; i odebrał rozum jednemu i drugiemu, aby

potem wzbudził nieprzyjaciół obcych i wszystkich ich podał im w kajdany.

«A skoro Bóg postrzegł to oblężenie straszliwe ulubionego sobie narodu, zaraz, niewyczerpany w dobroci i miłosierdziu swoim, posłał mu swych nauczycieli, którzy mówili mu: — Wy wszyscy jesteście dziećmi jednego ojca Boga, jednej matki ojczyzny. —

«I ten wspólny ojciec nie ujarzmił jednych braci dla drugich i nie powiedział jednemu z nich: Bądź panem! — a drugiemu: Bądź poddanym jego!

«I ta wspólna matka ojczyzna nie zna żadnej różnicy między dziećmi swojemi i wszystkie je kocha i miłuje jednak, aby wszystkie kochając się i miłując wzajem, wszystkich darów bożych używały porówni.

«Nie mówcież tedy jedni, że idziecie od Sema, i że drudzy idą od Chama lub Jafeta; bo zaprawdę wszyscy pochodzicie od Boga i wszyscy stworzeni jednak, braćmi sobie jesteście.

«Miłujcież braci w braciach, a nie obracajcie ich na poddanych i niewolniki; bo zaprawdę: nastąpi postronny nieprzyjaciół, a jawszy się za ten rozbrat wasz, mówić będzie: Rozdzieliło się serce ich, teraz poginą! — I czasu tak dobrego do wszego złego, a na swoje tyranstwo pogodnego, zapewne nie zaniedba.

«I ten rozbrat bezbożny przywiedzie na was niewolę, w której wszystkie wasze wolności utoną i w śmiech się obrócą. I będzie sługa równo z panem, niewolnica równo z panią swoją, bogaty z ubogim, i ten co wydarł mienie równo z tym, co je stracił, jak bydłęta w jarzmie nieprzyjaciela!

«Włości i ziemie wielkie, które się wlały w waszą ojczyznę i w jedno ciało z nią zrosły, odpadną i rozerwą się dla rozbratu waszego, przy których potężna była ręka i moc wasza i nieprzyjaciółom straszliwa. I będziecie jako wdowa osierociała, wy, coście drugie narody rządźli.

«Język wasz, w którym samym ta ziemia między wielkimi onemi słowiańskimi wolną została i naród wasz pogubicie; ostatki tego narodu tak starego i po świecie szeroko rozkwitnionego potracicie; i w obcy się naród, który was nie-

nawidzi, obrócić, jako to się inszym, którzy was w tym rozbracie poprzedzili, zdarzyło.

«I będziecie nie tylko bez rządu swego i bez wybierania jego, ale też bez ojczyzny i państwa swego; wygnancy, wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy, włóczęgowie, których popychać nogami tam będą, gdzie was pierwaj ważono.

«Gdzież się na taką drugą ojczyznę zdobędziecie, w którejbyście taką sławę, takie dostatki, pieniądze, skarby i ozdoby oraz roskosze mieć mogli? Urodzi się wam i synom waszym taka druga matka? Jako tę stracie, już o drugiej nie myśleć!...»

Tak mówili, ale głos ten ich przeszedł głosem na puszczy. Albowiem jako jabłko, które kiedy wewnątrz psować się poczęło, już mu trudno ostać się przed zgnilizną, tak oni obłąkani podmówieniem nieczystym, coraz dalej brnęli w nieprawość.

Straszne były to czasy! Co krew w żyłach lodem ścinało w przepowiedni, spełniło się teraz na jawie i do joty.

Uciśniona i zrozpaczona szlachta, nieraz jeszcze zrywała się do broni na ciemgeców i najeźdźców swoich; lecz że dumna szlachectwem, a zazdrośna swoich wolności, nawet od wolności walczenia z nią pospół lud odpychała z pogardą, więc zawsze upadła pod ciężarem krzyża, który brała na karki swoje.

Któż z was nie słyżał o Puławskich i o Barskiem powstaniu? O Kościuszcze i Racławicach? O Dąbrowskim, o czasach Napoleona?

I potem patrzaliście wszyscy oczy własnymi, jak krew stu bitew strumieniami po polskiej spływała ziemi.

A właśnie czasu onego stało się zgorzenie, jakiego do-
tąd przykładu w dziejach Polski nie było: bo oto ci, co w kilku bój bohaterski z najpotężniejszym z wrogów poczę-
wszy, świat cały zadziwili odwagą — teraz sto tysięcy zbroj-
nych żołnierzy, sto armat i sto wozów prochu i złota bez
musu, dobrowolnie pod nogi rzucili.

Otóż Bóg widząc ten upadek nieszczęsny najmężniejszego z narodów, zeszedł nań głosem strasznym, w płomieniu armat wołając:

«Stań na nogi plemię o sercu kamiennem! Porzuć próg,

którego z bratem podzielić nie chciałeś! Idź w świat, gdzie cię oczy poniosą, przez morza, rzeki i lądy!

«Idź ciągle, idź bez końca, póki granic ziemskiego kręgu nie znajdziesz! A gdzie zechcesz usiąść, tam ziemia pod tobą ustąpi! I lecieć będziesz mimo woli, mimo sił twoich!

«A gdy idąc między obcymi, wyciągniesz rękę do obcych, prosząc o szklankę wody, obcy rozumieć cię nie będą i podadzą ci szklankę czerwona.

«I w każdym obłoku, w każdej chmurze widzieć będziesz dom twój wspaniały i próg, na którym tronowałaś! Ale kiedy się zbliżysz, wszystko zniknie w zamroczu mgły bezdennej.

«I ścigać cię będzie w wędrówce twojej wołanie nieustanne, szydercze: Oto jest pan polski, któremu przed wieki nie dość było ziemi polskiej, żeby się nią z oraczem podzielił; a oto dzisiaj nie ma kamienia do podłożenia pod głowę, i nie wolno mu oderwać gwoździa od drzwi cudzych, żeby się nim przebił i zakończył pokutę swoją.

«A gdy tak w marnych pokusach wygnańca tarzać będziesz twoje tułaczki wrzody po obcych śmieciach, rozedrą cię razem katusze więźnia na ziemi zawojowanej, którą, broń odrzu-
ciwszy, odszedłeś!

«I zobaczysz dzieci polskie gnane w kibitkach i pieszo, wśród uralskiej zawieli, na stepy Irtyszu i Leny; to znów te same dzieci zrodzone z cudzoziemki, na katownej pielgrzymce, przeklinające urodzeniu swojemu i wymyślając na ojca nie polskim językiem!

«I zobaczysz młodzieńców polskich z ogolonemi głowami, w szynelach soldackich, maszerujących w imię cara stadami na takt piszczałki, pod celne strzały gwintówek czerkieskich; to znów tych samych młodzieńców przeciwko Beduinom arabskim i gierylasom hiszpańskim, którzy w niczem nie zawini.

«I zobaczysz ojców polskich, zaprzęgniętych w parze z wołami do pługa i pod strażą knuta carskiego, wydobywających ruble, smołę i cukier z krwi dopiero zakrzepłej w rowach Grochowa i Ostrołki; to znów tych samych ojców odartych i siwych, dogorywających po śmieciach obcych.

«I zobaczysz drogą Polskę, drogie państwo twoje,

tam szarpaną hakami zbójców — tu wystawioną przez własnych jej synów na wżgardę i pośmiewisko obcych!

«Aż w widzeniu tem straszem zestarzejesz się, posiwiejesz, zbrodziejesz jak Aswirus; z dziecka zostaniesz mężem i błagać będziesz nie już głosem pisklęcia, ale rykiem Atlasa, żeby się to widzenie z piekła skończyło.»

I stało się jak Bóg zapowiedział.

W pokutnej włosienicy tułacze po obcych progach przez lat dziesiątki żywiąc się w krwawym pocie zapracowanym chlebem, poznali co jest nieszczęście, i głód, i nędza, i niewola, i poniżenie — i poznali wszystkie grzechy ojców swoich i swoje, i na wieki przekleli nieszczęśliwy rozbrat, który dzieci jednej matki rozdzielił.

Lży ich od lat dziesiątków dniem i nocą płynące, oblały stopy tronu Przedwiecznego i zmyły wszystkie ich i ojców ich błędy i winy.

I przebaczył Bóg im i ojcom ich, jako przebacza każdemu grzesznikowi, gdy ten skruczę w sercu swoim obudzi.

I wnet z ziemi wygnańca ozwali się bracia tułacze do braci w ziemi ojczystej, błagając a zaklinając ich na rany Matki Ojczyzny, aby braci w braciach uznali, a na wieki bratnią miłością w równości połączyli się z nimi.

I okazał zaraz Bóg zlitowanie swoje nad pokutującym narodem, bo głos ten z ziemi wygnańca nie przeszedł w ziemi ojczystej bez echa.

Ocknęło się sumienie, tłumione długo swawolą i zbytkami, że wkrótce od końca do końca, po całej jak szeroka i długa ziemia ojczysta, jeden rozległ się głos: «Chłop to nasz brat! Syn jednej z nami matki! Z krwi jednej jak my Polak! Jak my pan woli i osoby swojej! I dziedzić ziemi polskiej! I zkaźde ma pośledniejszym być od nas? I na własność nie mieć ziemi kawałka? Uznajmyż brata w bracie! I oddajmy mu prawo jego! I oddajmy mu wolność jego! I powróćmy mu ziemię jego, oną własność jego na własność jego!

Alisi ten sam duch zły, który przed wiekami był braci przeciw braciom podburzał, rozpoczął na nowo swoje wichry nad Polską.

I zaraz dał jej wrogom radę szatańską, aby lud łudzili obietnicą podziału wszystkich gruntów dworskich na jego własność wyłączną. A zaś ludowi chytrze szeptać począł, że szlachta źle o nim myśli, więc by z wrogiem przeciwko niej trzymali.

A uczynił to szatan z ludem, jako przed wiekami był uczynił ze szlachtą, kiedy ją podmawiał przeciw ludowi.

I uczyniły wrogi, co im szatan powiedział; a szatan wypełnił, co obiecał wrogom.

I stało się, że synowie ludu rękę swą na braci swych podnieśli i mordowali swoich braci i siostry swoje, i targali się na matki, braci ich w żywotach swych noszące.

A kiedy im mówiono: Przebóg! Jaką popełniacie zbrodnię? Oni odpowiadali: — My jej nie popełniamy, tylko rozkaz wypełniamy cesarski.

A kiedy im mówiono: Przebóg! Co za nienawiść! I gdzie się podziła miłość wasza dla braci? Oni odpowiadali: — Nie my ich nie nienawidzimy, tylko posłuszni jesteśmy rozkazowi cesarza.

A kiedy im pokazywano Boga przez nich podeptanego, oni odpowiadali: — Tak nam z Bogiem cesarz zrobić rozkazał.

Zaprawdę, zaprawdę, nie było nigdy straszliwszego szatańskiego uwiedzenia jako te!

A skoro owa straszna wieść doszła do wyzwolonego grodu, że ten, co najpierwszym księżciem chrześcijańskim i cesarzem katolickim się mienił, pierwszy popchnął braci i braciom za głowy braci zapłatę przyobiecał — wnet słabe niewiasty i dziatki niewinne, starcowie z obielającym włosem i poważni kapłani w szatach kościelnych, z Zbawicielem rozciągniętym na krzyżu w rękę, z chorągwiami rozwiniętymi, szli bez broni, szli w procesji świętej, tam, kędy krew niewinna najhojniej się polała, i śpiewając psalmy pokutne, niesli w kielichach i monstrancjach świętych, z krwią i ciałem pańskim pospołu, słowo: wolności i równości, braciom obłąkanym, które im, braciom pomordowanym, w swojej dla nich miłości zgotowali, a które zbawić ich miało.

Bracia galicyjscy, bracia nieszczęśliwi! Cóżście zrobili z niewiastami, z niemowlętami, ze starcami i z kapła-

nami waszymi? I cóżeście zrobili z krwią i ciałem Boga waszego?

Krew ścina się w żyłach, ciało drętwieje, język do podniebienia przyrasta, serce z żalu rozpada się w kawały, na wspomnienie samo tego szalonego obłąkania waszego.

Bracia! Bracia zaślepieni i obłąkani! Popelniliście zbrodnię, jakiej na świecie bożym przykładu dotąd nie było.

Krwią bratnią, rodzimą, serdeczną, zbryzgaliście stopy tronu bożego, które świeżo łzami pokuty bracia wasi obmyli!

W przenajświętszym sakramencie samego podeptaliście Boga!

Biada wam! Biada! Biada za życia tego i po śmierci wam biada! Jeśli nie postrzeżecie się w obłąkaniu, a nie usłuchacie głosu, którym dzisiaj Bóg przez usta moje do was przemawia! Jeżeli zamiast głosu Boga waszego, słuchać podmów szatana i trzymać z wrogiem będziecie! Jeżeli zbroczonych krwią bratnią rąk waszych nie obmyjecie w krwi wrogów!

Aż! nie wiecie, jako Bóg karze tych, którzy nie słuchają słów jego?

Anioły, wybrane dzieci, a strącone zostały z wysokości niebios aż do dna piekła, że powstały naprzeciwko jego.

Narody całe wypłenione są do szczytu, że głuchymi na głos jego były; i gdzie niegdyś wielkie i bogate wznosiły się zamki i ich grody, chwast dzisiaj i pokrzywy rosną.

Sprawiedliwy i surowy sędzia jest Bóg — i jakże puściłby płazem największą zbrodnię ze zbrodni, bo zbrodnię bratobójstwa? Nie wiecież co się stało z Kaimem, brata Abła zabójcą, i co się stało z pokoleniem jego?

I ustaną wesela i muzyki. I nie będą popijając śpiewać. Gorzki będzie napój pijących!

O! miejcież litość nad sobą i nad dziećmi waszemi, dopóki czas łaski bożej jest.

A zapomniecie o tem i pójdziecie przeciw woli Boga, to ukarze was Bóg i dzieci wasze z pokolenia do pokolenia.

Nieszczęśliwym dzisiaj — dalej gorzej wam jeszcze będzie. A będziecie odrabiali pańszczyznę Moskalom i Niemcom, tylko większą jeszcze i uciążliwszą, aniżeli dni jest w tygodniu!

I będziecie poddanymi i niewolnikami Moskali i Niemców, wy i dzieci wasze; tylko jeszcze wrogi będą was w mieście bydląt wpręgać do wozów i pod jarzmo do pług!

I będziecie równo ze zwierzęty przedawani przez Moskali i Niemców na targowiskach; tylko jeszcze głowy wasze mniej będą od zwierzęcych ważne.

Biczowani i katowani we dnie i w nocy, odpoczynku mieć nie będziecie; a gdy trudem znużeni upadniecie po drodze, natenczas krwawe cienie braci pomordowanych, żon ich i niemowląt niewinnych ze snu was budzić, wiecznie was ścigać będą.

I zapędzą was wrogi, was rekrutów spętanych i zakutych w dyby zbójckie, na dalekie morza i lądy, gdzie pomrzecie ze skwaru i mrozu, z pragnienia i głodu, z trudów i chorób, nie przykryci garścią ziemi rodzinnej, bez łyzy i bez pogrzebu; albo wyginiecie w krwawych wojnach z ludami, o których ucho nie słyszało wasze i które wam nigdy żadnej krzywdy nie wyrządziły!

Obnażeni z narodowej odzieży, pozbawieni mowy ojczystej, odarci z wiary, którą wam ojcowie przekazali w spuściznę, ani się między sobą poznawać, ani się wzajem rozumieć, ani jak Boga chwalić nie będziecie wiedzieli!

Przebranych i przechrzczonych na Moskali i Niemców, własne dzieci lękać się będą; i samych siebie wstydząc, jedni od drugich twarze wasze odwracać będziecie; i żony wasze przed wami uciekać będą, nie poznając w was mężów swoich.

I nazwą was Niemcami i Moskalami! Wasz język zapłaczę się i zaczniecie po niemiecku i po moskiewsku gadać. Wasze wsie, wasze góry, wasze wody, wasi ojcowie w grobach nie pojmą was!

A gdy to nędzne życie kończąc w bolach i wyrzutach sumienia, wołać do Boga o odpuszczenie grzechów waszych będziecie, Bóg odwróci od was zagniewane oblicze swoje i zaprze się w was dzieci swoich, jakoście się wy jego zaparli!

A gdy staniecie na strasznym sądzie i Bóg zapyta was po polsku jako Polaków: Coście zrobili z ojczyzną? — A wy nie zrozumiecie go nawet. Czy wiecie, co was wtedy czeka? Przekleństwo i potępienie wieczne!

Straszne było, o bracia, to uwiedzenie wasze, ale dobiega już ono kresu swojego, bo zły duch na czas tylko opętać

proste dusze może. Zniknie omamienie, jako sen ciężki; a za ocknieniem się będą błogosławić Boga, że im odjął to utrapienie. Albowiem nie przechodzą z wiatrem słowa pana nad pany. Niebo i ziemia przeminą, ale nie przeminą słowa Wiekuistego. Chciejcież tylko, a stanie się, jako powiedziano: «Będzie wam wolność, jakiej dotąd nie było na ziemi.» Co daj Boże! Amen!

KURS JEDENASTY.

1860 r.

Świetnie jaśniała na widnokręgu literackim gwiazda poezji polskiej w ostatnich czasach; świetnie z formy i tonu; i równie, jeżeli nie świetniej jeszcze, z myśli i ducha ją ożywiającego.

Poeeci polscy ostatnich czasów, uważani ze stanowiska polityczno-narodowego, czyli potrzeby politycznej, narodowej, przeszli nietylko wszystkich dawnych, acz wiele nieraz narodowi zasłużonych, ale daleko na tej drodze prześcignęli poetów różnych epok wszystkich innych narodów. Czyż to jedno nie powinno być dla nas dowodem, jak wielką jest moc naszego ducha narodowego, kiedy się ten w swoim obowiązku poczuje?

Nie była tak szczęśliwą powieść polska czyli romans polski prozą w ostatnich czasach. Wprawdzie wiele pisano w kraju i na pielgrzymstwie powieści, ale krajowe prawie wszystkie, acz nieraz z rzeczywistym rozwijane talentem, nie zdały się mieć na widoku politycznej, narodowej potrzeby — a zaś emigracyjne, acz miały pod ręką dziwnej pod tym względem piękności i wartości utwory innych narodów, z małym jakoś wyjątkiem nie potrafiły się wznieść do ich wysokości. Miałoby być poezji tworzenie łatwiejszem od tworzenia prozy, lub czy może nasz organizm polski sposobniejszy do gwałtownego, aniżeli łagodnego wylania swoich uczuć? Ja sądzę, że i jedno i drugie nie jest tu bez zna-

czenia. W poezji jeden wykrzyknik cierpiącego lub ucieszonego a czującego serca, z właściwą poezji precyzją oddany, pasować może pisarza na poetę, kiedy powieść odpowiedzieć musi wszystkim warunkom kunsztu i mistrzostwa.

Z pierwszą, o ile mi wiadomo, na pielgrzymstwie powieścią prozą wystąpił roku 1833 Jan Czyński. Sam jej tytuł: *Cesarzewicz Konstanty i Joanna Grudzińska*, czyli *Jakóbini polscy*, zwłaszcza w chwili, kiedy bohaterowie romansu tego i wypadki im towarzyszące świeżo i gorąco tkwiły jeszcze w pamięci, musiała być przychylnie i ciekawie przez publiczność przyjęta. To też nie było w tych czasach książki bardziej rozrywanej, ciekawiej w kraju chwytaanej i czytanej, a przez policję śledzonej i ściganej; a to samo jest już w obec uważania naszego, najwyższą jej pochwałą i zaletą.

Trzy lata upłynęły potem do pojawienia się Irydjona w r. 1836, o którym, jak i o wszystkich innych tegoż autora, które w następnych latach pojawiły się z kolei, że i z formy i z tonu, czy pisane prozą, czy przeplatane lub też całkowicie oddane wierszem, była już mowa na właściwszym im miejscu.

Ale najwięcej podobno obudziły rozgłosu na pielgrzymstwie i w kraju *Powieści kozackie* Michała Czajkowskiego, w jednym tomie wyszłe r. 1847; lecz za którymi szybko popyły się naraz tegoż roku Wernyhora, w dwóch tomach, Kirdżali roku następnego, również w dwóch tomach, także dalej w dwóch tomach Stefan Czarniecki, powieść z *Konfederacji Tyszowieckiej*; dalej r. 1840 *Gawędy* czyli opowiadania z potocznego życia z czasów ostatnich; *Koszowata*, powiastka z czasów *Koliszczyzny*; *Owrucczanin*, powieść historyczna z r. 1812; *Hetman Ukrainy*, powieść historyczna w dwóch tomach. Lecz czy ta zadziwiająca płodność tworzenia, czy nużąca jednostajność obrazów, charakterów i całego nastroju oraz rozwoju tych licznych płodów; czy nareszcie język umyślnie wylamujący się z pod przepisów językowych czystej polskości, i styl szukający gwałtem, a nie zawsze szczęśliwie oryginalności i efektów, sprawiły, że te powieści, co w początku narobiły tyle hałasu i na obce języki tłumaczone były, jak prędko przyszły, tak rychło jakoś mgłą się okryły przeszłości.

Inaczej rzecz się miała z powieściami przez jednego z krajowców ogłoszonymi w Paryżu od 1839 — 41 r. w czterech tomach pod tytułem: *Pamiętniki JMci Seweryna Soplicy, cześnika Parnawskiego*. Talent niezaprzeczenie je znamienujący, wybór przedmiotów żywo publiczność obchodzących, duch, którym je autor z wiedzą i rozmysłem usiłował natchnąć, silnie zajęły wszystkich. Ogłoszone bezimiennie, tem bardziej obudzały ciekawość; a kiedy ogłoszone prawie równocześnie w Wilnie 1841 r. *Mieszaniny* obyczajowe przez Jaroszę Beję, okazały uderzające zbliżenie wstępu, pojęcia i dążenia Bęjły do *Soplicy*, publiczność bez wielkiego trudu odkryła, że autorem ich obu był Henryk Rzewuski, zkądiną publiczności krajowej i emigracyjnej znajomy. Błędy okryte wielkim talentem pisarskim, są tam pod postacią chleba rozdawaną trucizną, a lud pod wielu względami, jako się wyraża *Lamenais*, jest jeszcze w wieku dzieciństwa. I w istocie jest między stanem moralnym dziecięcia a dzisiejszym ludu pewne powinowactwo, uderzające zbliżenie. W jednym i drugim rozum rzuca niepewne a krótkie błyski; w jednym i drugim duch, jak rola nie tknięta jeszcze lemiemzem, czeka wrażeń, wzorów, pomysłów, które siłę jego i charakter wyrobić mają. Z jakąż troskliwością czuła opieka ojca i matki winna uprawiać i kierować pierwsze rozwijanie się dziecięcia? To, co ojciec i matka włoży w głowę i w duszę dziecięcia, rozstrzygnie przyszłość jego; to, co z słowem i nauką pisarzy zleje się w wiare ludu, tworzy przyszłość ludu.

Z tego stanowiska oglądane powołanie pisarza, jest wielkie, piękne, poważne, ale i trudne także. To też dawniej bywało, nie podejmowano się pisarstwa bez powołania, bez długiej, mozolnej i gruntownej nauki. Niegdyś powołanie pisarskie było rękomią wytrwałości w zawodzie; nauka owocem wszechstronnego doświadczenia długich i mnogich wieków. Dzisiaj pisarz właśnie dla tego czasem samodzielniejszym i pożyteczniejszym się sądzi, że jest wolny, swobodny, że go nie wstrzymuje w zapędlu ani ciężki zapas umiejętności, ani powołanie pozwalające lekceważyć wrodzonego niejako obowiązku.

Wśród takiego pojmowania pisarskiego urzędu niepodobna zwracać uwagi na te roje pomysłów, które codzień w świat

idą. Spierać się i rozprawiać z niemi, byłoby to waleczyć z cieniami. Ale kiedy zdania przeciwne rozumowi i publicznemu, narodowemu sumieniu, rzucane są przez pisarza, który ma wiele talentu, a więcej jeszcze zręczności do wezwania, żeby go słuchano, wtedy oświadczenie się przeciw staje się niezbędną powinnością. Do rządu dzieł tego rodzaju należą właśnie: Pamiętniki Seweryna Soplicy i Mieszaniny Obyczajowe Jarosza Bejły, jedno i drugie pióra tegoż samego. Jest to już powszechnie znane i przyznane, że nie tylko cała literatura emigracyjna, ale i krajowa, pomimo prześladowania i ucisku najokropniejszego, była w czasach ostatnich i jest dziś więcej narodowa, patriotyczna, a przeto i polityczna bardziej niżeli kiedykolwiek. Widać to w dzisiejszych dziełach polskich, gdziekolwiek wychodzących, w ich tętnie, technieniu, w duchu je ożywiającym; widać to w tem gorliwym rozpatrywaniu przeszłości, w tem skrzętnem odrzebywaniu wszelkich zabytków, wszelkich pomników umysłowości narodowej; w tem nareszcie serdecznem a powszechnem zamięłowaniu prac i odkryć tego rodzaju. Wspaniałe to i pocieszające widowisko; i nie znamy nic szanowniejszego, nic świętszego nad te usiłowania narodu do rozbudzenia w sobie życia moralnego. Dzieje dowodem, że ile razy naród jaki, choćby najdłuższą i najcięższą przygnieciony niewolą, postrzegal się w poniżeniu swoim, ile razy zateknął do niepodległości, tyle razy zstępował do grobu starych ojców swoich, wskrzeszał ich myślą swoją, cieszył się zabytkami dawnej ich potęgi, sławy, cnoty, rozumu; dowodem ruch dzisiejszy literatury w Polsce. Instynkt ten narodowy, że jest nieomylnem przecuciem zbliżającego się odrodzenia, powinien być troskliwie rozwijany, pielęgnowany, utrzymywany, wszelkiemi popierany siłami. Wszystkie więc plody literatury naszej dzisiejszej winny być kierowane ku jednej myśli żywotnej, powszechnej, narodowej; wszystkie skupiać się około jednej chorągwi niepodległości Polski — wszystkie piastować Polskę. To polityka dzisiejszej literatury polskiej; nią tylko przejęci i kierowani pisarze polscy, godnie odpowiadają powołaniu swojemu, są godnymi synami matki ojczyzny, godni imienia Polaków.

Ale przyszłość nie jest jeszcze wszystkim. Dzisiejszym czytelnikom polskim nie idzie tylko o ciekawość prostą:

jakimi ich ojcowie byli? co robili? co zostawili? Przeszłość jest niezawodnie skarbem, ale w tem tylko, czem ta przyszłość zasilić może. Przeszłość — przyszłość! Jako zaś kto na miejscu starego domu nowy wystawić pragnie, musi mieć myśl przyszłego swego budynku, tak też żeby w tych skarbach przeszłości poszukiwać korzystnie, trzeba mieć stale pojętą i wyrozumowaną przyszłość; wiedzieć, co ztamtąd do nowej budowy przydać się może; trzeba pracy, kierowanej myślą przyszłości. Kto bez tej myśli zapuszcza się w przeszłość, jest jak górnik bez światła w podziemiach pełnych skarbu; ten napróżno krząta się albo szkodzi nawet budowie, bo mąci myśl jej ogólną, grzeszy przeciw powołaniu pisarza narodowego, oddalając chwilę wyzwolenia narodowego.

Ta jedna uwaga, zdaje się, wystarczyć by powinna pisarzom polskim do obrania najwłaściwszej drogi w poszukiwaniach przeszłości. Tak jednak nie jest z wszystkimi. Są pisarze, którzy dla tego właśnie piszą o przeszłości, żeby ją albo ze wszystkim, co w niej złego i dobrego było, powrócić, albo się jej wyrzec zupełnie. Myśl to równie bezbożna jak bezrozumna. Bezrozumna, bo myśl ludzka nigdy nie stoi, ale postępuje wiecznie; bezbożna, bo ateizm tylko przypuszcza może loicznie, że najwyższa Opatrzność tak zarządziła pokoleniami, że w krótkim swoim istnieniu nie mają innego przeznaczenia nad powtórzenie błędów swych ojców. Rozumniejszy i bogobojniejszy snąc był filozof pogańskiego Rzymu, kiedy pisał: «Szanuję przeszłość, mądrość i odkrycia mych przodków. Te odkrycia są moją po nich spuścizną, mojem dziedzictwem, albowiem oni dla mnie je zgromadzili — oni pracowali dla mnie. Ale trzeba używać tej drogiej spuścizny przodków jak dobry ojciec rodziny; zostawić więcej niż się odebrało, oraz zdać mojemu potomstwu dziedzictwo pomnożone, ulepszone, upiększone. Zostało jeszcze i zostanie wiele do zrobienia, i nie będzie i jeden człowiek z tych, co się urodzą w tysiąc wieków po mnie, któryby nie miał sposobności dodania czegoś jeszcze.»

Nie myślał tak Henryk Rzewuski, kiedy pisał Pamiętniki Soplicy, mniej jeszcze kiedy pisał Mieszaniny Bejły. Jak dla Soplicy, tak i dla Bejły przeszłość Polski właśnie z czasów jej największego zepsucia, otrętwienia i rozpusty, jest naj-

najwyższym, najmiłszym ideałem, alfą i omegą spólnych ich życzeń i westchnień. I Soplica i Bejła chwałą starodawne czasy i starodawnych ludzi, a w teraźniejszych widzą wszystko złe. Ale starego Soplicę usprawiedliwia przynajmniej naturalna miłość swoich czasów i swoich ludzi; młodego Bejlę chyba to tylko, że ducha swego wieku rozumieć nie chce, a o ludziach sobie społecznych sądzi podług siebie. I ojciec i syn, jeżeli to zbliżenie między Soplicą a Bejlą zrobić można, kochają się w zbytkach; ale czy ojciec miał w tem jakie widoki polityczne, czy chciałby jak syn jego widzieć zbytki jednych, a resztę narodu w poniżeniu, ciemnocie i nędzy — nie powiedział; może bał się powiedzieć. Obaj wreszcie okazują wiele słabości do ociemniającego wychowania. To też, jak z jednej strony jesteśmy przekonani, że stary Soplica nie powiedziałby wielu rzeczy niedorzecznych i niepotrzebnych, gdyby był wychowany w szkołach dobrze kierowanych, tak z drugiej możemy zaręczyć, że gdyby on, zwolennik przedewszystkiem karności, żył dzisiaj jeszcze, a słyszał brednie syna swego, pewnieby go po staropolsku na kobiercu ukarał.

Jednem słowem, młody Bejła odziedziczył wszystkie błędy, uprzedzenia i nałogi po ojcu. Z tego względu są sobie podobni; tylko że w synie odbiło się to wszystko w daleko wyższym stopniu. Ale jest wielka różnica między ojcem a synem, właśnie w najgłówniejszej i najżywniejszej części. Soplica jest to stary szlachcic ze wszystkimi narowami i śmiesznościami, ze wszystkimi błędami i przesądami przeszłego wieku, ale Polak sercem i duszą; nie cierpi najezdników, gorzej niż samego czarta; bije Moskali i Niemców, i ostatnią kroplę krwi swojej chętnie za ojczyznę przeleje. Młody Bejła nie odziedziczył tej najwyższej i najszczytniejszej narodowej cnoty po ojcu. Młody Bejła umizga się do wrogów, pali kadzidła moskiewskiemu carowi; zowie go miłosiernym, łaskawym i wszechmądrym, prawi o jego władzy dobroczynnej i karać nie lubiącej, o usprawiedliwieniu jej w potomności. Takie zapomnienie się, taka sromota nie godzi się Polakowi, póki się on nie zaparł imienia Polaka, póki w nim serce polskie bije, póki mu obce straszne miano: zdrajcy ojczyzny. Bolesny wyrzut! Ale bo też pisarz bardzo boleśnie dotknął serca polskie tą razą, bardzo zasmucił całą

Polskę, która po talencie rozwiniętym w Soplicy czegoś się spodziewała innego. Gdybyż jeszcze Soplica był obrazem autora, tedy autor byłby zakamieniałym szlachcicem, przecież zawsze Polakiem; ale jeśli autor odbił w Bejle swoje myśli, serce i duszę, tedy zatrzymując pierwsze, nie może się poszczycić drugim. Wielki to grzech, a tem większy jeszcze, iż autor udaje, iż rozumie obowiązek Polaka.

W obecnem położeniu Polski, Polacy obojętni i neutralni są niezawodnie szkodą jej i zakałą. Ale cóż powiedzieć o Polakach, którzy wprost stają po stronie wrogów — którzy występują z opiniami wbrew przeciwni duchowi narodu polskiego, jego nadziejom i pracom — którzy ślepotę swoją do tego posuwają stopnia, że aż ośmielają się głosić, iż: «naród, który raz upadł, nigdy już podźwignąć się nie może»?

Zakres przedmiotu nie dozwala obszernych wyjątków; ograniczyć się w nich musimy — to wszakże, co przytoczyć trzeba koniecznie, da ostateczne wyobrażenie utworu i autora jego.

W Fauscie Getego jeden z uczniów na zapytanie Mefistofelesa: jaki sobie przedmiot obiera? «Ja chciałbym, rzecz objąć wszystko, co jest na ziemi i niebie.» Autor Bejły na coś podobnego w Mieszaninach zakroił. Jest tam wszystko i nic, wiele i bardzo mało; ale nie ma żadnego systematu, żadnego ładu, wszystko rozstrzelone, rozbite, nieharmonijne. Widać nawet wyraźnie zbieranie różnocoasową. Są rzeczy niezawodnie z czasów autora Bejły dawniejszych, studenckich może; są późniejsze i teraźniejsze. Ztąd rozmaitość stylu, pojęć i uczuć. Autor Bejły nie był widać dawniej tem, czem jest dzisiaj. Chwile młodości zwykle są ku dobremu, niżeli złemu skłonniejsze; w tem więc, co z tamtych czasów weszło do zbioru, przebija się niekiedy dusza i serce polskie, ale wnet do tej czystej sukni starszy wiekiem, dzisiejszy autor przypina coś nieczystego, jakby się wstydył swej przeszłości polskiej i czystego stroju polskiego. Uważany z tej strony napis dzieła, całkiem jest usprawiedliwiony. Są to prawdziwe mieszaniny dobrego i złego, piękności i szkarady, uczuć szlachetnych z zapartemi, patriotyzmu z odstępstwem. Czuł to sam autor, wiedział że złą książkę w świat puszczał, kiedy w pierwszym zaraz rozdziale: Scena w księgarni — przemowę

wyręczającym wprowadził diabła i anioła, z których jeden radzi autorowi spalić rękopis, a drugi do drukowania go podmawia.

«Anioł. Czemużby nie miał drukować?

Djabeł. Bo zła książka podobać się nie może.

Anioł. To jej czytać nie będą.

Djabeł. Ba! żeby każdy miał rozum złej książki nie czytać! Ale nie jeden będzie się gniewał, rzucał, łajał autora, ale taki ją doczyta — i tak się roznosi po świecie.

Anioł. Cóż straci ten, któremu ta książka zajęła kilka godzin?

Djabeł. Zawsze straci, bo obaczy przesadzony obraz wad swego narodu.»

Rozmowa, jak każdy widzi, była dobra, tylko że autor po szatańsku złą radę kładzie w usta anioła, a dobrą w usta diabła. Ale gdyby i tak było rzeczywiście, jak to autor przedstawił, to możemy go zapewnić, że djabeł, który różnie przedziergać się umie, wziął tą razą postać anioła, a autor złą książkę w świat puszczając, nie anielskiej, lecz djabełskiej usłuchał rady.

W odstępach pomiędzy temi świetniejszemi, mniej lub więcej pożytecznemi, albo szkodliwemi utworami, pojawiały się z mniejszem lub większem powodzeniem mniejsze albo większe powieści, powiastki i gawędy Ludwika Orpiszewskiego, Michała i Wincentego Budzyńskich, Konstantego Gasińskiego; drobne, ale zawsze prawdziwie namaszczone artystostwem obrazki Lucjana Siemińskiego; Pan Sędzic, czyli opowiadanie o Żmudzi i Litwie Jana Gasztowta; Słowa prawdy dla ludu polskiego, przez bezimiennego, wypowiadające sposobem powieściowym prawa i obowiązki człowieka, a oraz niewolę i męczeństwo narodu polskiego, i kilka jeszcze innych. Aż w r. 1854 wystąpił ze swoją, na wielkie rozmiary pomyślaną i w trzech tomach ogromnych powieścią: Alkhadar, Edmund Chojecki, znany już dawniej, najprzód jako poeta z utworu Gęśla, ogłoszonego w Lipsku, a potem jako pisarz polityczny i historyczny dzieł ogłoszonych w Berlinie: Czechija i Czechowie przy końcu połowy dziewiętnastego stulecia, 1846 r., a wkrótce potem, 1847 roku: Rewolucjoniści i stronnictwa wsteczne. Powieść Alkhadar ma tytuł arabski i godło też arabskie, a które

wytlomaczone na język zrozumiały, znaczyć ma: «Niech na tych wina spadnie wypowiedzianej prawdy, którzy mię zmusili do jej wypowiedzenia.» Tytuł i godło arabskie, ale myśl dzieła najzupełniej i najczyściej polska. Rzecz dzieje się na ziemi ojczyściej. Obrazy pałaców pańskich, dworów i dworów szlacheckich, lepierek chłopskich, miast i karczem; charaktery panów, szlachty, służby, mieszczan, chłopów, żydów, urzędników, żołdactwa, urlopników, z rozkazu rządu austriackiego wywołujących rzeź galicyjską; zwyczaje nareszcie, obyczaje, swawola i zbytki z jednej, a niewola i nędra z drugiej strony, wyborne pochwycone, rozwinięte i przedstawione. Czasem może uwaga niektórego z czytelników zmęczy się rozciągłością obrazu! Ale autor wynagradza to zaraz sownie szczegółami pełnymi piękności, charakteru i interesu. Nie od rzeczy będzie, czyniąc wzmiankę o tak znakomitym utworze, przytoczyć słów kilka z zakończenia, którym autor zamyka tę swoją ogromną, trzytomową, a na dwanaście tomów w pomyśle zamierzoną pracę.

«*Habeas corpus, noli me tangere!*» Oto godła, powiada autor, które silniej dziś przemawiają do zdrowych przekonań, aniżeli wszystkie czece okólniki, dla jakich zamajaczona ludzkość szafowała dotąd krwią i życiem. Zasada wolności osobistej jedynym jest kluczem na wszelkie zagadki polityczne, narodowe, społeczne, obyczajowe i rodzinne. Rozpętane charaktery, osobistości i energie unikną niepotrzebnych przebojów, gorzkich odczarowań, marnotrawstwa sił na walki z chimera; wypotęgowane swobodą i prawdą, utworzą upusty życia, o jakim terazniejsze społeczeństwo senne zaledwo ma pojęcie. Zaczem i poeta w czystszym źródle poszuka natchnienia, sztukmistrz ujrzy się bliżej świętych ideałów i powieściopisarz bliżej błogich urojeń, a na rozcień odemknie serce przystępniejsze dziś smutkom i zgryzocie.»

Powieściopisarz! A właśnie też o niego nam chodzi w tej chwili, zamiast wdzierania się na trójnog sądowy, który z prawa przynależy czytającej publiczności, lepiej postąpi, wykazując, co dzieje się na dnie duszy polskiego pisarza, gdy tenże bez obawy szponów cenzury bierze pióro do ręki. Głęb myśli autora chciałem odkryć, jego przekonania wyspowiadać, w jego nadziejach, trwogach, smutkach i pociechach mu towarzyszyć. Wreszcie co do powieści niech

charaktery wprowadzonych w niej osób same się bronią i tłumaczą. Oddawna w duszy poczęte, schwyte po większej części na niezaprzeczanej prawdzie narodowego życia, nie od razu rozwinęły się pod piórem pisarza. War czynnego politycznego bytu długo nie pozwalał mu wyłącznie zajmować się powieścią. Praca nad Alkhadarem służyła autorowi czasem za uciechę przed rozpaczłą teraźniejszością, częściej za wytchnienie trudów podejmowanych na obcej niwie i w nieswoim narzeczu. Wypicie dokonało reszty. Powieść zaczepiona na rok przed zgonem francuskiej republiki, dobiegała dalszego rozwoju w namiocie rozpiętym na pustyniach Sahary i znalazła wreszcie rozwiązanie w tułaczach pielgrzymkach po Włoszech i po Szwajcarii.

« Czyli koniec trzeciego tomu można zwać ostatecznem rozwiązaniem? ... Sam autor nie wie. Z osób, składających sprężynę dramatu, główna przepada, znika bez wieści. Ciekawa jednak byłaby pogoń za losami Kazimierza, tak w epoce obejmującej powstanie polskie z roku 1830, jako też w następnych latach, aż do ostatnich czasów. Kraj i życie wychodźca dostarczyłyby obfitość do rozwoju treści. Być może, że kiedyś spotkamy jeszcze młodego Poraja!... »

Tak pociesającą zapowiedzią kończy autor tę swoją w języku polskim pracę. Od tego czasu widzieliśmy jego liczne, znakomite utwory w języku francuskim. Nie wątpimy, że czas przyjdzie na urzeczywistnienie i polskiej zapowiedzi jego. Prosimy, zaklinamy o spotkanie jeszcze młodego Poraja!...

Od poetów i powieściarzy, owych reprezentantów na polu literackim uczucia i serca, przejście naturalne do filozofów, ludzi rozumu i miłośników mądrości.

Polska pod uciskiem, który ją gniołł i gniecie: Polska pod panowaniem Moskwy, której całą filozofją ucisk i zdzierstwo, przemoc i zabór, knut i kradzież; Polska pod panowaniem Austrii, której całą filozofją najsromotniejsze ociemnicelstwo i wystudzenie serca; Polska pod panowaniem Prus, pod których rządem macoszym przekonywać się tylko może, czem jest całą filozofją niemiecka samolubna, wszelkie cudze ja pod ją swoje podciągająca; Polska ta, rozszarpana i uciśnięta, pod obostrzeniem cenzury, jakiej może nie było na całym bożym świecie, nawet za najlepszych czasów inkwizy-

cyjnych — Polska taka zaiste myśleć o filozofji narodowej mogła, lecz jej nie mogła stworzyć. Mogła myśleć, powiadam, albowiem każdy naród, społeczność każda, ma jako cechę swojej samodzielności myśl pewną, dążność pewną, którą koniecznie urzeczywistnić powinna. W ciągu rozwijania się życia narodowego dążność ta jak najwyraźniej w podwójnym kształcie się objawia: w kształcie umysłowym i zmysłowym. Filozofja będąc tym sposobem jednym z ostatnich wyrazów zwierciadłem, symbolem narodowej myśli, ogólnej oświacie przodkować winna, narodową duszę w nią wlewać, jej ogień bezustannie utrzymywać, podniecać. Tak wysokie przeznaczenie filozofji zakresłone, snadno da się pojąć, jeżeli zważymy, że każda myśl dotkliwiej wewnątrz naszego umysłu wzruszająca, usiłuje się na zewnątrz wydobyć i podjętą ukazać się postacią. Wszakże człowiek swoje dążenie do boskości wciela w wiarę, swoje uczucia wciela w słowa; czemużby myśl narodu swojego symbolu mieć nie mogła? Naród ogólnie sam w sobie uważany, jest to człowiek olbrzymi duszą i ciałem; jego wiara, jego myśli, jego uczucia, mają za tło indywidualności olbrzymią. A jako pojedynczy człowiek w swojej indywidualności kojarzy cały świat, nie samo tylko ja, kojarzy boskość i ziemskość, tak i narodu myśl ogarnąć powinna to utęsknienie niczem niezwalczone za nieskończonością, równie jak niczem niezwalczony popęd do połączenia się z życiem przyrody. Ten jest początek filozofji narodowej. Myliłby się, kto by sądził, że filozofja jest wymysłem ludzi, że ją potrzeba, lub fantazja próżniackiej głowy zrodziła. Jej ród cokolwiek dalej sięga. Pierwszy człowiek, jako się wyraża Gustaw Ehrenberg w jednej z rozpraw swych estetycznych przed porwaniem swoim na Sybir, drukowanych w Pamiętniku Krakowskim — ten człowiek pierwszy, co gwiazdom się dziwił, co pytał siebie samego, zkądby się one wzięły, już był zaiste filozofem i poetą: rokosz i ziemskość tkwiły w nim wysoko i głęboko. On je wcielił. Naród, co bóstwu hymn chwały zaśpiewał, dojrzał już do filozofji, bo pokłonił się uczuciu nadziemskiej potęgi, a ziemskość jako swoją oblubienicę pokochał. Niech tylko czas zmysłowe siły narodu wzmoże i przysporzy mu ducha, a wnet owa teozofja na płodną filozofję się zamieni; ów przykry, niewdzięczny krzyk bojowy przeleje się w pienia

rytmiczne — jednym słowem: z owego chaosu uczuć boskich i ziemskich wyłębi się filozofja. Lecz dla czegoż koniecznie uczucie boskości ma być początkiem filozofji? Wszak jest rzeczą dawno już dowiedzioną, mógłby kto zarzucić, że sam człowiek stworzył filozofję, i to dla siebie samego; bo człowiek na tym świecie winien żyć i użyć, szuka więc użyteczności i przyjemności; użyteczność jest pierwszą przyczyną filozofji. Ktoby tak mniemał, temu najstosowniej odpowiedzieć z Gołuchowskim: «Nie każde uczucie da się odnieść do zaspokojenia zmysłowego głodu, do ugaszenia zmysłowego pragnienia; jest jeszcze inny, wznioślejszy głód, jest jeszcze inne wznioślejsze pragnienie, człowiekowi zarówno wrodzone, a które on usiłował oddawna umiejętnością zaspokoić. Nie wyobrażenie względnej korzystności spowodowało go do tego, ale iskra, którą z nieba przyniósł — nie ubieganie się za celami znikomemi, ale wpojone weń wyobrażenie boskości.»

By snadniej pojąć, dla czego uczucie boskości jest początkiem filozofji, musimy nieco wyżej myślą zasięgnąć i wysledzić źródło wszelkiej wiedzy. Człowiek jest ogniwem, łączącym przyrodę z bóstwem, świat z przyczyną świata. Tak między wiecznością, a czasem między nieskończonością i miejscem zawieszony człowiek przez cały ciąg życia swojego patrzy, myśli i rozważa. Instynktem zaspakaja wymogi swojej organizacji, ale więcej niż instynktem, bo wrodzonym myśli popędem wymogi swojego umysłu stara się zaspokoić. Najgwałtowniejszą umysłową potrzebą jest wiedza. I w istocie, dziwne położenie człowieka jako istoty w dziwnym porządku wszechświata, niepojęte stosunki jego z innemi ogniwami tego wielkiego łańcucha, walki zresztą, które od kolebki staczać musi — wszystko to musiało koniecznie położyć w człowieku zaród owej niepowściągniętej żądzy, zetknięcia się ducha z bóstwem i przyrodą dla nabycia jasnej i sumiennej wiedzy o związku światów Ja i Nie ja. Samo nawet życie człowieka okazuje, iż on nieustannie do wiedzy dąży i dążyć musi. Bo czem jest życie, jeżeli nie ciągłą walką materji z duchem, walką o byt, walką bez przerwy? Walka ta, w skutkach swoich uważana, ogólne przeznaczenie ludzi wyjaśnia nam nieco. W kim materja bez oporu górę bierze, ten myśl swoją wyobrażeniami użyteczności i pożytku wyłą-

cznie zaprzęta. Kto przeciwnie zbyt żywo czuje przewagę ducha, zwykł ziemskością pogardzać. Ten żył najwięcej, co mu w ciągu podróży życia przyswiecają błyskawice, wyłęgłych w sercu namiętności, będących plodem długich, krwawych, równosilnych zapasów materji i ducha. Bezwzględnej harmonji między materją a duchem w człowieku nawet wyobrazić sobie niepodobna. Chociaż ogólny skutek tej walki zawsze jest jednaki — kończy się ona bowiem na zmianie przeznaczenia materji — przecież w ciągu swego trwania w niezliczone obfituje wypadki. Człowiek na łonie matki staczać ją zaczyna — w łonie ziemi ją kończy. To i jakże więc w tem nieustannem zwichrzeniu, w tym zamęcie uczuć, umysł obojętnym świadkiem walki zostać może? To i jakże niema głównie starać się o to, żeby walczące żywioły objąć, zjednoczyć ten początek wiedzy — to źródło niewstrzymanego onego popędu do przeniknięcia myślą świata Ja i świata Nie ja.

Człowiek z uwagi nad sobą samym odniósł zyskiem tę tylko smutną prawdę, że ma potrzeby i że je zaspokoić musi. Ztąd początek wszystkich praktycznych wiedzy wyłęgłych w umyśle człowieka, a które w większej części zasadzie użyteczności życie swoje winny. Z poglądu na świat Nie ja i z odniesienia wiedzy ztąd pozostałych do swojego Ja, człowiek bujniejszy plon zebrał. Uczucie niedoleżności swojej nawiodło go na tę myśl, że nie on jest alfą i omegą stworzenia. Więzy zmysłów umysł kłępujące nieznosnie, więzy praw, zwyczajów, przyzwoitości towarzyskich i innych podobnych ustaw, wolę jego kłępujących nieznosnie; nikłość zresztą jego organizacji, nie pozwalająca mu wybiegać po czasiasne szranki czasu i miejsca — wszystko to kazało mu tęsknić do jakiegoś urojonego, idealnego bytu, które mu przeczcucie boskości wskazywało. Tam to człowiek na łonie wieczności i nieskończoności uragać tym więzom i przemarzyć ma sen bez końca. To utęsknienie do czegoś lepszego zrodziło filozofję, która się wprzód w postaci objawienia, w postaci religji okazała. Wkrótce jednak człowiek zapragnął swoje marzenia jeżeli nie urzeczywistnić, to upłodnić przynajmniej. Jedną ręką sięgając ku bóstwu, a drugą ręką ująwszy przyrodę, usiłował zespolić się z niemi. Jeżeli dotąd nie doszedł jeszcze do tego, to już przynajmniej znacznie się

zbliżył, bo stosunki swoje z bóstwem, z przyrodą, jednym słowem, filozofję swoją już bez pomocy symbolów i zasłon mistycznych, jeżeli nie rozumieć, to przynajmniej czuć i pojmować może.

W naturalnym zbiegu rzeczy pielgrzymstwu polskiemu najwłaściwiej się należały próbki filozoficzne w kraju rzucane a nierozwinięte; widzenia Śniadeckiego, Gołuchowskiego i Kamińskiego z dawniejszych — Mochnackiego, Libelta, Kremiera i Ehrenberga z późniejszych, dalej prowadzić i rozwijać. Właśnie też za granicą, we Francji, Polak Wroński zwracał był uwagę cudzoziemców swemi matematyczno-filozoficznemi dziełami. Pielgrzymstwo więc polskie znalazło się od razu w obec swojego filozofa.

Co najprzód, pisze mi szanowny nasz spółziomek Duchiniński, autor świeżo ogłoszonego dzieła: *Zasady dziejów Polski i innych krajów sławiańskich* — uderza w dziełach Wrońskiego, tak matematycznych jak filozoficznych, to czysto w najwyższym tonie polski ich początek, równie jak i koniec, chociaż Wroński pisał przy najniezasłużeńszym zapomnieniu swych ziomeków w ciągu około 50 lat. Uderza następnie jego zupełnie rewolucyjny, jak na czas, w którym zaczął pisać, sposób zapatrywania się na środki oswobodzenia ojczyzny. Wroński ośmielił się oświadczyć publicznie, że dla odzyskania niepodległości Polski bagnety są rzeczą podrzędną, że myśl wyższa niż siła materialna najważniejszą jest ku temu drogą; a mówił to on i pisał wtenczas, kiedy cała Polska liczyła swe wyzwolenie na bagnety Napoleona?

Lecz i Wroński, chociaż filozof, zaczął swe życie od wiary w siłę bagnetów, i tej to wierze winien był zaszczyt, że w r. 1794 jako oficer artylerji bronił przedmieścia Warszawy, zwanego Czyste, przeciwko Prusakom — i tej to wierze winien, że został wraz z naczelnym wodzem powstania jeńcem moskiewskim w bitwie pod Maciejowicami. Ten waleczny obrońca szanów na Czystem, ten moskiewski jeńiec z pod Maciejowic, przy podniesieniu swej myśli do prawdziwej filozofji nie mógł upaść. Jakoż całe życie następne Wrońskiego jest dalszym godnym ciągiem obrońcy Czystego i jeńca z pod Maciejowic. Takim był rzeczywiście Wroński aż do zgonu swojego 1853 r.

Wprawdzie przeszedł i ów nasz mędrzec chwile jakiejś niepewności nawet co do środków służenia ojczyźnie. Z największą szczerością opowiada, że po bitwie pod Maciejowicami przyjął stopień moskiewski, lubo nie czynną służbę u Moskali, i dla okazania stopnia upadku moralnego Polski w tych czasach, opowiada ze zgrozą, że widział członków najznakomitszych polskich rodzin, czołgających się w przedpokojach Suwarowa. Wreszcie był pieszczony przez Moskali: ci podnosili go w stopniach, tak, że prędko został podpułkownikiem, chociaż nie był w czynnej służbie.

Wiadomość o legionach, tworzących się we Włoszech, co znaczyło powołanie Polaków do czynnej służby, zastała naszego filozofa gotowym. Mimo wszelkich obietnic moskiewskich, mimo otrzymania honoru być prezentowanym carowi Pawłowi, Wroński opuszcza Rosję i idzie na życie tułaczę, bo tam gdzieś daleko, we Włoszech, zatrąbiła trąbka polska i zabębnilo po polsku.

Zatrzymany w Niemczech, przygotowany do wyższych badań społecznych jako Polak, Wroński oczarował się nauką niemiecką o prawie. Zaczął więc badać prawo pod względem najprzód praktycznym, potem pod względem filozoficznym, następnie poświęcił się czystej filozofji. A kiedy sobie przypomnimy, że już odznaczył się jako oficer artylerji, doskonały inżynier i matematyk w obronie szanów warszawskich, przedtem nim zaczął badać prawo i filozofję, tedy możemy mieć przekonanie o nadzwyczajnem bogactwie naukowem przed 1800 r., i że więc prace jego późniejsze nie mogły być tylko czystym idealogiem.

Ale najpiękniejsze i nad wszystko wzorowe było życie tułaczę Wrońskiego, kiedy już jako filozof uniwersytetów niemieckich przybył do Paryża, by zdać raport ze swych prac dawnemu swemu wodzowi Kościuszce i wodzowi nowo tworzących się legionów polskich, Dąbrowskiemu. Było to w r. 1800. Dąbrowski wysłuchał filozofa i dał mu miejsce w legionach, co dowodzi, że przedstawienie się Wrońskiego Dąbrowskiemu nie było czerzą formą. Mimo swych już innych dążeń, Wroński udał się do Marsylii, by połączyć się z oddziałem* legionów, który wówczas był na załodze w tem mieście. Tam w wolnych od zajęć służbowych chwilach, Wroński napisał tegoż 1800 roku dwie broszury; jedną

z popędu swego: Bombardjer i krytyka czystego rozumu, a drugą na żądanie Dąbrowskiego: O potrzebie przywrócenia Polski do niepodległości dla szczęścia Europy.

Widać ztąd, że i Dąbrowski był godzien rozkazywać filozofom i że miłą była służba Wrońskiemu pod takim generałem, który umiał wydawać rozkazy odpowiednie zdolnościom.

Odtąd, to jest od roku 1800, Wroński stale szedł za myślą Dąbrowskiego w ciągu 53 lat, to jest aż do śmierci swojej.

«Widziałem ja — mówi on w jednym z licznych dzieł swoich — że rozkaz generała Dąbrowskiego był nadzwyczaj trudny, bo ówczesna Europa straciła była zmysł moralności politycznej; że aby udowodnić potrzebę przywrócenia Polski przed narodami Europy, należało zmienić zasady nawet ówczesnej wiedzy ludzkiej.»

Jaki był początek, taki był też i koniec prac Wrońskiego, tak matematycznych jak i filozoficznych, chociaż Wroński łączył te dwie gałęzie wiedzy ludzkich. On to pierwszy określił *posłannictwo tułaczy polskich w godle: «Przez pracę dla Polski, przez Polskę dla ludzkości.»

Dla czego o dziełach Wrońskiego tak mało mówią uczeni francuzcy, matematycy i filozofowie? Dla przyczyn następnych. Najprzód: Wroński pierwszy może po Pitagoresie osnuł swoją filozofję na matematyce, okazał te dwie nauki nierozdzielne, kiedy filozofowie francuzcy przypominają zdanie Platona, że najwyższa matematyka jest tylko szczyblem do filozofji; nazywają filozofją łada rozumowanie, a co najgorsza, pogardzają matematyką, kiedy znowu matematycy francuzcy nie radzi widzą w dziełach Wrońskiego matematykę w sprawach filozoficznych. Po drugie i to przyczyna ważniejsza: że wszystkie prace matematyczne i filozoficzne lubo razem wzięte, mają na celu Polskę i wyswobodzenie Polski. Tu uczeni francuzcy widzą politykę, a więc podejrzewają filozofa o wyłączny patriotyzm, chociaż on wcale wyłącznym nie jest, bo nawet Moskwie zapowiada wielką przyszłość, jeżeli Moskale wzniosą się do poczucia swojej wielkości. Trzecia przyczyna: zazdrość i zawiść, niestety

wszędzie brużdzące — a czwarta: osobisty, często nawet drażliwy charakter filozofa.

Zostawiając specjalne ocenienie dzieł Wrońskiego specjalistom, niepodobna pominąć milczeniem, iż pomimo, że główną cechą pism jego jest polskość, zwraca się on w nich jednak i prawi nie tylko do narodów sławiańskich w ogólności, usiłując wykazać im wielkie powołanie i posłannictwo w przyszłości — ale nawet do najzawziętszych i najcięższych nieprzyjaciół tej Polski i tej Sławiańszczyzny: do cara moskiewskiego, króla pruskiego i cesarza austriackiego. Dla niejednego czytelnika te odezwy, acz w gruncie nie zmieniają w charakterystyce prac Wrońskiego, już przez to samo, że potrzebują objaśnień dla oceniających zasługi autora, są tylko dowodem, że i najtęższe jenjusze nie umieją czasem otrząść się z uprzedzeń i zachcianek, które sprawiają, że głos ich, który właściwie i gdzieindziej skierowany, mógłby nieocenione przynieść korzyści, przechodzi jak echo na pustyni.

Z uczniów i naśladowców Wrońskiego najgłośniej zasłynął Antoni Bukaty; lecz że jego język do przedmiotu w samym sobie już wielce zawilego, jakby naumyślnie, zamiast rozstrzygania jasno rzeczy zawitych, zawile został stworzony; publiczność przeto nie mogąc ich zrozumieć, nie mogła do nich przywiązywać należytej wartości; że jednakże umysły umiejące pokonywać i odgadywać największe zawiłości, prace Bukatego inaczej oceniły; że Mickiewicz zaliczył je do znakomitych politycznych utworów wieku dziewiętnastego, a Wroński nie wahał się zaszczyścić ich powtórzeniem w swych obszernych, a kosztem rządu francuzkiego wydanych dziełach — to jest dowodem, że musi być w nich pewny zasób znakomitej, specjalnej wartości.

Głośniejszym był Bronisław Trentowski, profesor przed 1831 r. w Szczuczynie, a na tułactwie profesor w Fryburgu badeńskim. Trentowski zaczął początkowo pisać po niemiecku i dla Niemców tylko; dopiero 1843 r. zaczyna pisać po polsku, na wezwanie i zachęcenie z kraju, zazdroszczącego Niemcom swego spółziomka. Pierwszem z tych dzieł była: Chówannna, czyli Pedagogja, początkowo także napisana po niemiecku dla Niemców, a drugim Myślini czyli Logika, za którymi z kolei szły już inne, mniej lub więcej filozoficzne

albo polityczne, a nawet polemiczne, według tego jak autorowi czas się zdawał do filozofji, polityki lub polemiki stosowniejszy. Z jaką myślą występował przed polską publicznością ten nasz z Niemiec wracający filozof, wypowiedział zaraz w Chowannie:

«Naród polski nie pojął przeznaczenia, do którego Bóg go powołał, i istniał tylko że istniał, jako nieświadoma roślina, jako próżniak. Jego przeznaczeniem było zająć najgodsze miejsce na czele Sławian, odsłonić ich jaźń w literaturze i czynach, utworzyć bok trzeci w trójkącie, którego dwoma bokami są ludy romańskie i germańskie, wpłynąć na Europę mądrością i dzielnością jej szczepu. Byliśmy już mocarstwem pierwszego rzędu, staliśmy wysoko i zyskaliśmy sympatję nam pobratymczych narodów. Bóg popychał nas prawie, ale ślepi byliśmy na własną chwałę i szczęśliwość. Upadliśmy zatem. Dziękujmy Hozjuszowi, Jezuitom i złotej naszej wolności! Rosja zajęła dziś nasze miejsce i dowodzi codziennie, że przeznaczenie swe pojęła. Cóż dla nas pozostało? Oświeceńsi jesteśmy od Rosji i mamy pod tym względem pierwszeństwo nad nią. Rzućmy się zatem do światła i umiejętności, puśćmy się na drogę postępu! Stańmy się Altyką sławiańską! Światło jest dziś dla nas najdzielniejszą przeciw wrogom bronią, bo światło jest orężem Europy, która tryumfuje nad Azją. Polacy! Uchwyćmy za miecz światła, ten miecz Cherubina Bożego! Bliskość Niemiec jest nam do tego bardzo pożyteczna. Stojąc w równi z oświatą Europy, będziemy mogli z okoliczności politycznych korzystać i Bóg poda nam rękę swą na nowo!... Powstaniemy raz, skoro będziemy kochali światło, religję i narodowość; skoro wejdziemy na drogę postępu i okażemy się Europie godnymi istnienia; skoro pielęgnować będziemy w sobie język ojczysty i zachowamy w sobie zdolność do patriotycznych ofiar, jak dotąd. Nie przestajmy być Polakami, a potrafić zasłużyć sobie na Polskę! Nienawidźmy jak szatana tego wszystkiego, co nas zabiło; pożegnajmy się raz na zawsze ze starymi przesądami, a przedewszystkiem dajmy chłopstwu wolność i prawo obywatelstwa! Lud nasz przypuszczony do światła, człowieczeństwa i obywatelskiej swobody, odświeży ojczyznę i natchnie ją nowym życiem. Szukajmy światła, bo to jest dziś wszystkim w Europie.

Noc należy do Tybetu, do Japonji, do Azji; słońce postępuje na ziemi tylko od wschodu na zachód. Idźmy więc za naszym słońcem!...

«Czem zbawić Polskę? Bratnią zgodą, a ta jest córką światła, poznania osobistości. W ostatnich czasach rzucamy się wrzeczono na łono narodowości i smakuje nam tylko to, co jest narodowe. Śliczny to popęd! Potrzeba przecież narodowość zrozumieć. Zła to narodowość, która pieści się z dawną ojców naszych ślepotą, z dawnymi wadami, co kraj zgubiły, która pogardza wszelką zagranicnością i zasklepia się w rzeczach li polskich, jako ślimak w swej skorupie...»

Takie było założenie wstępne nowego filozofa polskiego. Założenie ważne z potrzebami narodowymi zgodne. Lecz że Chowanna podobnie jak wszystkie inne dzieła autora, jako wszystkie przedmioty w zakresie filozofji wchodzące obejmująca, i same z siebie niezwykajnie obszerne, nie mogą wchodzić w zakres niniejszego przeglądu, tej więc tylko strony dotknijmy, która ściśle z zamiarem się naszym łączy.

Wychować dziecko polskie na rzeczywistego, a więc dobrego Polaka, oto jest co być winno alfą i omegą filozofji polskiej, jako pedagogiki narodowej polskiej, co z każdej jej stronicy, z każdego jej wiersza, wyrazu, z każdej głoski wybijać się powinno. Sądźmy, że autor Chowanny zgodzi się z nami w tym względzie, ale my z nim w pojmowaniu obowiązków Polaka zgodzić się nie możemy. Zkądże to pochodzi? Czy z różnicy rozumienia, co jest złem a co dobrem? Bynajmniej. Możemy nie wiedzieć równie co jest złem, a co dobrem w ogóle, i w tem każdy z nas może mieć inne zdanie, ale wszyscy, jak powiada sam autor Chowanny, mamy tak zwane sumienie, to jest: mamy głos wewnętrzny bóstwa w nas mieszkającego i dobrem istnem się czującego. Głos ten jest nieomylny, bo głosem jest całej w nas zamkniętej ludzkości, bo głosem jest boskim. Słuchając tego głosu, możemy w każdym pojedynczym znaczeniu wiedzieć, co jest dobrem, a co złem; możemy czynności nasze, lub blizkich naszych dokładnie osądzić i nigdy się nie pomylić. Sądy przysięgłych składające się nie z prawników, ale ze zwykłych zacnych obywateli, wydają najsprawiedliwsze wyroki. *Vox populi, vox Dei*. I tak my sądzimy, tak sądzić musi każdy sumienny człowiek. A czyż

rozstrzygnięcie, co jest dobrem w Polaku, czyż skreślenie powinności dobrego Polaka nie jest zadaniem w pojedynchem zdarzeniu? Jest niem zaiste, i to jest właśnie, w czym my wszyscy Polacy powinniśmy być zgodni ze sobą. Owoż według nas w obecnem położeniu Polski ten jest tylko rzeczywiście dobrym Polakiem, kto około wyzwolenia ojczyzny swojej Polski szczerze i bezprzerwanie pracuje; ten tylko na rzeczywiście dobrych Polaków dzieci polskie wychowuje, kto je na szczerych i niezmordowanych obrońców Polski sposobi. Zaszczepić w sercu młodzieńca polskiego tak wielką miłość ojczyzny, że się przed żadnem dla niej poświęceniem nie wzdrygnie; zrobić zeń tak dzielnego, czynnego i zapalnego obrońcę, że nie spocznie, aż Polskę z jarzma wyzwoli — oto najpierwsze zadanie pedagogiki polskiej, oto jest, co autor jako Polak-Emigrant stale mieć był powinien w pamięci. Na nieszczęście autor postąpił sobie inaczej, i gdzie tylko może, oburza się na poświęcenie. To podług nas największy błąd filozofa, najgorsza jego strona; to grzech, dla którego nie masz rozgrzeszenia bez szczerzego żalu i bez szczerzej jak żal pokuty. Można być niezdolnym do poświęcenia, można go nie podzielać; ale powstawać, ale bluźnić przeciwko poświęceniu innych nie wolno. Nie udało się Żaliwskiemu wyprawa do Polski, padł ofiarą szlachetnej myśli Konarski, ale czyż przeto nie ma być świętą ich pamięć? Nie tak sądzi kraj i pielgrzymstwa polskiego ogół; kraj i pielgrzymstwo czci owszem swoje ofiary, wielbi męczenników swoich i pamiętkę ich święci. Tej wielkiej, pięknej, szlachetnej, a zarazem niezbędnej i najkonieczniejszej dla Polski cnoty poświęcenia nie osłabiać, nie niszczyć, ale ją wzmacniać i gruntować w sercu polskiej młodzieży trzeba. Zostawmy co moskiewskiego Moskalowi, a co niemieckiego Niemcowi; nie stawajmy po stronie nieprzyjaciół naszych, nie wyręczajmy ich w siewbie, której oni nie szczędzą, czyli nie rzucajmy sobie i dzieciom naszym pytania: «I cóż dobrego zrobili Puławski, Zaremba, Morawski i inni Konfederaci barscy?» — jak to czyni autor Chowanny.

A mniejsze razić może być może w ustach pielgrzyma polskiego zapytanie: «Pielgrzymstwo nasze wysyłało gwałtem emisariuszów do kraju — po co?» Autor zapewne jako filozof, pedagog i profesor niemiecki, mógłby o tem nie

wiedzieć. W tem nic nawet nie było dziwnego. Ale jako Polak, jako polski emigrant, jako człowiek polityczny, a nade wszystko jako patriota polski powinien był wiedzieć koniecznie. Jeśli nie wiedział, a niewiedomość nie jest grzechem jeszcze, to przynajmniej jako professor logiki przez proste uszanowanie logiki nie powinien był za pielgrzymstwo polskie odpowiadać: «Samo tego nie wiel!» Pielgrzymstwo polskie wie snąć niektóre rzeczy, o których widać ani się śniło filozofowi i autorowi Chowanny; przedewszystkiem wie, co się od niego ojczyźnie należy.

Z całkiem innemi naukami filozoficznymi wystąpił filozof z Wielkopolski, Karol Libelt, i przetoż w poczuciu narodem zaraz za narodowego filozofa w kraju i na pielgrzymstwie uznany — i z wielce różnemi także drugi filozof krajowy, również z Wielkopolski, August Cieszkowski, a z którego dzieła Ojciec nasz, jakó na pielgrzymstwie drukowanego, a więc w zakres nasz wchodzącego, przywiodę oto taki mały wyjątek:

«Święty Boże! Cóż się dzieje w świecie? Jakże uroczco, jakże obrzydliwie razem! Zewsząd prawda się wykuwa, a kłamstwo przemaga wszędy. Stroi się świat jakby na gody, przy pogrzebowem łkaniu głodzonych lub mordowanych narodów. Morze rokoszy — i ocean cierpienia! a przy rokoszy nuda — rozpacz przy cierpieniu! Powołani, obsiedli rozpustne życia biesiady, a niepowołanym przekazali zgrzytanie zębów na ziemi — a w ziemi wspólne grobowisko; bo mędrzy tego świata wyrzekli, że dla nich u stołu świata nie stało już nakrycia. W sprawach publicznych prywatą — w prywatnych zakala. Próżność się święci — a cnota próżnuje. Świeckie ramię zewszetecniało — duchowe zgrzybiało. Bożego słowa każdy używa albo nadużywa — ale nikt w niem nie żyje i ono nie żyje w nikim. Braterstwo ludzi i ludów się głosi — a kaimowe zbrodnie przeszły od ludzi do ludów. Tu postęp występkiem — owdzie występkiem postępem. Tu życie silne a nikczemne — owdzie konanie nikczemne a silne. A to życie pozorne, bo już śmiercią zarażone — a tam to śmierć pozorna bo już zapłodniona życiem!

«Oto przed nami nieprzypuszczane cuda przemysłu — oto niedomyślane skarby nauki — oto rosnące wciąż ślady

olbrzymiej i gorączkowej pracy — oto zbytki, o jakich się nigdy Sybarytom nie śniło — oto siły, a jakich nawet wyobraźnia bajecznym Tytanom przypisać nie śmiała! A przy tem wszystkim lud i ludy łakną — pragną — i jęczą wzdychaniem niewymownem! Na cóż się to wszystko zdało? Do czegoż to prowadzi? Cóż opatrzyła nauka uczonych? Cóż zarobiła praca robotników? Co zakupiło złoto bogaczy? Co wywalczyło bohaterstwo narodów? Cóż obmyśli nareszcie łyż tyłu pokoleń? — Święty Boże! Cóż się dzieje w świecie?»

Takie jest wejście wstępne do tego znakomitego dzieła, a zaś takie po wszechstronnem złego i dobrego rozpatrzeniu i ocienieniu, rozwinięciu prac społecznych:

«Czyliżby więc minęły już wszystkie uragany społeczne, każdemu przesileniu właściwe? Czyliżby już przebyte być miały wszystkie boleści porodu? Czyż istotnie już tylko budować, a nie zrzucać — już tylko tworzyć, a nie walczyć wypada?»

«Spytajcie się znowu tych, którzy przy dawnym stoją — to od nich także zależy. *Caveant consules!*...

«Niestety! znając ich zapamiętały upór — wątpimy; aczkolwiek z całej duszy pragniemy — z całej duszy błagamy!

«Błagaliśmy słabych, aby utajonych sił swoich nie nadużywali — błagamy przemożnych, aby nie nadużywali jawnej mądrości swojej.

«Wy, którzy wstrzymujecie postęp ducha ludzkości, na miłość Boga! przestańcie — bo jak Bóg Bogiem, to wam się na nic nie przyda!

«Czyż nie dość już jęków wydała pierś ludzkości, czyż nie dość też oczy jej łez wyroniły? Cóż wam z tego przyjdzie, że ich trochę jeszcze więcej wyciśniecie!

«A przemódz?... nie przemożecie — przytłumić?... nie przytłumicie — ani rada, ani zdrada — jak Bóg Bogiem, nie wam nie pomoże!... bo to sprawa boża.

«Cierpiała dotąd ludzkość i mocno cierpiała, ale dziś cierpi mocniej niż kiedykolwiek, bo dochodzi właśnie do świadomości swego cierpienia i nieodosowności.

«Cierpiała dotąd, lecz cieszyła się myślą, że cierpienie jej jest nieuchronnym losem — jej fatalnem tegoczesnem

przeznaczeniem — że powinna cierpieć na ziemi, aby pocieszyć się w niebie! Cieszyła się więc już na tym świecie ową nadzieją innego świata, innego żywota. Otóż daliście upaść tej nadziei, a nie chcecie się dać wznieść innej; daliście podkopać wiarę za świadectwo pocieszenia, nie pomyślawszy o żadnem światowem pocieszeniu!

«Lecz oto rzeczywiste przeznaczenie ludzkości na ziemi objawia się w tej chwili. Przeczucia i żądze tego przeznaczenia już od sporego czasu miotają jej duchem; konwulsje ostatnich czasów są tylko wybuchami tychże; aż oto nim zakosztuje ludzkość owocu z drzewa żywota, spożywa do szczytu owoc z drzewa świadomości. I otwierają się jej oczy i widzi biedna, że jest naga!...

«I myślicież może, że się ona zawstydzi? O, nie! Nagość świętej męczennicy jest jej jasną chwałą. Kto inny się za nią zawstydzi.

«O, wstyd wam! o, hańba wam! którzy czuwacie nad społeczeństwem ciałem, jeśli ten widok obnażenia, ta świadomość cierpienia ludzkości nie wzbudzi w nas woli ratunku — czynu wybawienia! Hańba wam i ohyda — nie więc! to zaiste dosyć — to ostateczna, bo wieczna kara wasza. Resztę daruje ludzkość — ale sromu waszego z księgi żywota zmazać wam nie zdoła. Sam nawet Wszechmocny przebaczyć może popełniony czyn — ale nie byłym uczynić go nie zdoła. Kara więc wasza krwią i łzami zapisana, pałac będzie na wieki w rocznikach świata, w tem wiecznem piekle sromoty, którego ogień nigdy was nie strawi. Drżycie więc, aby ludzkość nie wyrzekła strasznego nad wami przekleństwa: Hańba wam na wieki!

«A chwała Bogu na wszech wysokościach, a spokój na ziemi ludziom dobrej woli!...»

Dla dopełnienia tego obrazu naszej filozofji z czasów ostatnich, nieuniknioną jest rzeczą poświęcenie słów kilka filozofom, swoje zasady głównie na religji i nawet teologii opierającym.

Jest to prawdą powszechnie wiadomą i przyznaną, że każde głębsze rozmyślanie prowadzi do rozmyślania nad religją — i nieledwie powiedziećby można, że ostatecznym celem ukrytym lub uznanym wszelkich systematów filozofi-

cznych i wszelkich sporów politycznych, jest rozstrzygnięcie kwestji religijnej.

«Filozofja religji — słowa są jednego z bezimiennych pisarzy emigracyjnych — jest umiejętnością rzeczywistą i pożyteczną, opartą na obserwacji tak jak każde gruntowniejsze zatrudnienie umysłu, wynagradzającą trudy, przynoszącą owoce. Umiejętności tej nie obala owo zdanie, że wierzyć trzeba, a nie rozumować — bo prawdziwa filozofja religji nie będzie roztrząsać, w co wierzyć można, a w co wierzyć nie należy — ale raczej będzie opisywała naturę wiary, jej znaczenie i przeznaczenie. Jest to rzecz dostępna rozumowi, bo zresztą pamiętać trzeba, że jest rozum i rozum.

«Różne są rozmowy ludzkie, a rozum ludzki jest dwojaki. Jest najprzód rozum zwyczajny, racjonalistów bóstwo, niby władza rozumowania, rozumek, logizm niedołężny, a zaufany w sobie, dziennikarz i archiwista rozumu ludzkiego, w swoje rubryki wszystko umieszcza. Wszystko? Nie. Numera tylko i szkielec wszech rzeczy. Taki rozum jest bezwzględny i wyłączający, to jest w sprzeczności zostaje z innymi kierunkami duszy ludzkiej i umysłu ludzkiego, z wiarą, imaginacją i z uczuciem. W swoim zakresie taki rozum jest użyteczny, jest stróżem prawdy; zewnątrz tego zakresu zgubny, do fałszywych wniosków prowadzi. Zwyczajny rozum, jeżeli jest główną władzą w człowieku, wyciska na jego charakterze osobne piętno. Taki charakter jest bardzo wyraźny i łatwo go opisać. Racjonalizm bywa często połączony z materializmem. Godnym uwagi poety byłby charakter człowieka, którego racjonalny zapal przechodziłby w namiętność. Takiego człowieka nie możnaby już nazwać zimnym i nieczułym. Taki charakter byłby spokrewniony nieco z daleka z Faustem i Manfredem. Jest drugi rozum, rozum wyższy. Jest jakaś sfera, gdzie się sprzeczności godzą. Do takiej wysokości rozum ludzki może się wnieść, i wtedy wielkim rzeczom podola. Wtedy nie będzie w sprzeczności z uczuciem, ani z wyobraźnią. Tak jak w duchu chrześcijańskim przez pokorę dochodzimy do wzniosłości, tak samo rozum ludzki przez naukę, czyli ciągle oświecanie się dojdzie do wyższej pojętności. Rozum wyższy jest rozumem uszlachetnionym, rozumem swobodnym. Pierwszym krokiem do uszlachetnienia rozumu jest, że uzna swoją słabość i granice

swoje opisać. Na skrzydłach nieufności w siebie wysoko podleci. Taki rozum bardzo wszechstronny nie nie wyłącza. W dyspacie i w sylogizmach bardzo mu niewygodnie. Taki racjonalizm wcale niepodobny do racjonalizmu zwyczajnego. Z takim tylko rozumem wiara się zgodzi, a z takim rozumem nigdy.

«Nauka Hegla jest bezwątpienia racjonalną. Jego uczniowie nie wypierają się racjonalizmu. Najgłówniejsza tej nauk zasada (po Szellingu dziedzictwo): że jest jakaś kraina, gdzie się sprzeczności jedną, czyli, że pod pewnym względem wszystko jest identyczne, (po staremu: ostateczności stykają się). Ta zasada nie jest dziełem zwyczajnego rozumowania, ale pogodnej obserwacji pogodnego rozumu. Jest to jednak nierozumną chępliwością Heglistów, że się chwala, jakoby mistrz wszystkie wątpliwości rozstrzygnął i nad sceptycyzmem do milczenia zmusił; że już po Heglu żaden wielki i twórczy filozof powstać nie może. Bo rozum ludzki, choćby najbystrzejszej i najswobodniejszej pojętności, nie zdoła wytłómaczyć wszech rzeczy doskonale i ostatecznie. Bo przeznaczeniem jest rozumu ludzkiego, że doskonali się, chociaż nigdy zapewne do doskonałości nie dojdzie; nie przystoi więc stawiać mu mety ostatecznej i ograniczać jego postęp; bo wreszcie jak rozum jest dwojaki, a sceptycyzm wyższy, nie tak łatwo do milczenia zmusi. Nie! Heglizm sceptycyzmu nie zwyciężył, przynajmniej nie zniszczył go do szczytu...»

Do rzędu pielgrzymów, którzy na tej drodze filozofji religijnej w ostatnich czasach pracowali, należą: Józef Ordęga i Ludwik Królikowski; lecz że pierwszy z nich pomysł swoje, które w dziele: O narodowości polskiej z punktu widzenia katolicyzmu i postępu, ogłoszonem w r. 1840, rozwijał następnie wraz ze współmyślicielami swoimi w czasopiśmie: Demokracja dziewiętnastego wieku — a zaś drugi swe widzenia w przypisy do Dziesięciu obrazów złane tłómaczył, wykladał i objaśniał w swych pismach: Polska Chrystusowa; mówić przeto o nich, uważam za rzecz właściwą wtenczas, kiedy mówię o stowarzyszeniach, oraz czasopismach emigracyjnych będę.

Z kolei, acz w zarysach i przelotem tylko, wspomnieć wypada o naszych na pielgrzymstwie rektorach czyli krasomówcach; bo pielgrzymstwo polskie miało także swój bardzo

głośny i bardzo świetny, a przez długi czas wolny i swobodny parlament.

Obchody 29. listopada, konstytucji 3. maja, rocznice zwycięstw na polu bojów, żałoby na grobach pielgrzymów, sekcje i gminy stowarzyszone, bywały ku temu otwartem i wszechstronnem polem. Język też polski jeden prawie z najjędrniejszych i najwymowniejszych, jakie Bóg w usta ludzi włożył; wzory, jakie na tej niwie z przeszłości od przodków przekazane zostały, wyzywały i zachęcały potomność do próbowania na niej sił swoich. Właśnie Maurycy Mochnacki ogłosił był swe dzieło: «Powstanie narodu polskiego, do którego dołączył Głos obywatela z Poznańskiego do senatu Królestwa Polskiego, z okazji sejmów sejmujących, bezimiennie w owym czasie po całej Polsce krążący. Pielgrzymstwo polskie z podziwem rozglądało się w świeżych narodowych wypadkach, z niesłychanym talentem przedstawionych, i z zapalem powtarzało sobie «Głos obywatela Poznańskiego», który serca sądzonych swoich braci senatorów polskich natchnął i poruszył tak zaszczytnem i poważnem postanowieniem.

«Ażaliż to dziw jaki, senatorowie, że w takim stanie rzeczy o innej ojczyźnie bezpieczniejszej, o nowej Jerozolimie pocziwi i pobożni rozmyślają? Cóż to dziwnego, że z pociechą w sercu słuchali syońskiej pieśni? Cóż dziwnego, że Bóg sprawiedliwy wlał w ich serce otuchę, że oświecił rozum ich i zapalił w nich wolę do pełnienia przykazań Jego? Oto widziecie w pośród nas, jakby dla pokrzepienia zwątlonych nadziei, jakby dla rozniecenia tlącej iskierki, na łomach i gruzach nieszczęśliwej Polski błysnęła myśl wielka, okazała, poważna, wichrzona i ścigana od obcej napaści. Znaląwszy w pocziwych sercach przytułek, znowu wyszła na jaw z ukrycia i zabrzmiiała szeroko na wszystkie strony, tysiące prawych synów ojczyzny ku sobie pociągając. Senatorowie! Podacież tę myśl w niesławę wyrokiem, który uczynicie na szkodę narodu, a z pożytkiem dla wrogów tej ziemi? Prze-minieź ona jak sen marny, niepoznana od swoich? — Boże nie daj, żeby się to ziściło! Te same przyczyny, które zagnają obcą dumę do łudzenia lub wygrożenia na was wyroku potępiającego, aby zasiłiły w sercach waszych cnotliwą chęć omylenia zdradzieckich nadziei. Wiedźcie o tem, starcy,

że myśl połączenia w jedną całość rozerwanych części ojczyzny naszej, jest ostatnią, jeszcze niedobytą twierdzą, w której się obwarowała dola nasza. To jedno stoi nam teraz za skarby, za ziemię utraconą, za liczne zbrojnych hufców zastępy; w tem jednym mieszczą się bujne nasiona przyszłej dzielności naszej. Jest w tej myśli tarcza bezpieczeństwa publicznego, jest wzięcie zemsty łupieżców, jest kara za przeszłe i teraźniejsze winy, jest sąd, jest dekret na bezbożnych, zaprzędanych, odrodnych. Rozszerzać ją jakimkolwiek bądź sposobem, sama roztropność radzi, a rozkazuje zakon, wypisany na sercach pocziwych i pobożnych ludzi, który i wy pilnie przestrzegać macie; bo najpierwsze prawo jest przyrodzone, nadane od Boga słabszym ku obronie przeciwko silniejszemu, dla rozkrzewienia miłości dobra powszechnego. Trwa ten zakon i trwać musi, póki rozum i ludzie trwają. Wszelkie sprzeciwianie się jemu zbrodnią jest, a zelźnienie tych, co gorliwie przy nim obstawali, byłoby szatańską niegodziwością. Obrońcy oskarżonych rodaków przepomnieli, albo też może nie śmieli dotknąć w pismach swoich tej ważnej okoliczności, której okazanie w sprawiedliwym świetle silniej zapewne wpłynęłoby na wasze zdanie, niżeli wszelkie prawne wywody. Daleki od podobnej bojaźni, wyznaję szczerze, że nie według prawa pisanego, a tak różnemu wykładowi podległego, jak są różne chęci ludzkie, ale według najwyższej ustawy *salus patriae*, tę sprawę rozstrzygać należy. Całość ojczyzny nierozdzielna! Słowa te potrzebne, dzielne i nad miecz z obu stron ostrzejsze, a nad wszystkie ptaki i anioły prędsze, przelecaż jak wdzięk miedziany mimo uszu waszych? Ażaliż wydrzecie tę duszę z ciała Rzeczypospolitej, aby owej zwłoki tem snadniej zdeptać i potarać mogli nieprzyjaciele nasi? Co skoro ziści się — a nie dopuść tego, Panie! — biedną głowę moją do końca życia mego na znak żałoby popiołem posypywać będę; przywdzieję włosiennicę i osiadłszy gdzieś na puszczy, narzekać będę, że rodacy, senatorowie, wybrani starsi ojcowie ludu, nie pomnąc na potomność i sławę u postronnych, ostatni, śmiertelny cios zadali wspólnej rodzicielce i karmicielce naszej. Natenczas współziemian i braci moich zachęcać będę, jednych, żeby za moim szli przykładem, drugich, żeby przed całym światem obwiesili: jako za sprawą waszą już się

Polska nigdy z upadku nie podniesie! Senatorowie! wy zapewne odgadniecie, co to jest ojczyzna, owa Jerozolima, owa święta ziemia obiecana pobożnym i wiernym, którzy się nie kłaniają cielcom i nie ofiarują im? Zaprawdę, nie jest nią ta piaszczysta przestrzeń Mazowsza, ani Wisła przerzynająca niezmiernie okiem równiny wasze, ani stolica, ani wspaniałość w niej siedliska władz rządowych — ale jest nią owa wielka myśl niepodległości politycznej i nadzieja, że się kiedyś za przewodnictwem i pomocą bożą w jedną nierozdzieloną sprzężymy całość, że będziemy twierdzą Europy, pogromem dla złych sąsiadów i wybranym Sławiańszczyzny ludem. Te tylko wyobrażenia, senatorowie, są dzisiaj Polską. W coż się przebóg obrócić, jeżeli je napiętnujecie kaźnią niewiasty? Któżby po takim wyroku miłował ojczyznę, skrobąc samą myśl wyrwania jej z łupieżkich szponów uznali za zbrodnię zakazaną prawem? Jużby wtenczas śmiało rzec trzeba, że nie na sejmie grodzieńskim, kiedy nieprzyjaciele Rzeczypospolitej działa i sprzęty wojenne obrócili przeciwko izbie radnych panów, nie pod Maciejowicami, ani w falach Elstery — ale teraz w obec was, na sądzie sejmowym Polska zginęła!»

Rzeczy, że prowadzący z tak niezaprzeczonym talentem ciąg dalszy opisu listopadowego powstania narodu polskiego, przez Mochnackiego poczęty, Ludwik Mierosławski odziedziczył po historycznym poprzedniku swoim również krasomówczą palmę. Po raz pierwszy wystąpił on jako taki na pierwszym obchodzie za granicą rocznicy powstania 29 listopada w Besançon roku 1832, mając ledwo lat 18. Już wtenczas uderzył słuchaczy hardością wystowienia, błyskiem farb i żywością obrazów. Występował potem na licznych uroczystościach, zarządzanych z powodu rozmaitych okoliczności na pielgrzymstwie, zawsze z zajęciem słuchany. Wszakże po wejściu swem do Towarzystwa Demokratycznego polskiego i następnie do władzy jego, owocześnie Centralizacją zwanej, poczuwszy się na stanowisku rzeczywistym, rzeczywiście zajaśniał. Jego mowa miana na obchodzie rocznicy listopadowej 1845 roku, zapowiedziała w nim mowę, po której obrona przed sądem pruskim na polskich więźniów stanu w Berlinie nikogo już nie zdziwiła, lecz przyjętą została przez Polskę, przez pielgrzymstwo polskie i cały

świat czytający, jako hołd znanemu już talentowi mówcy należy.

«Ach, Panowie! — słowa były jego — jeżeli to jest konspirować, złorzecząc gwałtowi, zdzierstwu, potwarzy, pastwieniu się nielitościwemu i głuchemu mocnego nad słabym;

«Jeżeli wasza zemsta karna ściga przykrępowywanie się do wszystkich szczątków wiecznego rozbicia;

«Jeżeli to jest uczestniczyć w sprzysiężeniu, że konając od lat ośmdziesięciu na krzyżu, pojeni żółcią i octem, nie możemy, jak Chrystus, ni zstąpić do spoczynku otchłani, ni się przemienić na gorze przyszłości. Jeżeli to jest zbrodnią kraju, wydobywać się wszystkimi władzami, jakimi Bóg obdarzył najsłabsze żyjątka, z nieznosnej męki, w której nas zgębionych trzymają kongresa, byśmy się wzajem nie pożarli z wściekłości i rozpacz;

«Jeżeli obrona swojego życia i praca około swojego wywobodzenia prowadzą na kajdany i na śmierć.

«No! to takim sposobem nie my sami tylko, ale Polska cała konspiruje. Sprowadźcie więc całą Polskę przed te kratki; przyprowadźcie tu wszystkich świętych i wszystkich bohaterów naszych; przyprowadźcie to wszystko, co drży, to wszystko, co złorzeczy dniowi swego urodzenia i wewnętrzności swojej matki, na tym obszarze szerokim niewoli, który nazywają Polską; rozprzestrzeńcie ściany tej izby na cztery krańce świata; albowiem wszędy kości Polaków poległych za odkupienie swojej ojczyzny wołają o spółników i mścicieli!

«Takim prawem czyliż nie konspirują wszyscy: i dziecko, co słucha powieści o rzezi Humanii i Pragi, i starzec, co mu ją opowiada, i ci co pamiętają, jak wasi ojcowie przyszli razić naszych z tyłu na polach szczekocińskich i wolskich, gdy ci zasłaniali przyszłość Niemiec i Europy przed wylewem Moskwy? Czyliż także nie zbuntowali się ci, co umieli umknąć przed toporem Szeli i szubienicą siedlecką? Są li czy nie winni zdrady kraju ci wszyscy, co nie wąpili jeszcze o sprawiedliwości boskiej i co apelują od trybunałów ziemskich do trybunału jego świętych obietnic? A jeżeli tak jest, to dla czegoż tak mało konspiratorów, buntowników, zdrajców kraju w tej izbie? Gdzież są inni?

«Śledztwo zapuściło na chwilę swe sieci w rzekę niezmierną, niewysychalną, niezgruntowaną naszego wzburzenia, by ztamtąd wydobyć na los 260 ziarn piasku, które podobało się oskarżeniu wynieść do zaszczytu męczeństwa. I wy, Panowie, sędzicie nareszcie, żeście się dobrali do tego zła piekielnego, radykalnego, co mąciło jego nurty i zacerwieniło?

«I toż wy nie widzicie, że abyśmy posoką, krwi naszej zdrojami i łez naszych nie obryzgiwali bez ustanku oblicza świata chrześcijańskiego, potrzeba by wysuszyć samo źródło tego wzburzenia? A to źródło krwawe, cóż to ono jest, jeśli nie rozbiór naszej ojczyzny? Więc cóż w ogóle znaczy mniej więcej 260 ziarn piasku dla tych niewysuszalnych, wiecznych następstw tej starej całopalni? Czyż się zmaże stoletnią rewolucję, potarłszy po niej gąbką, namoczoną w żółci jakiegoś tam kodeksu?

«Nie dziwcie się, panowie, jeżeli powtarzamy bez ustanku, jeżeli powtarzamy aż do ustania tchu, że nas karzą nie z powodu naszego oporu, ale z powodu wynagrodzonej, srogiej krzywdy, jaką nam wyrządzają od lat blisko stu. Ależ bo się podoba bezustanku zapominać o tem; bo się chętnie odwraca głowę, by nie widzieć, że każde wstrząśnienie, które miota Polską, jest jeno odbiciem koniecznem i nieodpowiedzialnem gwałtów dokonanych na niej przez też same mocarstwa, które temu się dziwią.

«Istota najbojaźliwsza, najłagodniejsza, którą zechcesz zadusić pod nogą, będzie się srożyć przeciw zniweczeniu i zużyje ostatnie siły, by się odeprzeć, kłusując to, co ją dusi. A wy chcecie, aby naród cały, aby olbrzym pogrzebany żywcem w trumnie zbyt ciasnej, nie wstrząsał do ostatniego tchu srogiej deski, co mu kaleczy serce? Alboż to Tytany śpią spokojnie pod górą, któremi zazdrość jowiszowa przywalała ich rozpacz? Alboż to jest winą tych biednych wydziedziczonych, jeśli jęk wiekowego ich konania przebijając kraty grobowe, głuszy czasami ucztę autokraty niebios? ...»

Sędziowie niemieccy nie dozwolili dokończyć oskarżonemu więźniowi polskiemu z prawa mu należącej obrony. Obrażliwą się ona zdała dla słuchu przygłuszonego urzędników pruskich sumienia — ale dosłyszało i rozumiało ją ucho

uciśnionego nawet samego ludu niemieckiego, skoro z takim zapalem w chwili szlachetnego wylewu 1848 r. lud Berlina witał wyzwolonych polskich zbrodniarzy stanu, przez swych sędziów głuchych i zapamiętałych na miecz i katusze skazanych.

KURS DWUNASTY,

1860 r.

Krótki okres godzin dwunastu nie pozwolił mi zastanowić się nad wielu ważnemi przedmiotami obszerniej. Rozwój najważniejszej części prac pielgrzymstwa polskiego, jego usiłowań, poszukiwań, sporów, prób i w skutku tych, wyrobienia i przyjęcia obowiązującej myśli, która się w licznych na pielgrzymstwie stowarzyszeniach i liczniejszych jeszcze od tych przeróżnaitych ich organach, rozwijała i kształciła, jako przedmiotu wielce rozległego, zostawić muszę późniejszemu czasowi i przechodzę do ogółu prac pojedynczych w dopełnieniu obrazu dotąd rozwijanego — do historii.

Historja polska, jak filozofja polska, streszcza się na tułactwie — tak, na tułactwie! bo wyraz: za granicą, nie miałby tu znaczenia. Różne różnym narodom dała Opatrzność bodźce do szukania prawdy i poznawania jej wartości duchowej; nam pielgrzymom dała tęsknotę za rodzinnym krajem; miłość ojczyzny dała wszystkim. Ten jest nasz główny bodziec do szukania prawdy, ten nasz nieomylny prawdomierz do ocenienia wartości prawd zdobytych. Wroński, pierwszy z Polaków, który badał rzeczy filozoficznie, był popchnięty do tych badań miłością ojczyzny. On szukał prawd, które rządzą światem fizycznym i moralnym, drogą czystego rozumu, aby usłużyć ojczyźnie. Podobnie i pierwszy nasz badacz dziejów ojczystych, ten, który całkowicie odpowiadał nowym wysokim pojęciom o historii i jej krytycznym bada-

niom, Adam Czarnocki, znany więcej pod imieniem Zorjana Dołęgi Chodakowskiego, winien swoje pomysły, które stanowią epokę w historii naszej rozwoju nauk historycznych, także miłości ojczyzny, i także, jak Wroński, swojemu życiu tułaczemu.

W ostatnich latach pisarze krajowi dosyć zajmują się życiem twórczej u nas krytyki, godnej tego imienia; wszyscy piszą o Czarnockim-Chodakowskim, podnoszą się do zapалу najszlachetniejszego — i tu jest największy dowód ważności prac jego dla całego narodu naszego. Z równym zapalem przyjęte zostało i pierwsze pismo naszego badacza, wyszłe w roku 1818 pod nazwą: Sławiańszczyzna przed Chrześcijaństwem. Dzisiaj tytuł ten byłby przyjęty obojętnie, bo dziś nikt nie wątpi o istnieniu Sławian w Europie przed Chrystusem. Lec w czasach około roku 1818 rzecz ta była nowa, a patriotyzm autora nadał jego pismu piętno teraźniejszości, bo w całym niem wiara w przyszłą wielkość Polski czuć się daje najsilniej. Polska — mówił on — nie jest tylko częścią ziemi; Polacy nie są narodem przybyłym do Europy, jak Turcy w czasie jakimś dobrze oznaczonym; przyszli oni w czasach niepamiętnych, przed-chrystusowych, i mają dość jeszcze życia w sobie na czasy nadzwyczaj długie, a na żaden inny naród nie zamieniają się. Taka treść pierwszego pisma Czarnockiego czyli Chodakowskiego, i tę to treść, tę myśl rdzenną zrozumiał cały nasz naród.

Poprzednio czynne dla służby ojczystej życie Czarnockiego nadawało szczególnie miłą barwę pismom jego. Urodził on się właśnie, kiedy Wroński opuścił obóz Suwarowa i zaczął swe nauki prawa i filozofji w Niemczech. Chorągiew nasza wygnana z ziemi ojczystej, powiewała na obu kończynach Europy; widziała tę chorągiew cała Polska, słyszała bęben wzywający do broni; co żyło, biegło na wyzwanie walczących braci. W takim usposobieniu umysłu zbliżał się rok 1812. Przyszły nasz badacz umiał zatrzymać popęd swój wojenny dla usłużenia braciom i ojczyźnie. Korzystając z okoliczności znajdowania się głównego sztabu armji moskiewskiej w Bobrojsku, z przezornością węża, a z niewinnością gołębie wstępuje do służby nieprzyjaciela, a pojawiając najważniejsze plany nieprzyjacielskie, idzie do swoich do Włoch; ale na drodze stoi Austria. Emigrację młodzieży z kraju do Włoch

i Francji tak były liczne wówczas, że rząd austriacki wydał rozkaz wcielania do pułków na prostych żołnierzy wszystkich mogących się pochwycić emigrantów. Pochwycony był i nasz ziomek wraz z pięciu swoimi towarzyszami i na wszystkich dopełnionem zostało bezprawie austriackie. Przez mnóstwo przeszedłszy kolei, dostaje się do legionów, i szczęśliwy! wraca już do drogiej ojczyzny, wraca z bronią w ręku. Lecz przeszedłszy koleje armii francuskiej, ranny przy przeprawie Berezyny, wpada w ręce Moskali. Był pewny, że go rozstrzelają, i może prosił Boga o przyspieszenie męczeńskiej śmierci za ojczyznę; ale jako jeniec wysłany został na wygnanie. Po kilku latach wrócił do rodzinnego kraju, lecz osiadł nie na Białej Rusi, gdzie się urodził, ale na Wołyniu.

Wtenczas to zaczął on szukać Polski w grobach jej ziemi i szukał z całą wiarą w świetniejsze odrodzenie ojczyzny, jak była dotąd od czasów jeszcze przed-chrystusowych. Sam sposób jego poszukiwań był w Polsce zupełnie nowy. Przepędziwszy długie lata na badaniu w książkach, odrzuca książki, bierze sukmanę chłopską i kij w rękę, chodzi od chaty do chaty wieśniaczej, podsłuchuje pieśni gminne, uważa przesady, podania, kopie groby — a wszędzie widzi jedność Polski, jej niezmierną siłę duchową. Wtenczas to chcąc zcharakteryzować nowy sposób badania dziejów ojczystrych, porzucił dawne imię i nazwał się Zorjan Chodakowski. Pierwszy wyraz przypominał mu nową zorzę dla ojczyzny — drugi trudy, jakowym się poświęcał. Sama trzecia nazwa Dołęgi, chociaż mamy i herb tego imienia, u naszego badacza oznaczała potrzebę odgrzebywania znaczenia starych wyrazów.

O wykryciu przez naszego badacza planów moskiewskich w Bobrojsku, pierwsi mówią uczeni moskiewscy: członek akademii petersburskiej Köppen i wydawca moskiewskiego słownika encyklopedycznego. Moskale mówią o tem bez pośpiechu Czarnockiego; pierwszy literat czeski Zapp ocenił to inaczej, a za nim poszło wielu innych.

Lecz te przykrości naszego badacza musiały być dolegliwsze, które pochodziły od oświeceniowych klas społeczeństwa na Wołyniu, aniżeli od włościan — bo jak mówi Wiszniewski,

ci ostatni mieli Zorjana za jakiegoś szpiega, czelaka podejrzanego, a tamci za warjata.

Po kilku latach pracy Zorjana Chodakowskiego, dowiaduje się o nim książę Adam Czartoryski i poleca go Razumowskiemu, ówczesnemu ministrowi oświecenia w Rosji, prosząc o opiekę rządową dla jego poszukiwań. Razumowski porucił rozpatrzenie badań Chodakowskiego jednemu z literatów moskiewskich, Kołajdowiczowi, w skutek przedstawienia którego uznanym został za fantastę, a pomoc rządowa była mu odmówiona; aż nadszedł rok 1823, w którym Chodakowski nagle umarł w drodze. Że śmierć jego przypadła w czasie okropnych prześladowań Nowosilcowa, ztąd powstało podejrzenie, że Czarnocki odjął sobie życie, obawiając się więzienia: myśl, o której czas zawyrokuje.

Jakkolwiek bądź, legionista nasz zaczął i skończył życie na czynnej służbie ojczyźnie, a chociaż pierwsze jego pismo wyszło z druku w kraju, należy ono jednak do tułactwa naszego. My tułacze od tylu lat domyślać się możemy, że Czarnocki nie kochałby tak ojczyzny, gdyby nie był na wygnaniu; zresztą on w swym rodzinnym kraju pędził życie tułacz. O! któż z prawych Polaków powiedzieć może, że nie jest obcym i w własnym kraju, póki kraj jest obozem nieprzyjaciół.

Nadzwyczaj bogate, nadzwyczaj uczące nas jest życie Czarnockiego. Jego badania naukowe, zaczawszy od sposobu badań, stanowią epokę w dziejach rozwoju u nas badań o nas samych. Nie możemy tu wchodzić w szczegóły tych badań; powiemy tylko, że on tem jest w poszukiwaniach historycznych, czem Brodziński u nas w rozwoju poezji. Czarnocki tem wyższy od Brodzińskiego, czem wielki historyk wyższy od wielkiego poety.

Czarnocki natchnął myślą Wawrzyńca Surowieckiego, który uczoną, że takby powiedzieć można, poezję w Sławiańszczyźnie swego poprzednika ułożył w ścisłe naukowe ramy w rozprawie noszącej nazwę: O pochodzeniu, zwyczajach i obyczajach starożytnych Sławian. Surowiecki okazał, że w czasach bardzo odległej starożytności byli i w Ilirji, a nawet we Francji, pod imieniem Wenedów Sławianie; że główna ich jednak siedziba, ojczyzna w Europie, była w Polsce, i że z Polski wyszły wszystkie dzisiejsze

narody sławiańskie. Szafarzyk, znakomity uczony Sławak (nie Czech), przetłumaczył rozprawę Surowieckiego na język niemiecki i dodał swoje uwagi. Sławne w całym świecie starożytności sławiańskiej Szafarzyka są rozwojem tylko tego jego dzieła o Surowieckim. Szafarzyk nowymi dowodami wsparł myśl Czarnockiego, popartą przez Surowieckiego, i okazał jeszcze lepiej, że główna siedziba Sławian w Europie, że ojczyzna ich jest nad Wisłą, że tu przechował się najrzetelniej żywioł sławiański. Zadanie najważniejszych badań Szafarzyka mało bardzo na nieszczęście znane i oceniane dotąd przez uczonych polskich.

Poszukiwania naszych uczonych szkoły Czarnockiego odkryły tajemnicze dotąd dzieje Moskali. Punkt ten jest tem ważniejszy, że Moskali liczy się około 40,000,000, wtedy kiedy wszystkich pozostałych Sławian liczy się takąż liczba, i gdy Moskałe mówią jednym językiem sławiańskim, druga połowa Sławian mówi dziewięciu językami, a te języki dzielą się na mnóstwo narzeczy.

I w rzeczy co do wyjaśnienia stosunków Moskali do Sławian, kraj nasz i świat naukowy winien to tulać. Toż bracia nasi z kraju nie zazdrościli mu owej chwały! Drogo ona okupiona!

Niepodobna włączyć się w szczegóły; wskazać tylko można tu punkta najważniejsze, które poważna krytyka historyczna zbadała i przyjęła jako pewniki dla ocenienia stosunków Sławian do Moskali, a które są mało znane. Dzięki pracom Jana Potockiego, a szczególnie Czarnockiego, Surowieckiego, Lelewela, a z nowszych badaczy dzięki Maciejowskiemu, Moraczewskiemu, Bielowskiemu, Szajnosze, Duchiniowskiemu i innym, dzieje ojczyzny naszej zaczęły być znane nawet w czasach przed-chrystusowych, a mianowicie od piątego wieku ery naszej, to jest od wieku, w którym Herodot zwiedził południową część Polski. Ten ojciec historyków starożytnych i nowożytnych jest pierwszym historykiem ziemi naszej i narodu naszego. Zostawił on opis Polski południowej, opis nadzwyczaj doskonały, szczególnie co do ducha i charakterów cywilizacji jej mieszkańców, równie i co do mieszkańców Moskwy. Od Dniestru do Donu i dalej ku wschodowi mieszkają — mówi on — Scytowie; ale Scytowie różnią się w duchu i charakterze: ci, którzy mieszkają od

Dniestru do Dniepru i trzy dni drogi za Dnieprem, są Scytowie rolnicy, a dalej mieszkający są Scytowie koczujący. Ta jest podstawa wszystkich dalszych rozumowań uczonego greckiego o mieszkańcach Polski i Moskwy, i taż sama podstawa jest panującą w dzisiejszych stosunkach mieszkańców dawnej Polski, to jest do Dniepru i cokolwiek za Dnieprem z jednej, a mieszkańców Moskwy z drugiej strony. I dzisiaj, jak za czasów Herodota, od zachodu ku wschodowi o kilka dni drogi za Dnieprem, kończą się posiadłości narodów, w których życiu dziejowem przeważa duch i charakter cywilizacji narodów czysto rolniczych, ze wszystkim dobrem i ze wszystkim złem, jakowe są połączone z przeważającym życiem rolniczym. Również i w Moskwie teraz, jak za czasów Herodota, na Donie u Kozaków dońskich, przeważa żywioł niewolniczy, oraz koczowniczy; nie tylko na Donie, lecz i w samym sercu Moskwy, w dawnym Wielkim Księstwie Suzdalskiem, to jest w guberniach: Moskiewskiej, Włodzimierskiej, Kostromskiej, Jarosławskiej, Niżegorodzkiej, bardzo żyznych, przeważa żywioł pastersko-kupiecki, a wcale nie rolniczy.

Oto jest pierwszy walny pożytek, który przyniosły badania dziejów naszych i dziejów Moskwy z czasów starożytności. Widzimy tu, że jak w piątym wieku przed Chrystusem, tak i teraz mieszkańcy z nad Dniepru byli obcy Moskalom w duchu i charakterze cywilizacji; różnili się oni przed dwudziestu kilku wiekami, tak jak i dzisiaj się różnią nasi Żydzi od chłopów. Widzimy nadto, że z czasów najdawniejszych mieszkańcy przeddnieprzańscy, rozdzieleni dynastjami, byli ściśle połączeni nie tylko jeograficznie, ale w najgłówniejszych zasadach życia narodów, w duchu i charakterze cywilizacji, bo iż i Nadwiślanie okazują się rolnikami w czasach najodleglejszej starożytności, jest pewnem.

Wyjaśnienie tego to punktu winniśmy pierwszym badaczom naszym w wieku naszym.

Drugie pytanie było: W jakim stosunku byli do siebie Przydniepranie i Moskałe z potrzeb swoich wypływających z pochodzenia? Na to pytanie odpowiadają dzieje starożytne nie tak jasno; lecz same następstwa zdarzeń każą się domyślać, że Scytowie zwani rolnikami, byli Polanami oraz Lechami, wyrazy znaczące właściwie: mieszkańców pól i łą-

sów, właścicieli grzędy, roli, pola, lasu. Gdy przeciwnie, Scytowie pasterze koczujący byli narodem uralskim, najpewniej Czudami, których imienia Grecy inaczej oznaczać nie mogli, jak stosownie do jenzusu ich języka, to jest: Skajtami czyli Skotami, pasterzami. Słuszność tego wniosku okazał w nowszych czasach Szafarzyk, uczeń Czarnockiego i Surowieckiego.

Z szóstego wieku mamy już świadectwo Jorenandesa, bo wyraźnie mówi, że od Wisły do Dniepru mieszkają Wenedzi, z których mieszkający od Wisły do Dniestru zwani byli Sławianami, a mieszkający od Dniestru do Dniepru Autami. Za Dnieprem i na północy, w krainach Niesławiańskich, pomieszcza on Czudów, Wezę, Merę, Mordwę, Czeremiszę w których wszyscy znakomitsi badacze, i polscy i moskiewscy i cudzoziemscy, widzą Czudów, Wezę, Merę, Mordwę, Czeremiszę, które Nestor, nasz kronikarz kijowski, pomieszcza w Moskwie nad Jeziorem Białem, w Rostowie, i t. d.

Mamy więc i z szóstego wieku ery naszej dowody o jedności mieszkańców Przydnieprzańskich i Przywiślańskich, oraz dowody różnicy ich od mieszkańców Moskwy.

Od jedenastego wieku mamy już narodowych kronikarzy, mianowicie Nestora. Nestor wyraźnie mówi o jedności Sławian naddnieprzańskich z nadwiślańskimi i o niesławiańskości Moskali.

Godne uwagi, iż pisarze moskiewscy, polscy i cudzoziemscy, powołujący się na Nestora, zdają się nie postrzegać, że Nestor na pierwszych stronicach swej kroniki mówi: że Polanie kijowscy i Nowogrodzanie, oraz między ich krajami mieszkający Drewlanie, Siewierzanie, Radymiczanie, Wiały czanie, płacą dań Rusi, ale Rusinami się nie zowią. Że imię Rusi było za Nestora jeszcze imieniem czysto politycznem, tak jak są w Europie dzisiejszej tylko czysto politycznymi imionami imiona Austrii i Turcji. Rusinami, Rusią zwali się za czasów Nestora głównie Waragowie, Rusini, Skandynawi, to jest plemię panujące, chociaż nieliczne, jak u nas przez czas jakiś Sarmaci. Za Karpatami Madziary, a dziś jeszcze, niestety! po rozmaitych prowincjach polskich rozlany germanizm lub moskwicyzm. Co ważniejszego nad to, Nestor wyraźnie mówi: że mieszkańcy Moskwy, Wez, Mera, Mu-

roma, i t. d., także płacą dań Rusi, ale także nie zowią się Rusinami i nie mówią po sławiańsku.

Tę właśnie zasadę, że i mieszkańcy Moskwy, chociaż zostawali połączeni z Naddnieprzanami i Nowogrodzanami przez Rusów, Waragów i dynastję Ruryka, nie byli przecież Sławianami, ale Uralczykami, i że nie mówili jeszcze po sławiańsku za czasów Nestora jest najpoważniejszą podstawą badań o stosunkach Moskali do Sławian w czasach dawnych i nowych.

Nie nie zdaje się być więcej dziwnego tym z naszych pisarzy, którzy uważają języki za główną podstawę stosunków międzynarodowych, jak ta myśl, że Moskale dzisiejsi mówiący po sławiańsku, są potomkami Wezy, Mery, Mordwy, i t. d., to jest Uralczycy.

Pytanie to ważne nie tylko w dziejach Polaków i Moskali, ale też i w dziejach wszystkich narodów indyjsko-germańskich i uralskich, zostało jasno postawione przed sąd Europy jeszcze w wieku zeszłym przez uczonych niemieckich. Od pierwszych chwil badań dziejów, stosunków mieszkańców Nowogrodu, tuż Sławian przydnieprzańskich i przydnistrzańskich do Moskali za czasów panowania nad tymi i nad drugimi książąt dynastji Ruryka, uczeni niemieccy położyli zasady, które wskazaliśmy, to jest, że w dziejach Rusi w związłym do trzynastego wieku potrzeba rozróżnić trzy narody: Rusinów, Waragów, czyli Skandynawów, Sławian w Nowogrodzie, na Dnieprze i na Dniestrze, i Moskali Uralczyków w Moskwie.

Niedostatek u nas krytyki historycznej z jednej, a starania gabinetu petersburskiego z drugiej strony, sprawiły, że prawdy o jedności mieszkańców Rusi (wyjawszy Waragów do czasu zlania się ich z poddanymi), z mieszkańcami Polski, o różnicy pierwszych od Moskali, nawet do XIV. wieku w głównych warunkach życia dziejowego narodów zostały zapomniane; a w ocenianiu dziejów Rusi i Moskwy do XIV. wieku historycy nie widzą jak tylko jedność dynastji Ruryka i tę to jedność pochodzenia książąt Rurykowiczów, Rusinów, Waragów, którzy zostawili imię narodowe, nad którymi panowali, uważając za jedność tych narodów; tak, jakby kto wziął jedność w pochodzeniu książąt dynastji Burbonów za jedność narodów, nad którymi Burbonowie panowali i panują.

Na te wielkie błędy w wiedzy dziejów naszych ojczystych, bo Ruś właśnie stanowi wielką część Polski, zwróciło uwagę tułactwo polskie, szczególnie znakomici uczeni stróże podań ojczystych, między tułaczami, mianowicie: Lelewel i Mickiewicz.

Patryarcha wszystkich prawie patryarchów uczonych europejskich, ten, którego Szafarzyk nazwał nauczycielem wszystkich dzisiejszych nauczycieli w wielu punktach dziejów starożytnych: Lelewel, pierwszy okazał, że ani tubylcy Rusi Sławianie, ani Moskale Uralczycy nie nazywali się Rusinami nie tylko w IX. i w X., ale i w XI. wieku; że wojny naszych Bolesławów z Rusinami nie były wojnami między Polanami nadwiślańskimi, ani naddniestrzańskimi, lecz wojnami pierwszych przeciwko Rusinom, Szwedom. Szwedami albo-wiem byli to Rusini z okolic Upsala.

Pod panowaniem zaś Rusinów Moskale byli Uralczykami.

Na nieszczęście Lelewel lepiej okazał na mapach swoich Polski, wydanych z dopiskami francuzkiemi, aniżeli w samym tekście dziejów Polski. Nadto Lelewel, idąc za podaniem szkoły Naruszewicza, wyłączył z dziejów Polski dzieje Rusi do XIV. wieku; nawet Rusi z Przemyśla, z Halicza, z Brześcia Litewskiego, z Grodna, tak, że i on miał na celu w swoich dziejach nie dzieje tworzenia się państwa polskiego, ale dynastyczne i tylko Piastów, jak to uczynił Naruszewicz. Na ostatek i sam Lelewel niedość jasno, niedość stanowczo określił znaczenie Litwy pogańskiej w dziejach połączenia się jej z Polską i nie wypowiedział, co się stało z Moskalami, to jest, jakim sposobem przyjęli język sławiański. Ztąd to i w pracach Lelewela prawie wszyscy pisarze i opinia publiczna nie przestaje łączyć Rusinów Waragów ze Sławianami w IX. do XIII. wieku, nie przestaje widzieć jedności między Sławianami, nad którymi panowali Rusowie, a Moskalami, nad którymi także panowali Rusowie. Co do Litwy, błąd jest w tem, że pisarz i opinia publiczna nie robi różnicy między Litwą właściwą, nie mówiącą po sławiańsku, a Litwą polityczną, kiedy prawdą jest, że nawet w sławnych stolicach litewskich, w Wilnie i w Nowogródku, tubylcy nie umieli po litewsku. Nie umieli po litewsku ani Kościuszko, ani Kniaziewicz, Niemcewicz, ani Mickiewicz, ani umieją z żyją-

cych między nami tułacze Litwini: Chodźkowie, Wrotnowscy i inni. Tak było i w XIV. wieku. Połączenie się więc Litwy z Polską było właściwie połączenie się Sławian, a właściwie Lechów z nad Dźwiny, z nad Berezyny, z nad Dniepru, z Lechami nadwiślańskimi.

Czuł tę prawdę wszyscy Litwini, czuł ją szczególnie silnie Mickiewicz; lecz i on nie okazał onej z należytą pewnością w swoim odzywaniu się do Litwy; dał myśl, że istotnie jest jakaś Litwa poetyczna, obca narodom sławiańsko-lechickim.

Mickiewicz pobłądził także w ocenianiu różnic między Polakami pod względem siły, ich życia prowincjonalnego, pobłądził bardzo, bo powtarzamy, nie umie po litewsku, nawet w stolicach Litwy, w Wilnie i Nowogródku. Lecz Mickiewicz tem silniej dał poznać różnicę między Rusią a Moskalami, okazując nie sławiański, lecz uralski pierwiastek tych drugich. On pierwszy z Polaków okazał praktycznemi dowodami, że nawet Małorusini są bliżsi Hiszpanów i Anglików, aniżeli Moskali w głównych charakterów warunkach ich cywilizacji. Mickiewicz pierwszy dopatrzył fińskość Moskali nawet w języku ich sławiańskim, w pismach ich, i on pierwszy rzekł, że nie należy oskarżać monarchów moskiewskich o wszystko złe, które popełnili, gdyż i monarchowie moskiewscy byli pod wpływem swoich poddanych pochodzenia uralskiego.

Te prawdy rozwijał Mickiewicz najjaśniej w lekcjach swych końcowych; lecz i tu nie rozwinął stosunków Rusi do Polski w wiekach średnich. Nie powiedział tego, kiedy Moskałe zaczęli umieć po sławiańsku, i jakie to były silne okoliczności, które sprawiły te rewolucje w Moskwie. Od lat kilkunastu pracuje nad wyjawieniem tych pojawów spółziomek nasz Duchński. Udowodniwszy nowemi wyjaśnieniami słuszność zasad Lelewela i wszystkich poważnych historyków o różnicy Rusinów od Sławian na Dniestrze i na Dnieprze nie tylko w IX., w X., w XI. i w XII. wiekach, okazawszy właściwe miejsce Litwy pogańskiej za czasów Jagiełły, zwrócił on szczególną uwagę na stosunki Sławian, Rusi do Polski i do Moskwy; oraz udowadnia, że Moskale nawet w gubernjach Moskiewskiej i Włodzimierskiej nie zaczęli mówić po

sławiańsku jak około XIII. wieku; że do XIII. wieku przeważał u nich poganizm i język ich fiński.

Przytoczmy z dzieła jego powody, które zmusiły, lub które ułatwiły Moskalom przyjęcie języka sławiańskiego.

U dzisiejszych mieszkańców Moskwy — mówi on — przeważa żywioł pasterski, kupiecki nad rolniczym. Taki charakter cywilizacji przeważał u mieszkańców Moskwy z czasów najdawniejszych. Już Herodot, który w V. wieku przed erą naszą zwiedził Scytję ówczesną, robi tę uwagę: że od zachodu do Dniepru i trzy dni drogi za Dnieprem żyją narody rolnicze; a dalej ku wschodowi, o trzy dni drogi za Dnieprem, żyją narody koczownicze. Historyk rzymski Tacyt przedstawia Finnów jako naród koczujący, a Karamzyn, jak widzieliśmy, ma mieszkańców Moskwy za potomków Finnów Tacyta. Narody, w których przemawia żywioł rolniczy, z wielką trudnością uczą się obcych języków; przeciwnie, narody, u których przemawia życie pasterskie, kupieckie, uczą się języków obcych z wielką łatwością. Trudno się uczą obcych języków i narody góralskie. Ta trudność i łatwość wzrastają w miarę stopnia siły żywiołu rolniczego, lub pastersko-kupieckiego. Stan pastersko-kupiecki mieszkańców Moskwy nadzwyczaj ułatwiał rozszerzenie się panującego u nich języka sławiańskiego od końca X. wieku; połączenie małej części Uralczyków moskiewskich z wielką ilością Sławian pod rządem książąt jednej dynastji.

Dla wyjaśnienia rzeczy co do rozszerzania się języka sławiańskiego u Moskali, zapominać nie należy, że mała tylko pierwotnie była część Moskali pod panowaniem Rurykowiczów. Wojsko, jakie w dani Rusom dawał Moskał, przebywało w ziemiach sławiańskich, w Nowogrodzie, na Dnieprze, gdzie były główne stolice książąt ruskich. Od XI. wieku język sławiański zaczął przeważać u Rusów nawet i został językiem rządowym. Ktokolwiek z Uralczyków chciał się zbliżyć do narodu panującego, musiał uczyć się po sławiańsku. Takowe uczenie się nie było dla nich trudnem, jak to widzimy i teraz w nadzwyczajnym postępie sławiańszczenia się Uralczyków, dotąd nieposławiańszczonych w mowie (lecz w mowie tylko).

Rozszerzenie się u Moskali religji chrześcijańskiej z języ-

kiem sławiańskim w obrządkach religijnych było zmuszone, jak wszystkie polityczne instytucje.

Powiedzieć można ogólnie, że teraz razem z sobą postępują w Azji, na granicach Moskwy: panowanie monarchów moskiewskich i język sławiański, który szybsze postępy robi, niżeli religja chrześcijańska. Tak było u Wezy, Mery i Murowiny. Jednakże religja chrześcijańska ustalała dawniej i ustala teraz język sławiański u Uralczyków. Dla tego język sławiański nie zaczął brać zupełnej przewagi nad językiem narodowym Moskali, jak około XIII. wieku.

Te są głównejsze okoliczności, które ułatwiły rozszerzenie się języka sławiańskiego w tej mniejszej części Uralczyków, w Moskwie, która była pod panowaniem książąt ruskich przed napadem Mongołów w XIII. wieku.

Były jednak i inne, mniejszej wagi okoliczności, które towarzyszyły rozszerzaniu się języka sławiańskiego w Moskwie, jako bardzo słabe szczątki Sławian, które sięgały aż za granice Rusi w głąb Moskwy, szczególnie do rzeki Oki i do źródeł Donu. Do tych szczątków Sławian należy dodać nielicznych nowych osadników sławiańskich w miastach Wezy, Mery, Muromy.

Nazywamy małolicznymi, dawnymi sławiańskimi mieszkańcami Moskwy owe szczątki Lechów przyprowadzonych z nad Wisły aż na Okę do gubernji Orłowskiej i Kałuzkiej, których największa ilość wyszła ztąd do Mezji w VI. wieku i tu była podbita przez Bułgarów w VII. wieku. Nowymi zaś osadnikami sławiańskimi w Moskwie zwiemy pojedyncze rodziny sławiańskie, które dobrowolnie lub z musu przesiedliły się z nad Dniepru i z Nowogrodu do Moskwy, w czasach, kiedy te kraje były połączone, chociaż słabo, przez książąt ruskich Rurykowiczów.

Niektórzy pisarze, nie chcący przeczyć nadto jasnej prawdzie, że w wiekach IX. i X. w Moskwie mieszkaly narody niesławiańskie a uralskie: Finny lub Czudy, Turcy i Tatarzy, a chcący przy przyjęciu tej zasady wytłomaczyć w sposób, jak im się zdaje najłatwiejszy, że dzisiejsi Moskałowie mówią po sławiańsku, dodają: że narody uralskie, moskiewskie, były nieliczne i słabe; że w wiekach XI. i XII. wypuściły swe ziemie wychodźcom z nad Dniepru i z Nowogrodu, to jest

Sławianom. Lecz przeciwko takiemu tłumaczeniu wołają i dzieje Sławian i dzieje Moskali.

Ciekawą i również wielce nauczającą jest statystyka, jaką dla poparcia niezaprzeczonych cyframi swoich twierdzeń Duchński przywodzi.

Sławianie Polski, powiada, stanowią całą siłę Sławiańszczyzny; zewnątrz Polski są słabe pokolenia sławiańskie. Polska w granicach swoich 1771 r., to jest bez Kijowa i Małej Rusi, też bez Smoleńska, liczy około 22,000,000 mieszkańców. Z tych: w guberniach zwanych zabranami, około 9,600,000; w Polsce Kongresowej 4,600,000, w Galicji około 4,800,000; reszta w Prusiech. Według pochodzenia dzielą się mieszkańcy Polski następnie: Sławian 16,000,000, Żmudzinów i Łotyszów około 900,000, Żydów około 2,000,000, Tatarów około 8, a może 10,000. Reszta Niemcy, Francuzi, Moskale, i t. d. Według religji: Katolików około 15,000,000 (licząc tu i Unitów, zapisanych do prawosławia przez Moskali; bo ci Unicy nie przestają być w uczuciach swoich obcy prawosławni); czysto prawosławnych około 2,000,000 (najwięcej ich na Ukrainie); resztę stanowią: Protestanci, Żydzi, Muzułmanie (w Litwie). Według mowy: mówiących po polsku około 15,000,000 (licząc tu i Żydów, Unitów i prawosławnych, żyjących przy dworach, przy kościołach i w miasteczkach). Pamiętać jednak należy, że mowy ruskie i tej części mieszkańców Polski w granicach jej 1771 roku, którzy nie umieją po polsku, będące w jedności z mową polską, jako sławiańskie, wyrabiały się w tej jedności od XIV. wieku; i Rusini unicy w okolicach Wilna, Nowogródka, Trok, Grodna, i t. d., używali i używają religijnych pieśni w języku czysto polskim. Według stanów: Lelewel liczy w Polsce około 3,000,000 szlachty, lecz zapewne z mieszczanami, którzy mieli niektóre prawa szlacheckie; bez tych około 2,000,000; samych mieszczan około 5,000,000 (tu 2,000,000 Żydów); resztę stanowią włościanie.

Z niepoślednią znajomością przedmiotu i niesłychanie głęboko postrzegawczym rozmysłem pracował na tej drodze August Bielowski, z tąż jak Czarnocki i za nim idący wiarą w przyszłość i przetoż ogromne pod względem poszukiwań i badań starożytności polskich położył zasługi. Nie mniejszej są wartości poszukiwania Moraczewskiego Jędrzeja, i dzieło

jego, noszące tytuł: «Dzieje Rzeczypospolitej polskiej», pozo-
stanie zawsze dowodem, jako autor miał ciągle na uwadze
postęp wolności; ztąd wiarę w przyszłość i oprócz republi-
kańskiej, innej ani w przeszłości, ani w przyszłości nie wi-
dział i nie przyjmował Polski. Ważne są także prace Kaspra
Ciągłowicza o Rusi; ważne też i Szajnoch, aczkolwiek ten
ostatni historję Rusi wyrzuca z dziejów Polski. Historia po-
wstania 1830 i 1831 r. obszernie i wszechstronnie na tulaćwie
ogładaną była. Po pamiątnikach i rozmaitej nazwy zlepkach
w polskim i w obcych językach, z poważnym o tym przed-
miocie dziełem wystąpił pierwszy Mochnacki, które następnie
prowadził Ludwik Mierosławski; lecz że go nie dokończył
jeszcze i obecnie pracować ma nad niem, rzecz więc o tem
odłożyć muszę do czasu późniejszego. Wtenczas właściwą
porą będzie oddać słuszną należną nieocenionym na tej
drodze pracom Chodźki Leonarda, Niemojewskiego Bona-
wentury, Witwickiego Stefana, Zwierkowskiego Walentego,
Wrotnowskiego Feliksa, Dembińskiego Henryka, Dwer-
nickiego Józefa, Różyckiego Karola, Kubalskiego, i wielu,
wielu innych.

Z kolei niepodobna pominąć milczeniem prac pielgrzym-
stwa polskiego na polu artystycznym; malarskiem, rzeźbiar-
skiem, architektonicznym, matematycznym, lekarskiem, mu-
zycznym i wszelkiem intelektualnem: gdzie pielgrzymi polscy
złożyli z jednej strony dowody najwyższego i najzupełniej-
szego usposobienia narodowego do wszelkich gałęzi sztuk
i umiejętności, a z drugiej okazali czynami, jak wielce poj-
mowali święty obowiązek swojego posłannictwa. Któż nie
zna i nie umie oceniać wartości prac malarskich za grani-
cami Polski: Michałowskiego, Sosnowskiego, Postępskiego,
Lewickiego, Bulewskiego, Moliniego, Nemkego, Brzeziń-
skiego, Hofmana, Malankiewicza, Falińskiego, Rodakowskie-
go, Tepy, Pawłowicza, Zalewskiego, Kwiatkowskiego, Ze-
glera, Kosaka, i t. d.?

Kto nie unosił się nad niezmordowaną gorliwością i do-
skonalszą rylca Oleszczyńskiego Antoniego, którego dzieła
dotychczasowe na krocie się już liczą; jak również brata
jego Oleszczyńskiego Władysława, rzeźbiarza i rysownika,
który porównany z bratem, narodowy swój obowiązek nie-
zmordowanie pełniący? Oraz prac w tymże zawodzie Dmo-

chowskiego Henryka, Haliburtona, Zangtalera, Zakrzewskiego, Piłińskiego, Budziłowicza, Stypułkowskiego, sztycharzy; Wyganowskiego, architekta; muzyków: Szopena, Sowińskiego, Poniatowskiego, Klemczyńskiego, Fontanny, Ordy, Wróblewskiego, Kąklich, Polanowskiej, Królikowskiej i tego mnóstwa innych; jak również prac znakomitych na polu inżynierii, medycyny, chemii i przemysłu.

W obec takiego ruchu intelektualnego czyli umysłowości polskiej na samem tłałctwie tylko, jakże dziwnie wydać się musiały wyrazy, niedawno w jednym z pism pielgrzymskich skreślone w Paryżu:

«Z zapaloną imaginacją — mówi pismo to — pod palącym niebem, z wyostrzonymi myślami, wśród ostrych ponęt, w otoczeniu natury, która pieśczętami naprzemian usypia i budzi, w otoczeniu ciał tak pięknych i piękności tak cięlesnych: ludy południowe na polu szczególniejszej rzeźby i malarstwa, stworzą arcydzieła, i równie skoro jak szczęśliwie uchwycą i wydoskonalą te głównie sztuki, w których duch na wpół się z materji wyzwala, a na wpół jej ulega, nawet się w niej rokoszuje, i gdzie myśl przedewszystkiem jest kształtem, a uczucie ledwiebyśmy nie rzekli dotknięciem. Na tem samem polu ludy północne tylko swoje wysilenia, nigdy swojej siły prawdziwie nie objawiają. Brak im do tego oniemal wszystkiego, brak im przedewszystkiem tej intuisji form, tej tajemniczej meforpedji, która od kolebki prawie, bez jego wiedzy i woli kieruje każdym krokiem i ruchem południowego mieszkańca. W surowym klimacie stępione zmysły, ani tak czujne są na zewnętrzne wrażenia, ani tak wprawne do ich zewnętrznego ukształtowania. Wszystko, co w Grecji i we Włoszech było naturą; we Francji już i w Niemczech będzie tylko kulturą, mozołnym nabytkiem, co tam przyrodzoną własnością. Im dalej na północ postąpimy, tem rzadsze pod tym względem spotkamy rzeczywiste uzdolnienia, tem większy trud i móżół ujrzymy w indywidualach, tem mniej współczucia i współdziału znajdziemy w masach. Organizacje prawdziwie artystyczne pod obłąkaną gwiazdą losu w tych stronach zrodzone, nie znajdują tu ni spokoju, ni zadowolenia; robią sobie i drugim nieustanne wrażenie obcych, gwałtem z innej, cieplejszej ziemi przesiedlonych wygnańców i będą zawsze miały instynktowy pociąg

do tych krajów: «gdzie buja laur i cyprys cicho stoi». W tych krajach i dla nich Thorwaldsen zapomni w końcu swego rodzinnego języka, a Winckelman się wyrzecze swojej macierzyńskiej wiary.

«Ci, którzy u nas, a jest ich nie mało, wiele sobie obiecują po rozwoju sztuk plastycznych w Polsce, którzy mniej lub więcej szczęśliwe próby krajowego malarstwa biorą za zapowiedź dojrzewającej szkoły narodowej, którzy nawet, bo aż do tego stopnia posuwa się czasami u niejednych amatorstwo, spodziewają się w tym kierunku jakiegoś odrodzenia i odmłodnienia — ci, niechaj wybaczą mi, nie zdali sobie może dokładnie sprawy ani z natury naszego kraju, ani z usposobienia naszego ludu, ani z wiekowej nauki, które nam historyczne doświadczenie podaje. Surowość naszego klimatu i surowość naszych obyczajów u nas czynią to niepodobnem.

«Te marmurowe kształty, które na niwach Auzonji w ciepłym kąpią się lazurze i w rokosznym cieniu miękkich, usługliwych spoczywają laurów i cyprysów, te na polskich polach północnym policzekowane wiatrem, pół roku odbijać się muszą od białych śniegu całunów, a drugie pół stać nieśmiało, niepewne, wśród otoczenia niezbyt przyjaznego poważnych, ponurych dębów i ostrych, surowych jodeł. Wzrok nienawykły do światła i słońca, nie jest zdolny u nas ani uchwycić, ani oddać tej nieskończonej skali farb i półcieni, która wciąż drży w powietrzu; uczucie kolorów ścina się pod szarą powłoką naszego horyzontu, a formy opięte chłodem i wstydem, nigdy tu nie odsłonią swojej wielkiej tajemnicy i nigdy nie pokażą tej piersi, o którą wołał ów — (No! kto?) naszej poezji: «Piersi nie podług miary krawca, lecz Fidjasza!» Gdy włoski żebrak nawet w pół samem *farniente* umie sobie nadać kształt posągu i dziurawe swe lachmany instynktowo udrapować jak chlamyd, gdy najuboższy nieraz mieszkaniec Apeninów potrafi obraz jakiegoś mistrza ukochać i cieszyć się z niego z całą może nieświadomością, ale i z całą szczerością dziecięcia — na naszym chłopie twory dłota i pędzla żadnego nie robią wrażenia, i w obojętnem go zostawia milczeniu dzieło Fidjasza i Rafaela. «Nie ta droga! — woła do nas jak do błędnego tulaacza biblii wielki prorok: głos natury, historii i sumienia. Sztuka plastyczna u nas zawsze

pozostanie krzewem egzotycznym, w cieplarni malarstwa mozolnie pielęgnowanym; nie będzie ona nigdy pełnym soków i ziarn owocem, samorodnie dojrzewającym na drzewie naszego życia.»

Wyznaję, że osłupiałem na takie zdanie dziwne: «Polska mieć nie może i mieć nie będzie malarzy, budowniczych i rzeźbiarzy!» Toż więc, któż odmaluje nam teraz nasze niebo polskie, pomyślałem, i ziemię polską? Kto łany wielkopolskie, łąki kujawskie, piaski mazowieckie, lasy litewskie, stepy ukraińskie, szczyty karpackie? Kto nam odda malownicze stroje krakowskie, lny i konopie żmudzkie, pszenicę podolską — kto błota pińskie i owego biednego piskorza łęczyckiego, nasze dwory i nasze siola, nasz sad i nasz ogród Warszawy, nasze grzybobranie, polowanie, mateczniki? A cóż dopiero naszych słodkich i rzewnych sian poetów: Kochanowskiego pod lipą czarnoleską, Karpińskiego nad potokiem z gitarą, Brodzińskiego na weselu Wiesława i Haliny, Mickiewicza w kowieńskiej jego dolinie, Tańską i Jachowicza wśród dzieci?... Tyle co do płótna i pędzla, czyli co do malarzy. A teraz kto zbuduje wieżę Marjacką w Krakowie, kto katedrę na Wawelu? A kto nasz Panteon i Westminster zasypie, jak to dawniej bywało, grobowcami i posągami bohaterów naszych? Kto usypie mogiły jako owe kopce Krakusa, Wandy?... Czy może jakieś zagraniczne Rafaela, Wandyki, Wernety, Thorwaldseny, którym się ani śniło — nasze niebo, nasze siola, nasze tabuny i nasza czapka rogata? Smutnoż, smutno mi się zrobiło! Ale gdy czas, ów lekarz doskonały wszystkiego złego, przyszedł mi w pomoc: Ej! — pomyślałem — może też niekoniecznie wszystko to prawda, co z ust ludzkich płynie? Wszakże też powiedziano: Miej serce i patrzaj w serce! I zajrzałem do serca, a ono zaraz do mnie: Pozwól desperatorowi desperować, jeśli mu to robi przyjemność, i podziękuj jeszcze, że ci Polski ze wszystkiego nie odarł, skoro jej pozostawia poetów i muzyków. I to grzeczność jeszcze lub łaska. Jeden pociąg pióra więcej skaże nas mógł na Eskimów i na Arabów, którzy oprócz trocha tranu lub kukurydzy, nie nie mają więcej. A tymczasem: *Nihil desperandum!* Wszak był czas: że nam także mówiono: My Polacy dobrzy tylko do korda i do szklanki! A ktoś rzekł: A może i do wiersza! I wnet

powstali z grobu Kochanowscy i Reje, w godnych siebie zaiste następstwach, co się zwali i zowią: Krasicki, Naruszewicz, Książnin, Karpiński, Niemcewicz, Brodziński, Mickiewicz, Słowacki, Zaleski, Pol, Goszczyński, i t. d. — żebyś dziś ich nie zliczył. Dziękiż Bogu za poetów, ale muzycy? Sprobujmy! rzekł Szopen. I wnet, jak na skinienie laski czarodziejskiej, ozwały się harmonijne brzmienia: Szopenów, Sowińskich, Moniuszków, Mireckich, Kąckich, Szczepanowskich, Biernackich, Wieniawskich, Wróblewskich, Królikowskiej i nawet Poniatowskiego, którym cały świat muzyczny jednomyślnie przyklasnął. Owoż przyjdzie kolej na plastyków, malarzy, rzeźbiarzy, architektów. Ta kolej przyszła już nawet, tylko uszu na to, co nasze, rozmyślnie nie zamykajmy, tylko tego, co mamy, sami sobie nie odmawiajmy. Jest nadzieja, że będzie ich nawet w przyszłości, tylko nie bluźnijmy przeciw Bogu, że nam swych darów nie szczędził; tylko ust naszych nie kalajmy onem szpetnem wołaniem: «Polacy! nie łamcie sobie głowy! Bóg dał wam pióro i smyczek, ale wam odmówił dłota, pędzla i cyrkla.

Otoż są powody zapewne, przez które się dzieje, iż jeden naród oddaje się więcej naukom, a zaś drugi sztukom, umiejętnościom, rolnictwu, przemysłowi, handlowi, muzyce, malarstwu, rzeźbiarstwu, poezji i tym podobnie — ale to nie ma znaczyć, żeby Opatrzność do którego z nich wyrzec miała: «Stój! Ty nie pójdziesz na prawo, bo tam plastyków dziedzina, a ja ci wyznaczyłem poezję i muzykę, które leżą na lewo.» Dla tego też lepiej zrozumiał przeznaczenie nasze ten publicysta, który w jednym z dzienników fraczukich pisał: «Polska dotąd stoi niżej w sztukach od niektórych innych narodów, bo nie miała sposobności i czasu do ich rozwinięcia — ale nie trzeba ztąd wnosić, aby jej zbywać miało na organizacji artystycznej. Nic nie byłoby fałszywszego nad to mniemanie.» *Nihil desperandum!* powtarzam; tylko pamiętajmy, że nikt nic za nas nie robi; tylko nie bądźmy na podobieństwo bab, które nie mając, czy nie mogąc na co lepszego się zdobyć, straszą dzieci bajkami.

Nie zapomniało też pielgrzymstwo polskie obowiązku swego na drodze poszukiwań i przekazania lepszym czasom pomników naukowych i przemysłowych, które z kraju przed grabieżą najeźdców uratować, lub po obcych krajach odszu-

kać i zgromadzić mogło. Nieocenione są pod tym względem skarby przechowywane w archiwum przybocznym Czartoryskich, w bibliotece polskiej przy wybrzeżu orleańskim, w bibliotekach szkoły polskiej w Batignolles i Towarzystwa demokratycznego w Wersalu, a nade wszystko zbiory Leonarda Chodźki, jednego niezaprzeczenie z najgorliwszych, najpracowitszych i najpilniejszych poprawiaczy dziejów narodowych w języku francuzkim, które, acz prywatne, słusnie uważać można za bibliotekę publiczną, jako powodowanemu korzyścią dobra publicznego, z największą uprzejmością i skwapliwością udzielane każdemu chcącemu z nich korzystać. Oprócz dzieł li tylko Polski dotyczących się, drukowanych w językach: polskim, łacińskim, francuzkim, angielskim, niemieckim, włoskim i rosyjskim, a obejmujących historję, jeografię, statystykę, politykę, rzeczy wojenne, literaturę i biografię — posiada Leonard Chodźko wiele rękopismów oryginalnych. Aby zaś mieć pod ręką rozmaite akta historyczno-dyplomatyczne, lub cywilno-wojskowe, rozrzucone po różnych archiwach publicznych i prywatnych, zebrał je porządkiem chronologicznym, począwszy od śmierci Sobieskiego w r. 1696 do dziś dnia. Zbiór ten rękopiśmienny obejmuje sto tomów w 4^o, każdy mający tysiąc stronnic. Co zaś do rewolucji listopadowej i spraw emigracji, zbiór Leonarda Chodźki jest jedyny w swoim rodzaju. Obejmuje on z tych dwóch epok najkompletniejszą masę, w różnych językach druki, litografie i autografie, ułożone w porządek systematyczny materjami i przedmiotami ogólnymi i szczegółowymi w 500 tomach, każdy z nich po 500 stronnic. Nadto ma sto tomów rękopiśmiennych, każdy po tysiąc stronnic. Wypada zatem, że gdyby te 250,000 stronnic były drukowane jednostajnym drukiem w 8^o, przedstawiłyby bibliotekę do 500 tomów 500 stronnicowych, poświęconą jedynie sprawie wywołanej przez 29. listopada 1830 roku. W tych zbiorach, wielkim kosztem, staraniem i wytrwałością ciągle pomnażanych, znajdują się także karty jeograficzne, plany, portrety, widoki, medale i monety polskie, rękorysy i akta dotąd wcale nieznanne. Nie przeszło bez odgłosu w kraju to poczucie się w swoim obowiązku pielgrzymstwa polskiego.

Naród, którego zadaniem jest odzyskać swoją niepodległość i zapewnić sobie byt polityczny na zasadach sprawiedliwości, zapewniając wszystkim swym członkom, tak pod względem moralnym jak i materjalnym, środki i warunki samoistnego i niezależnego istnienia — naród taki musi nie tylko mieć jedną dążność, jak jeden jego cel, ale nadto wyrobić sobie jedność środków i jednakie ich pojęcie i rozumienie, a to pod karą chaotycznego zamętu, najprzykrzejszych zawodów, a może i walk krwawych.

Z tej uwagi wychodząc, sędzę, że chociaż przedmiot, o którym mówić mam, nie jest nowy, to przecież obowiązkiem jest wykrywać i usuwać ciągle zabiegi i knowania tych przeciwników sprawy, którzy nie mogąc wstrzymać jej postępu i rozwijania się, sięgą wśród nas nieufność i niezgodę, aby tym sposobem zbezwładniać, przestraszać, utrzymywać w niepewności, wahanii się i obawie o skutki przyszłości. Walczą oni tą samą bronią dzisiaj przeciw postępowi, jaką niegdyś walczyli, to jest: sofizmami, deklamacjami, potwarzą. Jak dawniej każdy liberalista był demagogiem, tak dzisiaj każdy demokratą jest anarchistą. Postęp według nich, to wojna ubogiego z bogatym, to rabunek i ruina nie tylko już majątków, sztuk, przemysłu, handlu, ale nawet religji, familji i własności — to zburzenie wszelkich praw społecznych, na których ludzkość od wieków stoi — to rozkiełznana wolność, prowadząca naród do stanu pierwsiakowej zwierzęcości i barbarzyństwa.

Przypuśćmy dobrą wiarę w tych rozumowaniach i rozbierzmy sumiennieść tych twierdzeń.

A najprzód, czy prawda, że prawo postępu, to jest nowy wymysł namiętności nierządu, czy prawda, że wolność i jej rozwój są dwie oddzielne, różnorodne myśli i dwie sprzeczne sobie dążności?

Logika ma swoje konieczności, skutek swoją przyczynę, zasada swoje następstwa. Wszystko się w świecie łączy, wiąże, harmonizuje. Świat moralny równie jak świat fizyczny, ma swoje stałe, niewzruszone prawa, według których istnieje i postępuje; ztąd też i ludzkość ma swoje prawa istnienia i postępu — swoje dążności i swój cel.

Celem ludzkości jest ciągły i nieustający postęp ku doskonałości, tak w całym jej składzie, czyli w ogóle, jak w każdej pojedynczej jego części, czyli w człowieku. Dążność zaś tak jest ciągłą i nieustającą, jak doskonałość, do której człowiek dąży, jest nieokreśloną, a więc ciągłą, nieustającą i wieczną. Każdy zatem człowiek z samego prawa natury musi niszczyć i burzyć wszystko, co tylko stoi mu na zawadzie w jego dążeniu, czyli co mu przeszkadza być coraz wolniejszym, oświećszym, szczęśliwszym. Do tej wolności, do tej oświaty i szczęścia dojść jedynie on może przez równość, czyli równe prawo każdemu do wyszukania, przysposobiania i gromadzenia środków wiodących go do celu. Że zaś do zapewnienia i utrzymania go sobie nie może dojść bez zespolenia sił pojedynczych, ztąd powstaje połączenie ich w społeczeństwo weźmę miłości i braterstwa. Dla tego też wolność, równość i braterstwo, owe godła postępu tegoczesnego, nie są wcale prawami dziś wymyślonemi: ale odwiecznemi, przyrodzonemi, boskiemi, i których człowiek przeto wyrzec się nie może, jak nie może się wyrzec swej przyrody człowieczej, społeczeństwa i Boga. Że zaś widomą formą, obejmującą te odwieczne prawa postępu, jest równość, w dzisiejszem zatem pojęciu: postęp, znaczy toż samo co braterstwo. Ale godło i nazwa nie stanowią jeszcze wszystkiego, trzeba ich rozwinąć i zastosowania. Ztąd też narody do braterstwa dążące, łącząc się w społeczeństwa, stanowią sobie pewne, wspólne, wszystkich obywateli jednakowo obowiązujące prawa: aby wola i dążność osobista każdego, wiodąca go ku szczęściu i doskonałości osobistej, nie krępowała i nie była przeszkodą w tej wolności i dążności drugiego. Dla dobra więc wspólnego ludzie pojedynczy zrzekają się pewnej części ze swej absolutnej, indywidualnej, osobistej wolności na korzyść ogółu, a dla zachowania harmonji i równowagi między pojedynczymi członkami i ogółem czyli stowarzyszeniem, społeczeństwo zaciąga nawzajem pewne zobowiązanie się względem członków je składających. Ztąd powstają obowiązki i powinności jednych względem drugich, to jest względem ogółu i nawzajem obowiązki i powinności ogółu względem pojedynczych członków, a tem prawem obowiązującym ogół czyli społeczeństwo, jest: zabez-

pieczenie bytu czyli życia każdemu z jego członków, lub prawo społeczne albo socjalne.

Widoczna więc, że od chwili jak ludzkość urządza się społecznie zaczyna, tuż obok idei prawa występuje zaraz idea obowiązków, jako jedna drugą dopełniająca, jako nierozdzielna jej towarzysząca, jako ciało i dusza, bez łączności i solidarności których pierwsza byłaby trupem, a druga mrzonką. To też chrystjanizm, który pierwszy sformułował i wypowiedział zasady wolności, równości i braterstwa, ogłaszając wszystkich ludzi dziećmi jednego ojca, który nas kocha jednakowo, i jako takim zaleca miłość braterską między sobą, ogłosił zarazem solidarność ludzkości. Cała ewangelja i wszystkie pisma apostołów, uczniów i wyznawców chrystusowych, pełne są na to dowodów. Z rozszerzaniem się i rozwijaniem chrystjanizmu postępuje i objawia się coraz dobitniej idea socjalna nie już jako myśl, jako zarodek tylko, ale jako nauka wypowiadająca i zaprowadzająca ulepszenia społeczne, opierając je na sprawiedliwości i szczęściu wszystkich, czyli na wolności, równości i braterstwie całego człowieczeństwa.

Krótki zakres czasu nie pozwala nam posługiwać się powagą późniejszych mężów kościoła: Bossueta, Lamenege, Wentury, Lakordera, z których każdy na swój sposób rozwija i propaguje idee postępowe. Niepodobna nam także przytaczać zdań znaczniejszych ekonomistów dzisiejszych, do których przed innymi należą: Smith, Rossi, Blanqui, Bastide, i t. p., a którzy przyjmując socjalizm jako zasadę, zgadzają się, że dzisiejsze pojęcie własności i cały porządek urządzeń społecznych ostać się nie może; a tem bardziej rozbierać dzieł, które ogłosili: Fourier, St. Simon, Cabet, Prudhon, Louis Blanc, Bucher, Le Roux, Fenguerau, Considerant, i t. d., jakkolwiek te wpłynęły na rozjaśnienie pojmowania kwestji postępowych; ale przytoczymy tylko kilka ustępów z oświadczenia tu demokracji polskiej, na dowód że demokracja polska nie oddzielała nigdy kwestji postępowej od niepodległości narodowej, poczynawszy od samego zawiazku aż do chwil ostatnich. Jakoż w akcie założenia swojego z dnia 17. marca 1832 roku nie tylko wypowiada od razu konieczność reformy społecznej, ale ją wyraźnie i otwarcie określa:

«Dzisiejszy porządek towarzyski, słowa są tego oświadczenia, na przywłaszczeniach oparty, w którym jedni używają wszystkich korzyści do życia społecznego przywiązanych, drudzy same tylko ciężary życia tego znosić są przymuszeni, jest jedyną przyczyną nieszczęść ojczyzny naszej i ludzkości całej.»

I dalej: «Wszyscy ludzie jako istoty jednej i tejże natury, równe mają prawa i równe powinności: wszyscy są braćmi; wszyscy dziećmi jednego ojca — Boga, wszyscy członkami jednej rodziny — ludzkości.

«Każdy człowiek ma prawo szukać własnego szczęścia, wszystkie potrzeby fizyczne, umysłowe i moralne zaspakając, wszystkie władze rozwijać i doskonalić, a w miarę pracy i zdolności, we wszystkich korzyściach życia społecznego równy mieć udział.

«Każdego również człowieka powinnością jest: szukać szczęścia drugich, do zaspokojenia ich potrzeb i rozwijania władz pomagać; własny interes szczęściem drugich i społecznościami ograniczać w miarę otrzymanych z życia społecznego korzyści; do ciężarów publicznych przykładać się.

«Przywilej jakimkolwiek nazwiskiem okryty, jest wyłanianiem się z pod ogólnych powinności, lub przywłaszczeniem jakiego prawa, jest zatem negacją równości, zgwałceniem natury. Prawo człowieka ma swoje źródło w indywidualnej jego naturze, w wolności; powinność z natury socjalnej, z braterstwa wypływa. Między prawami i powinnościami konieczna jest harmonja. Tę harmonję stworzyć i utrzymać, jest społecznościami obowiązkiem. Gdzie pojedyncze indywidua są wszystkim, a społeczność niczem, tam jest anarchja; gdzie znowu społeczność pochłania indywidualizm, tam despotyzm być musi. Ani anarchja, ani despotyzm nie jest naturą społeczeństwa; są to tylko dwie jej ostateczności. Społeczność obowiązkom swoim wierna, dla wszystkich członków jednakowe zapewnia korzyści; każdemu do zaspokojenia jego potrzeb fizycznych, umysłowych, moralnych, równą niesie pomoc; prawo posiadania ziemi i każdej innej własności pracy tylko przyznaje. Wszeczwładztwo ludu tylko w demokracji przestaje być złudzeniem. Każdy społecznością członek równy w niej ma udział. Nie jedna cząstka powszechności, ale naród cały jest tu ustawodawcą; w sumieniu

albowiem mas leży najpewniejsza rękojmia, iż ustawy będą prawdziwem objawieniem przedwiecznej, nieomyłnej sprawiedliwości.

«Wszystko dla ludu przez lud: oto najogólniejsza zasada demokracji, cel i formę zarazem obejmująca. Wszystko dla ludu, dla wszystkich jest celem; wszystko przez lud, przez wszystkich, jest formą.»

Z tych acz krótkich przytoczeń komuż jeszcze nie jest widocznem, że dla postępowego pielgrzymstwa polskiego ani zasada, ani środek, ani cel, nie są to jakieś nowe, świeżo wynalezione idee, jakieś nowe, dzisiaj powstałe doktryny albo systemata: ale prawdy odwieczne, ale zasady, środki i cele od początku istnienia jego przyjęte, przezeń zaszczepione, wyrabiane i rozpowszechniane wewnątrz i zewnątrz, w kraju i na tłuactwie, w Polsce i Europie, słowem i czynem, pismem i krwią; ale prawdy tak ściśle z niem spojone i weń wcielone, że ani ich zeń wyrwać, ani oddzielić od niego niepodobna, bez zaparcia całej, blisko trzydziestoletniej krajowej i emigracyjnej, historycznej przeszłości. Wszystkie prace postępowego pielgrzymstwa polskiego, ile ich tylko było, wszystkie jego słowa, pisma, druki i czyny, propaganda i apostołstwo, poświęcenie, prześladowanie i męczeństwo, brały zawsze ztąd swoje źródło; bo pielgrzymstwo polskie wierzyło i wierzy, że tylko postęp, czyli z niego wypływające braterstwo, może zniweczyć niesprawiedliwości, a zapewnić szczęście ludowe, to jest wszystkim w ogóle i każdemu z osobna. Bo to pielgrzymstwo polskie wiedziało i wie, że «czyn wszelki, któryby nie miał na celu polepszenia losu mass, byłby tylko krzywdą podstawioną w miejsce innej krzywdy.» Bo uważało się i uważa za wojującą awangardę tego przyszłego czynu, który przez lud polski wywaleczy, ustali i urządzi na zasadach wolności, równości i braterstwa niepodległość Polski. I dla tego też to pielgrzymstwo polskie nie utrzymywało i nie utrzymuje jak niektórzy wynalazcy i naczelnicy nowych szkół i systematów czynić to zwykli, że posiada tajemnicę zniesienia za jednym zamachem owego raka toczącego ludzkość, który zowie się nędzą; ani też nie nie organizowało i nie organizuje niczego wbrew potrzebom i życzeniom ludowym, czyli co nie jest z ludu i nie jest dla ludu. Ani też nie ludowi nie podstawiało i nie

podstawia takiego, co by go ludzi mogło, że Polskę w jednym dniu można zmienić w Eldorado, Ikarję, raj, niebo, i to bez wysiłu, bez pracy, bez mozołu, bez ofiar i poświęcenia, z łaski filozofa, poety, lub proroka jakiego — ale przedstawiało i przedstawia prawa człowieka, narodów, ludzkości jako prawa nigdy nieprzedawnione i niczem niezaprzeczane, ku odzyskaniu których człowiek, narody i ludzkość postępują i postępować będą ciągle i niezmordowanie, aż u celu swego staną. Tą myślą, tem uczuciem, tą wiarą i przekonaniem wiedzione, wywoływało wszystko na pole rozpatrzenia ogólnego i rozprawy ogólnej, nie odracając, ani przesądając nigdy wyroku najwyższego sędziego, którym jest lud-wszechwładca. A jeżeli go kiedy w czem wyręczało, to zawsze według myśli, woli i potrzeb jego; bo pospołu z nim wiedziało, że kiedy żądało Rzeczypospolitej, tedy żądało wyzwolenia narodu z pod nieszczęścia zewnętrznego i wewnętrznego, wolności i niepodległości narodowej; tedy żądało usamowolnienia pracy i wyzwolenia roli z pod jarzma właścicieli i tyranji kapitału; a żądając tych reform, nie zaprowadzało i nie propagowało żadnej obcej i przeciw-narodowej doktryny, żadnego oderwanego, metafizycznego lub filozoficznego systematu. Nie zapędzało ani zaciskało nikogo do klasztoru lub koszar, bo krótko mówiąc: pospołu z ludem polskim wiedziało, że jak narodowość, tak podobnie i prawo narodowe ani się niszczyć, ani przemazywać bezkarnie może; ani się przenosić żywcem z jednej ziemi na drugą, z jednego narodu do drugiego, przeto że dla tamtego dobrem i stosownem było — ale musi być zgodnie z jego zwyczajami i obyczajami, życzeniem i potrzebą, z jego przeszłością, teraźniejszością i przyszłością. Że jednym słowem: wszystko, co do narodu należy, musi być narodowe, a jako takie nie może być ani dziełem narzuconem, ani wymysłem jednej głowy, ale owocem wszechstronnych i zbiorowych prac oraz poszukiwań; ale wyrobem i objawem woli ludu całego.

Z tej to przyczyny przyjmując rozwój społeczny, jako postęp ciągły i nieustający, nie organizowało go ani *priori* według pojęć, albo nawet doświadczeń pojedynczych; ani zakreślało mu żadnych granic i szranków, po za które przedeńby się mu było nie wolno: ale szło ciągle, szło zawsze

w zgodzie i w związku z dążnościami i postępem ludzkości. Z tej to przyczyny i dzisiaj wierzy i wie, że postęp musi wpływać i wpłynie na zmiany: w przemyśle, w naukach, administracji, religji, familji, własności, kapitale, tylko że te zmiany, ten rozwój nie przyjdą przemocą, gwałtem, ruiną, konfiskatą, tyraństwem, ale wyszukując, przyspasabiając i przyjmując zasady i środki zastosowane do ogólnej potrzeby i ogólnego braterstwa, a zaprowadzając w miejsce krzywdy, ciemnotę i fałszu, sprawiedliwość, oświatę i prawdę. Tam, gdzie wszyscy są wszystkim, gdzie sam naród jest ustawodawcą i rządcą, tam tyraństwa i despotyzmu jednej części nad drugą być nie może. Bo przypuściwszy na chwilę, że ogół w swej niewiedomości pomylił się w ustanowieniu praw z krzywdą i szkodą mniejszości, to czyliż ta niesprawiedliwość chwilowa, ta krzywda pewnej części członków, nie będzie oddziaływała na cały ogół, na wszystkich? Czyż nie będzie przeciwną ogólnej harmonji? Nie staniesz się przeto krzywdą całego społeczeństwa? W takim razie lud łatwo pozna i uczuje swój błąd, wejdzie bez żadnych gwałtownych wstrząśnień na drogę stosowniejszą i wynagrodzi bez uszczerbku nieczyjego chwilową stratę skrzywdzonych.

Uorganizowanie własności będzie dopiero zadaniem Polski niepodległej. Jako kraj, w którym wiejski żywioł stanowi istotę publicznego i prywatnego życia, gdzie rolnictwo główną jest podstawą narodowych bogactw, Polska ma misję: uorganizować stosunki wiejskie, rolnicze na podstawie narodowego ducha i potrzeb teraźniejszego wieku, to jest na demokratyzmie; tak jak Francji misją jest, na tychże samych demokracji podstawach uorganizować przemysł. Dwa wielkie zadania epoki dzisiejszej, które jednym pióra pociągiem, jednym dorywczym aktem, jedną choćby najgieniałą głową nie dadzą się rozstrzygnąć. Zaledwie wchodzić zaczynamy w ten wielki okres, zbliżamy się dopiero do olbrzymiej pracy, a już ją lada czem zżyć chcemy. Kiedy naród cały weźmie się do niej, jeszcze nie będzie robotników za nadto. Demokracja nie w tym względzie nie przesądza. Czuje tylko, iż proste pańszczyzny zniesienie tego wielkiego zagadnienia nie rozwiązuje jeszcze.

Co do różnych teorii organizacji społecznej, żadna z nich żadnej w narodzie siły wywołać nie jest w stanie, bo żadna

nie umiała jeszcze, czy nie mogła sformułować się tak jasno i wyraźnie, aby wszystkim zrozumiałą była. Co jest ciemne, snąć jest niedojrzałe jeszcze; politycznego znaczenia mieć nie może, nie jest siłą; a nam przedewszystkiem siły potrzeba. Tę siłę chcieli wydobyć pracownicy z łona dwudziesto-miljonowego społeczeństwa, jednym z tych rewolucyjnych środków, których chwytają się narody w chwili wielkiego niebezpieczeństwa.

Najwyższa kraju potrzeba wymagała poświęcenia ze strony najzamożniejszej klasy. Indywidualne straty przewidziane były; ale czyliż przed niemi cofać się należało? Od walnej bitwy, losy państwa rozstrzygnąć mającej, nie wstrzymuje wodza myśli, iż plac boju tysiącem ofiar zasłanym będzie. A jak społeczeństwo w swobodniejszej chwili goi takie rany, zagoiłaby i tę, jakaby mu zadała gwałtowna zmiana porządku społecznego; zgoiłaby ją, bo braterstwo, to najwyższa sprawiedliwość!

Jak pojmovaną była kwestja zniesienia pańszczyzny, tego chcieli w warunkach przed ostatnimi wypadkami spodziewanych. Od tego czasu warunki te zmieniły się, ale istota rzeczy pozostała; pozostała nieuchronna konieczność powszechnego, dobrowolnego, bezwarunkowego usamowolnienia i uwłaszczenia ludu. Jeżeli inaczej rzeczy poszły, nie postępu w tem wina. Na tej stronie stoi nieublagana historia, która wysledzi i powie kiedyś, komu przypisać należy zwinienie najzbawienniejszej myśli.

Zaledwo dowiedziano się w Galicji o upadku ministerjum Meffernicha, a licznymi zaraz podpisami okrył się adres żądający zniesienia pańszczyzny i wszelkich poddańczych powinności. Ci, co jaśniej widzieli i mocniej czuli potrzebę rozbrojenia niechęci ludu, zrzekli się dobrowolnie, bez wahania się i namysłu, praw dotychczas im służących, a dawszy z siebie samych przykład, czynem, słowem, pismem zachęcali drugich do naśladowania.

Takie usposobienie publicznego ducha zatrwożyło rząd, oparty na rozdwojeniu istniejącem między dwoma wielkimi żywiołami społeczeństwa naszego, a przez sam rząd wywołanem. Widział on zbliżającą się chwilę pojednania się właścicieli z ludem; rozporządzeniem przeto utrudnić pragnął dokonanie tego wielkiego dzieła.

Duch publiczny ostrzeżony, podwoił usiłowania. Młodzież akademicka lwowska, natchnieniem odgadująca prawdy, tak starannie do owego czasu przed nią ukrywane, połączyła głos swój z głosem powszechnym.

«Dziś każda chwila wahania się — mówią ci szlachetni młodzieńce — wystawia kraj cały na klęskę, która nad nim wisi jak miecz Damoklesa... Kto opiera się niezłomnemu zniesieniu pańszczyzny, ten nie kocha ojczyzny, poczyną walkę karła z olbrzymią zdarzeń potęgą. Biada mu, jeśli interes tylko własny nim włada!»

Komitet krakowski, jasno i żywo reprezentujący potrzeby krajowe, wezwał wszystkich obywateli do dobrowolnego zniesienia pańszczyzny w całej Galicji, oznaczając na tę wielką narodową uroczystość dzień 23. kwietnia, dzień Zmartwychwstania Pańskiego. «Wzywamy was, mówi on, zaklinamy na miłość Boga i ojczyzny, na nasz honor narodowy, na własne dobro wasze, abyście nie ociągali się dłużej z wielkiem dziełem usamowolnienia i uwłaszczenia ludu. Wszyscy razem zgodnie, serdecznie, w dniu jednym wróćcie mu jego prawa. a rozbroicie jego niechęci, wytrąćcie broń chytrej przewrotności służalców despotyzmu, stwórzcie siłę olbrzymią, którą raz mając, reszta snadno już pójdzie.»

Wezwanie komitetu krakowskiego powtórzyła rada narodowa lwowska w pierwszej zaraz chwili swego zawiązania się.

«Niech dzień Zmartwychwstania Zbawiciela, mówi ona, będzie oraz dla nas dniem narodowego zmartwychwstania i zbawienia... Niech zniknie to krzywdzące niewoli znamię, a odgłos wolności przekroczy ciasne kraju granice, odbije się po wszystkiej polskiej ziemi, zwiastować będzie ludowi, iż wraz z odradzającym się narodem polskim pękają jego odwieczne kajdany.»

Tak przemawiały i tego chciały już nie pojedyncze głosy, ale same instytucje. Było to więc powszechności, niewątpliwie całego kraju życzenie.

Rząd jeszcze się mocniej zatrwożył. Wydzierano mu owoc tyloletnich knowań, tak drogo, bo niesłychanemi w dziejach ludzkości zbrodniami okupionych. Postanowił więc, korzystając z wahania się i niepewności, w jakich zostawali jeszcze właściciele, gwałtownie uprzedzić termin oznaczony. I ogłosił sam, jakoby z własnego natchnienia

i woli: iż wszelkie robocizny pańszczyzniane i inne z dawniejszego poddańczego stosunku wynikłe daniny włościańskie znoszą się za wynagrodzeniem w swoim czasie wymierzyć się mającemu na koszt rządu. O powszechnem życzeniu obywateli ani wzmianki nie było.

Było więc ogromny cios, którego nie już odwrócić nie mogło. Lud uwierzył, iż nie szlachta, ale rząd zdjął z niego ciężary gniotące go najdotkliwiej.

Czyja w tem wina? Nie ludzi dobrej woli zapewne!

Gdyby masa właścicieli była poszła za głosem tak silnie podniesionym i nieustannie wszystkimi organami opinii publicznej przez cały miesiąc powtarzanym, a byłaby poszła, gdyby ludzie wpływu i znaczenia, zamiast połączyć głos swój z głosem powszechnym, nie byli mu przeciwni — rząd nie miałby co robić, piekielny jego machjowelizm w nie by się był obrócił.

Ale nie na tem jeszcze koniec tych smutnych dziejów. Zniesienie pańszczyzny przez rząd nakazane, nie uwalniało włościan od zaległych powinności, owszem zaległości te mogły być reklamowane.

A więc ponętą lichego zysku chciano jeszcze uwieść niebacznych właścicieli, nową kość niezgody rzucić między nich a lud usamowolniony.

Pozostał jeszcze jedyny środek, nie już naprawienia zwichniętego dzieła, ale przynajmniej położenia tamy dalszemu złego szerzeniu się, przez odrzucenie wszelkiego rodzaju wynagrodzenia. Tymczasem ministerjum zaprojektowało wynagrodzenie, a nasi deputowani przyjęli je. Było już ostatni cios politycznemu znaczeniu tego wielkiego przedsięwzięcia zadany. Rząd zyskał nową broń, którą szermierząc, drażnić będzie nieustannie otwarte jeszcze rany narodu naszego i nie da im się zagoić.

Dziwne zaiste zbliżenie zdarzeń, stawiać owoczesną część Polski pod zaborem austriackim z teraźniejszym położeniem tejże samej kwestji pod zaborem moskiewskim. Rząd moskiewski ciśnięty nieubłaganą koleją wypadków, uprzedza od niepamiętnych czasów objawiane życzenia szlachty polskiej usamowolnienia ludu, zniesienia pańszczyzny i nadania własności. A szlachta polska jakby nie dosyć miała jeszcze doświadczenia dotychczasowego, zamiast iść naprzód rozpo-

ządzeń rządu moskiewskiego, stawia tę kwestję w obec ludu tak, jak gdyby rząd najezdnicy, rząd moskiewski, mógł mieć dla polskiego ludu lepsze od niej samej, od szlachty polskiej chęci. Nie z tego miejsca i nie z takich piersi, głos w tego rodzaju kwestji na ziemię polską pójść może. Ale jeżeli nie jest przestępstwem głos wołającego choć na puszczy, to niechże wolno mi będzie błagać. O, miejcie litość nad sobą, nad dziećmi waszemi i nad ojczyzną waszą, o, bracia moi w kraju! Dopóki czas jest, nie pozwólcie, ażeby lud, którego współczłonkami, współbraćmi jesteście, i cała ludzkość powiedzieć kiedyś mogła: żeście mniej zrobić chcieli dla braci waszych i dla ojczyzny waszej od wroga braci waszych i ojczyzny waszej. Dziś czas jest, jutro może za późno już będzie; dziś czas okazać, że kraj wyróbił w sobie świadomość w wyborze między myślami, które mu z zewnątrz płynęły, a w przyjęciu myśli dał dowód, na czem właśnie dotąd zbywało Polskę; że jest zdolny przyjąć pojęcie, któreby cały ogarnęło naród. Żaden naród nie może się odrodzić przez przyczynę swego upadku, żadna przeszłość niezdolna jest wydzwignąć narodu z toni, do której raz go wtrąciła: to prawdy stwierdzone doświadczeniem wieków. A że naród dążący do niepodległości, nie może i na chwilę umarzać w sobie życia, niemoc zatem polityczna i społeczna przeszłości, sama już przez się była by wyzwoleniem przyszłości. Braterstwo w Polsce nie jest przeto niespodzianem zjawiskiem; w kolei tylko wypadków zajęło należne sobie miejsce. To raz dokonane, całe poświęcenie, cały patriotyzm odnosi się do zastosowania myśli braterskiej do dzisiejszych potrzeb narodu; całą umiejętność polityki do szybkiego a porządnego rozwinięcia tej myśli w łonie społeczeństwa. Od tej chwili usamowolnił się naród polski i własnym już rozumem odpowiada za przyszłość swoją. Toż od tej chwili nie interes już osobisty, nie rodziny lub kasty, nie tej lub owej części Polski, ale wolność i szczęście całego narodu polskiego, ale wolność i niepodległość całej ziemi polskiej, jest dla Polaka celem poświęcenia i miłości ojczyzny skalą. Od tej chwili każdy Polak, bez różnicy stanu, wyznania i pochodzenia, wchodzi w zakres i obowiązek życia publicznego, z czynu i z prawa staje się obywatelem Polski. Od tej chwili Polska wznosi się na to wzniosłe wśród narodów europejskich sta-

nowisko, z którego ją niebacność i swawola straciły; odzyskuje to wielkie i szlachetne wśród ludów sławiańskich posłannictwo, do którego porówni z nimi zdolna dzisiaj i pełnomocna, bo dzisiaj dla Europy i samej Sławiańszczyzny jedyną, rozumiała Sławiańszczyzną jest Polska niepodległa, wolna, równa, braterska.

A niechaj nikt poczucia się takiego dzisiejszej Polski nie bierze za ubliżenie przeszłości. Narody, jako pojedynczy ludzie, nie przychodzą od razu do świadomości wszystkiego. Dzisiejsze pokolenie ubliżałoby sobie, ciężko zaskarżałoby siebie przed sądem potomności, żeby powodowane jakimiśkolwiek względami, zacierało świadomość tę w sobie! Zmieniły się czasy! Co kiedyś zasługą, nawet cnotą być mogło, to dziś może być grzechem i zbrodnią. Kiedy konfederaci barscy kryjomo opuścili swoje domostwa, rozbiegli się po świecie i zostawili kraj na pastwę rozbioru i wściekłość wrogów; kiedy rozbitki kościuszkowskiego powstania, wyprowadziwszy z ojczyzny najdzielniejszych obrońców narodu, najdroższe jego sławy, najświetniejsze talenta, najgorętszą krew, trwonili za cudzą sprawę po cudzych morzach i lądach: nikomu nie przyszło na myśl, dziwić się temu opuszczeniu, oskarżać o marnotrawstwo skarbów narodowych; nie sądzono nawet, żeby mógł ktoś lepiej służyć ojczyźnie. Zkądże dzisiaj te żale do przywódców, co zamiast bić się dalej i zwyciężać na ziemi ojczystej, woleli rzucić broń wrogom i pójść na tułactwo wśród obcych? Dla czegoż dzisiaj sprzedawczy krwi swojej obłożyła Polska niesławą? Bo dzisiaj niepodobne do wczoraj; bo dzisiaj naród polski w kole postępu przyszedł do świadomości siebie i do słusznej dumy samodzielnego zawodu; bo dzisiaj rozbudziła się w narodzie polskim myśl, przesiąkająca przezornością swoją tę Polskę, do jakiej w staroczesnym patriotyzmie swoim wzdychały poprzednie pokolenia; bo ze zmarnotrawieniem ostatniego powstania przeszły na zawsze te czasy, kiedy można było poświęcać się za Polskę i przysięgać zarazem na wierność i poddaństwo carowi; bić się za Polskę i równocześnie myśleć o układach i wydaniu Polski jej wrogom; kochać Polskę, a nie sięgać miłością ojczyzny tylko po Bug i Niemien, kiedy najgorliwsi i najmiędrsi z narodu obywatele spuszczali się poważnie: na początkowanie Francji, na su-

mienność króla pruskiego, na uczciwość katolickiej Austrii, na zaręczenie carowej Katarzyny, carów Pawła i Aleksandra. Kiedy można było być patriotą, przyjmując pensje i ordery od wrogów, służąc im za ministrów i szambelanów; kiedy można było kochać ojczyznę, żyjąc poddaństwem i niewolą, zdradą i nędzą, krwią i łzami, życiem i śmiercią swych braci.

Przy tak skrzywionem rozumieniu patriotyzmu wszystkie zabiegi i usiłowania musiały być konieczne niedołączne i jednostronne, jak dzieje niedorosłego narodu; jak społeczność, która utraciła dawną swą wiedzę, a nie przyszła do przeobrażenia nowego. Patriotyzm bierny mięszając się do czynnego, bo ich rozróżnić nie umiano, uniewładniał i paraliżował drugi. Ztąd zamęt, pomięszanie, zawadzanie się wzajem, chaos! Myśl to braterska dopiero przychodząc z zaprzeczeniem patriotyzmowi biernemu, przychodząc z ideą, z duchem narodowości i z potrzebami kraju zgodną, oddzieliła ciemności od światła, pozór od rzeczywistości, obojętność od czynu, fałsz od prawdy, i nie dozwala patriotyzmowi biernemu mieć już żadnego udziału w sprawie publicznej, tak, że dzisiaj wszystko, co nie płynie z myślą demokratyczną, co się z nią czynnie nie łączy, za patriotyzm uważaniem nie jest. I ani się dziwić należy tej pochopności pokolenia nowego do usuwania wszelkich niedołączstw. Byłoby źle, gdyby po tylkokrotnych od tylu lat próbach i zawodach, po ostatniem, najgłębszem w siebie wejrzeniu i najwszechstronniejszym przeglądzie całego łańcucha dziejowych podań, dzisiejsza Polska nie wiedziała jeszcze, jaką pójść drogą i za jaką myśla. Od chwili owszem, jak zabłysnął w głębiach duszy Polski ten płomień nowy, pokolenie dzisiejsze odpowiedzialne jest za dotrzymanie i rozszerzenie blasku jego, a kto raz to poczuł i przyznał, łatwo pojmie, dla czego staroczesna formuła poświęcenia nie służy już dla pokolenia nowego.

Nie ma mniej pewnie pokolenie dzisiejsze ani miłości ojczyzny, ani miłości zgody i jedności, ani tych wszystkich cnót domowo-rodzinnych, któremi się szczyciły poprzednie pokolenia. Ale mieć powinno wiedzę celu, na której tym zbywało, a którą pokolenie dzisiejsze przesądzać powinno wszystkim czułości, wszystkie uniesienia; ale wiedzieć, że nie chwilowemi ofiary, lecz uczuciem ciągłego obowiązku można

tylko przygotować dzieło odrodzenia; że dziś wszystkie codzienne czyny, najdrobniejsze i najpotoczniejsze słowa Polaka, muszą się odnosić do budowy politycznej i społecznej narodu; a każda godzina upłyniona w jego życiu bezpłodnie dla przyszłości, jest przენiewierstwem przeciw patryjotyzmowi nowemu; a wszelki gest odrywający naród od jego pochodzenia w przyszłość, jest rozmyślnym zamachem na byt i przyszłość jego. Ale wie, że poświęcenie się bierne na krok nie posunie sprawy publicznej; że patryjotyzm bierny, którym tak długo obywatela się opinia publiczna; że samo gadanie o wolności i niepodległości, o wierze i nadziei na ustroniu, o miłości i braterstwie w pośród ucisku ludu; że nienawiść dykretna ciemniców; że godzenie interesów osobistych i prywatnych z klęskami i żałobami narodu; że gotowość do porywania za oręż i równa skwapliwość do składania go: przestały już na zawsze być patryjotyzmem.

Dopóki nie było myśli wyrobionej i przyjętej przez naród, dopóty możliwe były układy; ale od chwili, jak myśl wyszła z zamętu, wszystko, co po za myślą wyrobioną i przyjętą stoi, co się z niej wyosabia, wykracza przeciw jednoci i zmarnieć musi jako osobistość! Dzisiaj myśl nie zależy już od kaprysów i woli osobistych. Dzisiaj nie myśl od ludzi, lecz ludzie zowią się imionami od myśli. To też opinia publiczna, co nie odróżnia obojętnego od szkodliwego, zaliczyć musi każdego wyłamującego się od ogólnej myśli do przeciwników swoich.

Lecz gdzież koniec tego wszystkiego? Gdzie jest myśl, co nas stęsknionych, zbolących, a wierzących jednakże, doprowadzi do oczekiwanego i wyglądane go portu? Pozwalam sobie zakończyć to przemówienie słowami, które jako założenie w początku na pierwszym zgromadzeniu przywiodłem:

Ludzie starzeją i umierają, pokolenia starzeją i umierają, ale ludzkość nie starzeje i nie wymiera nigdy. Ona się owszem przeszłością odmładnia i odradza w przyszłości; ona żyje przeszłością w przyszłość, a żyje tem żywiej, tem silniej i tem dzielniej, że z każdą chwilą, która w przeszłość zapada, przybywa dla ludzkości podstawy, którą jest doświadczenie czasów ubiegłych, i przybywa jej soków żywotnych, które ciągnie z nauki doświadczenia czasów ubiegłych. Nie przeczę, że ludzie pojedynczy, zawiedzeni w swoich rachubach

lub nadziejach, że pokolenia całe znużone i zrażone, w żal, zwątpienie, obojętność i rozpacz popadać mogą — ale to nie ma znaczyć, żeby drudzy, idący za tamtymi ludziami, żeby pokolenia następne to znużenie i to zrażenie podzielać miały. Słońce wschodzi, wzbija się na wysokość południa i zachodzi wieczorem; ale czyż to ma znaczyć, że z jutrzejszym porankiem świecić na nowo nie będzie, i że więc nie ma nadziei, abyśmy to jutro dokonać mieli, czegośmy dziś dokonać nie mogli? Słońce codzień zachodzi, ale dobroczynne skutki, któremi zasiłiło dziś ziemię, pozostają na jutro. Ludzie nikną codziennie, pokolenia w przeszłość zapadają codziennie; ale czyny raz na niewę ludzkości rzucane, pozostają na zawsze, i prędzej czy później dopełnić się musi, co wypowiedziała nasza narodowa wieszczka w Głosie Pańskim z więzienia:

..... Musi mi ta niwa
Do szpichlerza ludzkości wydać swoje żniwa;
Już dziś zbieram powoli — wszystkie prawe chęci,
Każda iza miłosierdzia przedemną się święci;
Każda zemsta od krzywdy braterskiej odjęta,
Każda myśl, co o szczęściu bliźniego pamięta —
Wszystko, o czem wy sami wiedzieć nie możecie,
Wszystko ciche, spokojne, bez rozgłosu w świecie,
Wszystko czyste i święte, czy boleść, czy pracę —
Wszystko zbieram; niczego u siebie nie tracę.
Chcesz wiedzieć, jak to kiedyś datki tak ubogie
Rozdzielił na królestwa i narody mnogie —
Jak pokoleniom, ludom, na użytek w duchu
Rozdam kiedyś po chleba waszego okrucu?
Chcesz wiedzieć?... Czekaj jeszcze! nie długo się czeka,
Kiedy miarą czekania miara dni człowieka!...

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.



509782

S2

kol. z biblioteki
R:W Śliwowskich

Książnica Podlaska

im. Ł. Górnickiego w Białymstoku



KP-BG-0517814